GRAHAM

MASTERTON

18+



Wirus

REBIS

GRAHAM
MASTERTON

Wirus

Przełożył **Piotr Kuś**

Dom Wydawniczy **REBIS**

Dla Grażyny i Tomasza Szponderów
z podziękowaniami i najlepszymi życzeniami

Tooting jest jedną z dzielnic w południowo-zachodniej części Londynu.
Ludzie osiedlili się tam już w VI wieku.
Dzisiaj 5 procent jej mieszkańców to Pakistańczycy, a 3 procent – Polacy.
Jej nazwa wywodzi się ze staroangielskiego czasownika *to tout*, co oznacza „uważać” lub „strzec się”.

1

Przez cały poranek Samira wpatrywała się w lustro nad toaletką, zanim zebrała się na odwagę, aby spalić swoją twarz.

– Nie jesteś mną – szeptała do siebie. – Kimkolwiek jesteś, nie jesteś mną.

Usłyszała, jak zegar w salonie wybija godzinę dwunastą, i dopiero wtedy wstała z krzesła i podeszła do drzwi. Przekręciła klucz w zamku i nacisnęła klamkę, upewniając się, że drzwi są zamknięte. Następnie wróciła do toaletki, po czym wzięła do ręki przejrzystą szklaną buteleczkę zawierającą kwas siarkowy – niepozorna buteleczka stała dotychczas obok perfum Rasasi Blue Lady, kremu Masarrat Misbah, różnych szminek, różów i kredek do oczu.

Za kosmetykami ustawiona była okrągła fotografia w ramce przedstawiająca Samirę i jej przyszłego męża, Faraza. Pozowali przed meczetem Chana Mahabata w Peszawarze, w Pakistanie. Samira miała uniesioną rękę; osłaniała oczy przed blaskiem słońca. Zdjęcie zostało zrobione zaledwie trzy godziny po jej pierwszym spotkaniu z Farazem, czuła się jednak wtedy szczęśliwa, że wyjdzie za niego za mąż. Chociaż miał brodawkę nad górną wargą, był w miarę przystojny, ładnie się wysławiał, no i był zaledwie cztery lata starszy od Samiry.

Kiedy ojciec i matka przywieźli ją do rodzinnego domu Faraza w Fajsalabadzie, przez jedną straszliwą chwilę bała się, że zamierzają ją wydać za Wasima, jego wiecznie spoconego czterdziestoczteroletniego kuzyna. Wasim siedział spokojnie pod ścianą, palił papierosa, a pomiędzy sztachnięciami wpychał sobie do ust szafranowe barfi.

Jednak nie miało już znaczenia, czy Faraz przypadł jej do gustu czy nie: ślubu i tak nie będzie. Rodzice Samiry zatrzymają dla siebie jej posag. Teraz będą musieli się martwić jedynie o jej brata, Dżamala, a dotychczas było z nim naprawdę sporo kłopotów.

Nie popatrzyła w lustro po raz kolejny. Przeniosła natomiast spojrzenie na buteleczkę z kwasem siarkowym, którą trzymała w ręce. Po chwili wstała, podeszła do okna i spojrzała na podwórze za domem. Miało szerokość zaledwie czterech metrów, znajdowały się na nim wąski klomb i betonowy chodnik prowadzący do szopy na narzędzia należącej do jej ojca. To tutaj spędziła większość dzieciństwa od czasu, kiedy z całą rodziną przyjechała do Anglii.

To tutaj bawiła się lalkami, przebierała w wymyślne kostiumy i udawała, że podaje herbatę w plastikowych filiżankach przyjaciółkom z Iqra Primary School.

Uniosła wzrok ku niebu. Był bezchmurny listopadowy dzień, niebo miało błękitny kolor, a słońce świeciło ostrym blaskiem. Jakiś samolot pasażerski błysnął na niebie niczym srebrna igła; leciał jeszcze wysoko nad południowym Londynem, podchodząc do lądowania na lotnisku Heathrow. Samira bardzo by chciała wrócić do Peszawaru i znów zobaczyć kraj, w którym się urodziła. Ale to już nie będzie możliwe. Zresztą pewnie nikt by jej tam nie rozpoznał.

Usiadła na swoim łóżku, na brązowej jedwabnej narzucie. Na poduszce leżał wyliniały pluszowy baranek, którego ktoś przysłał jej z Pakistanu na czwarte urodziny. Szyję miał przewiązaną różową wstążeczką i wciąż miał przyczepioną zawieszkę Ziqi, producenta maskotki. Od tej zawieszki wzięło się imię, które Samira nadała barankowi. Wyciągnęła rękę, żeby po niego sięgnąć, ale zaraz zmieniła zdanie. Wkrótce nie rozpozna jej nawet Ziqi.

Położyła się na łóżku na plecach. W czasie oczekiwania na ślub, który miał się odbyć w następnym miesiącu, codziennie wkładała pomarańczowy śalwar kamiz z haftowanym kołnierzykiem, a na ramiona narzucała długi pomarańczowy pakistański szal, dupattę. W jej sypialni było ciepło, niemal duszno, Samira włożyła jednak na siebie również dwurzędową kurtkę z szerokimi, trójkątnymi klapami.

Minął już czas zuhr, południowej modlitwy, jednak Samira nie myślała teraz o modlitwie. Wiedziała, że to, co zamierza zrobić, jest całkowicie sprzeczne z wolą Allaha. I chociaż wiedziała też, że Allah jej wszystko wybaczy, nie miała już ani odwagi, ani siły, żeby się do niego modlić. Mimo to wyszeptała:

– *Subhana rabbial a’laa*… – Leżąc, trzykrotnie powtórzyła te słowa. Po chwili dodała: – Proszę cię, Panie… proszę… nie pozwól, abym cierpiała zbyt mocno i zbyt długo.

Uniosła buteleczkę i odkręciła żółtą metalową nakrętkę. Była bardzo spokojna, a ruchy jej dłoni pewne, zdecydowane. Kwas nie miał zapachu, a przecież ostrzegano ją w szkole, żeby go nie wąchała, ponieważ jego opary mogą wypalić tkanki w nosie.

Zgarnęła ręką dupattę i przygryzła materiał, żeby nie krzyczeć z bólu. Następnie, z szeroko otwartymi oczami, powoli wylała sobie kwas na czoło. Natychmiast ujrzała przed oczami szkarłatne, postrzępione płomienie, odniosła wrażenie, że widzi tańczące demony, ale po chwili zapanowała absolutna ciemność. Ból, który ją ogarnął, był tak straszliwy, że wypuściła z ręki buteleczkę.

Jej skóra zaczęła się marszczyć, pojawiły się na niej pęcherze. Chociaż z całej siły wgryzała się zębami w materiał dupatty, wydała z siebie przeraźliwy charkot, jej ciało wygięło się w łuk i trzęsło się gwałtownie w przedśmiertnych drgawkach.

Ból stał się jeszcze bardziej okrutny. Zaczęła rozdrapywać paznokciami twarz w daremnym poszukiwaniu ulgi, ale udało jej się jedynie wyrwać z policzków pasma skóry i mięsa. Poczuła, że nic nie osłania już jej zębów, a po chwili kwas wdarł się gwałtownie w dziąsła. W niewyobrażalnym bólu zaczęła szarpać włosy i wyrywać je pełnymi garściami.

Allah wysłuchał jednak modlitwy Samiry. Po chwili kwas wypalił zakończenia nerwowe pod skórą, więc dziewczyna przestała czuć ból. Opróżniona zaledwie do połowy buteleczka stoczyła się z łóżka na podłogę, Samira po raz ostatni zadrżała, jakby było jej zimno, i znieruchomiała. Jej serce przestało bić. Kwas jednak dalej niszczył jej ciało. Wkrótce ukazały się tchawica i krtań, a potem kręgi szyjne, ale Samira znajdowała się już w innym świecie i niczego nie czuła.

Minęły niemal trzy godziny. Świat za oknem zaczynał szarzeć, gdy ktoś z impetem otworzył drzwi frontowe na parterze. Matka Samiry zawołała głośno:

– Samira! Wróciliśmy! Samira! Gdzie jesteś, Samira?

2

– Wiesz, kim jesteś? – zawołał głośno Jerry. – Jesteś tumanem. Oto kim jesteś.

– Było mi zimno, to wszystko. – W odpowiedzi rozległ się tubalny głos z wnętrza zielonego kontenera przeznaczonego na używaną odzież dla biednych. – Co mam robić? Spać pod pieprzonymi drzwiami?

– Och, zamknij się – odkrzyknął Jerry. – Miałeś zamiar ukraść te rzeczy. Jesteś już piątym facetem, który zakleszczył się w środku, odkąd ktoś postawił tutaj to pudło.

Uderzył w kontener pięścią, żeby dodatkowo wystraszyć młodego człowieka uwięzionego w środku, no i po to, aby wyładować własną frustrację z powodu wezwania go do tak kretyńskiej, bezsensownej interwencji. Od czasu gdy przed trzema miesiącami został przeniesiony do Tooting, zajmował się wyłącznie drobnymi awanturami, handlem narkotykami na ulicach i rasistowskimi bójkami z użyciem noży, rozgrywającymi się pomiędzy gangami złożonymi głównie z uczniów okolicznych szkół.

Nadinspektor Perry z Nowego Scotland Yardu powiedział mu, że wysyła go na przedmieścia, ponieważ doskonale potrafi „wywąchiwać, co się dzieje na ulicach”. Tymczasem Jerry wywąchał tylko, że jego koledzy policjanci biorą łapówki za niewnoszenie oskarżeń przeciwko przestępczej rodzinie Harrisów z Hoxton, i koledzy zaczynali się obawiać, że w końcu ich wyda.

Jeden z funkcjonariuszy przycisnął go do ściany na korytarzu i powiedział:

– Wiesz, na czym polega twój problem, Jerry? Jesteś, kurwa, zbyt etyczny. Dla takich etyków jak ty są tylko dwa miejsca, koleś: ambona i cmentarz. Rozumiesz? Ale nie policja. Nie Scotland Yard.

Teraz więc Jerry dreptał w tę i z powrotem po Fishponds Road, z wysoko uniesionym kołnierzem brązowej skórzanej kurtki i z rękami

głęboko wciśniętymi w kieszenie. Dwaj umundurowani posterunkowi stali na rogu przy Selkirk Pub, dla rozgrzewki przestępując z nogi na nogę, wiedział jednak, że postąpi bez sensu, jeżeli do nich podejdzie i zechce wdać się w pogawędkę. Jak wszyscy inni policjanci z komisariatu w Tooting, oni także wiedzieli, dlaczego został przeniesiony akurat tutaj, i na pewno nie mieli ochoty z nim rozmawiać – a jeśli już, to wyłącznie o sprawach służbowych.

Wszyscy trzej czekali na przedstawiciela Charity Collectors, firmy administrującej kontenerami. To on miał uwolnić nieszczęśnika z pułapki. W tych czasach ubrania i buty wrzucane do pojemników, których zawartość rozdawano później ubogim, były tak dobrej jakości, że warto było przeciskać się do nich i kraść, co tylko się dało. Jedyny problem polegał na tym, że pojemniki zaprojektowano w taki sposób, żeby ktoś, kto znajdzie się w środku, nie mógł się samodzielnie wydostać.

Jerry popatrzył na zegarek i mruknął pod nosem:

– Kurwa mać.

Za niecałą godzinę miał skończyć pracę i w gruncie rzeczy nie wiedział nawet, po co musiał tutaj przyjść. Inspektor French powiedział mu, żeby przesłuchał faceta, który znalazł się w pułapce, ponieważ wykradanie ubrań z ulicznych kontenerów stało się już prawdziwą plagą i najwyższy czas się dowiedzieć, kto za tym stoi.

Jednak według Jerry’ego ten konkretny facet kradł wyłącznie dla siebie i na pewno nie miał nic wspólnego z żadną grupą przestępczą. Uważał, że za kradzieżami na dużą skalę stoją Litwini, a w szczególności jeden konkretny Litwin.

– Jak długo jeszcze mam czekać? – zawołał facet z kontenera. – Szczać mi się chce, zaraz rozsadzi mi pęcherz!

– Zawiąż sobie węzeł na fiucie! – odkrzyknął Jerry.

– Musisz mnie stąd wydostać, mówię ci! Bo dostanę klaustrofobii!

– To by nawet pasowało do takiego grubasa!

Na dworze zaczynało się ściemniać i jedna po drugiej zapalały się latarnie uliczne.

– Wyciągnij mnie stąd, bo zwariuję!

– Już włażąc tam, udowodniłeś, że jesteś wariatem! Tuman!

– Złożę na ciebie skargę! Jak się nazywasz?

– Posterunkowy Jeremy Thomas Pardoe. Zapisz to sobie. Och, przepraszam… zapomniałem, że nie masz papieru ani ołówka, a w tym pudle jest cholernie ciemno!

– Dopadnę cię!

– Najpierw musisz stamtąd wyleźć. Módl się, żebym nie zmienił zdania, stary. Cholera jasna, jak stąd odejdę, nikt cię nie znajdzie przez wiele dni! A nawet tygodni!

– Skurwysyn!

Jerry znów się oddalił, puszczając mimo uszu narzekania złodzieja. Dotarł niemal do Selkirk Pub, gdy zza rogu wyjechało srebrne volvo v40. Samochód zatrzymał się przy umundurowanych policjantach i Jerry dostrzegł, jak ktoś wychyla się z auta i rozmawia z nimi. Jak na komendę obaj odwrócili się i wskazali na Jerry'ego. Kierowca zatrzymał samochód przy krawężniku po drugiej stronie ulicy i wysiadł.

Jerry spodziewał się, jak zwykle, nieokrzesanego i zawsze nieogolonego faceta z Charity Collectors, zobaczył jednak drobniutką Azjatkę w ciemnoszarym kostiumie, z czarną opaską na włosach. Podeszła do niego z uśmiechem i zapytała:

– Posterunkowy Pardoe?

Sprawiła, że nagle poczuł się bardzo wysoki, niezgrabny i brzydki.

– Tak, to ja. Co mogę dla pani zrobić?

– Na posterunku powiedziano mi, że znajdę pana przy Mitcham Road.

– Naprawdę? Nie jest pani pracownicą Charity Collectors, prawda?

Facet uwięziony w kontenerze zabębnił nagle w metalową ściankę i wrzasnął:

– Ludzie, wydostańcie mnie stąd! Wydostańcie mnie! Kurwa mać, chcę stąd wyjść!

Azjatka zerknęła na kontener i powiedziała:

– Chyba nawet nie musimy go zamykać. Sam się zamknął i to dość dokładnie.

Jerry stwierdził, że lubi tę kobietę. Była nie tylko prześliczna – miała duże, ciemnobrązowe oczy jak z kreskówki i pełne, kształtne usta – ale też zdawało się, że podziela jego poczucie humoru.

– Pani jest… – odezwał się.

– Detektyw sierżant Dżamila Patel. Mówmy sobie po imieniu.

– Z…?

– Z londyńskiej policji, tak jak ty. Pracuję w Scotland Yardzie od czternastu miesięcy.

– Naprawdę? Jak to możliwe, że nigdy cię nie spotkałem?

– Czy to ma być komplement?

– Cóż… po prostu jestem zaskoczony, że nigdy na ciebie nie wpadłem.

– Nie miałeś szansy. Pracowałam w specjalistycznym zespole zajmującym się zbrodniami honorowymi.

– Chodzi o te kobiety, które są kamienowane za cudzołóstwo?

– Właśnie. Wyobraź sobie, że to się wciąż dzieje, nawet tu, w Anglii, i to częściej, niżbyś się spodziewał. W ubiegłym tygodniu doszło do zabójstwa w Edmonton. Ktoś spuścił kobiecie na głowę dwudziestoczterokilogramowy blok betonu, ponieważ miała romans z nauczycielem angielskiego.

– Cholera jasna.

Sierżant Patel wzruszyła ramionami, jakby z podobnymi okropieństwami miała do czynienia na co dzień.

– Oczywiście widziałam też kobiety, które zginęły, bo nie chciały wyjść za mąż za mężczyznę, którego wybrali im rodzice. Albo uciekły z chłopakiem z niższej kasty, ściągając wstyd na rodzinę. W większości takich przypadków trudno jest ustalić sprawców zbrodni. Nikt niczego nie widział. Nikt niczego nie słyszał.

– No tak – powiedział Jerry i odwrócił się. Facet w kontenerze znowu zaczął kopać w ściany. – Po co przyjechałaś na to piękne przedmieście?

– Przede wszystkim po to, żeby zgarnąć stąd ciebie.

– Jestem na służbie. Będę musiał przesłuchać tego debila… to znaczy będę musiał przesłuchać podejrzanego, kiedy tylko wydostanę go z kontenera.

– Zwalniam cię z tego obowiązku.

– Co?

– Inspektor French pozwolił mi cię poinformować, że nie musisz tego robić. Wysłał cię tu tylko po to, żeby w ogóle dać ci jakieś zajęcie. A ja cię potrzebuję, ponieważ mam się zająć prawdopodobnym morderstwem honorowym, a ty już wcześniej z powodzeniem prowadziłeś trzy takie sprawy, dwie w Redbridge i jedną w Waltham Forest.

– Rzeczywiście. Ale skoro masz już swój zespół, do czego ja ci jestem potrzebny?

– Niestety, *miałam* zespół – powiedziała sierżant Patel i westchnęła. – Ale cóż, padliśmy ofiarą cięć budżetowych. Przynajmniej taką przekazano nam informację. Prawda jest taka, że nie byliśmy zbyt lubiani wśród przywódców społeczności azjatyckiej, którzy w końcu wymogli na komisarzu, żeby nas rozgonił.

– A więc teraz ten zespół to ty i ja?

– Wydostańcie mnie stąd! Wydostańcie mnie! – wrzasnął facet z kontenera. – Nie wytrzymam tu ani chwili dłużej!

– Nim się nie martw – powiedziała sierżant Patel. – Zajmą się nim ci dwaj mundurowi. Oni go przesłuchają.

– Przykro mi, stary! – zawołał Jerry. – Muszę cię opuścić. Rano przyślę kogoś, kto cię uwolni.

– Nie! Nieee! Nie możesz tego zrobić! Uduszę się tutaj! Umrę z zimna! Proszę… błagam cię!

W tej chwili nadjechała zielona fiesta. W samochodzie paliło się tylko jedno przednie światło. Jerry rozpoznał samochód należący do pracownika Charity Collectors. Pojazd zatrzymał się tuż przy dwójce policjantów i wysiadł z niego niechlujny, siwowłosy facet. Pod beżową wiatrówką miał brązowy sweter marki Fair Isle. Włożył go na lewą stronę i pod jego nieogolonym podbródkiem można było dostrzec dużą metkę.

– Cześć, Ron – powiedział Jerry.

– Cześć.

Mężczyzna wyciągnął z kieszeni wiatrówki wielki pęk kluczy i zaczął je po kolei oglądać.

Facet w kontenerze najwyraźniej nie usłyszał jego przyjazdu, nie usłyszał też brzęku kluczy, bo nagle rozpłakał się jak dziecko.

3

Sophie właśnie zgasiła światła na zapleczu sklepu i włączyła alarm, gdy usłyszała, że ktoś gwałtownie dobija się do drzwi od ulicy.

Zobaczyła za szybą siwowłosą kobietę w długim tweedowym płaszczu. W rękach trzymała dwie wielkie czarne torby. Sophie podeszła do drzwi i zawołała:

– Już zamknięte! Przykro mi!

– No to co mam zrobić z tymi torbami? – zapytała kobieta, przesadnie poruszając wargami, żeby Sophie mogła zrozumieć przez szybę jej słowa. – Przecież nie zabiorę ich z powrotem.

– Niech je pani zostawi pod drzwiami – poradziła jej Sophie.

– Ale tam są całkiem dobre ubrania. Niektóre to prawdziwe perełki z dawnych czasów. Jest też trochę starych bibelotów. Szkoda, żeby ktoś miał je ukraść!

Sophie przez chwilę się wahała, w końcu westchnęła i zawołała:

– No dobrze. Niech pani chwilę poczeka!

Wróciła na zaplecze, żeby wyłączyć alarm, a potem podeszła do drzwi i otworzyła je. Kobieta natychmiast wtaszczyła do środka dwie torby i postawiła je na podłodze przed ladą.

– Dobrze, że się tego pozbędę, dzięki Bogu! – powiedziała.

Teraz, gdy kobieta znalazła się w środku, Sophie dostrzegła, że wcale nie jest taka stara, jak się wydawało przez szybę. Owszem, jej włosy wyglądały na siwe, właściwie białe, ale dlatego, że były bardzo rozjaśnione. Postarzał ją również długi do kostek płaszcz. Wyglądała na najwyżej trzydzieści osiem albo trzydzieści dziewięć lat i była bardzo chuda. Miała jasnoniebieskie oczy i wysokie kości policzkowe.

– To są rzeczy mojego wujka – wyjaśniła. – Zmarł trzy tygodnie temu i właśnie wysprzątałam jego mieszkanie. Nawet pani sobie nie wyobraża, ile miał rzeczy. Przechowywał nawet ubrania cioci, a ona umarła przecież dziewięć lat temu. Niczego nie wyrzucił, nawet jej bielizny!

– Cóż, jeżeli ma pani więcej ubrań – powiedziała Sophie – szczególnie swetry i kurtki są o tej porze roku…

– Nie, to już wszystko. Zostały jeszcze książki, ale w większości polskie i rosyjskie, głównie o medycynie. Wujek był lekarzem jakiejś rzadkiej specjalności.

– Rozumiem. I bardzo pani dziękuję, ale teraz muszę już zamykać. Mój chłopak będzie się o mnie martwił.

Kobieta rozejrzała się po sklepie.

– Widzę, że panuje tu wzorowy porządek. Na pierwszy rzut oka wcale nie widać, że sprzedajecie używane ubrania. Dużo macie klientów?

Sophie się uśmiechnęła.

– Zdziwiłaby się pani. Czasami mamy tu wielki ruch, szczególnie w soboty. Ale dziękuję za uznanie. Staram się, żeby było schludnie i czysto. Zanim zatrudniłam się w Little Helpers, pracowałam w Selfridges, w dziale mody.

Kobieta spojrzała na nią, jakby chciała zapytać: Selfridges? No to dlaczego skończyłaś w sklepie z używaną odzieżą, i to w tak podłej dzielnicy jak Tooting? Zamiast tego powiedziała:

– Cóż, dziękuję, że pozwoliła mi pani zostawić te rzeczy. Wcale mi się nie uśmiechało wracanie z nimi do tego mieszkania… Zresztą nigdy nie lubiłam tam chodzić.

Kobieta wyszła, a kiedy Sophie zamykała za nią drzwi na klucz, zobaczyła, że wsiada do czarnego mercedesa sedana zaparkowanego po drugiej stronie ulicy. Chociaż powiedziała klientce, że chłopak będzie się o nią martwił, na razie nie było nawet śladu Mike’a. Ostatnio niemal zawsze przyjeżdżał po nią spóźniony, a trzy czy cztery razy musiała wracać do domu sama, autobusem numer 77.

Już od wielu miesięcy chodziło jej po głowie, że powinna całkowicie zmienić swoje życie, jednak stała się tak zależna od Mike’a, szczególnie od jego pieniędzy, że nie widziała sposobu na uwolnienie się od niego. Zaczynała żałować, że w ogóle go spotkała. Wszystko, co początkowo wydawało jej się w nim atrakcyjne, teraz jedynie ją irytowało, a już szczególnie to, że przeważnie nie odpowiadał na jej pytania. Najpierw uważała, że jego milczenie jest męskie i nastrojowe. Teraz była przekonana, że Mike po prostu ją ignoruje.

Kiedy przeszła na zaplecze, żeby ponownie włączyć alarm, usłyszała jakieś szuranie. Zatrzymała się i zaczęła nasłuchiwać. Na początku lata na zapleczu zalęgły się szczury. Przeniosły się do sklepu rurami kanalizacyjnymi z tureckiej restauracji, która funkcjonowała w sąsiednim budynku, i próbowały zagnieździć się w workach z najgorszymi ubraniami, których od dawna nikt nie chciał kupić, a które czekały na wywóz. Sophie wyłożyła trutki i zaczęła czynić starania, by władze zajęły się problemem, jednak wkrótce restaurację zamknięto i kłopot wydawał się rozwiązany. Najwidoczniej jednak szczury pozostały.

Po chwili znów to usłyszała: ostre, wyraźne szuranie po podłodze. Ale dźwięk wcale nie docierał z zaplecza. Jego źródłem była jedna z dwóch toreb, które przed chwilą przyniosła kobieta o białych włosach.

Sophie podeszła do nich i zaczęła naciskać jedną z toreb czubkiem buta. Kiedyś w worku, który przyniósł jakiś starszy mężczyzna, znalazła martwą kotkę szylkretową, jednak nigdy nie trafiło się jej nic żywego. Zaczęła dochodzić do wniosku, że szuranie było wytworem jej wyobraźni, gdy dźwięk rozległ się ponownie. Tym razem Sophie nie miała wątpliwości, że jedna z toreb się poruszyła.

Boże, a jeśli w środku jest szczur? No bo co to może być innego? Tak, to na pewno szczur, pomyślała.

Obawiając się, że gryzoń może na nią skoczyć, nie zamierzała otwierać torby. Zastanowiła się, czy nie wynieść jej na zewnątrz i nie zostawić do rana przy pojemniku na śmieci. Gdyby do tego czasu szczur nie uciekł, poprosiłaby wolontariusza, Raymonda, żeby się nim zajął. Raymond pracował kiedyś w ubojni i nieobce mu było zabijanie zwierząt. Potrafił miażdżyć osy kciukiem.

Złapała torbę za uchwyt. Była dość ciężka, ale kobieta powiedziała przecież, że w środku są nie tylko ubrania, lecz także stare bibeloty. Sophie przeniosła ją pośpiesznie pod drzwi na zapleczu, które prowadziły do niewielkiego pomieszczenia biurowego, toalety i małego magazynu, gdzie czyszczono ubrania parą wodną, zanim trafiły do sklepu. Modliła się, żeby szczur siedział spokojnie, dopóki nie wyniesie torby na zewnątrz.

Kiedy mijała stertę ubrań przeznaczonych do wyrzucenia, potknęła się i przewróciła, upuszczając torbę, która się otworzyła. Wysypały się z niej płaszcze, suknie, swetry, buty i sztruksowe spodnie, wypadło też pudełko z posrebrzanymi łyżeczkami i zegar z kukułką.

Sophie szybko się cofnęła, wystraszona, że z torby wyskoczy szczur albo jakieś inne zwierzę, ale chociaż odczekała dłuższą chwilę, nic się nie wydarzyło. Trąciła butem szary płaszcz z tweedu, jednak pod nim też nic się nie ruszało, nie rozległ się żaden dźwięk.

Przecież wiem, że nie wyobraziłam sobie tego odgłosu, pomyślała. Może kukułka w zegarze się poruszyła?

Ostrożnie oddzieliła płaszcz od reszty garderoby, potrząsnęła nim i położyła na stole służącym do prasowania. Wciąż nie słyszała niczego niepokojącego, dlatego odważyła się wziąć do ręki sztruksowe spodnie, a potem dwie koszule w paski i ciemnozielony sweter z postrzępionymi dziurami na łokciach. Podniosła również zegar. Łańcuszki wahadełka były poplątane, a drzwiczki, zza których miała wyskakiwać kukułka, szeroko otwarte. Kukułka tkwiła w środku. Miała złamane jedno skrzydło.

Chyba czuję się tak samo jak ona… utknęłam we wnętrzu stojącego zegara i nie jestem w stanie z niego wyskoczyć.

W torbie znajdował się między innymi zrobiony na drutach i mocno pachnący maścią rozgrzewającą kocyk, dwie zniszczone rękawice ogrodowe i przynajmniej tuzin skarpetek nie do pary, ale Sophie znalazła w niej także dwa damskie golfy – zielony i kremowy; oba wyglądały na nienoszone – i aksamitną granatową damską kurtkę z guzikami na patkach.

Wiedziała, że za swetry dostanie dobrą cenę, a kurtkę postanowiła zostawić dla siebie. Pomyślała, że będzie jej doskonale pasować do dżinsów od Mantaraya i sztybletów marki Red Herring. Zdecydowała, że włoży do sklepowej kasy dziesięć funtów za tę kurtkę.

Opróżniła torbę. W środku nie było już niczego wartościowego, poza kilkoma starymi, pożółkłymi książkami Penguina w miękkich oprawach oraz wstrętnie poplamionymi rękawicami kuchennymi. Nie natrafiła na żadnego szczura ani mysz. I w ogóle na nic, co mogłoby wytłumaczyć te dziwne odgłosy.

Zabrała kurtkę do przebieralni i przymierzyła ją przed lustrem. Była trochę ciasna na piersiach – kobieta, która nosiła ją wcześniej, miała mniejszy biust niż Sophie – ale nie musiała jej przecież zapinać pod szyję. Jeśli nie liczyć tego drobnego mankamentu, kurtka leżała na niej doskonale. Stwierdziła, że garderoba w wojskowym stylu pasuje do jej typu urody. Jej matka była w połowie Polką. To po niej Sophie miała okrągłą twarz, kocie oczy i ciemne włosy, które obcinała na starannego geometrycznego boba.

Przez chwilę wpatrywała się w swoje odbicie. Nagle, nie wiadomo dlaczego, poczuła smutek, jakby straciła bliską przyjaciółkę, jakby ktoś najbliższy odszedł od niej lub umarł.

Potrzebuję odpoczynku, pomyślała. Skoro nie potrafię zmienić swojego życia, to mogłabym chociaż wziąć kilka dni wolnego. Mogłabym pojechać do Sidmouth, do mamy i taty. Długie spacery nad morzem zawsze poprawiają mi nastrój.

Przyjrzała się sobie trochę uważniej i ze zdziwieniem zauważyła, że w kącikach jej oczu błyszczą łzy. Skąd się wziął ten nagły smutek? Jednak w tej samej chwili poczuła też urazę i złość.

Dlaczego mi to zrobiłeś? Za co? Myślisz, że ja nie potrafię cię zranić? Jeszcze mnie nie znasz, nawet w połowie!

Ku swemu zaskoczeniu zaczęła głośno łkać i łzy potoczyły się po jej policzkach.

Dlaczego płaczę? Dlaczego jestem taka zmartwiona i wściekła? Dość tego!

Wyszła z przebieralni i zaczęła zdejmować kurtkę. Jednak zaledwie wyciągnęła rękę z rękawa, przyszło jej do głowy, że mogłaby przecież pojechać w niej do domu. No tak, ale bez czyszczenia? Kiedy zdarzało jej się kupić ubranie, które ktoś przyniósł do sklepu, nigdy go nie wkładała, dopóki go starannie nie wyczyściła. W używanych ubraniach gnieździły się całe zastępy bakterii, zdarzały się także wszy i świerzbowce. Niektóre zarazki były odporne nawet na dwukrotne pranie; właśnie dlatego sklepy z używaną odzieżą nigdy nie sprzedawały bielizny.

Jednak z jakiegoś powodu Sophie nie chciała się rozstać z kurtką, która zdawała się wręcz prosić jej lewą rękę, żeby znów wsunęła się do rękawa. Była niczym nieszczęśliwy przyjaciel, który błaga, żeby nie pozostawiać go samego. Sophie pociągnęła nosem i wierzchem dłoni otarła łzy z twarzy. Już miała zdjąć kurtkę, gdy znów ogarnęła ją złość.

Ale z ciebie tchórz! Tylko tchórz mógłby potraktować mnie w taki sposób! Ale nie myśl, że to ci ujdzie na sucho. O nie, nigdy w życiu!

Zdjęła kurtkę tak szybko, że jeden z rękawów wywinął się na lewą stronę. Rzuciła ją na ladę obok kasy i przez chwilę wpatrywała się w nią, jakby się spodziewała, że kurtka na nią skoczy.

Nie potrafiła tego zrozumieć. Dlaczego zwykłe przymierzanie używanej odzieży wyzwalało aż takie emocje? Kontakt z kurtką wywołał w niej

uczucie ogromnej straty, ale jednocześnie doprowadził ją niemal do furii.

Podniosła kurtkę i wygładziła rękaw. Jasne, że ona nie miała z tym nic wspólnego. Chodziło pewnie o to, jak w niej wyglądała. Może – choć nie zdawała sobie z tego sprawy – przypomniała sobie kogoś, o kim już dawno zapomniała? Przecież wyobraziła sobie, że na kogoś krzyczy – na kogoś, kto w jakiś sposób ją zawiódł, sprawił, że poczuła się bardzo źle.

Nie myśl, że to ci ujdzie na sucho! – powiedziała temu komuś w myślach. Ale kto to był? I co takiego jej zrobił?

Usłyszała głośne stukanie w szybę. Odwróciła się i zobaczyła Mike'a. Po raz pierwszy od długiego czasu naprawdę ucieszyła się, że go widzi.

– Cześć – powiedział, kiedy otworzyła drzwi.

Jak zwykle nie wyjaśnił powodu spóźnienia, nie przeprosił jej, ale tego wieczoru nie miało to dla Sophie znaczenia. Naprawdę się ucieszyła, że wreszcie się zjawił. Mike miał szerokie ramiona i muskularną sylwetkę, ponieważ niemal każdego dnia ćwiczył na siłowni, a w weekendy trenował kick-boxing. Po tym, co zaszło w przebieralni, czuła się pewniej w obecności kogoś, kto mógłby ją ochronić. Sophie nie podobała się tylko jego fryzura: boki głowy miał ogolone niemal na zero. Uważała, że w tej fryzurze wygląda na więźnia. Miał szeroką twarz, głęboki dołek w podbródku i nos jak mops.

Wyczuła w jego oddechu alkohol. Aha, to dlatego się spóźnił. Zapewne pił w Gorringe Park ze swoimi kumplami z agencji nieruchomości.

– Jeszcze nie jesteś gotowa? – zapytał, gdy dostrzegł, że tylne drzwi są otwarte, a ubrania leżą porozrzucane na podłodze.

– Daj mi chwilkę – odparła Sophie.

Włączyła alarm i zamknęła drzwi, pozostawiając swetry, spodnie i zegar z kukułką na podłodze. Mijając ladę, zawahała się i popatrzyła na kurtkę.

– Co jeszcze? – rzucił Mike. – Och, daj spokój, Soph, pospiesz się… Zostawiłem samochód na zakazie parkowania. Mandat może mnie kosztować sto pięćdziesiąt funciaków!

Sophie wahała się jeszcze przez ułamek sekundy, ale w końcu wzięła kurtkę z lady i przerzuciła ją przez ramię.

– Chyba nie masz zamiaru tego świsnąć, co? – zapytał Mike. – I to tylko dlatego, że nie chciałem ci ostatnio kupić płaszcza z Next? Był cholernie drogi, a poza tym w ogóle do ciebie nie pasował.

– Zapłacę za tę kurtkę. Już ją przymierzyłam i chcę ją mieć.

– W porządku. Twoja sprawa. Jeżeli chcesz nosić używane ubrania jak stare baby, proszę bardzo.

Sophie zamknęła na klucz frontowe drzwi Little Helpers i podążyła za Mikiem do czerwonego subaru. Usiadłszy w fotelu pasażera, położyła kurtkę na kolanach. Kiedy samochód ruszał, Sophie odniosła wrażenie, że kurtka łasi się do niej jak słodki kotek. Pogłaskała ją.

Ona mnie potrzebuje, pomyślała. Nie wiem, dlaczego mam takie wrażenie, ale ona mnie potrzebuje i nie pozwoli, żebym ją zostawiła.

4

– Liczę na to, że masz mocny żołądek – powiedziała Dżamila, kiedy skręcili w Rectory Lane.

– Nie martw się – odparł Jerry. – Zresztą zjadłem na śniadanie tylko jedną kanapkę z jajkiem. Myślę, że nie zacznie mi się cofać do przełyku.

Dotarli do numeru 35. Przed budynkiem parkowały cztery samochody interwencyjne i dwie furgonetki policyjne, a za rogiem, przy Southview Close, stał ambulans. Chodnik przed budynkiem był odgrodzony, a ogród oświetlały silne reflektory ustawione na wysokich trójnogach.

Dżamila znalazła wolne miejsce do zaparkowania kilkadziesiąt metrów dalej i musieli się kawałek wrócić pieszo. Przeszli pod biało-niebieską taśmą policyjną i weszli do budynku. W wąskim holu dyżurowało trzech umundurowanych posterunkowych w kamizelkach ochronnych. Za progiem stał drewniany wieszak na płaszcze, zarzucony wierzchnimi okryciami. Jerry z trudem przecisnął się obok niego. W salonie po lewej stronie jakaś policjantka rozmawiała z pulchną Pakistanką w brązowej chustce na głowie i z chudym chłopakiem. Miał siedemnaście albo osiemnaście lat, wyłupiaste oczy i czarne, nieporządnie przystrzyżone wąsy.

Dom cuchnął kozieradką, a ściany w holu obwieszone były obrazkami: tradycyjnymi ilustracjami z pakistańskich podań ludowych, fotografiami rodzinnymi i pejzażami Peszawaru oraz Przełęczy Chajberskiej. Dżamila popatrzyła na jeden z nich i powiedziała:

– Opowieść o przebiegłej Siddhikari.

– Aha – mruknął Jerry. – A któż to taki ta przebiegła Siddhikari?

– Przebiegła Siddhikari ukradła skarb pewnemu kupcowi, namówiła złodzieja, żeby powiesił się na gałęzi drzewa, i odgryzła język służącemu kupca.

– Rozumiem. I to był taki zwyczajny dzień w Pakistanie.

– Inspektor Saunders jest w sypialni – powiedział jeden z posterunkowych, wskazując kciukiem na schody.

– Nie. Tylko nie „Smiley” – jęknął Jerry.

Posterunkowy nie zareagował, ale posłał mu krzywe, współczujące spojrzenie. Jerry pracował wcześniej ze „Smileyem” Saundersem tylko przy jednej sprawie, młodej Somalijki z Tower Hamlets, której chłopak przypiekł głowę gorącym żelazkiem. Jerry nigdy nie spotkał osobnika tak nieustająco nieszczęśliwego jak inspektor Saunders.

Dżamila ruszyła na piętro po wąskich schodach wyłożonych chodnikiem z juty, a Jerry poszedł za nią. W ostatniej sypialni jeden z techników stał w kącie i robił zdjęcia, a dwaj inni na kolanach i z silnymi latarkami w dłoniach kawałek po kawałku przeszukiwali podłogę. Słychać było szelest ich kombinezonów ochronnych z tyveku.

Detektyw inspektor Saunders z Wydziału Zabójstw, ubrany w beżową ortalionową kurtkę, stał przy oknie z rękami złożonymi na piersiach. Był wysoki, miał siwe włosy, które zaczesywał do tyłu, blisko osadzone oczy i ostry, haczykowaty nos. Kąciki ust miał bezustannie wygięte do dołu, przez co wyglądał jak niezadowolony drapieżny ptak.

– Ach, więc go znalazłaś? – powiedział do Dżamili, a potem natychmiast zwrócił się do Jerry’ego: – Cześć, Jerry. Dawno się nie widzieliśmy.

Ale Jerry mu nie odpowiedział – nawet go nie usłyszał. Całą uwagę skupił na leżących na łóżku zwłokach dziewczyny. Miała na sobie pomarańczowy ślalwar kamiz, jej ramiona okrywała dupatta. Dłonie miała zaciśnięte, jakby śmierć zaskoczyła ją podczas walki. Jej niegdyś bujne czarne włosy były w okropnym nieładzie, a twarz zamieniła się w straszliwą szkarłatną maskę. Oczy przypominały białe szklane kulki, w miejscu nosa ziała trójkątna dziura. Za każdym razem, gdy cicho trzaskał aparat fotograficzny i błyskała jego lampa, Jerry widział lśniące zakamarki zatok. Jej żuchwa opadła, a wystający język pokryty był przezroczystymi bąblami.

– Dobry Boże – powiedział Jerry i potrząsnął głową. – Wygląda, jakby wyskoczyła z najgorszego horroru.

– Ostrzegałam cię – odparła Dżamila i zwróciła się do Saundersa: – Rozmawiał już pan z jej matką i bratem?

– Jeszcze nie – przyznał. – Mówiąc szczerze, Dżamilo, czekałem z tym na ciebie. Nie znałem dotąd żadnego Pakistańczyka, a ci dwoje… nawet kiedy mówią po angielsku, trudno mi ich zrozumieć. Niewiele też wiem

o ich zwyczajach, tylko tyle, że nie jedzą lewą ręką, ponieważ podcierają nią dupy, no i że traktują kobiety jak śmieci.

Technik, który klęczał obok łóżka, ściągnął z twarzy maseczkę ochronną, ukazując rudą brodę jak u księcia Harry'ego.

– To był stężony kwas siarkowy. Butelka nadal leży na podłodze i taka informacja widnieje na nalepce. Oczywiście, niczego nie przyjmujemy na wiarę i zbadamy ten płyn, ale to, co zostało z jej twarzy, i stopień zniszczenia pościeli raczej nie pozostawiają wątpliwości, że mamy do czynienia z H_2SO_4.

– Powiedz pani detektyw Patel, jak to się odbyło. Ktoś w nią chlusnął zawartością buteleczki?

– Nie, nikt w nią niczym nie chlusnął – odparł technik. – Chociaż zwykle tak się to właśnie odbywa, prawda? Ktoś podchodzi i chlusta kwasem prosto w twarz. Ale ta młoda dama leżała na łóżku. Wszystko wskazuje na to, że się nie broniła.

Jerry pochylił się nad łóżkiem, żeby dokładniej obejrzeć wypaloną kwasem twarz martwej Pakistanki.

– Przytomny człowiek nie pozwala nikomu wylać na siebie skoncentrowanego kwasu, leżąc na łóżku, prawda? – powiedział. – Może najpierw ktoś ją potraktował rohypnolem albo innym środkiem nasennym? A może napastników było więcej? Jeśli nie została nafaszerowana żadnymi środkami, ktoś ją musiał przecież przytrzymywać.

– Nie ma żadnych śladów na ciele – stwierdził technik. – Więcej się dowiemy po sekcji zwłok w szpitalu Świętego Jerzego.

– W tej chwili wiemy jedynie, że nazywała się Samira Wazir – powiedziała Dżamila. – Miała siedemnaście i pół roku i skończyła szkołę średnią Al-Risalah. Ostatnio była z rodzicami w Pakistanie i sądząc po jej stroju, najprawdopodobniej zaaranżowali tam spotkanie z jej przyszłym mężem.

– Masz na myśli małżeństwo skojarzone przez rodziców? – zapytał Saunders.

– To często spotykany zwyczaj.

– Może więc nie spodobał się jej przyszły mąż i nie chciała go poślubić?

– To mogłoby być motywem kary honorowej, owszem – zgodziła się Dżamila. – Ale w tym wypadku jest jeszcze za wcześnie na taki wniosek.

Musimy się dowiedzieć od jej matki i brata, kogo miała poślubić i czy miała tutaj, w Wielkiej Brytanii, jakiegoś miejscowego chłopaka, którego jej rodzina nie akceptowała. A może chodziła wcześniej z jakimś Pakistańczykiem, który się wściekł, że Samira ma wyjść za kogoś innego, i postanowił ją oszpecić? Możliwe też, że poniosła karę za coś, co zrobił jej brat. W Pakistanie takie rzeczy się zdarzają. Na przykład chłopak sypia z żonatą kobietą, ale karany jest za to nie on, lecz jedna z jego sióstr. Zdarza się, że zmusza się taką dziewczynę do poślubienia zdradzonego męża, a czasami bywa tak, że wszyscy mężczyźni z jego rodziny dokonują na niej zbiorowego gwałtu.

– Urocze – wtrącił się rudowłosy technik. – Jestem naprawdę cholernie szczęśliwy, że nie muszę gwałcić mojej szwagierki. W życiu bym jej nie tknął palcem, choć ona pewnie ucieszyłaby się z takiego seksu.

– Zejdę na dół i zamienię kilka słów z matką i bratem tej nieszczęsnej dziewczyny – kontynuowała Dżamila. – Jerry, chodź ze mną. Muszę mieć towarzystwo mężczyzny, to ważne, szczególnie kiedy będę przesłuchiwała brata. Gdzie jest jej ojciec?

– Wciąż w Peszawarze. Pojechał tam w interesach, przynajmniej tak mi powiedziała jego żona.

– Być może został w Pakistanie, żeby z rodziną przyszłego męża dopiąć sprawy związane ze ślubem. Na przykład omówić kwestię posagu.

Jerry i Dżamila wyszli z sypialni. Wcześniej Jerry raz jeszcze popatrzył na leżącą na łóżku dziewczynę. Makabryczny widok jej twarzy był wstrząsający, ale zarazem fascynujący. Przez dziewięć lat pracy w policji Jerry widział wiele zwłok – poranionych, nadpalonych, wyłowionych z wody – jednak żadne nie wyglądały tak potwornie jak ciało Samiry. Wiedział, że prawdopodobnie przyśni mu się w nocnych koszmarach, lecz mimo wszystko patrzył na nie i próbował sobie wyobrazić sadystę, który tak straszliwie oszpecił piękną dziewczynę, pozbawił ją życia z pełną świadomością, że będzie umierać w straszliwej agonii. W imię czego to zrobił? W imię religii? Z zazdrości? Dla ratowania honoru rodziny? Czy zamordowanie młodej dziewczyny przez rozpuszczenie jej twarzy kwasem mogło mieć coś wspólnego z honorem?

Kiedy Jerry i Dżamila weszli do salonu, pani Wazir nerwowo zaciskała w dłoniach zieloną dupattę. Jej oczy były przekrwione i opuchnięte od płaczu. Dżamal stał przy oknie, patrząc na samochody policyjne stojące

przed domem, i nawet się nie odwrócił, kiedy usłyszał ich kroki. Młoda policjantka, która towarzyszyła Pakistańczykom, wstała i zapytała:

– Czy mam poczekać na zewnątrz?

– Nie, zostań z nami – odparła Dżamila. – To będzie dla ciebie dobre doświadczenie. Pani Wazir, przedstawiam pani detektywa Pardoe ze Scotland Yardu. Ma duże doświadczenie w sprawach związanych z przemocą domową, może więc pani być wobec niego zupełnie szczera.

– Dlaczego mówi pani o „przemocy domowej”? – zdziwiła się pani Wazir i otarła dupattą zapłakane oczy. – Przecież w mojej rodzinie nigdy czegoś takiego nie było. Już wam powiedziałam, mój syn Dżamal i ja wyjechaliśmy na dwa dni do kuzynostwa w Redbridge. To się stało właśnie wtedy.

– Nasi technicy zbadali wszystkie drzwi i okna w tym domu i nie znaleźli żadnych śladów włamania. To może wskazywać na jedną z czterech wersji wydarzeń. Albo ktoś, kto zaatakował Samirę, miał własne lub pożyczone klucze, albo Samira znała go i wpuściła do domu, albo napastnik wdarł się do środka, kiedy dziewczyna otwierała drzwi, i wtedy już nie ma znaczenia, czy go znała czy nie.

– To są tylko trzy wersje – zauważyła przytomnie pani Wazir.

– Cóż, myślę, że czwarta jest oczywista. Została zaatakowana przez członka lub członków rodziny.

– To jest bezczelna sugestia – powiedziała pani Wazir. – Jeżeli jeszcze raz powtórzy pani coś takiego, będę zmuszona wezwać naszych prawników.

– Proszę pani – odrzekła Dżamila z naciskiem. – Absolutnie nie chcę być niegrzeczna, nie mam zamiaru rzucać fałszywych oskarżeń, ale wykonuję swoją pracę i muszę rozważyć każdą możliwość. Jestem pewna, że potrafi pani to zrozumieć.

– Potrafię zrozumieć jedynie to, że próbuje mnie pani oskarżyć, jakobym to ja wypaliła kwasem twarz mojego ukochanego dziecka. Czy jest pani w stanie sobie wyobrazić, jakim ciosem było dla mnie znalezienie jej zwłok? Przecież ja już do końca życia spokojnie nie zasnę.

– Strój Samiry sugeruje, że wkrótce miała wyjść za mąż – zauważyła Dżamila.

– Tak, to prawda. Zabraliśmy ją we wrześniu do Peszawaru właśnie po to, żeby poznała przyszłego męża. To bardzo porządny i prawy mężczyzna

z dobrej rodziny, a Samira go polubiła i była szczęśliwa, że zostanie jego żoną.

– A miała chłopaka tutaj, w Tooting? – zapytał Jerry.

– Wśród jej znajomych byli także chłopcy, jednak z żadnym nie była blisko. Była dziewicą.

– Jest pani tego pewna?

– Całkowicie.

– A jej brat, Dżamal… tak masz na imię, prawda? Dżamal, czy twoja siostra miała chłopaka?

– Moja siostra robiła to, co jej kazano – odparł młody człowiek, nawet się nie odwróciwszy.

– Nie o to cię pytałem.

– Nie wiem. Nie znam jej przyjaciół.

– Czy przychodzi ci na myśl ktoś, kto miałby jakikolwiek powód, żeby skrzywdzić Samirę? Może zdenerwowała ostatnio którąś z koleżanek?

– Niech pan pyta o to koleżanki – wtrąciła się pani Wazir. – Jej najlepszą przyjaciółką była Akilah Abdali. Mieszka gdzieś w Streatham. Jej adres znajdziecie pewnie w notesie Samiry.

– Czy Samira zamierzała dalej się kształcić? – zapytała Dżamila. – Może chciała pójść do college'u albo na uniwersytet?

– Nie rozumiem – odparła pani Wazir. – Przecież miała wyjść za mąż.

Jerry miał ochotę zapytać panią Wazir, czy wyjście za mąż odbiera prawo do studiowania, uznał jednak, że lepiej będzie, jeśli przemilczy tę kwestię.

– Co robiła pani córka po ukończeniu szkoły średniej? – zapytał.

– Głównie pomagała mi w domu. Czasami dorabiała wieczorami w restauracji Saravanna Bhavan przy High Street.

Dżamila zanotowała nazwę restauracji i zadała kolejne pytanie:

– Proszę powiedzieć mi coś o stanie jej zdrowia. Zwierzała się pani ze swoich zmartwień, może miewała depresję albo źle się czuła?

Pani Wazir przez chwilę się zastanawiała, ale zaraz wzruszyła ramionami.

– Przez ostatni tydzień była bardzo wyciszona i w sumie rzadko ją widywałam. Prawie każdego wieczoru gdzieś wychodziła. Wracała późno i szła prosto do swojego pokoju.

– Pytała ją pani, czy coś jej dolega?

– Tak, pukałam do drzwi jej pokoju i pytałam, czy wszystko jest w porządku, ale ona za każdym razem odpowiadała, że tak.

– Schodziła na posiłki albo na przykład na wspólne oglądanie telewizji?

– Nie. Kiedy mówiłam jej, że na stole czeka kolacja, odpowiadała, że już jadła w restauracji.

Dżamal odwrócił się od okna. Czarne włosy miał zaczesane w szpic na czubku głowy, a jego wąsy wyglądały na sztuczne, chociaż zaczynała mu też rosnąć kędzierzawa broda. Ubrany był w ciemnozielony, zapinany na zamek błyskawiczny polar z logo pakistańskiej reprezentacji piłkarskiej i w obcisłe czarne jegginsy.

– Daj spokój, mamo. – Mówił z silnym akcentem ze wschodniego Londynu. – Przecież powinnaś im powiedzieć, że ty i Sam wciąż na siebie krzyczałyście. Ciągle miałaś do niej pretensje i trzaskałaś drzwiami.

– To prawda, pani Wazir? – zapytała Dżamila. – Kłóciła się pani z córką?

Kobieta wyrzuciła ręce w górę i zawołała:

– Ha! A czego się pani spodziewa? Matki i córki zawsze się kłócą. A Samira potrafiła być uparta jak osioł. To dlatego uznaliśmy, że najwyższy czas, aby wyszła za mąż. Małżeństwo miało nauczyć ją posłuszeństwa, miała stać się prawdziwą kobietą. Ale teraz moje serce krwawi z żalu po niej, mówię pani. Nie wierzę, że już nigdy więcej jej nie zobaczę. Nie wierzę!

Znów przyłożyła szal do oczu i kręciła głową z niedowierzaniem i bólem.

W tym momencie w drzwiach stanął Saunders. Rozejrzał się po salonie wzrokiem drapieżnika, jakby spodziewał się, że zobaczy na podłodze jakieś myszy, na które będzie mógł się rzucić.

– Jak idzie, pani sierżant?

– Myślę, że na dzisiaj już skończyliśmy – odparła Dżamila. – Na pewno jeszcze tu wrócimy, jutro lub pojutrze, kiedy otrząśnie się pani z szoku. Tymczasem porozmawiamy ze znajomymi Samiry. Na pewno się dowiemy, jak doszło do jej śmierci. Jeśli pani zechce, mogę przysłać do pani wolontariusza z Grupy Wsparcia Ofiar Przestępstw.

Pani Wazir uniosła rękę, żeby dać sygnał, że słyszy jej słowa. Dżamal wciąż stał przy oknie z rękami w kieszeniach polaru i ze znudzonym wyrazem twarzy, jakby nie mógł się doczekać, aż wszyscy wreszcie sobie pójdą.

Musieli przepuścić sanitariuszy, którzy znosili po schodach zwłoki Samiry. Gdy w końcu stanęli przy drzwiach wyjściowych, Jerry zapytał:

– Gdzie się podział płaszcz, który tu wisiał?

– Jaki płaszcz? – zdziwiła się Dżamila.

– Szary płaszcz, który widziałem na tym wieszaku. Ktoś go powiesił na samym wierzchu, zakrywał wszystkie inne. Teraz go nie ma. Widzę na wierzchu zupełnie inny płaszcz, czerwony.

– Nie widziałam żadnego szarego płaszcza.

– Ale on tutaj na pewno był. Zapamiętałem go, ponieważ był podobny do tego, który miałem, kiedy kupiłem mój pierwszy motocykl.

– Raczej nie wyobrażam sobie, żeby ktoś go ukradł – powiedział Saunders. – Prawdopodobnie spadł i po prostu ktoś go gdzieś przewiesił.

Policjanci, którzy stali w holu, wyszli do ogrodu, żeby przepuścić sanitariuszy z noszami.

– Czy któryś z was widział, co się stało z szarym płaszczem, który wisiał na wieszaku? – zapytał ich Jerry, kiedy razem z Dżamilą znaleźli się w ogrodzie.

Obaj pokręcili głowami.

– Co to za płaszcz?

– No, szary… – zaczął Jerry, ale zaraz urwał. – Nie, nic… nieważne.

– Nie masz przypadkiem omamów wzrokowych, Jerry? – zapytał Saunders, kiedy szli do samochodów.

Jerry’ego kusiło, żeby mu coś odpowiedzieć, ale nie odezwał się. Ostatnio bywał z siebie dumny, że potrafi trzymać język za zębami. Niemniej wciąż był przekonany, że widział szary płaszcz na samym czubku wieszaka. A skoro nikt go stamtąd nie zabrał, to co się z nim stało?

5

Sophie obudziło chrapanie. Mike zawsze chrapał w nocy, jednak kiedy sobie popił, robił to jeszcze głośniej. Każdy wydech rozpoczynał się łagodnie, przypominając odległy szum motorówki unoszącej się na jeziorze, ale stopniowo przeradzał się w ostry, wściekły warkot i kończył przenikliwym, głośnym piskiem.

Odwróciła głowę, żeby popatrzeć na zegar cyfrowy stojący na nocnym stoliku. Była trzecia czterdzieści jeden. Z powodu chrapania Mike'a Sophie od dawna dobrze nie sypiała, a ostatnio zastanawiała się, czy właśnie ten brak snu nie jest powodem jej złego nastroju.

Leżała jeszcze przez chwilę bez ruchu, a Mike chrapał i chrapał, od czasu do czasu posapując. Przez szparę pomiędzy zasłonami do sypialni wpadało światło latarni, sprawiając, że cienie poruszanych wiatrem liści tańczyły na suficie. Sophie wciąż rozmyślała o granatowej kurtce i o tym, jak się poczuła, kiedy ją przymierzyła.

Zostawiła kurtkę na sofie w salonie. Zapewne gdyby zeszła na dół i włożyła ją jeszcze raz, zrozumiałaby, dlaczego wprawiła ją w smutek i jednocześnie w złość. Im dłużej o niej rozmyślała, tym bardziej była przekonana, że powinna zrobić to jak najszybciej. Poza tym i tak nie miała szansy zasnąć, kiedy Mike tak chrapał. Mogłaby przymierzyć kurtkę, wypić kubek gorącej czekolady i posłuchać w słuchawkach Adele.

Odsunęła kołdrę i wstała. Była naga. W małym, dwupoziomowym mieszkanku, w którym mieszkała z Mikiem, zawsze było ciepło i dlatego oboje spali nago niezależnie od pory roku. Poza tym Mike bardzo się pocił, przez co Sophie musiała dwa razy w tygodniu zmieniać pościel, ponieważ nieprzyjemnie pachniała, szczególnie po tym, jak się kochali. Nie działo się to bynajmniej bardzo często – zwłaszcza w czasie ostatnich trzech, czterech miesięcy.

Zeszła po schodach. Kiedy znalazła się w salonie, zamknęła za sobą drzwi i zapaliła lampę. Pomieszczenie było niewielkie, mieściły się tam

tylko dwuosobowa sofa obita syntetycznym materiałem, jeden fotel i niski stolik ze szklanym blatem. Na ścianie wisiał 55-calowy telewizor i sięgając po kurtkę, Sophie zobaczyła w lśniącym czarnym ekranie swoje odbicie. Pomyślała, że wygląda jak swój własny duch – blada i o nieostrych kształtach.

Pewnie czymś takim się stanę, jeżeli nie uwolnię się od Mike'a. Duchem, niczym więcej.

Włożyła kurtkę i tym razem, ponieważ była naga, poczuła, jak pomarszczony jedwab podszewki dotyka jej ciała, zimny i śliski, ale zarazem przylegający do skóry. Musiała przyznać, że kurtka jest dla niej jednak zbyt ciasna w biuście, chociaż z trzech guzików jeden – środkowy – zdołała zapiąć. Wyczuła teraz coś, czego nie zauważyła, kiedy przymierzała ją po raz pierwszy; pewnie dlatego, że w Little Helpers utrzymywał się zapach odświeżacza powietrza, którego obficie używała, by maskował woń używanych ubrań i starych książek. Materiał czuć było ledwie uchwytnym zapachem dymu, jakby osoba, która ostatnio nosiła kurtkę, długo stała przy ognisku. Sophie powąchała jeden z rękawów i nie miała już wątpliwości. Aksamit wchłonął gryzący zapach płonącego drewna.

Zamknęła oczy i wyobraziła sobie dym unoszący się nad ogrodem właścicielki kurtki, niemal usłyszała trzask płomieni. Nie wiedziała, dlaczego ta wizja ją zezłościła, lecz zarazem wprawiła w zadowolenie.

Dostaniesz to, na co zasłużyłeś. Naprawdę myślałeś, że jestem tak słaba, że nie potrafię cię ukarać?

Otworzyła drzwi i wyszła na korytarz. Teraz nie obchodziło jej, że światło z salonu może obudzić Mike'a, że on się zdenerwuje, a może nawet zacznie na nią krzyczeć. No i co z tego? Wolała jego krzyk od chrapania. Kiedy krzyczał, przynajmniej wiedziała, że zdaje sobie sprawę z jej istnienia.

Stanęła przed wysokim lustrem i zaczęła podziwiać swoje odbicie. Doszła do wniosku, że kurtka przydała jej stylu i wyrafinowania, a także władczości – wyglądała teraz na kobietę, która skupia na sobie uwagę w każdym miejscu, w którym się znajduje. Poza tym nagle wydała się sobie ładniejsza. W trakcie którejś z ich kłótni Mike wykrzyczał, że jej twarz wygląda jak talerz puddingu z dodatkiem łoju, ale teraz jej kości policzkowe wydawały się ostrzejsze, bardziej regularne. Zapewne

przyczyną było przytłumione światło padające z salonu, ale żuchwa Sophie także wydawała się teraz subtelniejsza, a jednocześnie bardziej wyrazista.

Wstrzymała oddech i zaczęła nasłuchiwać. Z góry dobiegało posapywanie Mike'a. Odniosła wrażenie, że powiedział coś przez sen, ale po kilku sekundach znowu zaczął chrapać.

Z jakiego powodu uważasz, że możesz mnie traktować z pogardą, tak jakbym była nikim? Tylko dlatego, że płacisz za mieszkanie i czasami pożyczasz mi pieniądze, jesteś przekonany, że nie zasługuję na miłość, szacunek i wolność?

Przez pół minuty wpatrywała się w swoje odbicie w lustrze. W tym czasie tylko dwukrotnie mrugnęła. Zawsze miała wąskie, kocie oczy o brązowych tęczówkach, jednak pomyślała, że teraz są jakby większe i ciemniejsze, prawie tak czarne i lśniące jak mahoń. I że jej spojrzenie jeszcze nigdy nie było tak intensywne. I nie chodziło o to, że była w nim duma, chociaż w tej chwili Sophie była dumna z siebie – ze swojej osobowości i z wyglądu. Przede wszystkim dostrzegła w nich zimną determinację.

Już nigdy nikt nie będzie mi rozkazywał. Już nikt mnie nie zmusi, żebym wiodła nudne życie dzień po dniu, żebym się bała odezwać, wyrazić swoje uczucia. Koniec z tym.

Weszła do małej kuchenki i zapaliła światło jarzeniowe. Naczynia po kolacji na wynos, którą wczoraj zamówili w indyjskiej restauracji, wciąż leżały w zlewozmywaku, w zimnej wodzie, na której powierzchni unosiła się tłusta pomarańczowa plama. Zamierzała umyć je rano przed pójściem do pracy. Mike na pewno by tego nie zrobił, mimo że wychodził do biura dopiero o dziewiątej piętnaście.

Sophie otworzyła szufladę kredensu, w której trzymali noże i inne przybory kuchenne, i wyciągnęła z niej wielki nóż do mięsa i dwa mniejsze.

Jej serce biło bardzo mocno i szybko, jednak była bardzo spokojna, skupiona i skoncentrowana, zupełnie inna niż ten blady duch, którego widziała w ekranie wyłączonego telewizora. Dokładnie wiedziała, co i jak zamierza zrobić, wiedziała też, że nic na świecie nie może już sprawić, by zmieniła zdanie.

Pozostawiła zapalone światła na dole i ostrożnie ruszyła na górę. W połowie schodów zatrzymała się i przez dłuższą chwilę nasłuchiwała. Mike wciąż chrapał. Zanim poszli do łóżka, wypił jeszcze trzy puszki

peroni, a zapewne mnóstwo alkoholu wlał w siebie w pubie, gdzie spędził czas z kolegami po pracy.

Szerzej uchyliła drzwi do sypialni i na palcach weszła do środka. Jak najciszej położyła noże na nocnym stoliku, obok cyfrowego budzika, po czym podeszła do szafy. Na jej drzwiach od wewnętrznej strony wisiały krawaty Mike'a. Wybrała dwa. Jeden z nich był jego ulubiony: widniało na nim logo Tooting & Mitcham Darts Club. Drugi, w kwieciste wzorki, Sophie kupiła mu kiedyś na urodziny. Jeszcze nigdy go nie założył. Powiedział jej, że nie ma zamiaru wyglądać jak pedał.

Usiadła na łóżku obok niego, tak blisko, że poczuła odór przetrawionego alkoholu w jego oddechu. Mike poruszył się i chrząknął, jednak nie otworzył oczu. Uniosła jego owłosioną prawą rękę na wysokość mosiężnej ramy u wezgłowia łóżka. Następnie szybko i zdecydowanie obwiązała jego rękę krawatem i zacisnęła węzeł. Mike tak cuchnął potem, że wykonując te czynności, musiała wstrzymywać oddech.

Przywiązawszy prawą rękę, przeszła na drugą stronę i zajęła się lewą, z którą postąpiła w identyczny sposób. Następnie zrolowała bladozieloną kołdrę aż do kolan i wsunęła jej boki głęboko pod materac, żeby Mike nie mógł kopać.

Gdy była gotowa, stanęła nad nim i przez chwilę patrzyła. Mike wciąż chrapał, jednak poczuł przez sen, że nie może się swobodnie poruszać, bo jego oddech stał się szybszy i płytszy. Zaczął wykręcać ciało z boku na bok. Sophie wiedziała, że chociaż jeszcze nie wytrzeźwiał, wkrótce się obudzi.

Wzięła jeden z mniejszych noży. Był to bardzo ostry nóż do obierania jarzyn, jednak ostrze miał krótkie, zaledwie siedmiocentymetrowe. Usiadła obok Mike'a i skierowała ostrze w jego prawe oko, tak że czubkiem niemal dotykała powieki.

No i popatrz na siebie, jaki teraz jesteś bezbronny. Jak w ogóle mogło mi się wydawać, że cię kocham, ty zapatrzony w siebie, bezduszny wieprzu? Dałam ci wszystko – moje poświęcenie, moje ciało i pieniądze – a ty jak mnie traktowałeś? Jak niewolnicę. Chyba nawet nie dopuszczałeś do siebie myśli, że jestem żywym człowiekiem, że czuję, myślę i że mam własne ambicje. Boże, jaki ty jesteś brzydki. Brzydki duchem i ciałem. Straszliwie brzydki.

Z całej siły zacisnęła dłoń na rękojeści noża i wbiła go w oko. Na policzek trysnęła krew. Mike, porażony bólem, otworzył lewe oko

i wrzasnął.

Chciał ruszyć ręką i wyrwać nóż z oczodołu, jednak gdy nią szarpnął, jedynie mocniej zacisnął węzeł na nadgarstku.

– Aaaa! Moje oko! Moje pierdolone oko! Co się dzieje? Sophie, moje oko! Coś mi się wbiło w oko! Boże, Sophie! Sophie, co się dzieje? Nie mogę ruszać rękami! Sophie, pomóż mi! Coś mi się wbiło w oko i nie mogę go, kurwa, otworzyć! To boli, Sophie! O Boże!

Sophie w milczeniu siedziała na łóżku i obserwowała jego bezsilne zmagania. Nóż nadal tkwił w gałce ocznej, więc Mike nie mógł otworzyć oka, zresztą nawet gdyby zdołał to zrobić, nóż uszkodził nerw wzrokowy i Mike na zawsze stracił wzrok w prawym oku.

Chociaż był mocno przywiązany do łóżka, szarpał się, próbując się wyswobodzić. Wpatrywał się w Sophie wybałuszonym lewym okiem, ona jednak patrzyła na niego beznamiętnie, jakby wcale nie myślała o nim, ale na przykład o tym, w co się ubierze do pracy.

– Sophie! – krzyknął Mike. – Sophie, co ty mi zrobiłaś? Wyciągnij to z mojego oka! Proszę cię, Sophie! Wyciągnij to pierdolone coś z mojego oka! Sophie!

A ona w końcu wstała i przeszła na drugą stronę łóżka. Usiadła i wzięła do ręki drugi mały nóż. Pochyliła się i złapawszy Mike’a za prawe ucho, wbiła weń ostro zakończone paznokcie, tak że nie mógł ruszać głową. Wtedy uniosła nóż i podobnie jak chwilę wcześniej, niemal dotknęła ostrzem lewego oka. Mike charczał i wciąż walczył, więc jeszcze mocniej wbiła mu paznokcie w ucho.

– Nie rób tego, Soph! Proszę cię, błagam! Nie rób tego!

Zamknął lewe oko, ale nie dlatego, że nie chciał patrzeć. Był to odruch, mimowolna próba ochrony gałki ocznej. Sophie wzięła głęboki oddech i wbiła nóż mocno i głęboko, tak że poczuła, jak ostrze natrafia na kość. Spod powieki wypłynął przezroczysty płyn i gęsty strumień krwi.

Mike znowu krzyknął, a raczej zaskowyczał z bólu. Sophie milczała; puściła jego ucho i patrzyła, jak jej chłopak szarpie głową z boku na bok. Z oczodołów wystawały mu dwa noże.

– Soph, na miłość boską! Zadzwoń po karetkę! Zadzwoń po karetkę!

Sophie nie zareagowała na jego słowa, za to zabrała z nocnego stolika nóż do mięsa i wstała. Nie czuła się teraz sobą, nie czuła się tą Sophie, którą była jeszcze przed kilkunastoma minutami. Wiedziała, że jest Sophie,

ale czy tamta Sophie byłaby zdolna do czegoś tak makabrycznego – i czy sprawiłoby jej to tak wielką przyjemność? Bo przecież okaleczając Mike’a, czuła ekscytację, siłę i radość. Wreszcie odpłaciła mu za to, że ją obrażał, bił, a także za to, że ją ignorował, kiedy go o coś pytała. Oślepienie go było czymś więcej niż zwycięstwem w kłótni. Dawało pewność, że Mike już nigdy więcej nie potraktuje jej z pogardą, nigdy więcej.

Przestał już ją błagać o wezwanie karetki, ponieważ zdał sobie sprawę, że tego nie zrobi. Zaczął natomiast płakać, piskliwie i żałośnie.

– Och, zamknij się! – warknęła na niego. – Przecież nie jesteś dzieckiem!

Identyczne słowa usłyszała od Mike’a, kiedy ostatni raz ją uderzył.

Znowu pochyliła się nad nim i położyła mu dłoń na brzuchu. Drgnął, jakby dotknęła go rozpalonym do czerwoności żelazem.

– Co robisz? Co ty ze mną robisz, Soph? Na miłość boską, co ty robisz?

Nie był gruby, ale jego owłosiony brzuch był już wypukły, ponieważ dużo pił. Gęste czarne włosy kiedyś wydawały się seksowne, ale teraz budziły w niej tylko wstręt. Przyłożyła nóż kilka centymetrów poniżej mostka Mike’a. Przez chwilę zastanawiała się, jak głęboko powinna ciąć, ale zaraz usłyszała w swojej głowie odpowiedź: Przecież wiesz, jak głęboko. Robiłaś to już wcześniej. Dwa i pół centymetra zupełnie wystarczy.

Mike znowu zaczął płakać, ale Sophie na to nie zważała. Kiedy ostrze dotarło do warstwy tłuszczu i mięśni pod skórą, rozległ się cichy trzask. Sophie powoli przesunęła je w dół. Mike wrzeszczał skrzekliwie, jakby parodiował jakąś tragiczną operę Wagnera.

– Nie! Soph! Nie, Soph! Aaa! Przestań! Nie!

Ona jednak nie zawahała się nawet przez chwilę i wkrótce zaczęło z niego wypływać najpierw jelito cienkie, a potem grube. Kiedy dotarła do włosów łonowych, skończyła i odłożyła nóż na stolik. Była świadoma, że Mike wciąż ją błaga o litość, jednak po prostu zamknęła uszy na jego skomlenie. Nie dbała o jego ból. Zresztą żadne błagania nie miały już znaczenia. To, co mu zrobiła, było nieodwracalne.

Zanurzyła obie dłonie w ciepłych i śliskich zwojach jelita cienkiego przypominających ugotowany makaron. Trudno je było utrzymać, ponieważ były miękkie i wiotkie, wyślizgiwały się z rąk. Nóż przeciął jelito w kilku miejscach, przez co wydobywał się z niego odór, który sprawił, że Sophie

niemal zwymiotowała. Jednak wyciągnęła wnętrzności z brzucha Mike’a i rozłożyła je po obu stronach łóżka. Po chwili fragmenty jelita zwisały aż na dywan.

Wstała. Wciąż była spokojna, jednak czuła skurcze żołądka i bała się, że zwymiotuje. Wyszła do łazienki, włączyła światło i puściła wodę z kranu, żeby zmyć krew z rąk. Popatrzyła na swoje odbicie w lustrze i pomyślała: Wyglądasz nadzwyczajnie. Jesteś niemal piękna. Ale nie jesteś podobna do mnie. Kim jesteś?

Wciąż przypatrując się swojej twarzy, zdała sobie sprawę, że Mike jęczy i błaga o ratunek. Trudno jej było w to uwierzyć. Przecież go oślepiła i wypruła mu wnętrzności – czyż nie powinien już być martwy?

Wytarła ręce i wróciła do sypialni.

– Soph – wycharczał Mike. – Kocham cię, Soph. Pomóż mi.

– Pomóc ci? – odezwała się z niedowierzaniem. – Chcesz, żebym ci pomogła?

Znów wzięła do ręki duży nóż. Jego rękojeść była teraz lepka, nieprzyjemna w dotyku. Stanęła z boku łóżka, pochyliła się i wykrzyczała Mike’owi prosto w twarz:

– Miałabym ci pomagać? Po tym, jak mnie traktowałeś?

Dźgnęła go w otwarte usta. Ostrze przecięło język Mike’a i zakleszczyło się między przednimi zębami, tak że nie dała rady go wyciągnąć.

Odeszła dwa kroki od łóżka i patrzyła na Mike’a, ciężko oddychając.

Gdyby wszyscy aroganccy i nieczuli mężczyźni tego świata wiedzieli, że taka właśnie będzie nieuchronna kara za złe traktowanie kobiet, pewnie życie byłoby o wiele lepsze, prawda?

Podeszła do okna i odsunęła zasłony. Na zewnątrz było jeszcze ciemno i zaczął padać deszcz.

Mike jeszcze raz drgnął, zacharczał po raz ostatni i wreszcie znieruchomiał.

6

Jerry siedział przy biurku w kącie pokoju detektywów, opychając się kanapką z kurczakiem i pieczarkami, gdy weszła Dżamila. Tego dnia ubrana była w czarne spodnie i żakiet, a na głowie miała purpurową jedwabną przepaskę.

– Tutaj jesteś – powiedziała. – Co się dzieje z twoim telefonem?

– To jest inteligentny telefon, który sam się wyłącza, kiedy jem, żebym nie musiał rozmawiać z pełnymi ustami.

– Powinieneś jeść śniadanie przed przyjściem do pracy.

– Tak bym robił, gdyby mi je ktoś chciał przygotowywać.

– Nosisz obrączkę. Myślałam, że jesteś żonaty.

– Byłem. Powodem rozstania były godziny mojej pracy, no i pewien kierownik pobliskiego sklepu sieci Waitrose. Zapewnił jej regularny seks i dziesięcioprocentową zniżkę na zakupy. Jak mógłbym z nim rywalizować?

– Masz dzieci?

– Córeczkę, Alice. Ma siedem lat. Mogę ją widywać co dwa tygodnie.

– Cóż, życie bywa czasem bardzo trudne.

– Wiesz to z własnego doświadczenia?

Dżamila nie odpowiedziała. Zmieniła temat, mówiąc:

– Właśnie dzwonił do mnie anatomopatolog ze Świętego Jerzego. Mówi, że ma dla mnie coś niezwykłego.

– Naprawdę? Co takiego?

– Powiedział, że powinniśmy zobaczyć to na własne oczy. Nie chciał o tym rozmawiać przez telefon. Musimy tam pojechać.

– Co z Saundersem?

– Dzisiaj rano miał coś do załatwienia w Scotland Yardzie. Chodzi o jakąś naradę. Ale dołączy do nas później.

Jerry popatrzył na niedojedzoną kanapkę.

– Zabierz ją ze sobą – powiedziała Dżamila. – Ja poprowadzę samochód. Nie chcę, żebyś był głodny w pracy.

– Ależ ja wcale nie jestem głodny – odparł Jerry.

Otworzył szufladę i wsunął do niej kanapkę. Wylądowała na raporcie o działalności lokalnych chuliganów.

Kiedy przyjechali, doktor Fuller niecierpliwie popatrzył na zegarek, jednak nic nie powiedział.

– Korki – wyjaśnił Jerry. – Pękła magistrala wodociągowa na Longley Road.

– A na mnie czekają trzej martwi narkomani – odparł doktor Fuller. – Byłbym zadowolony, gdyby udało mi się ich zaszyć przed lunchem.

Był potężnym, niechlujnym mężczyzną z piegami na czole, które pojawiły się, gdy zaczął odbywać trzy razy w roku rejsy po Morzu Śródziemnym. Nosił małe okulary do czytania, które sprawiały wrażenie, jakby w każdej chwili mogły spaść z jego zadartego nosa. Fartuch laboratoryjny miał krzywo pozapinany, a jego spodnie były przynajmniej o trzy centymetry za krótkie, co pozwoliło Jerry’emu zauważyć, że doktor nie nosi skarpetek.

Miał lekkiego zeza w jasnoniebieskich oczach, dlatego Jerry nie był pewien, czy doktor spogląda na niego czy na Dżamilę.

– Sierżant Patel powiedziała mi, że ma pan dla nas coś dziwnego.

– Cóż, chodzi o coś, z czym jeszcze nigdy się nie zetknąłem, że tak to ujmę, a pracuję w tym fachu już od trzydziestu trzech lat.

Gdy doktor Fuller prowadził ich korytarzem, jego buty skrzypiały na posadzce. W prosektorium było zimno jak w kościele, w oknach tkwiły matowe szyby. Młoda asystentka myła w zlewie metalowe naczynia, pobrzękując nimi i śpiewając coś pod nosem. W pomieszczeniu znajdowały się cztery stoły sekcyjne. Trzy z nich były ustawione pod ścianą, a jeden stał na samym środku.

Samira leżała płasko na brzuchu z rękami ułożonymi wzdłuż ciała. Jej głowa i pośladki przykryte były jakimś zielonym materiałem. Jerry i Dżamila podeszli do stołu i popatrzyli na nią. Żadne z nich nie zauważyło niczego nadzwyczajnego. Widzieli po prostu kształtne plecy młodej Pakistanki, upstrzone kilkoma ciemnymi znamionami. Na ramionach, w tych miejscach, na które spadły krople kwasu, widniały rany po oparzeniach.

– No i co w tym dziwnego? – zapytał Jerry.

– Nie patrzycie wystarczająco uważnie – odparł doktor Fuller. – Proszę… skorzystajcie z tego. Na pewno wam pomoże.

Podał Jerry’emu duże białe szkło powiększające z wbudowaną lampką LED. Jerry włączył światło i popatrzył na plecy Samiry przez soczewkę. W ostrym świetle zobaczył na nich las włókien tak cienkich, że niemal niewidocznych. Każde z nich mogło mieć centymetr długości. Sterczały z każdego pora w skórze.

Podał szkło powiększające Dżamili.

– Co to za włosy, do cholery? – zapytał doktora Fullera. – Czyżby dziewczyna hodowała na sobie zimowy płaszcz czy co?

– To nie… to mi wcale nie wygląda na włosy – powiedziała policjantka. – A już na pewno nie Samiry. Włosy tej biednej dziewczyny są czarne jak smoła, wystarczy spojrzeć na jej głowę.

– Bo to nie są jej naturalne włosy – stwierdził doktor. – I nie rosły na niej. Nie mają cebulek.

Patrząc przez szkło powiększające, Dżamila ostrożnie pociągnęła za jedno z włókienek.

– Wychodzi bez problemu – orzekła. – Nie poczułam żadnego oporu.

– Ale co to jest? – zapytał Jerry. – I jak znalazło się na jej skórze? Nawet umieszczenie jednego włosa w skórze musi być niezwykle trudne, a ich są przecież setki, może tysiące. Cholera, ja potrzebuję pół godziny, żeby nawlec igłę.

– Przeprowadziłem już wstępne analizy – powiedział doktor Fuller. – Oczywiście, gdy otrzymamy wyniki wszystkich badań, będę mógł powiedzieć coś więcej, jednak już teraz mogę stwierdzić, że to bynajmniej nie są włosy. W każdym razie nie są to ludzkie włosy. To połączenie wełny i poliestru.

– Co?

Doktor Fuller podsunął okulary wyżej na nos.

– Co do tego nie mam wątpliwości. To jest takie włókno, z jakich produkuje się materiały na ubrania. W jakiś sposób włókna wbiły się w jej skórę. Głównie w plecy, ale też w ramiona, boki, piersi i brzuch.

– Ma pan jakiś pomysł, jak to się mogło stać? – zapytała Dżamila.

– Absolutnie żadnego. Miałem już do czynienia z przypadkami alergii na niektóre materiały, jak nylon czy czysta wełna. Na skórze mogą się wówczas pojawić różnego rodzaju wysypki, wrzody, krosty, zdarzają się też

inne, czasem ciężkie, objawy. Ale jeszcze nie miałem do czynienia z osobą, u której kontakt z tkaniną wywołałby takie zmiany jak u tej nieszczęsnej dziewczyny.

– Jaki będzie pański następny krok?

– Pobiorę kolejne próbki zmienionej skóry i wyślę je do laboratorium na Lambeth Road. Niech tam wydadzą opinię. Przyczyną śmierci niemal na pewno było zatrzymanie czynności serca spowodowane wstrząsem, jednak nic w tym dziwnego, jeśli weźmiemy pod uwagę, co się stało z jej twarzą. Ja także przeprowadzę dodatkowe badania, żeby ustalić, czy te włókna nie przyczyniły się jednak w jakiś sposób do jej zejścia. Może wywołały jakąś reakcję chemiczną, która drastycznie obniżyła ciśnienie tętnicze krwi?

– Mówi pan, że włókna są z wełny i poliestru. Niby jak miałyby to zrobić?

– Zawierają również elementy dyspergatora syntetycznego. To środek do barwienia tkanin, szczególnie takich, w których skład wchodzi poliester.

– Te włókna były barwione? Na jaki kolor?

– O ile zdołałem się zorientować, chodzi o jakiś odcień szarości. Takiej gołębiej szarości, jeśli miałbym zgadywać.

Jerry i Dżamila wyszli ze szpitala i wrócili na komisariat. Przez większość drogi milczeli, ale kiedy skręcili w Mitcham Road, oboje odezwali się równocześnie.

– Nie lubię cholernych niewytłumaczalnych zagadek – stwierdził Jerry.

– W jaki sposób włókna tkaniny miałyby zaatakować kobietę? – zapytała Dżamila. – To w ogóle nie ma sensu.

W windzie Jerry powiedział:

– Włókna były szare. I ten płaszcz był szary, ten, który zniknął.

– Ten, który ty uważasz za zaginiony.

– Wiem, że zniknął. Widziałem go, kiedy wchodziłem do domu Wazirów, a kiedy wychodziłem, nie było go tam. Pamiętam, że miał szary kolor.

– Przecież to o niczym nie świadczy.

– Może nie. Mimo wszystko chciałbym się dowiedzieć, co się z nim stało.

– A więc może pojechałbyś do Wazirów i zapytał, czy wiedzą coś o płaszczu? Jak się dowiesz, to może przestaniesz nudzić.

– Po prostu mam w związku z nim jakieś nieokreślone przeczucie. Nie wiem, skąd mi się wzięło. Może matka albo brat tej dziewczyny pozbyli się płaszcza, ponieważ był dowodem, że to jedno z nich wylało kwas na jej twarz? Może któreś z nich miało na sobie ten płaszcz podczas zabójstwa i kwas prysnął także na niego?

– Wróżysz z fusów, Jerry.

– Wiem. Ale jeśli chodzi o analizę dowodów poszlakowych, miewam nerwicę natręctw. Ostatniego lata prowadziłem w Tower Hamlets sprawę zaginionej kobiety. W jej sypialni znaleźliśmy tylko jeden but, drugiego nigdzie nie było. Ale ten cholerny but tak mnie męczył, że w końcu go znalazłem. Utkwił pod fotelem pasażera w samochodzie jej męża. Facet pobił żonę do nieprzytomności, wywlókł z domu i zawiózł do Leigh-on-Sea, gdzie wynajął łódź, a potem wyrzucił nieprzytomną kobietę do wody u ujścia rzeki.

– Wyjaśnij więc sprawę tego płaszcza, skoro aż tak cię to męczy. Jednak na dwunastą inspektor Saunders zwołał konferencję prasową i do tego czasu musisz wrócić.

– A co my możemy powiedzieć dziennikarzom? Przecież nie mamy do czynienia z zabójstwem honorowym. Czyżby rodzina chciała zawinąć dziewczynę w latający dywan i coś im nie wyszło?

– Jerry…

– Przepraszam. Ale czasami szlag mnie trafia, że musimy być tak cholernie politycznie poprawni, kiedy rozmawiamy o społeczności muzułmańskiej.

– Jerry, my szanujemy twoją religię. I prosimy cię, żebyś ty również szanował naszą.

– Nie wyznaję żadnej religii. Rzuciłem wiarę w tym samym czasie co palenie papierosów.

– My także nie palimy.

– Naprawdę? A mnie się zdawało, że od czasu do czasu palicie ambasady. Przepraszam, przepraszam… Głupi żart!

– Masz szczęście, że go nie zrozumiałam.

– Nie słyszałaś o papierosach marki Embassy [1]? Zresztą nieważne.

– Do zobaczenia o dwunastej.

1. Gra słów: ang. *embassy* – „ambasada” to także nazwa marki papierosów (przyp. tłum.). [wróć]

7

David otworzył kluczem drzwi i wszedł do holu. Było duszno i wilgotno. Już miał jak zwykle zawołać: „Halo! Wszystko w porządku! To tylko ja!”, ale oczywiście nie musiał tego robić, już nigdy nie będzie musiał.

Mimo wszystko wyszeptał:

– Halo. Wszystko w porządku. To tylko ja.

Wszedł do salonu. Zasłony były częściowo zaciągnięte, dlatego w pomieszczeniu panował półmrok. Robótka jego matki wciąż leżała na fotelu; niedokończony rękaw z ciemnozielonej wełny. Obiecała mu na urodziny nowy sweter, jak co roku, jednak dzięki Bogu nie będzie już musiał udawać, że prezent mu się podoba.

Dzisiaj przyszedł tu po raz pierwszy od dnia pogrzebu, który odbył się w ubiegłym tygodniu. Odwlekał tę wizytę, korzystał z każdego pretekstu, by ją przełożyć, bo po prostu się bał. Wszechobecnego odoru moczu. Poszczerbionych chińskich ozdób i reprodukcji z ponurymi wiejskimi pejzażami, które wisiały na ścianach. Kuchni z wiecznie zapchanym zlewozmywakiem, brudnych łyżeczek do herbaty i niedomytych talerzy, do których przylgnęły wysuszone resztki jedzenia.

Ale przede wszystkim bał się wspomnień z czasu, kiedy tutaj dorastał. David miał osiem lat, kiedy jego ojciec zmarł na zawał serca, wychowywała go więc tylko matka. Netty – tak miała na imię – była samolubną, zgorzkniałą i apodyktyczną kobietą, która nigdy nie miała dla nikogo dobrego słowa.

Dziwne, ale w młodości była piękna i zachowała ślady nieprzeciętnej urody aż do późnej starości. Niestety, z biegiem lat górę nad nią zaczęła brać starcza demencja. Niemal do siedemdziesiątego roku życia ubierała się schludnie i splatała włosy w nieskazitelny warkocz francuski, w końcu zaniechała tego, a jej włosy były nieustannie rozczochrane. Przestała o siebie dbać, nosiła brudne, poplamione ubrania, a w wieku siedemdziesięciu ośmiu lat przestała kontrolować czynności fizjologiczne.

Każdego dnia odwiedzała ją opiekunka z ośrodka pomocy społecznej, jednak spędzała z nią jedynie dwadzieścia minut, co wystarczało na drobne porządki i zasłanie łóżka oraz odgrzanie posiłku w kuchence mikrofalowej. Nic dziwnego, że żadna z opiekunek nigdy nie chciała zostać z nią dłużej. Netty wszystkie do siebie zniechęciła. Szczególnie wyżywała się na czarnoskórych.

David był zbulwersowany jej rasizmem. W wieku siedemnastu lat miał czarną dziewczynę o imieniu Millie, ze Streatham. Nigdy nie ośmielił się przyprowadzić jej do domu.

Wszedł do sypialni matki. Tutaj również okna były zasłonięte, więc rozsunął zasłony, żeby wpuścić światło. W małym ogródku za domem rosły głównie chwasty, na ziemi zalegały mokre liście. Gipsowego krasnala otaczały uschnięte paprocie, tak że widać było tylko jego wyblakłą niebieską czapkę.

David popatrzył na łóżko. W jego nogach leżała gruba brązowo-musztardowa narzuta. Poduszka wciąż miała wgniecenie w miejscu, gdzie spoczywała głowa Netty, a pościel była brudna i wymięta. Nikt jej nie dotknął od chwili, kiedy zabrano ciało. Na toaletce w kącie stały słoiczki z kosmetykami i częściowo wyciśnięte tubki z kremem przeciwzmarszczkowym. Lustro było pokryte tak grubą warstwą kurzu, że patrząc na nie, można było odnieść wrażenie, że w pokoju unosi się mgła.

Przyszedł tu z zamiarem posprzątania, powyrzucania zbędnych rzeczy i przygotowania mieszkania do sprzedaży. Ale teraz, gdy znalazł się w środku, nagle opuściła go wszelka energia. Poczuł się równie bezradny jak wtedy, gdy był chłopcem zdominowanym przez nieustająco złośliwą matkę. „Tylko mi tu niczego nie dotykaj. To jest mój dom, a nie twój!”

Podszedł do zabudowanej szafy z ubraniami i otworzył przesuwne drzwi. Wisiały tutaj wszystkie suknie i spódnice matki, niektóre bardzo znoszone. Jego wzrok padł na liliowy kostium, który pamiętał z czasów, kiedy był nastolatkiem, a także na długą zieloną suknię z szerokim kołnierzem, którą zawsze wkładała na, jak to nazywała, „specjalne okazje”, na przykład jego koncerty szkolne lub na Boże Narodzenie.

Po prawej stronie na półkach leżały upchnięte byle jak swetry, które matka kiedyś układała w obsesyjnym porządku, oraz bielizna, pończochy i rajstopy. Już miał zamknąć szafę, gdy zauważył czarny rybacki sweter –

matka zrobiła go na drutach jako prezent urodzinowy dla ojca, zaledwie rok przed jego śmiercią.

David uważał, że był to najlepszy sweter, jaki kiedykolwiek udało jej się zrobić – głównie dlatego, że ojciec namówił ją, aby sweter miał czarny kolor, a nie żółty, zielony czy łososiowy jak większość jej robótek. W dniu urodzin ojca rodzice Davida ostro się o coś pokłócili – nie pamiętał już o co – a efekt tej kłótni był taki, że ojciec nigdy nie włożył czarnego swetra. Ale matka go zachowała i w zimne dni zdarzało jej się go nosić, chociaż był dla niej o wiele za duży.

David wyciągnął go teraz spod innych sztuk garderoby. Nie tknęły go mole i był czysty, co świadczyło o tym, że matka od wielu lat już go nie nosiła. David planował kupić sobie na zimę dwa lub trzy swetry i teraz przyszło mu do głowy, że jeśli weźmie sobie czarny sweter ojca, zaoszczędzi sporo gotówki. Był partnerem w kancelarii prawnej, ale ostatnio jego dochody znacznie spadły, zalegał ze spłatą hipoteki, jednak nie powiedział dotąd żonie, Evie, że jest niemal bankrutem.

Śmierć matki w gruncie rzeczy przyjął z ulgą, ale nie dlatego, że nie musiał już tu przychodzić dwa lub trzy razy w miesiącu i wysłuchiwać jej wyzwisk, lecz dlatego, że zostawiła mu niemal siedemnaście tysięcy funtów w oszczędnościach i akcjach oraz dom wart przynajmniej czterysta siedemdziesiąt pięć tysięcy, jeżeli nie więcej. Jej biżuteria też była warta ładne kilka tysięcy.

Zdjął sztruksową kurtkę i włożył sweter. Delikatnie pachniał perfumami matki, jednak David przyjął ten zapach raczej z nostalgią niż ze wstrętem. Może nie była dla niego aż tak zła, jak ją zapamiętał? Przecież nagle pozostała na świecie sama z ośmioletnim dzieckiem, którym musiała się opiekować, które sama musiała utrzymywać.

Popatrzył na swoje odbicie w zakurzonym lustrze. Sweter pasował idealnie, jak gdyby został zrobiony specjalnie dla niego. Był ciepły i jakby przynosił ukojenie; niespodziewanie Davida opuściła wszelka nienawiść do matki, a jej dom nagle wydał mu się bardziej przytulny.

Teraz chyba rozumiesz, przez co przechodziłam, użerając się z twoim niewdzięcznym ojcem i wychowując ciebie, wstrętny chłopaku. A przede wszystkim wcale nie chciałam cię urodzić. Jeśli chodzi o mnie, byłeś wpadką, skutkiem tragicznej pomyłki.

– Byłem nieplanowanym dzieckiem? – powiedział David głośno. – Nie chciałaś mnie?

Co ja wyrabiam, pomyślał, mówię sam do siebie. Ale może to on był egoistą, a nie jego matka. Przecież tylko dlatego, że rodzice tak często się ze sobą kłócili, z uporem obwiniał matkę o spowodowanie śmierci ojca, nawet przez chwilę nie pomyślawszy, jak bardzo czuła się samotna i jak musiała cierpieć po jego śmierci. Nic dziwnego, że czasami na niego krzyczała.

Ponownie włożył kurtkę, nie zdejmując swetra. Nie wiedział dlaczego, ale dodawał mu pewności siebie. Dzięki niemu nagle poczuł, że znowu sam może wziąć odpowiedzialność za swoje życie, a przecież takiej świadomości ostatnio mu brakowało, szczególnie w obliczu problemów w kancelarii. Nelson & White przegrali kilka ważnych spraw przed sądem, z tego powodu ucierpiała ich reputacja i interesy szły coraz gorzej.

Wszedł do pokoju, który kiedyś należał do niego. Gdy się wyprowadził, matka zamieniła to pomieszczenie w graciarnię. Trzymała tutaj walizki i leżaki, deskę do prasowania i odkurzacz, a także kartonowe pudła wypełnione różnymi śmieciami i szpargałami, od przepalonych żarówek po stare kolorowe czasopisma dla kobiet. Wciąż stało tutaj jego wąskie łóżko przykryte błyszczącą niebieską narzutą, a na ścianie wisiał plakat z Davidem Bowie, chociaż jego dolna część była oderwana.

To tutaj się chowałeś i nigdy nie przyszło ci do głowy, jaka samotna się czułam. To tutaj słuchałeś swojej kakofonicznej muzyki i onanizowałeś się każdego wieczoru. Och, nie myśl, że o tym nie wiedziałam! Znalazłam wszystkie twoje pornosy. Naprawdę uważasz, że byłam dla ciebie zła?

David stał na progu, a w głowie kłębiły mu się setki myśli. Miał wrażenie, że patrzy na pokój oczami matki, i przypomniał sobie, że po powrocie ze szkoły zawsze zamykał się w nim aż do wieczora, najwyżej na chwilę pojawiał się w kuchni, żeby zjeść kolację, ani słowem nie odzywając się do matki.

Wiesz, co powinnam była zrobić? Powinnam wejść którejś nocy do twojego pokoju, kiedy spałeś, i udusić cię. Dlaczego tego nie zrobiłam?

David się zorientował, że oczy ma pełne łez. Mrugnął, jednak łzy zamazywały mu widok. Odniósł wrażenie, że rupiecie w pokoju zaczynają tańczyć.

– Przepraszam – powiedział. – Nie miałem o tym pojęcia. Naprawdę nie wiedziałem.

Nadal stał w progu i przecierał oczy, kiedy zadzwonił jego iPhone. Pociągnął nosem i sięgnął do kieszeni. Dzwoniła Evie. Na ekranie pojawiła się jej fotografia – ciemnowłosa, drobna, uśmiechnięta kobieta. W tle widać było różowe i żółte balony.

– Jak ci idzie? – zapytała.

– Dlaczego?

– Co „dlaczego”? Chciałam się po prostu dowiedzieć, jak ci idzie sprzątanie, to wszystko. Chcesz, żebym przyjechała ci pomóc? Właśnie skończyłam zakupy.

– A dlaczego miałbym potrzebować pomocy?

– Wiesz… w tym domu jest mnóstwo śmieci, których trzeba się pozbyć, prawda?

– Jakie śmieci masz na myśli?

– Wszystkie te stare meble, łóżka, zasłony, no i ubrania twojej matki.

– To nie są śmieci! Jak w ogóle śmiesz używać takiego słowa?

– David, co ci się stało?

– Nic mi się nie stało. Dlaczego miało mi się coś stać?

– Bo cię nie poznaję. I dlaczego jesteś taki agresywny?

– Sama byłabyś agresywna, gdybyś musiała zmagać się z tymi wszystkimi uczuciami, z którymi ja muszę sobie poradzić.

– Szczerze mówiąc, nie rozumiem, o czym mówisz. Czyżby sprzątanie u matki tak cię rozstroiło? Wiem, że była okropną starą jędzą, ale daj już spokój. Zapomnij o niej. Przecież ona nie żyje, już nigdy na ciebie nie nakrzyczy. Skończ na dzisiaj i wróć do domu. Możemy pojechać tam w sobotę i posprzątać razem. Albo sama to zrobię, jeśli tak cię to przygnębia.

– Och, myślisz, że ci na to pozwolę?

– David, proszę, wracaj do domu. Jesteś jakiś dziwny.

Milczał przez kilka sekund.

– David? – odezwała się w końcu Evie, ale on bez słowa przerwał połączenie.

Tak, wrócę do domu i pogadamy, Evie. Pokażę ci, co spotyka ludzi, którzy mnie obrażają. Robiłem to już wcześniej i, na Boga, zrobię znowu.

8

Kiedy Jerry zaparkował przed domem Wazirów na Rectory Lane, zobaczył, że dwaj umundurowani policjanci zwijają taśmy ograniczające dostęp do miejsca przestępstwa, a ostatni trzej technicy pakują sprzęt do furgonetki i zbierają się do odjazdu.

– Jak leci? – zapytał jednego z posterunkowych.

– Wszystko w miarę ogarnęliśmy – odparł policjant. – Ale na pewno przez dłuższy czas nie tknę curry. Czuję się, jakbym przez ostatnie dwa dni oddychał wyziewami kuchni ludu Balti [1].

Pani Wazir siedziała w salonie w towarzystwie niskiego, łysego Pakistańczyka w czarnym garniturze.

– To jest Nadim, brat mojego męża – powiedziała. – Stryjek Samiry.

Mężczyzna odstawił filiżankę z herbatą i wstał. Wyciągnął do Jerry'ego pulchną rękę. Na palcach miał trzy złote pierścienie.

– Jak postępuje śledztwo? – zapytał.

– Cóż, dopiero zaczynamy – odparł Jerry. – Przyszedłem z nadzieją, że uzyskam od pani Wazir pewne dodatkowe wyjaśnienia i odpowiedzi na kilka ważnych pytań.

– Samira i moja rodzina byliśmy sobie bardzo bliscy – powiedział Nadim. – Mój brat czasami wyjeżdża do Pakistanu w interesach na kilka tygodni, Samira często więc spędzała u nas wieczory, a nawet całe weekendy. Jestem wstrząśnięty, że już jej z nami nie ma. Naprawdę jestem wstrząśnięty.

– Kiedy widział ją pan po raz ostatni?

– W sobotę, późnym popołudniem. Pracowała w restauracji i wpadliśmy tam na kebab. Powiedziała, że jest zmęczona i skończy tego dnia wcześniej.

– A poza tym, że była zmęczona, jak się zachowywała? Może była zdenerwowana?

– Muszę przyznać, że wydawała mi się dziwna, jakby rozkojarzona. Nie wiem, jak to opisać, ale była jakaś wycofana. Tak jakby myślami błądziła

gdzieś bardzo daleko. No, ale to mógł być przecież skutek przemęczenia. Naprawdę ciężko pracowała przez cały dzień. W weekendy w tej restauracji panuje ogromny ruch.

– Mówił pan o jakichś dodatkowych wyjaśnieniach. O co chodzi? – zapytała pani Wazir.

Było oczywiste, że chciałaby jak najszybciej się go pozbyć.

– Czy Samira narzekała na jakieś podrażnienie skóry?

– Nie rozumiem pytania.

– Czy skarżyła się, że swędzi ją skóra, że ma wysypkę, jakieś bóle?

Pani Wazir pokręciła głową.

– Nic z tych rzeczy. Miała piękną skórę, jak jedwab.

– Rozumiem. Kolejna sprawa… Kiedy przyszedłem tu wczoraj, widziałem na wieszaku w holu pewien płaszcz. Krótki, szary płaszcz.

– Tak, należał do Samiry.

– Widziałem ją w nim niedawno – wtrącił Nadim.

– Płaszcz wisiał na wierzchu, ale kiedy wychodziliśmy, już go nie było, zniknął.

Kobieta zmarszczyła brwi.

– O co panu chodzi? Z pewnością nadal tam wisi. Przecież nikt by go nie zabrał.

– Przykro mi, ale go tam nie było i teraz też go nie zauważyłem.

Pani Wazir wstała, ściągając fałdy obszernej czarnej szaty. Wyszła do holu i zaczęła zdejmować ubrania z wieszaka i przerzucać je przez balustradę. Po kilku chwilach wróciła z nietęgą miną.

– Ma pan rację. Ten płaszcz się gdzieś zapodział. Nie wiem, co się z nim stało. Jakoś trudno mi sobie wyobrazić, żeby ktoś go ukradł. Przecież to był tani, znoszony ciuch. Samira kupiła go w jakimś sklepie z używanymi ubraniami.

– Jest pani całkiem pewna, że nie wyniosła go pani gdzieś z jakiegoś powodu? – zapytał Jerry.

– A niby po co? I w jaki sposób? Przez cały czas, kiedy był pan wczoraj w tym domu, siedziałam w salonie i była ze mną policjantka. No i Dżamal.

– Może pani wie, w którym sklepie córka go kupiła?

Pani Wazir znowu usiadła.

– Nie znam jego nazwy, ale Samira już kilkakrotnie coś kupowała w tym miejscu, ponieważ było tam czysto, a ubrania nie cuchnęły tak jak

większość ubrań oferowanych w podobnych miejscach. No i oczywiście jest tam bardzo tanio. O ile pamiętam, kupiła tam jeszcze rękawiczki i szal, a któregoś razu nawet buty.

– Wie pani, gdzie mieści się ten sklep?

– Tak… przy Mitcham Road, pomiędzy Kentucky Fried Chicken i drogerią, w której Samira kupowała kosmetyki. Tylko nie wiem, czy akurat tam znajdzie pan mordercę mojej córki.

– To tylko rutynowa procedura. Musimy sprawdzić każdą poszlakę, nawet najmniej prawdopodobną. Może zabójca zobaczył Samirę w płaszczu i pomylił ją z kimś innym? Takie rzeczy się zdarzają.

– Wiadomo panu, kiedy będziemy mogli zabrać Samirę? – zapytał Nadim. – Naszych zmarłych grzebiemy jak najszybciej.

– Wkrótce dam państwu znać. Sekcja zwłok z pewnością już się odbyła i wkrótce będziecie mogli odebrać ciało. Tymczasem nie mam więcej pytań. Być może jeszcze będę musiał z panią porozmawiać, na razie jednak zostawię państwa w spokoju.

– My już nigdy nie zaznamy spokoju – powiedziała pani Wazir. – Za każdym razem, kiedy zamykam oczy, widzę zmasakrowaną twarz mojej ukochanej Samiry.

Kiedy Jerry ruszył na Mitcham Road, zaczął siąpić deszcz. Asfalt zrobił się mokry i śliski. Mitcham była długą, prostą ulicą ze sklepami i restauracjami po obu stronach, ale znajdowało się przy niej także dawne kino Tooting Granada – potężny budynek w stylu art déco – obecnie przerobione na salę do gry w bingo. Pomiędzy KFC a salonem z kosmetykami sieci Sabina Jerry dostrzegł sklep Little Helpers z używanymi ubraniami i zatrzymał się tuż przed nim, mimo zakazu parkowania. Od razu się zorientował, że z pewnej odległości patrzy na niego funkcjonariusz drogówki, jednak nie chciało mu się podchodzić i wyjaśniać, że jest policyjnym detektywem na służbie.

W oknie wystawowym Little Helpers stały trzy manekiny w płaszczach i puchowych kurtkach, ale leżało tu też kilka lalek, jakieś zabawki i używane książki. Jerry wszedł do środka i od razu zrozumiał, dlaczego zdaniem Samiry nie cuchnęło tu jak w typowym sklepie z używanymi rzeczami. Na półkach leżały dyfuzory marki Yankee Candle, a przez

otwarte drzwi na zaplecze dostrzegł starszego mężczyznę czyszczącego strumieniem pary wodnej sztruksowe spodnie.

Za ladą stała młoda kobieta i przeliczała pieniądze w kasie. Miała krótko obcięte brązowe włosy, ubrana była w obcisłą granatową kurtkę. Miała też ciemne cienie pod oczyma, ale Jerry nie potrafił odgadnąć, czy są one wynikiem zmęczenia, czy dziewczyna właśnie taki wymyśliła sobie makijaż.

– Szukam kierownika – powiedział.

Wyjrzał przez okno i zobaczył, że policjant z drogówki już fotografuje jego samochód.

– To ja – odparła dziewczyna i popatrzyła na niego przelotnie, ale zaraz powróciła do liczenia banknotów pięciofuntowych.

Jerry wyciągnął więc legitymację policyjną i podsunął ją dziewczynie przed oczy.

– Detektyw Pardoe z Tooting, Wydział Zabójstw.

Dziewczyna podniosła głowę i dostrzegł w jej oczach irytację, ponieważ pomyliła się w liczeniu. Nie odezwała się ani słowem i zaraz zaczęła liczyć banknoty od początku.

– Przypomina sobie pani dziewczynę z Pakistanu, która niedawno kupiła tutaj krótki szary zimowy płaszcz?

– Dlaczego? Coś jej się stało?

– Chciałbym się po prostu dowiedzieć kilku rzeczy, to wszystko.

– Jeżeli myślę o tej samej osobie, o którą panu chodzi, to owszem, pamiętam ją. Nie znam jej nazwiska, ale przychodzi tutaj dość często. Chyba nie zaginęła?

– Nie żyje.

Młoda kobieta pokiwała głową, jakby właśnie takiej odpowiedzi się spodziewała. Jerry był zdziwiony, że nie zapytała, kiedy i w jaki sposób umarła Samira.

– Interesuje mnie jej płaszcz – dodał.

– Płaszcz?

– Wie pani może, skąd pochodził? Kto go przyniósł?

– Dlaczego?

– Ponieważ odpowiedź na to pytanie pomogłaby nam w śledztwie.

– Zwykle nie pytam o nazwiska ani adresy ludzi, którzy oddają nam swoje rzeczy. Ale przypadkiem wiem, kto przyniósł ten płaszcz, ponieważ

ta osoba wspiera nas również gotówką, a dane osób, które wpłacają pieniądze, muszę przechowywać ze względów podatkowych. To pan Stebbings. Jego żona umarła niedawno i od tego czasu zostawił już u nas całą stertę jej ubrań.

– Ma pani jego adres?

Młoda kobieta odłożyła banknoty i wyjęła spod lady czarną księgę rachunkową, niemal w całości zapisaną. Wyraz twarzy kobiety miał dać Jerry'emu do zrozumienia, że wyświadcza mu niesamowitą przysługę.

– Mam – powiedziała. – Ostatnio wpłacił pieniądze dwudziestego piątego sierpnia. Robi to regularnie. Jego syn ma dziecięce porażenie mózgowe. Nazwa naszego sklepu nawiązuje do tej choroby.

– Bo pomagacie dzieciom?

– Nie. Porażenie mózgowe bywa nazywane *little disease*. Tego określenia użył człowiek, który opisał je jako pierwszy, William Little [2].

– Aha, rozumiem. Cóż, każdego dnia można się nauczyć czegoś nowego. Poda mi pani adres pana Stebbingsa?

– Tak, proszę. Furzehill Drive numer piętnaście.

– Dziękuję. Poproszę jeszcze o pani nazwisko.

– A po co ono panu?

– Muszę powiedzieć panu Stebbingsowi, kto mi podał jego adres. No i do mojego raportu.

– Jestem Sophie… Sophie Marshall. To pana samochód stoi przed sklepem? Właśnie dostał pan mandat.

1. Lud Balti zamieszkuje tereny północnego Pakistanu (przyp. tłum.). [wróć]
2. Little Helpers (ang.) – Mali Pomocnicy; *little disease* (ang.) – mała choroba (przyp. tłum.). [wróć]

9

Kiedy David przyszedł do domu, Evie kroiła w kuchni cebulę.

– O, jesteś już – powiedziała.

David wszedł do kuchni i popatrzył na żonę.

– Tak, jestem – odparł. – Nie widać?

Evie odłożyła nóż.

– David, co się z tobą dzieje? Przez telefon wydawałeś mi się jakiś dziwny. Coś cię zdenerwowało? Powiedz mi.

– Nic mnie nie zdenerwowało, Evie. Nic oprócz ciebie.

Po tych słowach David wyszedł z kuchni do salonu. Wziął do ręki pilota i włączył telewizor, ale niemal natychmiast go wyłączył i rzucił pilotem przez cały pokój. Urządzenie roztrzaskało się o kamienną obudowę kominka.

Do pokoju wbiegła Evie, wycierając dłonie w fartuch.

– David, na Boga, co ci jest?

– Bezustannie cholernie zrzędzisz, to mu jest. Myślisz, że trzymasz go pod pantoflem, ale się cholernie mylisz, dziewczyno. Cholernie się mylisz.

– Kogo trzymam pod pantoflem? – zdziwiła się Evie. – Kim jest on? Przecież ja rozmawiam z tobą.

– Właśnie! – warknął David. – Bo wcale o niego nie dbasz! Udajesz, że nawet nie wiesz, kto to jest! Myślę, że najwyższy czas z tym skończyć. A ty co o tym sądzisz? Przede wszystkim w ogóle nie powinien się z tobą żenić! Mówiłam mu! Nie mówiłam? Ale nie, owinęłaś go sobie wokół palca, a on ci uwierzył! No ale wreszcie możemy z tym wszystkim skończyć!

David podszedł do Evie na sztywnych nogach i pochylił się nad nią. W pierwszej chwili nie cofnęła się, ale jego oczy niebezpiecznie lśniły, a usta wykrzywiał taki grymas złości, że jednak zrobiła krok do tyłu, a potem następny.

– David, czy ty coś paliłeś? Nie wiem, co się z tobą dzieje, w każdym razie zadzwonię po lekarza.

– Och, z nim jest wszystko w porządku, Evie. Przynajmniej w tej chwili. Jeżeli w przeszłości działo się z nim coś złego, to przez ciebie. Ale teraz wszystko się zmieni! O tak!

David chwycił ją za ramiona i pchnął na framugę drzwi tak mocno, że uderzyła w nią głową.

– David! – krzyknęła, ale on nie przestawał nią potrząsać. Udało jej się jednak wyrwać. – David, co ty wyprawiasz? Oszalałeś?

Nie odpowiedział. Próbując ją złapać, rozerwał rękaw jej sukienki. Z całej siły uderzyła go otwartą dłonią w twarz, odwróciła się i chciała uciec do kuchni. Nie zdołała jednak zatrzasnąć za sobą drzwi. David naparł na nie i pchnął, niemal wyrywając je z zawiasów.

– Osaczyłaś go, prawda? – wrzasnął, gdy Evie stanęła za stołem kuchennym. Jego głos był piskliwy jak głos rozwścieczonej kobiety. – Osaczyłaś go i trzymałaś pod pantoflem, ty samolubna mała suko!

Evie przesunęła się w prawo, ale kiedy David zaczął okrążać stół, rzuciła się do ucieczki w drugą stronę. Dotarła niemal do drzwi, ale w ostatniej chwili zahaczyła nogą o krzesło i potknęła się. David złapał ją, oplótł ramieniem jej szyję i zaczął dusić.

– David! – wystękała z trudem. – David, na miłość boską!

Ale on przyciągnął ją do siebie jeszcze mocniej. Kobieta z trudem walczyła o każdy oddech. On tymczasem sięgnął w stronę deski, na której jego żona jeszcze przed chwilą siekała cebulę, i wziął do ręki dwunastocentymetrowy nóż. Odwrócił Evie przodem do siebie i z całej siły dźgnął ją nożem w kręgosłup. Ostrze wbiło się w dysk pomiędzy dwoma kręgami lędźwiowymi i rozerwało rdzeń kręgowy. Kobieta wydała z siebie stłumiony jęk i ugięły się pod nią kolana. David trzymał ją jednak za szyję tak mocno, że nie upadła.

– Myślałaś, że on jest facetem bez kręgosłupa, co? – syczał jej do ucha jeszcze bardziej kobiecym głosem niż przed chwilą. – Myślałaś, że w tym związku tylko ty masz jaja. A może się o tym przekonamy? Na pewno możemy się przekonać.

Wypowiedziawszy te słowa, zaczął powoli wyciągać nóż. Ostrze zakleszczyło się jednak pomiędzy kręgami, tak że musiał szarpnąć z całej siły, żeby je uwolnić. Evie milczała. Oddychała z trudem i nie czuła nóg. Myślała mgliście, że to wszystko jej się śni, że to się nie dzieje naprawdę. Za chwilę znów będzie kroić cebulę do befsztyków, które przygotowywała

na wspólną kolację. Potem usłyszy klucz w drzwiach i wejdzie jej mąż – taki jak zawsze, wesoły i energiczny pomimo problemów finansowych, jakie miał ostatnio.

Jednak David nadal ją dusił, a ona słyszała jego ciężki, przyspieszony oddech. Napiął się i znowu ją dźgnął, równie mocno jak za pierwszym razem, ale teraz w sam środek pleców. Drgnęła i coś wyszeptała, jednak była już bliska omdlenia.

– Takim dziewczynom jak ty wydaje się, że na wszystko mogą sobie pozwolić – powiedział David. – Myślą, że mogą traktować mężów tak, jak im się podoba, jakby byli gównem, w które wdepnęły. Nadszedł czas, żeby takie dziewczyny odebrały stosowną lekcję, tylko tyle ci powiem.

Wyciągnął nóż i znowu uderzył, celując pomiędzy łopatki. Plecy bladoróżowej bawełnianej sukienki były już przesiąknięte krwią. Kobieta leciała mu z rąk, tak że z trudem ją utrzymywał w pozycji pionowej. Jeszcze raz dźgnął ją od tyłu, tym razem w szyję, po czym opuścił bezwładne ciało na kuchenną podłogę. Ich kotka Maggie podeszła do Evie i przez chwilę przypatrywała się jej ze zdziwieniem, po czym popatrzyła na Davida, jakby chciała zapytać: co ty jej zrobiłeś?

David odłożył zakrwawiony nóż na deskę do krojenia. Jego serce biło jak szalone, jednak był pewien, że postąpił słusznie, miał wrażenie, jakby właśnie wyrównał zaległy rachunek. Nie patrząc na Evie, podszedł do zlewu, chcąc umyć ręce. Później, otrząsając z nich ostatnie krople wody, przeszedł do sypialni i usiadł na skraju łóżka. Popatrzył na swoje odbicie w lustrze wbudowanym w drzwi szafy na ubrania.

Od bardzo dawna chciałaś ukarać Evie i wreszcie ci się to udało. Wreszcie sprawiedliwości stało się zadość! Ona ci go odebrała, a przecież nie miałaś nikogo innego, kto mógłby się tobą zaopiekować. Czy kiedykolwiek o tobie pomyślała, pomyślała o twoim złamanym sercu?

Wstał i podszedł tak blisko do lustra, że niemal dotknął go czubkiem nosa. Nie mógł uwierzyć, że jest aż tak podobny do matki. Nawet usta miał wykrzywione tak jak Netty, której mina zawsze wyrażała niezadowolenie. Miał też ten nieprzenikniony wzrok, dokładnie taki jak ona, wzrok, który zdawał się skrywać nienawiść do świata i wszystkich ludzi.

Musiał znaleźć sposób na pozbycie się ciała Evie, jednak teraz nie chciał jeszcze o tym myśleć. Po przypływie triumfalnej euforii zaczynał odczuwać głębokie zmęczenie, fizyczne i emocjonalne. Miał za sobą długi i trudny

dzień oraz ciężką walkę z żoną. Wbicie noża w jej kręgosłup wcale nie było łatwe: nadwerężył sobie przy tym nadgarstek.

Zdjął sztruksową kurtkę. Na obu rękawach były wielkie plamy krwi. Wiedział, że sam będzie musiał je sprać, że nie może oddać tej kurtki do pralni chemicznej. Jak wyjaśniłby te plamy? „Och, znowu zarzynałem świnię, a zwykle robię to w mojej najlepszej sztruksowej kurtce”.

Podniósł ręce, żeby ściągnąć przez głowę sweter, ale gdy tylko złapał za kołnierz, znieruchomiał i zrezygnował z tego.

Na razie nie chcę go zdejmować. W nim czuję się bezpieczny. Bardzo mi przypomina matkę. Ona go nosiła, dzięki niemu lepiej ją rozumiem. Mam wrażenie, jakby była tutaj przy mnie, jakby wciąż żyła, a skoro Evie już nie ma, kto mi pozostał?

Znów usiadł na łóżku, zdjął buty i skarpetki, a następnie spodnie i bokserki. Położył się na miękkiej, białej narzucie. Przyciągnął kolana do piersi, przyjmując pozycję embrionalną, i zamknął oczy.

Nie spał, tylko leżał tak z zamkniętymi oczami przez wiele godzin. Udawał martwego. Martwy nie musiał już za nic odpowiadać.

W drzwiach stanęła Maggie. Miauknęła, ponieważ była głodna, jednak David pomyślał jedynie: Odejdź. Nie słyszę cię. Jestem głuchy na świat. Jestem martwy.

10

Przed zaplanowaną na samo południe konferencją prasową Jerry i Dżamila poinformowali Saundersa o niewielkich postępach w śledztwie.

Inspektor stał przy oknie i patrzył z drugiego piętra na parking policyjny. Jerry nie był pewien, czy go słucha. Po chwili jednak odwrócił się i powiedział:

– To mogła być jakaś alergia.

– Ma pan na myśli te włókna w jej skórze? – zapytał Jerry.

– Cóż, sam nie wiem. Nie potrafię znaleźć związku pomiędzy tymi włóknami a oblaniem jej twarzy stężonym kwasem siarkowym.

– Odciski palców na buteleczce należały wyłącznie do niej, szefie. Może było tak, że te włókna sprawiały jej taki ból, że nie mogła już tego dłużej znieść i postanowiła ze sobą skończyć?

– Jerry, to, że na butelce z kwasem są tylko jej odciski, wcale nie znaczy, że nikt inny tej butelki nie dotykał. A skoro nie mogła znieść bólu, dlaczego wybrała najbardziej bolesny sposób, żeby ze sobą skończyć? Przecież mogła zażyć garść jakichś tabletek, prawda? Albo rzucić się pod pociąg? Nawet nie musiałaby daleko chodzić, bo z jej domu na dworzec Streatham Common idzie się zaledwie pięć minut.

– Ja w każdym razie jestem niemal pewna, że to nie było zabójstwo honorowe – odezwała się Dżamila.

– Naprawdę? Dlaczego?

– Ponieważ wszystko wskazuje na to, że cieszyła się na myśl o poślubieniu mężczyzny, którego wybrali dla niej rodzice, i ponieważ matka bardzo głęboko przeżywa jej śmierć. Ojciec nadal przebywa w Peszawarze, ale wszystko wskazuje na to, że wróci przed weekendem i będziemy mogli go przesłuchać.

– Dowiedziałem się, skąd pochodził jej płaszcz – dodał Jerry. – Ktoś przyniósł go do sklepu z używaną odzieżą naprzeciwko dawnego kina

Granada i tam właśnie Samira go kupiła. Po południu porozmawiam z osobą, która oddała go do tego sklepu.

– Powiem ci szczerze, że nie widzę w tym sensu – stwierdził Saunders.

– Włókna, które wrosły w jej skórę, były szare i płaszcz też był szary. Zamierzam sprawdzić ewentualny związek pomiędzy tymi faktami.

– Jerry, ta dziewczyna zmarła, ponieważ ktoś oblał jej twarz kwasem. Być może zrobiła to ona sama, ale, jak już powiedziałem, nie widzę w tym ewentualnym samobójstwie żadnego logicznego motywu. Nie zostawiła listu pożegnalnego, nic nie wskazuje, że popadła w depresję. Dlatego skłaniałbym się ku tezie, że jednak chodzi o zabójstwo honorowe.

– Szefie, przecież wiemy, że listy pożegnalne zostawia mniej niż sześćdziesiąt procent samobójców – powiedział Jerry. – A jej stryjek mówił, że kiedy po raz ostatni widział ją w restauracji, była bardzo zmęczona i jakby wyciszona, wycofana. Takiego słowa właśnie użył, „wycofana”.

– Może wypiła w pracy kilka drinków i była zamroczona?

– Ona była muzułmanką, sir – zauważyła Dżamila. – Muzułmanie nie piją alkoholu.

– Och, to oni tak twierdzą. W zeszłym roku byłem na konferencji policyjnej w Dubaju i jeśli przynajmniej kilku arabskich oficerów nie piło whisky, to na pewno musieli tam podawać specjalne drinki bezalkoholowe z nalepką Johnniego Walkera.

– W każdym razie doktor Fuller wysłał próbki pobrane podczas sekcji zwłok na Lambeth Road do dalszych badań – powiedział Jerry.

– W porządku. Tylko nie zmarnuj na ten płaszcz za dużo czasu. Jeszcze nie słyszałem, żeby ktoś się zabił z powodu płaszcza. A tak w ogóle gdzie ten płaszcz teraz jest? Nie mówiłeś przypadkiem, że zaginął?

– Właśnie, sir. Rozważam możliwość, że w czasie, kiedy w domu była policja, wszedł tam ktoś z rodziny lub znajomych Samiry i go zabrał.

Inspektor uniósł sceptycznie czarne brwi. Przez chwilę wyglądał jak wrona, którą nagle ktoś strącił z drutu telegraficznego.

– Cóż, nie wiem, dlaczego ktoś zabrał ten płaszcz – kontynuował Jerry. – Może z jakichś sentymentalnych powodów, na pamiątkę? A może Samira za życia komuś go obiecała?

– Chyba jednak marnujesz czas, Jerry. Lepiej zacznij się zastanawiać, kto z członków rodziny mógł ją zabić albo kto zapłacił za to morderstwo.

– Czy coś takiego chce pan zasugerować na konferencji prasowej? – zapytała Dżamila. – Jeśli tak, to stąpa pan po cienkim lodzie. Chodzi o problemy rasowe i tak dalej.

– Powiem po prostu, że jedna z naszych hipotez dotyczy zabójstwa honorowego. Nie ma sensu udawać, że wykluczamy taką możliwość, a jeśli istnieją świadkowie, którzy mogliby nas naprowadzić na trop zabójcy, muszą wiedzieć, czego szukamy. Zaoferujemy tradycyjną nagrodę dla osoby, która doprowadzi nas do przestępcy.

– Społeczność pakistańska w Tooting jest bardzo dumna i hermetyczna – powiedziała Dżamila. – Ale w tej chwili mamy tu z Pakistańczykami doskonałe relacje. Nie chcę, żeby znowu odwrócili się do nas plecami. Musimy dbać o dobre stosunki z nimi.

Ktoś zapukał do drzwi i na progu stanął sierżant Bristow z recepcji. Był chudym, ponurym facetem o dużych uszach i włosach zaczesanych do tyłu. Nosił w sobie niezmierzone pokłady życzliwości, jednak był całkowicie pozbawiony poczucia humoru. Jerry uważał, że najlepiej pasowałby do roli kierownika sklepu z butami.

– Posterunkowy Pardoe? Ach, jest pan… Prosił mnie pan, żebym dał znać, kiedy będzie przesłuchiwany ten facet z kontenera z używanymi ciuchami. To będzie około trzynastej trzydzieści w pokoju przesłuchań numer dwa. Przesłuchanie poprowadzi posterunkowy Willis.

– Wspaniale, sierżancie, wielkie dzięki.

– O co znowu chodzi? – zapytał Saunders. – Wygląda na to, że masz bzika na punkcie używanych ubrań.

– Nie, sir, to nie ma żadnego związku z tym płaszczem. Chodzi o sprawę, nad którą pracowałem z inspektorem Frenchem. Od ponad roku pewien Litwin, Jakobus Liepa, robi przekręty z kradzionymi ubraniami przeznaczonymi dla biednych, ale wciąż nie możemy go dopaść. Ludzie zostawiają przed domami worki z ubraniami, butami i zabawkami, które mają odbierać organizacje charytatywne, ale Liepa rozsyła przed świtem po mieście furgonetki i zabiera te worki, zanim zdołają do nich dotrzeć uprawnieni odbiorcy.

– Bez sensu. Przecież to są bezwartościowe rzeczy – powiedział Saunders.

– Co? Chyba pan żartuje! Gra jest zdecydowanie warta świeczki, bo chodzi o tysiące, dziesiątki tysięcy funtów! Liepa wysyła ubrania na Litwę,

gdzie albo są prane, przerabiane i sprzedawane po korzystnych cenach, albo recyklingowane.

– Życzę mu szczęścia – mruknął Saunders. Popatrzył na swojego rolexa i dodał: – Czas na konferencję prasową. Tylko się streszczajmy, dobrze? I nie będziemy na razie wspominać o tych włóknach w skórze ofiary, przynajmniej dopóki nie otrzymamy pełnego raportu z laboratorium. Nie mówmy też o płaszczu.

– Ale jeśli media poinformują ludzi, czego szukamy, szefie, będziemy mieli szansę, że ktoś się zgłosi i wyjaśni, co się stało z tym płaszczem.

– Tak, ale może też się zdarzyć, że jakiś dziennikarz zapyta nas, *dlaczego* szukamy płaszcza, a my nie będziemy w stanie podać mu spójnej odpowiedzi. Jerry, musimy tę sprawę traktować poważnie, a będziemy poważni tylko wtedy, gdy powiemy z naciskiem, że prawdopodobnie mamy do czynienia ze zbrodnią honorową. Jak myślisz, dlaczego do sprawy przydzielono sierżant Patel? Wiem, że powinniśmy być dokładni, ale sprawdzanie innych hipotez niż ta, która wskazuje na zbrodnię honorową, jest po prostu stratą czasu.

– Sir, nie skierowano mnie tu tylko po to, żebym udowodniła, że chodzi o zbrodnię honorową – powiedziała Dżamila. – Przydzielono mnie do tej sprawy, ponieważ z powodu mojego pochodzenia mam stosowną wiedzę, dzięki której mogę stwierdzić, czy mamy do czynienia z zabójstwem honorowym. Mam też spore doświadczenie. Na tym etapie śledztwa, jak już powiedziałam, mam poważne wątpliwości. Skoro dziewczyna chciała wyjść za mąż za wybranego przez rodziców kandydata, jaki mógł być motyw morderstwa?

– Tego jeszcze nie wiemy – odparł inspektor. – Może Samiry nie zamordowała jej rodzina, może zbrodnię zleciła rodzina jej przyszłego męża? Może to oni nie byli zadowoleni, że on poślubi tę dziewczynę? A może mordercą jest ktoś, kto zabił w imieniu innej rodziny, która chciała, aby i c h córka poślubiła chłopaka przyrzeczonego Samirze? Przecież jego rodzina jest podobno bogata, prawda? Dla dziewczyny mieszkającej w szeregowym domu w Tooting ten związek mógł być jak manna z nieba. – Umilkł, wzruszył ramionami, a potem dodał: – Jeśli chodzi o morderstwa honorowe, liczba motywów jest niezliczona, pani detektyw. Może Samira miała chłopaka w Tooting, który wpadł w złość, kiedy się dowiedział, że

wybrała jakiegoś faceta z Pakistanu, i postanowił ją oszpecić? Może chodziło mu tylko o to, ale przeholował i dziewczyna zmarła?

– Ma pan bardzo bujną wyobraźnię, sir – stwierdziła Dżamila.

– Och, wcale nie. Żadna wyobraźnia, mojej nie wyłączając, nie jest w stanie ogarnąć krzywd, jakie ludzie wyrządzają innym ludziom, ani ich powodów. Jak pani sądzi, dlaczego jestem uważany za ponurego dupka?

Wielkie nieba, on naprawdę wie, że uważamy go za dupka, pomyślał Jerry. I przyjmuje to do wiadomości. Na takie pytanie nie ma odpowiedzi.

Tak jak chciał inspektor Saunders, konferencja prasowa była krótka. Zresztą pojawiło się na niej jedynie pięcioro dziennikarzy: bezustannie kaszlący reporter z „Wandsworth Guardian” w średnim wieku, z zapchanym nosem, dwóch niezależnych reporterów, reprezentujących „Daily Mail” i „Sun”, młoda dziewczyna z pakistańskiego tygodnika „Nawa-I-Jang” oraz znudzony facet w anoraku, reprezentujący BBC-TV London News.

– Poszukujecie konkretnej osoby w związku ze śmiercią Samiry Wazir? – zapytał reporter z „Daily Mail”. – Podejrzewacie zabójstwo honorowe?

– Rozważamy każdą możliwość – odparł inspektor Saunders. – To oznacza także założenie, że możemy mieć do czynienia z zabójstwem honorowym albo na przykład z napaścią, która przyniosła o wiele poważniejsze konsekwencje, niż zakładał napastnik.

– Dopuszczacie możliwość, że to było samobójstwo? – zapytała z kolei dziewczyna z „Nawa-I-Jang”.

– Jak już powiedziałem, jesteśmy otwarci na każdą ewentualność. Czekamy także na wyniki dodatkowych badań medycznych, które mogą jednak potrwać kilka tygodni.

– Czy ujawniliście na zwłokach ślady przemocy seksualnej? – chciał wiedzieć dziennikarz z „Sun”.

– Jak dotąd nie. Jej matka twierdzi, że córka była dziewicą, jednak raczej nie liczyłbym na to, że dziewczyna przyznałaby się matce do utraty dziewictwa.

Przedstawicielka pakistańskiego tygodnika znów podniosła rękę.

– Czy jest możliwe, że był to atak na tle rasowym? Ostatnio mieliśmy w Tooting do czynienia z pewnymi napięciami pomiędzy różnymi grupami etnicznymi. Mam tu na myśli chociażby zasztyletowanie w ubiegłym

tygodniu czarnoskórego chłopaka na dworcu Tooting Broadway i pożar, który wybuchł w jednej z pakistańskich restauracji.

– Na razie trudno nam się o tym wypowiadać. Wiemy jedynie, że rodzina Wazirów była dobrze zintegrowana z lokalną społecznością i że nie otrzymywała żadnych gróźb. Przynajmniej policji nic o tym nie wiadomo. – Przerwał i rozejrzał się po twarzach dziennikarzy. – To wszystko? Śledztwo trwa i chciałbym zaapelować do wszystkich ludzi dysponujących informacjami, które mogłyby nam pomóc, aby się z nami skontaktowali. Ważny jest każdy drobiazg, nawet taki, który na pierwszy rzut oka wydaje się bez znaczenia. Dziękuję państwu i życzę miłego popołudnia.

– Czy panna Wazir chorowała na jakąś chorobę psychiczną? – zapytał dziennikarz z „Wandsworth Guardian”.

– Chorobę psychiczną? Nic nam o tym nie wiadomo.

– Chodzi o to, że znalazłem w Google’u informację o podobnym przypadku z 2010 roku. Wówczas pewna dziewiętnastoletnia Pakistanka z Balham oblała się benzyną i podpaliła. Przeżyła ten koszmar, jednak pozostała na całe życie oszpecona. Lekarzom powiedziała, że chciała zniszczyć swoją twarz. Mówiła, że posiadł ją duch złej kobiety i że jej twarz często się zmieniała, przyjmując jej potworne oblicze. Wydaje mi się, że te wierzenia o złych duchach są dość powszechne wśród Pakistańczyków. Nawet wykształceni ludzie z dużych miast są skłonni przypisywać winę za choroby psychiczne demonom.

– Cóż, dziękuję panu za tę informację – powiedział Saunders, nawet nie próbując ukryć zniecierpliwienia. – Podsuwa nam ona jeszcze jedną hipotezę. Opętanie przez demona. Fascynujące. Może powinien się pan skontaktować z ojcem Karrasem.

11

Jerry kupił sobie w automacie kubek czarnej kawy i dopiero potem poszedł do pokoju przesłuchań. Młody człowiek, który wczoraj ugrzązł w kontenerze, siedział za stołem, z czołem opartym o blat. Naprzeciwko niego zajmował miejsce posterunkowy Derek Willis. Czytał raport ze zdarzenia, poruszając przy tym ustami. W kącie siedział umundurowany policjant. Ręce miał założone na piersiach i od czasu do czasu ziewał.

Derek Willis był okazale zbudowanym mężczyzną po czterdziestce, z lekką nadwagą. Miał siwiejące włosy ostrzyżone na jeża i grubo ciosaną głowę, która wyglądała jak niedokończona rzeźba z granitu. Ubrany był w opięty garnitur, ciasny kołnierzyk koszuli wrzynał mu się w szyję. Jerry pracował z Derekiem przy trzech albo czterech sprawach i chociaż nie uważał go za nadmiernie bystrego faceta, nie mógł mu odmówić skrupulatności, czasem nawet przesadnej.

Kiedy Jerry przysunął sobie krzesło, Derek rzucił na stół raport i powiedział:

– Cześć, Pardoe. O ile mi wiadomo, znasz już tego młodego człowieka.

– Rozmawiałem z nim – przyznał Jerry. – Jednak po raz pierwszy spotykam się z nim twarzą w twarz.

Młodzieniec podniósł wzrok. Miał śmiertelnie bladą, lisią twarz i sterczące włosy. W uchu nosił srebrny kolczyk i aż po szyję pokryty był tatuażami. Przypominał Jerry’emu trochę Sida Viciousa; otaczała go taka sama aura buntowniczej wrażliwości.

– Widzę, że w końcu cię wyciągnęli – stwierdził Jerry. – Gdyby to ode mnie zależało, trzymałbym cię w tym kontenerze przez tydzień albo i dłużej i karmiłbym wyłącznie czipsami z solą i octem oraz kanapkami z peklowaną wołowiną.

– To nie jest zabawne – odparł młody człowiek.

– Bo nie miało być zabawne. Zabawne jest tylko to, że utknąłeś w tym kontenerze. To było właściwie przekomiczne.

– Synu, zechciałbyś potwierdzić do akt swoje nazwisko? – zapytał Derek, chociaż wszystkie dane personalne chłopaka miał już spisane.

– Billy. Nazywam się Billy Jenkins.

– Adres?

– Dewar House numer osiem, Tooting Grove.

– Ile masz lat, Billy?

– W czerwcu skończyłem siedemnaście.

Jerry popijał kawę, wpatrując się uważnie w chłopaka. Po chwili rzucił pytanie:

– Naprawdę nie zdawałeś sobie sprawy, że możesz utknąć w tym pudle? Przecież była na nim tabliczka z ostrzeżeniem, żeby nie wchodzić do środka.

Billy wzruszył ramionami. Zaczął się drapać po wierzchu lewej dłoni, a potem po chudym ramieniu.

– O co chodzi, Billy? – zapytał Derek. – Masz pchły czy co?

– Przyjąłbym coś, człowieku. Zbiera mi się na mdłości.

– Co takiego byś przyjął?

– Cokolwiek.

– A co zazwyczaj bierzesz? Metamfetaminę? Kokainę? A może starą dobrą herę?

Billy popatrzył na Jerry’ego błagalnie i odpowiedział:

– Głównie ser. Ale zadowolę się czymkolwiek. Jeśli czegoś nie przyjmę, to się zrzygam, człowieku, naprawdę.

Ser oznaczał w miejscowym slangu mieszaninę heroiny i tabletek na kaszel. Ostatnio Jerry wielokrotnie miał z nim do czynienia, głównie w szkołach. Był to bardzo uzależniający narkotyk; zażywanie go wywoływało silne wymioty i świąd.

– Okej – powiedział Derek. – Załatwię ci trochę towaru, jeśli naprawdę go potrzebujesz.

– Błagam. Jeden strzał i przestanę się drapać.

– Ale najpierw musisz odpowiedzieć na kilka pytań. Na początek powiedz, czy kradłeś z tego kontenera na własną rękę, czy ktoś kazał ci to zrobić.

Billy potrząsnął głową. Ciekło mu z nosa i strugę smarków miał aż na brodzie. Derek sięgnął po pudełko z chusteczkami, które zawsze stało w pokoju przesłuchań.

– Masz, wytrzyj nos. I odpowiadaj na moje pytania. Ktoś ci kazał to zrobić, prawda?

– Nie, ale potrzebowałem forsy.

– Na co?

– Żeby spłacić długi, człowieku. Tkwię w gównie po uszy, wierz mi.

– Ile masz do zapłacenia?

– Trzysta funciaków.

– Za ser? Tak?

– Przede wszystkim. Ale potrzebowałem też forsy na jedzenie, bilety autobusowe i inne rzeczy.

– Od kogo pożyczyłeś kasę? Od jednej osoby czy od kilku?

– Jakieś pięćdziesiąt funtów jestem winien mojej dziewczynie. Resztę komuś innemu.

– Komuś innemu? – zapytał Jerry. – Czyli komu?

Billy znowu potrząsnął głową, a potem kiwał nią, jakby nie mógł przestać.

– Nie mogę ci powiedzieć, człowieku. Nie mogę! Jeżeli powiem, facet mnie, kurwa, zabije za donosicielstwo. Albo utnie mi język. Już to robił innym ludziom, wiem o tym.

– Nieważne – powiedział Jerry. – Chyba wiem, o kim mówisz. Chodzi o Jakobusa Liepę, prawda? Liepa Mazgaj, tak go nazywają, bo kiedy chce wyrządzić człowiekowi jakąś krzywdę, na przykład przybić jaja do krzesła, zawsze najpierw udaje, że płacze.

– Ja niczego nie powiedziałem.

– Ale chodzi o niego, prawda? Jakoś nie przychodzi mi do głowy nikt inny, kto mógłby przyjmować przechodzone ciuchy w rozliczeniu długów narkotykowych. Tylko Mazgaj ma organizację, która potrafi zamieniać ubrania z drugiej ręki na gotówkę.

– Daj mi coś, człowieku. Umieram.

– Zobaczę, co się da zrobić. Ale mówimy o Liepie, prawda? To on wysłał cię po te ubrania?

– To nie on. Po prostu przechodziłem tamtędy i zobaczyłem, jak jakaś kobieta wrzuca do kontenera buty, swetry i różne inne rzeczy, więc postanowiłem je sobie zabrać. Robiłem to już mnóstwo razy i nigdy nie miałem żadnych kłopotów… Nigdy.

– Ale przecież musiałeś wiedzieć, że ostatnio wszystkie kontenery zostały przerobione – powiedział Derek. – Jeśli do któregoś z nich wejdziesz, nie masz już drogi odwrotu. Przynajmniej jeśli nie masz klucza.

– Nie przeczytałeś ostrzeżenia na kontenerze? – rzucił Jerry. – Chyba umiesz czytać, co?

– Kurwa, oczywiście, że umiem czytać. W szkole byłem drugi w klasie z angielskiego. Tyle że oprócz mnie w klasie byli sami marni Pakistańczycy.

– Tylko nie opowiadaj nam teraz o różnicach etnicznych, dobrze? – ostrzegł młodzieńca Derek.

Billy zaczął obgryzać paznokieć. Wyglądał, jakby się nad czymś zastanawiał. Widać było, że chce powiedzieć coś jeszcze. Jerry czekał w milczeniu.

Wreszcie Billy rzucił:

– To może zabrzmieć, jakbym był wariatem albo coś.

– Mów – rozkazał mu Derek. – A ja później ocenię, czy postradałeś zmysły.

– To brzmi jak porąbane, ale przysięgam, że to prawda i nie byłem wtedy na żadnych prochach.

– Zamieniam się w słuch.

– Byłem pewien, że nic się złego nie stanie, jeżeli wejdę do tego kontenera… wszedłem do środka, bo słyszałem, że tam ktoś jest.

– Usłyszałeś kogoś, kto niby wlazł tam przed tobą?

Billy pokiwał głową.

– I to nie był jeden człowiek. Ktoś tam rozmawiał, ale nie rozumiałem o czym. Właściwie na zmianę słyszałem śpiewy i rozmowy. Śpiewała chyba kobieta.

– Pomyślałeś więc, że skoro ktoś już tam wlazł, nie powinno być problemów z wyjściem?

Billy znowu skinął głową.

– I nie pomyślałeś, że to ser śpiewał w twoim łbie albo jakieś inne gówno, którym się odurzyłeś?

– Słyszałem te głosy, mówię szczerze. Słyszałem je tak wyraźnie jak pana teraz. Ale ten śpiew… to nie było takie sobie zwykłe śpiewanie, tylko zawodzenie…

– Ale kiedy wlazłeś do kontenera, okazało się, że w środku nikogo nie ma?

– No właśnie. Byłem sam.

– To skąd właściwie te głosy?

– Nie mam zielonego pojęcia. Ale przysięgam na Biblię, że je słyszałem, i to wcale nie w głowie. Dobiegały z wnętrza tego pudła.

– Jasne. – Jerry westchnął. – Wydawało ci się, że słyszysz zawodzenie dobiegające z kontenera przeznaczonego na używane ubrania dla ubogich. Ale zanim to usłyszałeś, i tak miałeś zamiar ukraść ubrania i buty, żeby je zabrać do Jakobusa Liepy i spłacić część długów narkotykowych, mam rację?

– Chyba nie powie pan nic Jakobusowi, co? On mnie, kurwa, zabije. Nawet jeśli mnie pan wsadzi do więzienia, Jakobus komuś zapłaci i zginę marnie za kratkami.

– Będę musiał porozmawiać z inspektorem Callowem – powiedział Derek. – To on zadecyduje, czy cię wypuścić za kaucją.

– Ale nawet jeśli cię zwolnimy, to tylko pod pewnymi warunkami – dodał Jerry. – Będziemy oczekiwali, że zdobędziesz dla nas dodatkowe informacje o Mazgaju i jego biznesie.

– Człowieku, ja muszę coś wziąć – jęknął Billy.

Jego bladą twarz pokryły krople potu i lśniła teraz, jakby ktoś ją polakierował. Chłopak trząsł się, drapał palcami po stole, przebierał nogami, a z nosa znowu mu ciekło.

– Obawiam się, że na ten temat też będę musiał rozmawiać z inspektorem Callowem – stwierdził Derek. Następnie zwrócił się do policjanta w mundurze: – To na razie tyle, dzięki. Zaprowadź go z powrotem do celi, dobrze? I daj mu koc. No i uważajcie na niego na dołku.

12

Jerry zapinał właśnie kurtkę, kiedy do pokoju detektywów weszła Dżamila.

– Wychodzisz?

Jerry miał ochotę powiedzieć jej, że jest bardzo spostrzegawczym detektywem, ale zaraz przypomniał sobie, że dziewczyna ma wyższy stopień od niego i mogłaby źle zareagować na sarkastyczne słowa podwładnego.

– Chcę zamienić parę słów z facetem, który przyniósł płaszcz Samiry do sklepu z używaną odzieżą. Spróbuję się dowiedzieć, czy jego zmarła żona dostrzegała w nim coś niezwykłego.

– Pojadę z tobą. I tak nie mam teraz nic lepszego do roboty.

– Doskonale. Masz jakieś wiadomości z Lambeth Road?

Dżamila pokręciła głową.

– Wiesz, jak długo to zwykle trwa. Nie spodziewam się żadnych wyników przez najbliższe kilka tygodni.

Pojechali na Furzehill Drive. Dom numer piętnaście stał na rogu ulicy, a jego okna wychodziły na Furzedown Recreation Ground, porośnięty trawą plac w kształcie rombu, gdzie ustawiono kilka huśtawek i karuzelę. Niebo było zachmurzone i znów zaczęło siąpić. Jedyną osobą na placu był starszy mężczyzna w anoraku, który wyprowadził na spacer swojego labradora.

Jerry zadzwonił do drzwi. Odczekali pół minuty i gdy nikt nie odpowiadał, zadzwonił jeszcze raz. Tym razem ktoś odsunął firankę w jednym z okien i za szybą pojawił się siwy mężczyzna w musztardowym rozpinanym swetrze. Patrzył na gości przy drzwiach, mrużąc oczy i marszcząc czoło. Jerry wyciągnął z kieszeni legitymację i starannie układając usta, bezgłośnie wypowiedział słowo „policja”.

Po chwili mężczyzna otworzył drzwi. Był po sześćdziesiątce, miał nastroszone siwe brwi i usta wykrzywione w dziwnym grymasie. Ubrany

był w luźne szare spodnie, a na nogach miał – jak zauważył Jerry – kapcie nie do pary. Jeden był brązowy, szmaciany, a drugi z czarnej skóry.

– Słucham? – odezwał się, stojąc w progu i przytrzymując przed sobą drzwi, jakby nie miał zamiaru otworzyć ich ani odrobinę szerzej.

– Pan Stebbings? Jestem detektyw Jerry Pardoe, a to jest detektyw sierżant Dżamila Patel. Mógłby pan poświęcić nam kilka minut?

– A o co chodzi?

– Chodzi o pańską żonę, panie Stebbings.

– Moją żonę? Jej już nie ma. Chyba nie zamierzacie jej o nic oskarżyć, co? Zdarzało jej się tłuc talerze, ale to chyba nie jest niezgodne z prawem?

Jerry nie zrozumiał, czy to miał być żart, mężczyzna jednak ani na moment się nie uśmiechnął, więc zignorował jego słowa.

– W gruncie rzeczy chodzi nam o jej płaszcz. Krótki szary płaszcz, który zaniósł pan do Little Helpers.

– No i co z nim?

Jerry popatrzył na niebo i wyciągnął rękę.

– Może porozmawialibyśmy w mieszkaniu? Zmokniemy, jeżeli będziemy stali na progu.

Pan Stebbings otworzył drzwi szerzej i cofnął się, żeby wpuścić policjantów. W mieszkaniu było chłodno i ciemno, śmierdziało dymem z papierosów i zepsutym kocim jedzeniem. W holu wisiał oprawiony w ramy sztych przedstawiający śmierć Nelsona.

– Proszę za mną – powiedział pan Stebbings i poprowadził gości do salonu.

Na jednym z foteli spał gruby pręgowany kot. Gospodarz zepchnął go na podłogę i kot z nadąsaną miną usiadł pod podłużną ławą ze szklanym blatem. Na ławie stał talerz z resztkami lunchu – pomarańczowy sos i wyplute chrząstki na jego obrzeżach świadczyły, że pan Stebbings posilił się dzisiaj kiełbaskami z pieczoną fasolą.

Jerry niechętnie usiadł w fotelu, na którym przed chwilą spał kot, a Dżamila zajęła miejsce na skraju kanapy. Pan Stebbings usiadł na jej drugim końcu z kolanami tak blisko kolan Jerry’ego, że niemal się dotykali.

– To o co chodzi z tym płaszczem?

Jerry dostrzegł, że palce mężczyzny są żółte od nikotyny.

– Wie pan, gdzie żona go kupiła?

– Nie mam pojęcia. Ale to nie był nowy płaszcz. Ona często chodziła do sklepów z używanymi rzeczami. Rozumie pan, Oxfam, Cancer Research i tym podobne. Nie lubiła wydawać pieniędzy i to był jej problem. A właściwie jeden z naszych wspólnych problemów.

– A inne problemy?

– Och, ta kobieca zmienność nastrojów, sam pan rozumie. W jednej chwili tuliła się do mnie, a w następnej w ogóle nie chciała ze mną rozmawiać.

– Czy gdy kupiła ten płaszcz, zmieniło się w jakiś sposób jej zachowanie?

Pan Stebbings popatrzył na Jerry’ego, jakby ten go obraził.

– Nie! – wykrztusił. – Co panu przyszło do głowy?

– Interesuje mnie, czy płaszcz wywarł na nią jakiś wpływ.

– Przecież to był tylko cholerny płaszcz. Poza tym, że prawie nie zdejmowała tego cholerstwa, nie miał na nią żadnego wpływu, bo niby dlaczego?

– Powiedział pan, że prawie go nie zdejmowała. Czy to znaczy, że chodziła w płaszczu również po domu?

– Tak… cóż, ogrzewanie jest obecnie bardzo drogie. Nasz ostatni rachunek za gaz opiewał na ponad sto funtów.

– Przepraszam, że poruszam ten temat, panie Stebbings, ale czy mógłby pan nam powiedzieć, co było przyczyną śmierci żony?

– Utopiła się. W wannie. Tego wieczoru nie było mnie w domu, grałem w darta. Zawsze jej powtarzałem, żeby nie brała kąpieli, kiedy jest sama w domu, ponieważ zdarzało jej się mdleć. Wróciłem mniej więcej o wpół do jedenastej wieczorem i znalazłem ją w wannie, leżała pod wodą. Wyciągnąłem ją i próbowałem ratować, zastosowałem sztuczne oddychanie, ale woda w wannie była już całkiem zimna, musiała więc w niej spędzić kilka godzin.

– Przykro mi – powiedział Jerry. – To pewnie był dla pana wielki szok.

– Cóż, byliśmy zgodnym małżeństwem przez trzydzieści cztery lata. Chociaż ostatnie lata były dla naszego małżeństwa trudne, nie będę udawał, że było inaczej. Ale owszem, przeżyłem wstrząs.

– Gdy ją pan znalazł, dostrzegł pan coś niezwykłego na jej skórze?

Pan Stebbings znów posłał Jerry’emu złe spojrzenie.

– Coś niezwykłego? Co ma pan na myśli?

– Może zauważył pan na jej ciele jakieś włókna?

– Włókna? O czym pan właściwie mówi?

– Chodzi mi o to, czy z jej skóry nie wyrastały cieniutkie włoski.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Nadal pana nie rozumiem.

– W takim razie to wszystko. Nie mam więcej pytań. Nie będziemy już pana dłużej niepokoić.

Policjanci wstali. Pan Stebbings popatrzył na Jerry’ego i powiedział:

– Uczciwie mówiąc, nie rozumiem, w jakim celu do mnie przyszliście.

– Musimy dokładnie sprawdzić jedną z wersji w śledztwie, które prowadzimy, to wszystko.

– Co to za wersja? Co może mieć wspólnego moja zmarła żona z waszym śledztwem? Pytacie o cholerny płaszcz. Nosiła go tak często, że na sam widok tego cholerstwa dostawałem białej gorączki. Nic więcej nie jestem w stanie o nim powiedzieć.

– Nie mogę zdradzić panu, dlaczego interesujemy się płaszczem pańskiej zmarłej żony, panie Stebbings. Ale dziękuję, że poświęcił nam pan czas i odpowiedział na pytania.

Mężczyzna również wstał. Jerry wyczuł w jego oddechu zapach tytoniu.

– Nie to nie. Ale nie będę udawał, że mnie pan nie zaintrygował, bobym skłamał.

Gdy wyszli z domu Stebbingsa, padał już rzęsisty deszcz i pobiegli do samochodu. Kiedy znaleźli się w środku i Jerry włączył silnik, Dżamila powiedziała cicho, ale zdecydowanie:

– On kłamał.

– Co?

Popatrzyła na Jerry’ego, a on po raz pierwszy pomyślał, że jest śliczna, z tymi dużymi, brązowymi oczami i pełnymi wargami o ładnym wykroju.

– Kłamał, kiedy mówił o tym, że znalazł ją w wannie. Powiedział prawdę, że był poza domem i grał w darta, ale to wyjście na darta miało mu posłużyć tylko do uzyskania alibi. Nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że on sam ją utopił przed wyjściem albo po powrocie. Prawdopodobnie przed.

– Skąd wiesz?

– Powiedzmy, że mam pewien talent.

– Talent?

– To jeden z powodów, dla których zostałam policjantką. Zawsze wiem, czy ktoś mówi prawdę, czy kłamie.

– Niby skąd? Ludziom wydłużają się nosy?

– Ja nie żartuję, Jerry. Właściwie nie powinnam ci o tym mówić, ale jeśli twoje podejrzenia związane z płaszczem są uzasadnione, musisz wiedzieć, że pan Stebbings jest kłamcą. Rozmowa o płaszczu z niewiadomego powodu go zdenerwowała, ale doskonale wiedział, o co chodzi, kiedy go pytałeś o włókna.

– Skąd ta pewność?

– Jeżeli ci powiem, nie uwierzysz. Wiem, że ten facet kłamał, i to ci musi wystarczyć. Zgadzam się z tobą, że powinniśmy się dowiedzieć, co się stało z płaszczem, najlepiej go znaleźć i zbadać.

– Może jednak spróbujesz mi to wyjaśnić?

– Niby co?

– Skąd wiesz, że on kłamał. Może ci uwierzę?

– Nie uwierzysz.

– Spróbuj. Jestem nadzwyczaj łatwowierny. Wierzę, że na Księżycu znajduje się posąg Elvisa.

– Nie uwierzysz mi, ponieważ nie jesteś przesądny jak my, Pakistańczycy. My wierzymy w rzeczy nadprzyrodzone. Wielu z nas wierzy w wiedźmy i dżinny, i złe duchy, które nazywamy *bhoot*. Nawet nasz były prezydent Zardari codziennie składał ofiarę z czarnego kozła, aby odegnać od siebie demony. – Rozsunęła kołnierz jasnoszarego swetra i wyciągnęła spod niego mały, czarny woreczek na łańcuszku. – Noszę go na szyi przez całe życie. Nazywa się *ta'wiz* i zawiera słowa z Koranu. Chroni mnie przed złem.

– To jeszcze nie wyjaśnia, dlaczego pan Stebbings poczęstował nas kłamstwami.

– Zanim się urodziłam, mój ojciec przyczynił się do uratowania życia kobiety, którą oskarżono o to, że jest czarownicą. Ktoś z jego wioski uznał, że wywołała pożar, w którym spłonęło kilka domów. Dlatego ludzie postanowili odrąbać jej palce, wydłubać oczy, a potem oblać ją benzyną i podpalić. Ale mój ojciec, który był policjantem, dowiedział się o tym i uratował kobietę, zanim ktoś zdążył zrobić jej krzywdę. Później, kiedy już przyszłam na świat, odwiedziła nas w domu, wiem to od ojca, i przyznała, że naprawdę jest czarownicą, ale rzuca tylko dobre zaklęcia. Jednym z nich

obdarzyła mnie, kiedy leżałam w kołysce. Powiedziała, że dzięki niemu będę wiedziała, kiedy ludzie próbują mnie okłamywać, a to sprawi, że będę bezpieczna. W ten sposób podziękowała mojemu ojcu za to, że uratował jej życie.

– Ciekawa historia – przyznał Jerry. – Ale nadal mi nie powiedziałaś, po czym poznajesz, że ludzie cię oszukują.

– Gdy kłamią, ich oczy robią się zupełnie czarne. Czarne i lśniące jak onyks. Oznacza to, że ich słowa są puste. Czasami czernieją również ich wargi. Kiedy widzę czarne wargi, wiem, że słowa, które słyszę, nie tylko odbiegają od prawdy, ale trują.

– I oczy pana Stebbingsa zrobiły się czarne?

– Tak – odparła Dżamila. – Kiedy tylko powiedział, że jego żona zmarła w czasie kąpieli, zrobiły się zupełnie czarne i błyszczące. Tak samo kiedy odpowiadał na pytania o włókna.

– A jego wargi? Też były czarne?

– Nie. Dlatego uważam, że chciał nas jedynie okłamać, natomiast nie miał wobec nas złych zamiarów.

Jerry patrzył, jak krople deszczu toczą się po przedniej szybie samochodu.

– Nie wiem, co powiedzieć, pani sierżant. Wierzę ci, chociaż nie wiem dlaczego. Jego oczy zrobiły się czarne? Naprawdę?

– Taką władzę dała mi czarownica. To szósty zmysł.

– Uważasz więc, że Stebbings kłamał również wtedy, kiedy mówił o włóknach.

– Z całą pewnością. I właśnie dlatego myślę, że powinniśmy znaleźć ten płaszcz, chociażby po to, żeby wykluczyć możliwość, że miał coś wspólnego z zabójstwami Samiry Wazir i pani Stebbings, jeżeli oczywiście zostały zamordowane.

Jerry przez dłuższą chwilę nad czymś się zastanawiał. Wreszcie się odezwał:

– Wiesz co? Muszę się napić.

13

Sophie poczuła odór, kiedy tylko otworzyła drzwi.

Wiedziała, że zwłoki ludzkie zaczynają się szybko rozkładać, ale nie zdawała sobie sprawy, że ten zapach jest tak obrzydliwy. Smród gnijącego mięsa unosił się w całym domu. Sophie zrobiło się niedobrze. Pobiegła do kuchni i gwałtownie zwymiotowała do zlewu.

Natychmiast wróciła do drzwi i zamknęła je. Nie mogła pozwolić, żeby sąsiedzi coś poczuli. Bezustannie narzekali na Sophie, że zbyt głośno puszcza muzykę albo nie segreguje śmieci. Zanim zdążyłaby się zorientować, zapukałby do drzwi jakiś zaalarmowany przez nich urzędnik.

Rzuciła torbę na sofę w salonie, poszła do małej toalety na parterze, wyciągnęła z kieszeni chusteczkę i spryskała ją odświeżaczem powietrza. Przycisnęła chusteczkę do twarzy i dopiero wtedy weszła na górę.

Mike wyglądał gorzej, niż sobie wyobrażała. Miał błyszczącą, szarą twarz, a z jego oczu wystawały noże. Jego wzdęte wnętrzności miały teraz obrzydliwy zielonkawy kolor.

Sophie otworzyła okno, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza. Deszcz ciągle padał i usłyszała, jak krople wody kapią z pękniętej rynny. Po chwili odwróciła się i znowu popatrzyła na Mike’a. Chociaż widok jego wypatroszonego ciała budził w niej odrazę, nadal była przekonana, że właśnie na to zasłużył: okrutną i niegodną śmierć. Teraz musiała jednak znaleźć sposób, żeby pozbyć się ciała i wysprzątać łóżko.

Zeszła na parter, do kuchni, i wyciągnęła z szuflady żółte lateksowe rękawice. Wróciła na górę, otworzyła bieliźniarkę i znalazła w niej najstarszą powłokę na kołdrę.

Rozłożyła ją na podłodze w sypialni. Gdy obracała Mike’a, znowu ją zemdliło. By dojść do siebie, musiała na moment napiąć mięśnie brzucha i wziąć kilka głębokich oddechów. Kiedy wreszcie poczuła się lepiej, zrzuciła zwłoki z łóżka na dywan. Wylądowały z głuchym odgłosem na boku, a wnętrzności zsunęły się do jej stóp niczym żmije.

Minęło dobre dwadzieścia minut, zanim włożyła sztywne, zimne nogi Mike’a, a potem resztę jego bezwładnego ciała do powłoki. Zdołała wyciągnąć nóż z lewego oka, jednak ten, który utkwił w prawym, zakleszczył się tak mocno, że musiała go w nim zostawić. Wreszcie, przy akompaniamencie głośnego trzasku, mocno przygięła jego głowę w stronę klatki piersiowej i zdołała zapiąć powłokę na wszystkie guziki.

– No i proszę, Mike – powiedziała z triumfem. – Żaden przedsiębiorca pogrzebowy nie znalazłby dla ciebie lepszego całunu.

Little Helpers mieli własną furgonetkę służącą do przewożenia mebli i innych większych darowizn. Używał jej głównie wolontariusz, Jeff, jednak Sophie zdarzało się ją prowadzić, zazwyczaj kiedy Jeff był chory. Zamierzała pożyczyć furgonetkę na najbliższy weekend i wywieźć Mike’a do lasu Ashdown w Sussex. Znała tam wąską leśną drogę o nazwie Kidd’s Hill. Postanowiła zawieźć ciało w to odludne miejsce. Była pewna, że jeśli dopisze jej szczęście, nikt nie zwróci uwagi, jak będzie go zakopywać, i nikt go nigdy nie znajdzie.

Zerwała z łóżka pościel i materac, zakrwawioną poduszkę rzuciła obok zwłok. Z ulgą stwierdziła, że plamy na materacu są prawie niewidoczne. Powinny się sprać, jeśli użyje wybielacza. Potem wystarczy położyć materac na łóżku odwrotną stroną.

Tego wieczoru nie miała już nic do roboty. Okno w sypialni zostawiła otwarte, ale zamknęła drzwi. Najbliższą noc musiała spędzić w salonie na sofie, jednak była to niewielka cena za pozbycie się Mike’a.

W zlewie kuchennym umyła rękawice, zdjęła je, po czym wyszorowała ręce. Nie czuła głodu, tym bardziej że w domu wciąż unosił się obrzydliwy smród, który przez cały czas czuła w ustach. W lodówce miała pół butelki pinot grigio i postanowiła przynajmniej się napić. Przelała wino do dużej szklanki i poszła do salonu.

Wygrałam, pomyślała. Wygrałam i już nigdy nie pozwolę żadnemu mężczyźnie, żeby traktował mnie tak jak Mike. Co on sobie myślał, że kim ja niby jestem? Nie zdawał sobie sprawy, że pewnego dnia będę miała dosyć jego złośliwości i arogancji, dość jego pogardy i jego cholernego chrapania?

Włączyła telewizor. Miała do wyboru teleturniej z udziałem celebrytów, film przyrodniczy o pawianach i lokalne wiadomości z Londynu;

zdecydowała się na program przyrodniczy i wyłączyła fonię. Upiła łyk wina i postanowiła zdjąć kurtkę.

I wtedy zorientowała się, że nie może tego zrobić.

Zaczęła szarpać za klapy, spróbowała ciągnąć rękawy, ale kurtka jakby się do niej przykleiła. Pociągnęła mocniej i w pewnej chwili poczuła ból, taki sam jak podczas depilacji nóg woskiem. Mimo to szarpnęła jeszcze mocniej – teraz ból stał się nie do wytrzymania. Do oczu napłynęły jej łzy. Jęknęła głośno.

Dlaczego nie mogę tego zdjąć? Może ktoś wysmarował kurtkę jakimś klejem, który się stopił, bo w sklepie było dzisiaj bardzo ciepło?

Z całej siły zacisnęła lewą dłoń na kołnierzu i spróbowała zerwać kurtkę z prawego ramienia. Materiał oderwał się od skóry z cichym trzaskiem, poczuła się jednak, jakby ktoś przejechał jej po ramieniu papierem ściernym. Krzyknęła i zaczęła ciężko oddychać, ale złapała kołnierz lewą ręką i przygotowała się na kolejny atak bólu.

Dlaczego to robisz, Sophie? Dlaczego nie zostawisz tej kurtki w spokoju? Przecież doskonale do ciebie pasuje. Jest jakby twoją drugą skórą. Naprawdę sądzisz, że zdołałabyś się zemścić na Mike’u, gdybyś nie miała jej na sobie? Ta kurtka to ja, Sophie, a nie ty. Jak myślisz, skąd wzięłaś tyle sił? Naprawdę uważasz, że zdołałaś samodzielnie go oślepić i wypruć z niego wnętrzności?

Sophie odwróciła się i popatrzyła na swoje odbicie w lustrze nad kominkiem. Co to za myśli? Czyj głos przemawia w mojej głowie? Czuję się, jakbym rozmawiała sama ze sobą, ale przecież tak nie jest. Ktoś wniknął w moje ciało. O mój Boże! Ktoś wdarł się do mojego ciała!

Powoli podeszła do lustra i jeszcze uważniej przyjrzała się sobie. Przez cały czas zaciskała dłonie na kołnierzu. Twarz w lustrze do pewnego stopnia przypominała Sophie, w taki sposób, jak jedna siostra jest podobna do drugiej, ale nie należała do niej. Ta twarz miała ostrzejsze kości policzkowe, bardziej wydatną żuchwę i znacznie wyższe czoło.

Widzisz? Oto prawdziwa ty. To dlatego nie możesz zdjąć kurtki, przynajmniej na razie.

Sophie cofnęła się i niemal upadła, kiedy zahaczyła stopą o dywanik przed kominkiem. Nagle zrobiło jej się zimno. Jeszcze nigdy w życiu nie była tak przerażona. Doświadczyła kiedyś gróźb internetowych – jakaś okropna baba przeklinała ją i straszyła, że rozszarpie jej twarz. Ale nigdy

nie zdarzyło jej się nic takiego jak teraz – groźby wypowiadała ona sama albo ktoś, kto wyglądał jak ona, ale nią nie był.

Wydała z siebie chrapliwy wrzask, ale była tak przerażona, że w ogóle go nie usłyszała. Równocześnie zerwała kurtkę z grzbietu, wyrwała ręce z rękawów i rzuciła nią przez cały pokój. Poczuła przenikliwy ból barków, z jej przedramion sączyła się krew. Poczuła też wilgoć na plecach – bawełniana bluzka z krótkimi rękawami była przesiąknięta krwią.

Na sztywnych nogach podeszła do sofy i sięgnęła po torebkę. Przez chwilę szukała w niej iPhone'a, by wezwać pomoc. Zanim jednak znalazła telefon, zobaczyła, że kurtka zaczyna się poruszać. Lekko zgięta, zdawała się pełznąć w jej stronę, puste rękawy z szelestem omiatały podłogę.

Sophie w panice upuściła iPhone'a i wybiegła z salonu. W holu zerknęła w lustro: cała była we krwi. Nie miała czasu, żeby coś na to poradzić. Zobaczyła, że kurtka dotarła do drzwi salonu, że porusza się tak, jakby ktoś niewidzialny posuwał się na czworaka.

Bez namysłu otworzyła drzwi i wybiegła na zewnątrz, niemal przewracając się na betonowych schodach. Mimo że była przerażona i nie myślała trzeźwo, ostatkiem sił zatrzasnęła za sobą drzwi. Uczyniła to w chwili, w której kurtka sięgnęła rękawami do wycieraczki przed progiem.

Chwiejnym krokiem dotarła do bramy prowadzącej na ulicę, ale dalej nie mogła już iść – zrobiło jej się czarno przed oczami i dziewczyna upadła na chodnik.

Leżała tak kilka minut, aż w końcu zatrzymała się przy niej jakaś taksówka. Kierowca wysiadł z samochodu i pochylił się nad Sophie. Jak przez mgłę słyszała pracujący silnik diesla.

– Co się stało, kochanie? Ktoś na ciebie napadł?

Otworzyła oczy. Widziała tylko trotuar i buty kierowcy. Deszcz wciąż padał, a Sophie czuła przenikliwe zimno.

– Niech mnie pan ratuje.

Usłyszała, jak taksówkarz rozmawia przez telefon. Potem poczuła, że przykrywa ją swoją kurtką.

– Kto ci to zrobił, kochanie? Mieszkasz tutaj? Czy on wciąż tam jest?

– Niech pan tam nie wchodzi – wyszeptała Sophie.

– Co? Nie rozumiem.

– Niech pan tam nie wchodzi. Za nic w świecie niech pan tam nie wchodzi.

Jerry skręcił z Tooting Bec Road w Prentis Road. Już prawie wchodził do swojego wynajmowanego mieszkania, kiedy zabrzęczał jego iPhone.

– Jerry? Tu Saunders.

– Tylko niech mi pan nie mówi, że ktoś znalazł płaszcz.

– Nie, nic z tych rzeczy. Chociaż nie, może to jednak ma z tym coś wspólnego. Mieliśmy telefon ze Świętego Jerzego. Na oddział ratunkowy przywieziono tam młodą kobietę z obrażeniami skóry. Twierdzi, że jej rany spowodowała jakaś kurtka.

– Co?!

– Sierżant Bristow posłał dwóch posterunkowych, żeby z nią porozmawiali, ale oni twierdzą, że nie rozumieją ani słowa z tego, co ona mówi. Dziewczyna jest poważnie poraniona, a lekarz, który ją badał, powiedział, że jakieś włókna wrosły jej w skórę. Według niego obrażenia powstały w chwili, kiedy dziewczyna próbowała je oderwać. Dlatego dzwonię właśnie do ciebie.

Jerry ciężko westchnął. Był wykończony po długim dniu i jeszcze nic dzisiaj nie jadł, jeśli nie liczyć niedokończonej kanapki. Po wizycie u pana Stebbingsa chciał pójść z Dżamilą do pubu na małe piwo i potrawkę wieprzową, ale Dżamila nie piła alkoholu ani nie jadała wieprzowiny.

– Gdzie teraz jesteś? – zapytał Saunders. – Pojedziesz do szpitala i dowiesz się, o co chodzi z tą kobietą?

– Tak jest, sir, jasne. Oddzwonię do pana, kiedy się czegoś dowiem.

14

Jerry musiał spędzić w szpitalnej poczekalni niemal godzinę, podczas gdy opatrywano rany młodej kobiety. Przeczytał wczorajszy „Daily Express” i „Country Life” sprzed roku, a potem wysłał do Dżamili esemesa, informując ją, gdzie jest i co robi. Nie odpowiedziała mu, założył więc, że wyszła do miasta na kolację. Poczuł zazdrość. Chętnie zjadłby indyjskie curry, w szczególności kurczaka tikka masala.

Zastanawiał się właśnie, czy zamówić sobie jedzenie na wynos do szpitala, gdy do poczekalni wszedł lekarz, Hindus, z elegancko przyciętą brodą.

– Detektyw Pardoe?

Usłyszawszy słowo „detektyw”, mężczyzna w średnim wieku siedzący po drugiej stronie poczekalni popatrzył na niego z nienawiścią. Jego twarz była zniszczona, nieogolona, a on sam cuchnął alkoholem na kilometr.

– To ja – odparł Jerry. – Co z tą dziewczyną?

– Może pan sam zobaczyć. Muszę jednak przyznać, że jej obrażenia są doprawdy niezwykłe.

Jerry poszedł za lekarzem na oddział ratunkowy. Za jednym z parawanów przedzielających salę żałośnie płakała jakaś kobieta tuląca do siebie równie zapłakane dziecko. Lekarz poprowadził Jerry’ego w głąb dużego pomieszczenia i odciągnął zasłonę, za którą leżała młoda dziewczyna utrzymująca, że poraniła ją jej kurtka.

Jerry natychmiast ją rozpoznał.

– Cholera jasna – powiedział. – To ty? Mogę ci mówić po imieniu?

Sophie, nienaturalnie blada, leżała na łóżku, jej powieki opadały ciężko, jakby miała za chwilę zasnąć.

– Cześć, Sophie – kontynuował Jerry. – To znowu ja, detektyw Jerry Pardoe. Pamiętasz mnie, prawda?

Sophie powoli skinęła głową. Oddychała z wyraźnym trudem i wyglądała, jakby za wszelką cenę chciała powstrzymać płacz.

Obok łóżka stało plastikowe krzesło. Jerry przysunął je sobie i usiadł.

– Co ci się stało, Sophie? Lekarz powiedział, że masz okropne rany na plecach.

Sophie znowu pokiwała głową, a jej oczy zaszły łzami.

Jerry odczekał chwilę, zanim ponownie się odezwał:

– Powiedziałaś pielęgniarkom, że wszystkiemu winna jest twoja kurtka. Co miałaś na myśli?

– Nie mogłam jej zdjąć – wyszeptała Sophie.

– Nie mogłaś zdjąć?

– Ona jakby przywarła do mojej skóry. Próbowałam ją normalnie ściągnąć, ale nie mogłam. W końcu ją z siebie zdarłam i to strasznie bolało.

– Co to znaczy, że kurtka przywierała do twojej skóry?

Sophie wytarła oczy rąbkiem kołdry.

– Strasznie się bałam. Wszystko wyglądało tak, jakbym to była ja, ale to przecież nie byłam ja. Ta kurtka rozkazywała mi, co mam robić.

– Przepraszam, kochanie, ale chyba cię nie rozumiem.

Sophie zamknęła na chwilę oczy, zbierając siły. Kiedy je otworzyła i zobaczyła, że on siedzi przy łóżku, patrząc na nią ze współczuciem, dała upust swojemu cierpieniu.

– On mnie denerwował, ale nie chciałam zrobić mu krzywdy! Nie chciałam tego! Przysięgam, że tego nie chciałam! To nie byłam ja!

– O kim ty mówisz, Sophie?

– O Mike’u, moim chłopaku. – Zaczęła łkać. – Ostatnio nie układało się między nami zbyt dobrze, ale przecież nie chciałam go tak potraktować! Nigdy bym czegoś takiego nikomu nie zrobiła, niezależnie od tego, jak by ze mną postępował!

– Skrzywdziłaś swojego chłopaka?

– Tak. Ale to nie byłam ja.

– Oczywiście, to nie byłaś ty – powiedział Jerry i chwycił ją za rękę. – Ale co mu właściwie zrobiłaś?

Znów nastąpiła długa cisza i wreszcie Sophie wyszeptała:

– Zabiłam go.

– On nie żyje?

– Tak.

– Jesteś tego pewna?

– Tak.

– W jaki sposób go zabiłaś?

– Wbiłam mu noże w oczy, a potem go wypatroszyłam.

Jerry wyciągnął z kieszeni iPhone’a i notes.

– Sophie, zanotuję twoje słowa i również je nagram. Muszę cię jednak ostrzec, kochanie. Masz prawo w ogóle nic nie mówić. Jednak jeżeli nie odpowiesz na któreś z moich pytań, a później będziesz chciała poruszyć ten sam temat przed sądem, może to negatywnie wpłynąć na twoją sytuację. Wszystko, co odtąd powiesz, może zostać wykorzystane przeciwko tobie. Rozumiesz to?

– Tak. Ale to nie byłam ja. Zrobiłam to. Zabiłam go. Ale to kurtka namówiła mnie do wszystkiego.

– Kiedy to się stało?

– Wieczorem. Mike spał i chrapał, a ja wbiłam mu noże w oczy i rozcięłam brzuch.

– Gdzie on teraz jest?

– W naszym domu przy Lavender Avenue numer dziewięćdziesiąt sześć. Leży w sypialni. Chciałam pozbyć się ciała, ale kiedy zdjęłam kurtkę, strasznie się poraniłam, a kurtka mnie zaatakowała.

– Słucham? Zaatakowała cię kurtka? Nie rozumiem.

Sophie ścisnęła dłoń Jerry’ego tak mocno, że jej paznokcie wbiły mu się w skórę. Nagle usiadła prosto na łóżku, chociaż gwałtowny ruch musiał sprawić jej ból. Jej twarz wykrzywił grymas złości i strachu.

– To nie byłam ja! – krzyknęła. – To ta kurtka mnie do tego zmusiła! A kiedy ją zdjęłam… – Ucichła i opadła z powrotem na pościel. – Kiedy ją zdjęłam i strasznie krwawiłam, kurtka mnie zaatakowała. Zaczęła pełznąć za mną, jakby nie chciała, żebym ją zostawiła.

Przy łóżku pojawili się lekarz i dwie pielęgniarki.

– Wszystko w porządku, detektywie? – zapytał lekarz.

Jerry wstał.

– Myślę, że Sophie doznała poważnego wstrząsu psychicznego, panie doktorze. Potrzebuje spokoju i czasu, żeby dojść do siebie.

– Dostała już środki nasenne. Niech pan się nie martwi, ma tutaj dobrą opiekę – zapewnił lekarz.

Sophie popatrzyła na Jerry’ego i znów się odezwała:

– Wierzy mi pan, prawda?

– Tak, Sophie, wierzę ci. Pojadę do twojego domu i sprawdzę, czy wszystko jest w porządku. Masz klucz?

– Nie, zostawiłam go w środku. Niech pan uważa na kurtkę. Może się czaić za drzwiami.

– Będę bardzo ostrożny, obiecuję ci.

– Niech pan tylko nie próbuje jej wkładać. To jest ta sama kurtka, którą miałam na sobie w sklepie, kiedy pan do mnie przyszedł.

– W takim razie na pewno jej nie włożę. Byłaby na mnie zdecydowanie za mała.

– Zabiłam Mike’a – kontynuowała Sophie. – Zabiłam go, ale to nie byłam ja. Musi mi pan uwierzyć.

– Tak, kochanie. Nie myśl już o tym. Wrócę do ciebie później.

Jerry opuścił oddział ratunkowy i skierował się do głównego wyjścia. Lekarz wyszedł z nim.

– Czy ona twierdzi, że kogoś zabiła? – zapytał.

– Owszem, swojego chłopaka. Mówi, że go zadźgała.

– Jest w stanie histerii. Na razie nie wiemy, jak rozległe są obrażenia. Po pobieżnym badaniu mogę stwierdzić, że w jej skórę wrosły jakieś sztuczne włókna i wiele wskazuje na to, że obrażenia powstały przy próbie ich wyrywania. Mnóstwo ich tkwi jeszcze w skórze. Dziewczyna przeszła ekstremalną traumę, niezależnie od tego, co było jej przyczyną.

– Co to za włókna?

– Na pierwszy rzut oka wyglądają jak cienkie włosy, jednak zdecydowanie nie są to ludzkie włosy. Nawet w przypadku kobiet cierpiących na hirsuityzm włosy są grubsze i ciemniejsze. W pierwszej chwili pomyślałem, że mamy do czynienia z zespołem policystycznych jajników, on też powoduje nadmierne owłosienie, ale kiedy zbadaliśmy te rzekome włosy dokładniej, doszliśmy to wniosku, że nie są to twory pochodzenia organicznego. Nie mieliśmy jeszcze czasu na bardziej dokładne analizy, jednak, chociaż może zabrzmi to dziwnie, według mnie mamy tu do czynienia z jakąś nicią, może jedwabną.

– Jedwabną? Rozumiem. Gdyby dał mi pan próbkę, doktorze, przekazałbym ją specjalistom z laboratorium policyjnego.

– Oczywiście.

Zatrzymali się przy drzwiach wyjściowych. Jerry już miał je otworzyć, gdy lekarz odezwał się jeszcze:

– Naprawdę powiedziała panu, że kogoś zabiła? Wierzy pan w to?

– Nie mam pojęcia. Sam pan powiedział, że dziewczyna jest w stanie histerii. Dlatego przyślemy tu dwóch funkcjonariuszy. Będą współpracować z ochroną szpitala, na wypadek gdyby sprawiała jakieś problemy albo chciała się wypisać na własne życzenie. Trzeba zatrzymać ją w szpitalu za wszelką cenę. A ja wrócę tutaj najpóźniej jutro rano, żeby jeszcze raz z nią porozmawiać.

Mina lekarza świadczyła, że ma jakieś wątpliwości, ale w końcu wzruszył ramionami i powiedział:

– Miałem już do czynienia z wieloma bardzo dziwnymi przypadkami, ale coś takiego jeszcze się w mojej karierze nie zdarzyło. Kto i po co miałby wszczepiać jedwabne nitki w skórę kobiety?

Jadąc na komisariat, Jerry przeczytał esemesa od Dżamili: „Potrzebowałeś mnie?”.

Zadzwonił do niej, posługując się zestawem głośnomówiącym, i opowiedział jej o Sophie i o rzekomym zabójstwie.

– Za chwilę pojadę tam z kilkoma mundurowymi, żeby zweryfikować te opowieści. Na wszelki wypadek weźmiemy taran. Podejdę do sprawy poważnie, chociaż możliwe, że dziewczyna była w szoku i wszystko sobie zmyśliła. Może była naćpana. Jedno jest pewne: musimy tam jechać i sprawdzić.

– Zobaczymy się na posterunku. Wracam właśnie ze spotkania w Centrum Pomocy Kobietom Azjatyckim.

– A ja myślałem, że wyszłaś na curry. Zazdrościłem ci, że masz na to czas.

– Naprawdę? Może pewnego dnia zaproszę cię na curry według mojego przepisu. Przyrządzam wyśmienitą kimę.

– Gdybym wiedział, co to takiego, pewnie pociekłaby mi ślinka.

Dżamila czekała na niego w pokoju detektywów. Wyglądała na zmęczoną i rzeczywiście była wykończona. Mimo to oboje zeszli natychmiast na parter do sierżanta Bristowa, żeby przydzielił im umundurowaną grupę wsparcia w celu sprawdzenia budynku mieszkalnego, w którym można spodziewać się PS.

– Co to jest PS? – zapytał Bristow.

– Prawdopodobnie sztywniak – odpowiedział mu Jerry.

– W takim razie nie zapomnij inhalatora.

Miał na myśli pojemnik z silnym środkiem o mentolowym zapachu, z którego często korzystają przedsiębiorcy pogrzebowi i patolodzy, którzy w swojej pracy mają do czynienia z rozkładającymi się zwłokami.

Dwójka policjantów patrolowała akurat Lavender Avenue niedaleko mieszkania Sophie i sierżant Bristow uzgodnił z nimi, że za piętnaście minut spotkają się z Jerrym i Dżamilą przed domem numer dziewięćdziesiąt sześć. Na wyposażeniu samochodu patrolowego mieli akurat taran, w razie potrzeby mogli więc bez problemu sforsować drzwi wejściowe.

– O co chodzi z tym Centrum Pomocy Kobietom Azjatyckim? – zapytał Jerry, kiedy jechali na Lavender Avenue.

– Działam w tej organizacji już od ponad roku – odparła Dżamila. – Częściowo jest to grupa towarzyska, częściowo centrum informacyjne, a częściowo miejsce, w którym mogą znaleźć pomoc Azjatki, wobec których ktoś dopuścił się przemocy.

– Brzmi szlachetnie.

– Żebyś wiedział, Jerry. Nasze Centrum uratowało już życie kilku kobietom.

Gdy zajechali na Lavender Avenue, samochód patrolowy stał już przed domem Sophie. Był to mały szeregowiec, otynkowany od frontu tynkiem kamyczkowym. Podobne budynki po raz pierwszy pojawiły się na południowych przedmieściach Londynu w latach trzydziestych XX wieku. Przed sąsiednim domem stali starszy mężczyzna oraz kobieta i z zainteresowaniem obserwowali, co się dzieje. Mężczyzna trzymał nawet w ręce kubek z herbatą i palił papierosa.

– Nie ma tu nic do oglądania, kolego – powiedział Jerry, mijając dom sąsiadów.

– Ci młodzi ludzie ciągle się awanturują i wyzywają od najgorszych – zareagowała kobieta, jakby ten fakt usprawiedliwiał, że stoi teraz z mężem przed domem i wypatruje sensacji.

– Właśnie, tam są bezustanne cholerne awantury – wtrącił jej mąż. – Juz wiele razy dzwoniliśmy ze skargą.

– Z pewnością później będziemy chcieli z państwem o tym porozmawiać – powiedziała do niego Dżamila. – Tymczasem mój kolega ma absolutną rację. Tutaj nie ma nic do oglądania.

W skład patrolu wchodzili przysadzisty czarnoskóry policjant i drobna ruda policjantka. On trzymał w rękach taran i czekał niecierpliwie przed pomalowanymi na żółto drzwiami na sygnał do rozpoczęcia akcji.

Jerry nacisnął dzwonek, a potem zapukał, na wypadek gdyby Sophie fantazjowała, a jej chłopak wciąż przebywał w domu, cały i zdrowy.

– Co pan robi? Podobno tam są tylko zwłoki? – zdziwiła się policjantka.

– Do szpitala Świętego Jerzego przywieziono młodą kobietę z poważnymi obrażeniami – wyjaśnił jej Jerry. – Powiedziała, że zamordowała swojego chłopaka. Twierdzi, że wykłuła mu oczy, a potem rozpruła brzuch. Raczej jej nie wierzę.

– Chciałbym to zobaczyć – powiedział czarnoskóry funkcjonariusz.

Jerry jeszcze raz zadzwonił. Gdy minęło kolejne piętnaście sekund, zdecydował:

– W porządku. Wyważamy drzwi.

Policjant zamierzył się taranem i rozbił drzwi jednym silnym uderzeniem. Tani zamek Yale wypadł z framugi. Już na progu dało się wyczuć w powietrzu zgniły zapach śmierci.

– Cholera – jęknęła Dżamila. – Ta twoja dziewczyna mówiła prawdę. – Pomachała dłonią przed nosem. – Boże… Mam nadzieję, że nie zwymiotuję. Niedawno zjadłam solidnego cheeseburgera.

Jerry włączył latarkę i oświetlił ciemny hol. Tak jak powiedziała Sophie, na podłodze leżała pognieciona granatowa kurtka.

– To jest ta kurtka. – Pokazał Dżamili. – Zrób jej zdjęcie, okej?

– A po co? – zapytała, wyciągnęła jednak iPhone’a i zrobiła to, o co Jerry ją poprosił.

– Później ci wyjaśnię. Ale to jeden z powodów, dla których Smiley chciał, żebyśmy właśnie my się tym zajęli. Pardon, miałem na myśli inspektora Saundersa – dodał i odwrócił się do policjantów z groźną miną, na wypadek gdyby przyszło im do głowy, że oni także mogą mówić o inspektorze „Smiley”.

Jerry wszedł do salonu, a następnie do kuchni. Odór rozkładu był tak silny, że trudno mu było zgadnąć, gdzie się znajduje jego źródło. Zajrzał do małej łazienki na parterze, jednak niczego w niej nie znalazł.

– To chyba dociera z góry – powiedział czarnoskóry policjant.

Jerry ruszył po stromych, wąskich schodach. Sprawdził łazienkę, a następnie uchylił drzwi do sypialni. Było tam chłodno, ponieważ ktoś

wcześniej otworzył okno, jednak w pomieszczeniu unosił się smród nie do zniesienia. Oświetlił latarką podłogę i promień światła natrafił na powłokę do pościeli. Jej kształt nie pozostawiał wątpliwości. Powłoka była w wielu miejscach wilgotna, a dywan, na którym leżała, upstrzony był ciemnożółtymi plamami.

Jerry przyłożył lewą rękę do nosa i ust. Pożałował, że nie skorzystał z rady sierżanta i nie wziął z komisariatu środka zabijającego odór. Z kieszeni wyciągnął czarne lateksowe rękawice i starannie założył je na dłonie, naciągając każdy palec osobno. Następnie ostrożnie wszedł do sypialni i przykucnął przy powłoce. Dżamila obserwowała go z progu.

Położywszy latarkę na podłodze, Jerry guzik po guziku rozpiął poszewkę, uniósł górną część i zajrzał do środka. Zobaczył kark Mike'a i jego ramiona, a kiedy uniósł materiał wyżej, dostrzegł także zielonożółte wnętrzności zalegające na jego kolanach. Twarzy nie było widać. Jerry nie chciał dotykać denata, zanim sfotografują go technicy, koniecznie w takiej pozycji, w jakiej został znaleziony. Nie mógł się więc przekonać, czy Sophie mówiła prawdę, że wbiła chłopakowi noże w oczy.

– Na pewno w jednej sprawie nie kłamała – stwierdził, ściągając rękawice. – Rozpruła mu brzuch.

Dżamila zadrżała.

– Zadzwonię po techników. My nie mamy tu nic do roboty.

– A ja zadzwonię do Bristowa, żeby przysłał więcej ludzi – powiedział Jerry. – No i muszę zorganizować nadzór nad Sophie w szpitalu. Lepiej, żeby nam nie zniknęła, zanim ją aresztujemy.

Mundurowi czekali w salonie. Nie musieli zadawać pytań, żeby zrozumieć, że detektywi znaleźli zwłoki.

– Wcale nie musiałaby się bardzo starać, żeby pozbyć się zwłok – zauważył funkcjonariusz. – London Road Cemetery jest praktycznie za rogiem, a w ogrodzie zauważyłem taczki.

Jerry z trudem powstrzymał się od uśmiechu.

– Otoczmy front domu taśmą, dobrze? – zarządził. – Musimy trzymać z daleka tych ciekawskich sąsiadów.

Jeszcze raz rozejrzał się po kuchni i salonie, jednak nie natrafił na nic, co mogłoby wskazywać, że Sophie i jej chłopak pokłócili się na parterze i dopiero potem poszli na górę – nie dostrzegł żadnych porozbijanych

talerzy, żadnych porozrzucanych poduszek. Kiedy wyszedł z salonu, zorientował się, że granatowej kurtki nie ma już w holu.

– Hej! – zawołał do policjanta, który rozwijał przed domem biało-niebieską taśmę. – Zabrałeś stąd tę kurtkę?

Funkcjonariusz pokręcił głową.

– Zauważyłem, że jej nie ma, ale pomyślałem, że pan ją zabrał.

Dżamila również wyszła przed dom i rozmawiała z szefem ekipy techników. Jerry podszedł do niej i zapytał:

– Może ty zabrałaś tę kurtkę?

Dżamila dokończyła rozmowę i zmarszczyła czoło.

– Oczywiście, że nie, niczego nie dotykałam.

– Nigdzie jej nie ma. Po prostu zniknęła.

– Dziwne – powiedziała Dżamila. – Dokładnie to samo stało się w domu Wazirów. A przecież odzież nie może znikać tak po prostu, sama z siebie. Może zabrał ją któryś z sąsiadów, kiedy byliśmy na górze?

– Zapytam ich.

Jerry poszedł do sąsiedniego domu. Starsza para wciąż wypatrywała, co się dzieje w budynku obok. Do kobiety i mężczyzny, który znów palił papierosa, dołączył jeszcze jeden sąsiad.

– Przepraszam, czy ktoś z państwa widział tu gdzieś granatową aksamitną kurtkę? – zapytał.

Wszyscy troje popatrzyli na niego ze zdziwieniem.

– Jeszcze przed chwilą leżała u waszych sąsiadów w holu na podłodze, jednak…

– Jednak co, kolego? – zapytał jeden z mężczyzn, wypuszczając w powietrze kłąb dymu.

– Nic, nieważne.

– Granatowa aksamitna kurtka, kolego? Nie, nie widziałem.

15

Jamie nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Pokuśtykał w alejkę pomiędzy biblioteką publiczną a lokalem sieci Subway, żeby wreszcie ulżyć pełnemu pęcherzowi, i przy bocznych drzwiach do biblioteki zobaczył na schodach wymięty szary płaszcz.

Przez większość popołudnia padał deszcz, jednak płaszcz leżał pod ukośnym daszkiem nad schodami i dlatego gdy Jamie go podniósł, stwierdził, że jest tylko odrobinę wilgotny. Po układzie guzików zorientował się, że ma do czynienia z damską garderobą, Jamie był jednak wąski w ramionach i chudy jak szkielet, jeśli nie liczyć lekko wydętego brzucha, płaszcz zatem doskonale na niego pasował.

Temperatura spadła poniżej pięciu stopni, a on miał na sobie jedynie cienki bawełniany sweter, wyblakłą dżinsową kurtkę i spodnie z dziurami na kolanach. Wcześniej chciał się trochę ogrzać w pubie Long Room, ale barman ani myślał go tolerować i kazał mu się wynosić. Jamie już dawno przestał czuć własny smród i prawie się już nie rozpoznawał, patrząc na swoje odbicie w szybach wystaw sklepowych, szczególnie z powodu ogromnej rudej brody.

Kiedyś sam był barmanem, w The Castle. Ale któregoś dnia wprowadził się do niego Damon, a Damon był uzależniony od heroiny. Nie minęło kilka tygodni i namówił Jamiego, żeby też jej spróbował, i po tej pierwszej próbie jego życie zaczęło się błyskawicznie rozpadać. Obecnie jak przez mgłę pamiętał dni, kiedy miał pracę, pieniądze, samochód i śliczną blondwłosą narzeczoną o imieniu Carole.

Zdołał znaleźć miejsce w Thames Reach, ośrodku dla bezdomnych, ale tam wdał się w zatarg z innym narkomanem i po trzech miesiącach został zmuszony do odejścia. Od tego czasu sypiał pod drzwiami sklepów, żebrał i kradł, żeby zgromadzić sto funtów, których codziennie potrzebował na heroinę. Zazwyczaj nie był w stanie zebrać tyle, ile potrzebował, i całymi

godzinami przesiadywał w bibliotece, drżąc z zimna, głodu narkotykowego i braku jedzenia.

Ale w tej chwili… Bóg chyba spojrzał na niego z niebios, zobaczył, jak strasznie marznie, i zesłał mu z góry ten gruby szary płaszcz.

Pośpiesznie go włożył, po czym wysikał się na kosze do śmieci, które stały przy drzwiach do biblioteki. Następnie zapiął płaszcz i podniósł kołnierz. Popatrzył na wąski skrawek burego nieba pomiędzy budynkami i powiedział:

– Dziękuję ci, Panie. Zawsze byłem pewien, że jeszcze o mnie nie zapomniałeś.

Wrócił na Mitcham Road. Płaszcz nie tylko go grzał, mógł w nim spokojnie wejść do sklepu Carphone Warehouse i ukradkiem wrzucić do przepastnych kieszeni kilka telefonów komórkowych. Bóg nie tylko ochronił go dzisiaj przed zimnem. Ułatwił mu także zdobycie środków na kupno heroiny.

Później wrócił na ulicę i wlókł się noga za nogą. Po kilku minutach poczuł, że nowy płaszcz kłuje go w plecy. Nie było to bynajmniej przyjemne kłucie – czuł się tak, jakby oblazły go wszy. Znał to uczucie, ponieważ doświadczał go aż nazbyt często, odkąd zaczął mieszkać w hostelach, schroniskach dla bezdomnych i na ulicach.

Mijał właśnie sklep Primarku, wszedł więc do przedsionka i rozpiął płaszcz, chcąc go zdjąć i porządnie wytrzepać. Może właśnie z powodu wszy ktoś go zostawił w alejce? Jeśli tak, mógł go w ciągu piętnastu minut wyprać w pralni samoobsługowej i wysuszyć w suszarce bębnowej. To by wystarczyło, żeby wytępić wszy. Zrobił tak już kiedyś po nocy z dziewczyną, którą zgarnął z Oxford Street. Jego kumpel Marcus ostrzegał go, że to jest „wszawa dziwka”, jednak mu nie uwierzył, a okazało się, że to ostrzeżenie miało znaczenie jak najbardziej dosłowne.

Tymczasem teraz, mimo że bardzo się starał, nie potrafił ściągnąć płaszcza z grzbietu. Nie chodziło o to, że był ciasny – Jamie miał po prostu wrażenie, że przykleił się mu do skóry, razem ze swetrem. Zaczął ciągnąć za mankiety, chcąc najpierw uwolnić ręce, jednak płaszcz ściśle do nich przylegał. Dwie kobiety, które chciały wejść do sklepu, zatrzymały się w progu i przypatrywały mu się z niedowierzaniem, gdy wił się i walczył z okryciem, próbując zrzucić je na ziemię.

– Masz kłopoty, kochaniutki? – zapytała jedna z nich. – Czy trenujesz *do Tańca z gwiazdami*?

Jamie wyszczerzył zęby i potrząsnął głową. Jeszcze energiczniej zaczął się zmagać z niesforną garderobą, aż w pewnej chwili poczuł, że płaszcz odrywa się od ciała razem z dużym płatem skóry, i poczuł taki ból, że musiał zaniechać dalszych wysiłków. Znieruchomiał w sklepowym przedsionku, ciężko dysząc z bólu i frustracji, a z każdą mijającą sekundą kłucie stawało się coraz bardziej dokuczliwe.

Zerknęło na niego kilku przechodniów, ale był tak obleśny i brudny, że nikt nie miał ochoty się do niego zbliżać.

Jamie był pewny, że tym razem nie chodzi o wszy. Owszem, one potrafiły człowiekowi dokuczyć, ale teraz miał do czynienia z czymś gorszym. Płaszcz był prawdopodobnie zakażony świerzbowcem albo nasączony jakimś niebezpiecznym związkiem chemicznym. Szpital Świętego Jerzego znajdował się w odległości dziesięciu minut szybkiego marszu. Jamie uznał, że musi pójść na oddział ratunkowy i poprosić o pomoc lekarzy.

Na razie jednak usiadł, oparty plecami o wystawę sklepową, z nadzieją, że gdy się uspokoi, wszelkie dolegliwości ustąpią. Wydawało mu się, że ból powoli mija. Jednocześnie poczuł zawroty głowy, jakby zaraz miał zemdleć. Rozejrzał się po ulicy – patrzył na mijających go przechodniów, na przejeżdżające samochody i autobusy. Przez chwilę widział wszystko jak na negatywie fotograficznym. Chmury na niebie i ludzkie twarze wydawały się czarne, a ulica, trotuar i wystawy sklepowe białe, chociaż jakby za mgłą.

Wewnątrz też poczuł się inaczej, jakby dotychczasowa zawartość jego ciała uciekła mu przez stopy i został w całości wypełniony przez kogoś zupełnie innego.

Dlaczego jesteś zaskoczony? Ty nie jesteś Jamie. Dlaczego zawsze się za niego uważałeś? Myślałeś, że Jamie to ty, i popatrz, co się z tobą stało. Ale wróciłeś w końcu do własnej osobowości i teraz wszystko będzie lepsze. Nie tylko lepsze, wręcz cudowne.

Zdołał wstać. Oparłszy się o okno wystawowe Primarka, popatrzył na swoje odbicie. To, co zobaczył, zaskoczyło go, ale i zafascynowało. Odniósł wrażenie, że bardziej przypomina kobietę niż mężczyznę, mimo że nadal miał brodę. W rzeczy samej wiedział, że jest kobietą. Jego tęczówki zawsze były zielone, ale teraz zrobiły się ciemne i lśniące, a oczy o wiele

większe niż jeszcze przed chwilą. Brwi miał pięknie wyrównane. Sweter zdawał się ciaśniej go opinać, a kiedy Jamie dotknął klatki piersiowej, odkrył, że ma biust jak kobieta. Pomacał go z niedowierzaniem. Mam cycki. Mam cycki? Kim ja jestem? Czym jestem?

Kręciło mu się w głowie i z trudem utrzymywał równowagę. A jednak nie bał się. Czuł się tak, jakby ta metamorfoza była zupełnie naturalna, dziwił się tylko, że nastąpiła tak niespodziewanie, w samym centrum hałaśliwej dzielnicy Tooting, we wtorkowy wieczór, wśród mijających go i gapiących się na niego ludzi.

Powoli ruszył w stronę skrzyżowania z Tooting Broadway, lekko kulejąc na jedną nogę i pociągając drugą. Po drugiej stronie ulicy widział na rogu Carphone Warehouse.

Muszę tam wejść i ukraść kilka telefonów.

Ach… to właśnie zrobiłby Jamie. Ale ty nie musisz. Jesteś kobietą. Już nie musisz kraść. Znasz inne sposoby zarabiania pieniędzy.

Jakie inne sposoby? Przecież ja nie mogę być kobietą. Jestem Jamie. Jestem mężczyzną.

Byłeś mężczyzną, Jamie. Ale już nim nie jesteś.

Mało ważne, kim jestem. Skoro twierdzisz, że jestem kobietą, to jestem kobietą. Potrzebuję hery. Muszę zdobyć działkę, bo w przeciwnym razie dostanę cholernego zawału serca i umrę tutaj, na środku ulicy.

Znasz inne sposoby zarabiania pieniędzy. Rozejrzyj się.

Gdzie? Co?

Jamie odwrócił się, a w głowie zakręciło mu się tak mocno, że niemal upadł. W odległości mniej więcej stu metrów zobaczył sikha z czarną brodą, w okularach i niebieskim turbanie, czekającego na autobus pod wiatą przystanku na Mitcham Road. Miał na sobie krótki beżowy płaszcz przeciwdeszczowy, a w ręce trzymał neseser.

Oto on. Potencjalny klient. Założę się, że brakuje mu tego w domu.

Co mam mu powiedzieć? Nie mogę go nigdzie zabrać, bo przecież nie mam dokąd.

Po prostu zapytaj go, czy nie chciałby pójść z tobą na tyły Primarku, a ty już będziesz wiedziała, jak go uszczęśliwić.

Nie wiem. Boję się. Co będzie, jeśli każe mi spierdalać?

Nie każe. A jeśli nawet, to po prostu odpowiesz mu, że w porządku, że jego strata. Pożałujesz tego, przyjacielu, kiedy wrócisz do domu

i zobaczysz swoją wielką, tłustą, brzydką żonę okutaną w sari, tak mu powiesz.

W mózgu Jamiego kotłowały się różne myśli. Nie mógł uwierzyć, że sprzecza się sam ze sobą, że tkwiąca w nim kobieta jest silna i władcza, a jego własne potrzeby fizyczne osiągają dręczący punkt kulminacyjny. Zobaczył przed oczyma oślepiające błyski białego światła, a chodnik pod jego stopami zdawał się kołysać niczym pokład statku płynącego po wzburzonym oceanie.

Podszedł do sikha i stanął przed nim, lekko się chwiejąc. W pierwszej chwili tamten chciał go zignorować, ale Jamie był tak blisko i uśmiechał się tak lubieżnie, że w końcu się odezwał:

– Odejdź.

– Może chciałbyś się zabawić? – zapytał Jamie.

– O jaką zabawę ci chodzi? Idź stąd.

– A może miałbyś ochotę na szybki numerek?

– Co? Odejdź stąd, proszę.

– Możemy to zrobić za sklepem. Za dziesiątaka.

– Proszę, odejdź stąd, człowieku, zostaw mnie w spokoju. Nie rozdaję pieniędzy żebrakom ulicznym.

– Ja wcale nie żebrzę. Oferuję ci usługę. Chcę jedynie dziesiątaka za najlepsze obciąganko, jakie ci się zdarzy w życiu. Zrobimy to błyskawicznie. Nawet nie przegapisz swojego autobusu.

– Po raz ostatni proszę cię, odejdź – powiedział sikh. – Jeśli to ma być jakiś dowcip, wcale nie jest zabawny. Strasznie cuchniesz i nie interesuje mnie żadna twoja oferta.

Jamie pochylił się ku niemu i złapał go za klapy płaszcza przeciwdeszczowego.

– Wyobraź sobie, że jestem bardzo piękna. Powinieneś zobaczyć mnie nagą. Gdybyś zobaczył mnie nagą, na pewno byś mnie zechciał.

Sikh postawił neseser na ziemi i wykręcił Jamiemu ręce w nadgarstkach.

– Zabieraj ode mnie brudne łapy i zostaw mnie w spokoju! – krzyknął.

Jamie puścił jego płaszcz i klepnął go mocno w ramię.

– Ty niewdzięczny draniu! – wrzasnął głosem tak wysokim, że rzeczywiście zabrzmiał jak kobiecy. – Jak wrócisz do domu, popatrz z bliska na swoją wielką, tłustą, wstrętną żonę! Wtedy pożałujesz, że nie poszedłeś ze mną za sklep!

Wokół nich zgromadziła się już mała grupa ludzi, nikt jednak nie zdobył się na odwagę, żeby się wtrącić. Przez chwilę obok przystanku nie przejeżdżał żaden samochód, ale gdy zmieniły się światła na skrzyżowaniu, nagle ruch się wzmógł i znienacka przy krawężniku zahamował policyjny radiowóz. Sikh zszedł na jezdnię i zastukał w szybę.

– Proszę… potrzebuję pomocy – powiedział. – Ten facet mnie zaczepia i składa mi nieprzyzwoite propozycje.

Policjantka siedząca obok kierowcy zerknęła na Jamiego, który kołysał się i spoglądał lubieżnie na sikha, ściskając dłońmi piersi.

– Jasne, proszę pana – powiedziała.

Samochód wjechał na chodnik i kobieta wysiadła. Z drugiej strony pojawił się przysadzisty funkcjonariusz, który siedział za kierownicą.

Policjantka podeszła do Jamiego i powiedziała:

– Ten dżentelmen twierdzi, że mu się pan naprzykrza.

Jamie zrobił kokieteryjną minę. Głowa kobiety urosła w jego oczach do ogromnej wielkości, a potem zmalała do rozmiaru piłeczki tenisowej.

– Wcale się nie naprzykrzam. Oferowałam mu jedynie usługę.

– Jaką usługę?

Jamie wskazał za siebie, w kierunku sklepu.

– Szybkie obciąganko za Primarkiem. Za jednego dziesiątaka. Facet niepotrzebnie się wkurzył. Chodzi o to, chodzi o to, że… Chryste, zbieram na działkę heroiny. Potrzebuję działę, i to szybko.

Teraz zainteresował się nim policjant. Był wyższy od Jamiego i stanąwszy przed nim, zasłonił mu widok. A kiedy się odezwał, Jamiemu się wydawało, że jego dudniący głos dociera do niego z dna studni.

A może właśnie tam się znalazłem? Na dnie studni, jak dziewczynka z *Kręgu*?

– Proponowałeś mu obciąganko? – zapytał policjant.

– No i co z tego? – zapytał Jamie zuchwale, ale niespodziewanie się zachwiał i nie upadł tylko dlatego, że policjant złapał go za łokieć i mocno przytrzymał.

– Najlepiej będzie, jeśli pójdziesz z nami – stwierdziła policjantka. – Jak się nazywasz?

Jamie zmarszczył czoło.

– Jak się nazywam? – Zastanawiał się długo i intensywnie, jednak myśli w jego głowie przewalały się tak ciężko jak mokry beton w betoniarce,

przed oczyma zapalały mu się światła stroboskopowe, a policjantka na zmianę robiła się mniejsza i większa. Przyszło mu do głowy, że kobieta to oddala się, to przybliża. – Nie wiem – mruknął. – Nie pamiętam, jak się nazywam. Nawet nie wiem, kim jestem. To przez ten płaszcz.

– Aresztuję pana pod zarzutem nagabywania w celach nierządnych i nieobyczajnego zachowania w miejscu publicznym – powiedziała policjantka.

Dwoje funkcjonariuszy wzięło Jamiego pomiędzy siebie i po chwili wepchnęli go na tylną kanapę radiowozu.

– O rety – jęknął policjant, machając ręką przed nosem. – Dawno nie miałem do czynienia z takim śmierdzielem.

16

Davida obudził dzwonek przy drzwiach. Otworzył oczy i popatrzył na tapetę w czerwone róże. W pierwszej chwili nie wiedział, gdzie się znajduje.

Gdzie ja jestem? Czyja to sypialnia? Jak się tutaj znalazłem?

Usiadł. Ponownie usłyszał dzwonek i po chwili dobiegł go głos kobiety:

– Evie? Evie, jesteś tam?

Ktoś przyszedł do Evie, ale przecież wiesz, co jej zrobiłeś. Ukarałeś ją, zemściłeś się za te wszystkie lata.

Wygramolił się z łóżka i ruszył schodami na dół. Na przedostatnim stopniu poplątały mu się nogi i byłby spadł, gdyby w ostatniej chwili nie złapał się poręczy.

Znów rozległ się dzwonek. Po krótkiej chwili ktoś zapukał do drzwi i zawołał:

– Evie? To ja, Bella! Wstałaś już?

David otworzył drzwi. Na progu stała piegowata kobieta w białym płaszczu przeciwdeszczowym. W ręce trzymała dużą, kolorową torbę.

Rzuciła na niego jedno krótkie spojrzenie.

– Och! David! Przepraszam.

Dopiero wtedy przypomniał sobie, że jest ubrany tylko w sweter, który znalazł w domu matki. Pociągnął za jego skraj, żeby zakryć przyrodzenie.

– Jest Evie? – zapytała Bella, odwróciwszy głowę.

– Evie? Nie. Evie, eee… pojechała odwiedzić siostrę.

– Pojechała do siostry? Nic mi nie mówiła. Miałyśmy dzisiaj pójść na zakupy. Jest wyprzedaż u Morleya.

– Jej siostra niezbyt dobrze się czuje. Właściwie nie wiem, co się stało, ale poprosiła Evie, żeby przyjechała do Watford i zajęła się jej dziećmi.

– Ale dlaczego do mnie nie zadzwoniła?

– Nie mam pojęcia. I nie wiem, kiedy wróci.

Bella sięgnęła do kieszeni płaszcza i wyciągnęła telefon komórkowy.

– Zadzwonię do niej. Nie mogę uwierzyć, że się ze mną nie skontaktowała, skoro wiedziała wcześniej, że nici z dzisiejszych zakupów.

Zaczęła wybierać numer, ale David ją powstrzymał.

– To nic nie da. Zostawiła telefon w domu.

Bella odwróciła głowę i w końcu popatrzyła na niego.

– Nie zabrała telefonu? Evie? Nie wierzę.

– Bardzo się śpieszyła i była zdenerwowana.

– Masz może numer do jej siostry? Na pewno masz.

– Niestety, nie. Evie ma ten numer zapisany w swoim telefonie, a ja nie znam do niego hasła.

– Jak się nazywa jej siostra? Na pewno znasz jej adres. Uzyskam numer w informacji.

– Chyba Atkins. Albo Watkins. Nie jestem pewien. I nie znam jej adresu. Przeprowadziła się do Watford zaledwie w marcu i jeszcze nigdy tam nie byłem.

Bella stała przez chwilę w progu z rozdrażnioną miną. Wreszcie się odezwała:

– A może wiesz przynajmniej, gdzie pracuje jej mąż?

– Nie mam pojęcia. Chyba jest adwokatem, ale głowy za to nie dam. Najlepiej poczekaj, Evie na pewno się do ciebie odezwie. Z pewnością zadzwoni, prędzej czy później.

– Chyba nie mam innego wyjścia.

Bella odwróciła się na pięcie i poszła. Na odchodne trzasnęła żelazną furtką, żeby zademonstrować swoje rozczarowanie, i po chwili wsiadła do jasnożółtego fiata 500. Z tyłu siedziała druga kobieta; David rozpoznał jedną z przyjaciółek Evie. Nie pamiętał jej imienia, ale pamiętał, że gdy ją widywał, baba bez przerwy paplała, nigdy nie zamykały jej się usta.

Zamknął drzwi i wszedł do kuchni. Evie leżała na boku, wpatrując się w szare kafelki na podłodze, krwawe plamy na jej plecach przypominały trochę mapę obu Ameryk. Jej otwarte oczy były mętne. Kotka chodziła wokół niej, wyraźnie nie rozumiejąc, dlaczego Evie nie wstaje i nie karmi jej jak zwykle. Popatrzyła na Davida i miauknęła.

Jak dla mnie, możesz zdechnąć z głodu, ty upierdliwy sierściuchu. Evie wiedziała, że masz alergię na koty, prawda? Ale upierała się, żeby mieć kota w domu. „Potrzebuję towarzystwa, kiedy jesteś w pracy”, mówiła.

Poważny problem, prawda? Bo przecież nie mogliście mieć dzieci. A czyja to była wina? Jego – bo miał za słabe nasienie.

David poczuł pewien żal, że Evie nie żyje. W końcu spędzili razem prawie siedem lat i przez większość tego czasu byli szczęśliwi, mimo że Evie naprawdę bardzo chciała urodzić dziecko. Głośno o tym mówiła, głośno marzyła, wyobrażała sobie, że jest w ciąży, a to doprowadzało do bezustannych sprzeczek. Pewnego razu powiedziała, że słyszała śmiech dziecka w sąsiednim pokoju. Jednak David był przeciwny temu, by do zapłodnienia użyto nasienia anonimowego dawcy. To by było tak, jakby się zgodził, żeby się przespała z innym mężczyzną. No i to dziecko nigdy nie byłoby jego.

Popatrzył na plasterki cebuli, które wciąż leżały na desce do krojenia. Wyschły już, jednak dużo świeżych główek leżało w korytku na warzywa. Była tam też marchew, połowa brukwi, a w lodówce widział fasolę. Mógł sobie przygotować potrawkę z jarzynami.

Przyklęknął obok martwej żony i delikatnie położył dłoń na jej ramieniu. Jeśli ugotuje potrawkę, nie tylko wystarczy mu na kilka porządnych posiłków, ale rozwiąże też problem, co zrobić ze zwłokami. Poćwiartuje je, zapakuje w folię i zamrozi, a przez kolejne miesiące będzie mógł bardzo dosłownie realizować obietnicę, którą złożył, kiedy się oświadczał: „Ty i ja kiedyś staniemy się jednością”.

A kości? Cóż, roztrzaska je młotkiem, a potem będzie spuszczał po trochu w toalecie, aż pozbędzie się wszystkich.

Wstał. Był zadowolony, że wymyślił ten plan, tym bardziej że na pewno spodobałby się matce.

Evie nigdy nie była dla niego sprawiedliwa. Nie doceniała jego klasy. Za to skończy dokładnie tak, jak na to zasłużyła. Takie było jej przeznaczenie. Zostać ludzkim odpadem.

Otworzył szufladę ze sztućcami i wyciągnął ostry nóż do ćwiartowania mięsa. Ukląkł na podłodze i odsłonił udo. Jej ciało było miękkie i plastyczne. Czubkiem noża wytyczył na skórze prostokąt o wymiarach mniej więcej osiem na piętnaście centymetrów i ostrożnie wykroił spory kawał mięsa ze skórą. Okazało się bledsze i tłustsze, niż się spodziewał. Ułożył mięso na dłoni i powąchał. David czytał gdzieś, że według ludożerców smak ludzkiego mięsa jest podobny do wieprzowiny – to dlatego nazywali swoje ofiary „długimi świniami” – jednak ten kawałek,

który trzymał w rękach, nie pachniał jak wieprzowina; nie pachniał zresztą jak żadne inne mięso, które David jadł do tej pory. Gdyby musiał szukać jakichkolwiek podobieństw, powiedziałby, że najbliżej mu do cielęciny.

Zdrapał z deski suche kawałki cebuli i położył na niej mięso. Zanim zaczął przygotowywać potrawkę, rozebrał Evie do naga. Zajęło mu to sporo czasu, ponieważ była bezwładna i znacznie cięższa, niż się wydawała za życia. Kiedy odwrócił ją na brzuch, żeby rozpiąć biustonosz, zobaczył małe skrzydła anielskie, które wytatuowała sobie pomiędzy łopatkami następnego dnia po przyjęciu jego oświadczyn. „Zrobiłam to, bo poczułam się jak w niebie” – powiedziała mu. Nie wiedziała, że zrobiła wielki krok, by rzeczywiście się w nim znaleźć.

Otworzył drzwi niewielkiego pomieszczenia gospodarczego i wtaszczył do środka zwłoki żony. Obok pralki stała tam duża i głęboka zamrażarka ładowana od góry. Podniósł jej wieko. Musiał wyjąć prawie całą zamrożoną żywność, zanim w środku znalazło się dość miejsca na ciało Evie. Jedzenie rzucił na podłogę. Postanowił później zanieść je do śmietnika albo rozrzucić na trawniku za domem. Z pewnością wkrótce wszystko zjedzą gołębie i wiewiórki.

Sapiąc z wysiłku, włożył zwłoki do zamrażarki. Starał się to zrobić z szacunkiem, jakby układał ciało w trumnie. Kiedy tak patrzył na nagą żonę, o trupiobladej skórze, z lekko rozchylonymi ustami, patrzącą w przestrzeń mętnymi oczami bez wyrazu, przypomniał mu się prerafaelicki obraz Ofelii tonącej w rzece, tyle że Ofelię otaczały kwiaty i wodorosty, a Evie zaległa wśród mrożonych krewetek i grochu.

Zatrzasnął wieko zamrażarki i wrócił do kuchni. Wyciągnął z szafy największą patelnię, postawił ją na palniku i wlał na nią łyżkę oliwy z oliwek. Kiedy się podgrzewała, pokroił mięso na równe kostki.

Po chwili rzucił pokrojone mięso na patelnię. Pachniało dość przyjemnie i przywodziło na myśl cielęcinę. Nagle David poczuł się bardzo głodny, bo przecież od wczorajszego lunchu nic nie jadł.

Po co właściwie męczyć się z potrawką? Możesz spróbować samego mięsa.

Wziął kawałek do ręki. Mięso wydawało się kruche i ładnie pachniało. Przez chwilę jeszcze się wahał, ale potem ugryzł je i zaczął przeżuwać. Było twardawe, ale aromatyczne i smaczne.

Zjadam moją żonę. Zjadam Evie. Była istotą ludzką, kochałem ją, a teraz ją zjadam. Naprawdę ją zjadam.

Nie jesteś z siebie dumny? Niewielu mężów miałoby na tyle mocne nerwy, żeby zrobić to, co ty zrobiłeś, nawet gdyby bardzo tego chcieli. No a już na pewno nie znalazłby się żaden mąż, który zamiast wyprawić żonie chrześcijański pogrzeb, wolałby ją wrzucić do własnego układu trawiennego.

Wciąż żując mięso, David wyszedł z kuchni. Maggie plątała mu się pod nogami i głośno miauczała, prosząc o coś do jedzenia. Popatrzył na siebie w lustrze przy drzwiach wejściowych. Miał podkrążone oczy i wciąż miał na sobie jedynie czarny sweter zrobiony przez matkę. Szorstka wełna trochę drażniła mu kark i łokcie, ale nie miał zamiaru go zdejmować.

Patrzył na siebie, jak porusza szczękami, gryząc mięso. Zjadam moją żonę. Kawał mięsa, który mam w ustach, to przecież Evie. Zamknął oczy i zadał sobie pytanie, czy nie powinien go wypluć. Po długim zastanowieniu jednak połknął.

17

Kiedy wcześnie rano Jerry przyjechał na posterunek, ze zdziwieniem zobaczył, że inspektor Saunders siedzi już za biurkiem. Pisał coś na laptopie, obok którego stał kubek macchiato, który przyniósł sobie z Mud's. Kawa szybko stygła.

– Chciałem dziś wcześnie zacząć – powiedział Jerry'emu. – Później mam ważny lunch w City.

Jerry nie zapytał go, co to za ważny lunch, bo i tak się domyślał. Saunders był wolnomularzem, a Jerry słyszał, że masoni odbywają ostatnio serię spotkań, podczas których zbierają fundusze, żeby kupić nową karetkę pogotowia.

Inspektor miał jeszcze bardziej ponurą minę niż zazwyczaj.

– Doktor Fuller właśnie przysłał wstępny raport z sekcji – kontynuował Saunders. – Są też wyniki badań tkanek skóry i włókien pobranych zarówno od Samiry Wazir, jak i Sophie Marshall. Proszę, wydrukowałem ci jeden egzemplarz. – Podał Jerry'emu wydruk. – Przyznaję to z wielką niechęcią, Jerry, jednak wiele wskazuje, że nie myliłeś się w swoich podejrzeniach dotyczących zaginionego płaszcza panny Wazir… a także kurtki panny Marshall. Włókna pobrane ze skóry Samiry Wazir z całą pewnością zawierają w sobie bawełnę i poliester, a próbki od panny Marshall jedwab. Wszystkie zawierają ślady ludzkiego DNA, i nie jest to DNA ani panny Wazir, ani panny Marshall, ani nie jest to DNA tej samej osoby.

Jerry szybko przebiegł wzrokiem raport.

– Ale w jaki sposób włókna znalazły się w skórze? – zapytał. – Raport z sekcji nic o tym nie mówi.

– Badania jeszcze trwają. Inaczej mówiąc, medycy sądowi nie potrafią odpowiedzieć na to pytanie. Rozmawiałem z Fullerem przez telefon. Powiedział, że włókna mogłyby wgryźć się w tkankę tylko wtedy, gdyby

były żywe, jak pasożyty, które potrafią przedostać się pod skórę człowieka. Zapytałem go, czy ostatnio nie oglądał zbyt często *Doktora Who*.

Jerry milczał. Mina inspektora Saundersa była tak śmiertelnie poważna, że po prostu nie wiedział, jak zareagować.

– Z drugiej strony może być tak, że wbrew pozorom wcale nie mamy do czynienia z science fiction – kontynuował Saunders.

– Naprawdę? – zapytał Jerry.

Inspektor wstał.

– Wczoraj późnym popołudniem patrol zatrzymał bezdomnego ćpuna, który zachowywał się nieobyczajnie i groził przechodniom na Mitcham Road. Był ubrany w szary płaszcz, którego wygląd odpowiada opisowi płaszcza Samiry Wazir. Ćpun siedzi obecnie w celi. W nocy tak mocno cierpiał z powodu głodu narkotykowego, że trzeba było wzywać do niego lekarza. Dostał zastrzyk metadonu. Teraz śpi.

– Ale czy miał na sobie płaszcz Samiry Wazir? Czy jakiś podobny?

– Nadal ma go na sobie. I w tym tkwi sedno sprawy. Nie możemy go z tego ćpuna zdjąć. Włókna przebiły ubrania i wbiły się głęboko pod skórę. Lekarz powiedział, że razem z płaszczem zdjęto by z niego połowę skóry, a to spowodowałoby taki wstrząs, że facet najprawdopodobniej by umarł.

– Pytanie brzmi jednak, czy to jest ten sam płaszcz.

– Wygląda na to, że tak. Kiedy tylko go odzyskamy, pojedziemy do pani Wazir, żeby go zidentyfikowała. Czekamy, aż ten ćpun się obudzi po zastrzyku. Wówczas go przesłuchamy i wyślemy do Świętego Jerzego, żeby chirurdzy pozbawili go płaszcza.

– Sophie Marshall sprzedała ten płaszcz Samirze Wazir. Ona też będzie mogła go zidentyfikować.

– Tak, owszem. Tyle że trudno uważać ją za wiarygodnego świadka. Detektyw sierżant Patel jeszcze raz ją przesłucha dzisiaj rano. Dziewczyna wciąż utrzymuje, że to ta kurtka kazała jej zamordować chłopaka.

Zakręcił palcem przy swojej skroni, pokazując, że uważa ją za wariatkę.

– A jest jakiś odzew na nasz apel w sprawie kurtki, który wydało biuro prasowe? – zapytał Jerry. – Wczoraj widziałem ogłoszenie w *London Tonight*. Ktoś na nie zareagował?

Detektyw inspektor Saunders pokręcił głową.

– Muszę ci powiedzieć, Jerry, że właściwie nie mam pojęcia, od której strony się zabrać do tej sprawy. Płaszcz panny Wazir… oczywiście, to, co

się z nią stało, jest bardzo dziwne, jednak może w nitkach jej płaszcza są jakieś bakterie albo zarazki, jak sugerował doktor Fuller? Moglibyśmy to zdarzenie uznać za dziwaczny, lecz odosobniony incydent. No ale jest jeszcze kurtka panny Marshall i niemal identyczna historia. Co więcej, obie sztuki garderoby ulotniły się z miejsca zbrodni, niemal jakby…

Inspektor zamilkł, ale Jerry dokończył za niego to, co bez wątpienia chciał powiedzieć:

– Wiem. Niemal jakby same stamtąd uciekły. To mi właśnie wmawiała Sophie Marshall… powiedziała, że kurtka ją goniła.

– Czyste wariactwo, nieprawdaż? Totalne wariactwo. Tak to właśnie wygląda, ale problem tkwi w tym, że na pewno istnieje proste i logiczne wyjaśnienie tego wszystkiego i kiedy je znajdziemy, wyjdziemy na kompletnych kretynów, jeśli teraz będziemy opowiadać, że ubrania potrafią się samodzielnie poruszać. Pamiętasz nadinspektora Charliego Mereditha? Był w stu procentach przekonany, że zaginione niemowlę, którego szukał, porwały lisy, a tymczasem to matka udusiła je i zakopała w ogrodzie. Zrujnował sobie karierę, stracił pracę w policji i wkrótce umarł na zawał serca jako kasjer w sklepie Woolwortha. Nie chcę, żeby mnie się przytrafiło to samo.

Do pokoju weszła Dżamila, ubrana w elegancki granatowy garnitur. Na głowie miała niebieską przepaskę od Hermèsa. Pachniała perfumami z nutą paczuli.

– Dzień dobry, panowie – powiedziała z uśmiechem. – Wpadłam po drodze do pani Wazir, żeby zobaczyć, jak sobie radzi. Nadal nie może dojść do siebie po śmierci córki. Jej mąż wraca dzisiaj po południu, pojadę więc tam jeszcze raz, może od niego się czegoś dowiem. Ale matka Samiry powiedziała mi, że przypomniała sobie coś dziwnego, co zdarzyło się na kilka dni przed jej wyjazdem do kuzynki. Tego dnia, kiedy Samira przyszła do domu z płaszczem.

– Coś dziwnego? – zapytał Saunders. – Niby co?

– Wieczorem pani Wazir poszła do pokoju córki, żeby zawołać ją na kolację; tego dnia Samira nie pracowała w restauracji, więc nie jadła tam wieczornego posiłku. Już miała otworzyć drzwi pokoju, kiedy usłyszała, że Samira rozmawia z jakąś kobietą.

– Okej. Co to była za kobieta?

– I właśnie to jest dziwne. Pani Wazir przez chwilę nasłuchiwała, a potem zapukała i szybko weszła do pokoju, ale poza Samirą nikogo tam nie było. Powiedziała córce, że słyszała, jak z kimś rozmawiała, ale Samira zbyła jej słowa milczeniem. Ani nie potwierdziła, ani nie zaprzeczyła.

– Czy pani Wazir zrozumiała coś z tej podsłuchanej rozmowy? – zapytał Jerry. – Ja w dzieciństwie wymyśliłem sobie kumpla o imieniu Bill i czasami ze sobą rozmawialiśmy. Bill miał naprawdę niewyparzony język.

– Nie, niczego nie zrozumiała – odparła Dżamila. – Ale według niej Samira miała do tej kobiety jakieś pretensje, a ona z kolei przemawiała do Samiry szorstko i niemal rozkazującym tonem. Tak jakby usilnie nakłaniała ją do czegoś, pani Wazir tak to określiła.

– Musisz o tym napisać w raporcie – stwierdził inspektor. – Nie wiem, czy to rzuci nowe światło na zagadkę, kto wylał kwas na twarz ofiary, jakiś nieznany sprawca czy może ona sama. Wciąż skłaniam się ku tezie, że mamy do czynienia z morderstwem honorowym, jednak to, o czym mówi jej matka, może świadczyć, że miała jakieś zaburzenia psychiczne.

– Jest coś jeszcze – dodała Dżamila. – Samira miała wtedy na sobie nowy płaszcz.

– W pokoju?

Dżamila pokiwała głową.

– To jest też co najmniej niezwykłe, prawda? W domu Wazirów jest bardzo ciepło. Jak dla mnie to nawet za ciepło. Dlaczego Samira chodziła po nim w płaszczu?

– Rzeczywiście, to dość niezwykłe – powiedział Jerry. – Chłopak, który ugrzązł w kontenerze, też twierdzi, że z jego wnętrza dochodziły jakieś głosy, ale nikogo w nim nie było.

– Może rzeczywiście coś słyszał – zgodził się Saunders. – Ale zdaje się, że był na głodzie, prawda?

– Czy Samira nadal miała na sobie płaszcz, kiedy zeszła na kolację? – zapytał Jerry.

– Nie, ale pani Wazir twierdzi, że zjadła bardzo szybko. Była milcząca i najwyraźniej nie mogła się doczekać, kiedy będzie mogła wstać od stołu i wrócić do siebie.

Inspektor Saunders siedział zamyślony, zasłaniając usta dłonią. Po chwili przesunął raport z zakładu medycyny sądowej w stronę Dżamili i odezwał się:

– Lepiej to przeczytaj.

Kiedy pośpiesznie zapoznawała się z opinią medyka sądowego, Saunders opowiedział jej o narkomanie, który został aresztowany na Mitcham Road, i jak się okazało, miał wtedy na sobie płaszcz Samiry Wazir albo przynajmniej bardzo do niego podobny.

– Zanim przyszłaś, rozmawialiśmy o tym z Jerrym. Cała ta sprawa to jest jedna wielka cholerna tajemnica. I to, co usłyszałaś od pani Wazir, bynajmniej jej nie rozjaśnia. Jeśli już, to cała sprawa zrobiła się teraz jeszcze bardziej zagmatwana.

– Wciąż nie wiadomo, gdzie się podziała kurtka Sophie Marshall? – zapytała Dżamila.

– Nie – odparł Jerry. – Mam tylko nadzieję, że osoba, która ją znajdzie, nie będzie jej od razu przymierzać. Nie mam ochoty znaleźć kolejnych wypatroszonych zwłok.

– Sophie niedawno przewieziono na komisariat, byśmy mogli ją przesłuchać. O tej godzinie na pewno jest już po śniadaniu – stwierdziła Dżamila. – Pójdziesz ze mną, Jerry?

– Wyślijcie mi esemesa, kiedy skończycie – poprosił inspektor. – Szczególnie jeśli ta dziewczyna wyraźnie przyzna się do winy. Ja wrócę mniej więcej o czwartej. Zastanówcie się, co powiemy dziennikarzom na kolejnej konferencji prasowej.

– Przyznaję, że wczoraj miał pan rację, sir – powiedział Jerry, chociaż sam się dziwił swoim słowom. – Nie powinniśmy wspominać prasie o płaszczu ani o kurtce, dopóki nie będziemy dokładnie wiedzieli, jaką rolę odegrały w tej sprawie.

Sophie wyglądała na oszołomioną, kiedy młoda policjantka wprowadziła ją do pokoju przesłuchań. Miała potargane włosy i niebieski koc narzucony na ramiona.

Usiadła przy stole naprzeciwko Jerry’ego i Dżamili, a policjantka w mundurze zajęła miejsce na krześle w kącie.

– Cześć, Sophie – powiedziała Dżamila. – Jak się dzisiaj czujesz?

Dziewczyna zamrugała i zmarszczyła czoło, jakby Dżamila przemawiała do niej w obcym języku.

– Zadamy ci kilka pytań, Sophie, i nagramy twoje odpowiedzi. Rozumiesz to? Poinformowaliśmy cię już o twoich prawach, jednak

chcemy być całkowicie pewni, że je rozumiesz. Wiesz, że nie musisz odpowiadać na żadne pytania, jednak wszystko, co powiesz, będzie mogło zostać wykorzystane jako dowód przed sądem, a jeśli będziesz chciała oprzeć obronę na czymś, czego nie powiesz nam teraz, to również będzie mogło zostać wykorzystane przeciwko tobie.

Sophie nadal siedziała sztywno ze zmarszczonym czołem, jakby nie zrozumiała ani jednego słowa.

– Zechcesz nam podać swoje imię i nazwisko? – zapytała Dżamila.

– A jakie ma znaczenie, jak się nazywam?

– Po prostu musisz potwierdzić swoje imię i nazwisko, a my to zaprotokołujemy.

– Nie powiem.

– Czy nazywasz się Sophie Jean Marshall i mieszkasz przy Lavender Avenue w Tooting?

– A jakie to ma znaczenie?

– Czy aż do dnia wczorajszego mieszkałaś w jednym mieszkaniu z Michaelem Lewisem Brentem?

– Mieszkała, owszem.

– Kiedy mówisz w trzeciej osobie, kogo masz na myśli?

– Ją.

– Czyli kogo?

– Tę, która go zabiła. Ale po tym, jak ją traktował, wcale nie mam do niej o to pretensji.

– Przyznajesz, że zamordowałaś Michaela Lewisa Brenta?

– Ona go zabiła. To ona. Możecie mnie o to oskarżyć, jeśli chcecie, ale przecież nie macie żadnego dowodu, prawda?

– Sophie, twoje odciski palców znajdują się na rękojeści noża, który znaleźliśmy w lewym oku Michaela, a także na nożu, który został wbity w jego prawe oko, ale go stamtąd usunięto, oraz na nożu, którym rozcięto mu brzuch.

– Tak, ale to są jej odciski, a nie moje.

– Sophie, ona to ty. Jesteście jedną i tą samą osobą. Te odciski są identyczne z twoimi.

– To niemożliwe. Kłamiesz. Wymyśliłaś to. Próbujesz mi namieszać w głowie, żebym się przyznała, że to ja go zamordowałam, prawda?

– Nie muszę ci mieszać w głowie, Sophie. Przecież wszystkie dowody, jakimi dysponujemy, wskazują, że to byłaś ty. Poza tym, że mamy twoje odciski palców zdjęte z narzędzi zbrodni, wiemy, że w czasie kiedy Michael zginął, nikogo poza tobą i nim nie było w domu. Nikt poza wami do niego nie wszedł ani z niego nie wyszedł. Mamy na to świadków.

– Mylą się, bo przecież ja tam byłam. Mylą się albo kłamią. Oni nigdy jej nie lubili. Bezustannie narzekali, że z domu dobiegają hałasy. Ale to nie była jej wina, tylko Mike'a. Nie możecie jej winić o to, że go zabiła. Nie wiem, jak jej się udało wytrzymać z nim przez tak długi czas. On był świnią.

– Dobrze, byłaś wtedy w domu i Sophie też tam była – powiedziała Dżamila. – Możesz mi więc wyjaśnić, kim jesteś?

– Nie – odparła Sophie. – Mówiłaś, że nie muszę niczego mówić, jeśli nie będę chciała.

– Ostrzegłam cię, że ograniczysz swoje szanse w sądzie, jeżeli będziesz chciała powołać się na coś, czego teraz nie będziesz chciała nam powiedzieć.

– Nic nie muszę mówić, ponieważ nie jestem morderczynią, a wy nie jesteście w stanie udowodnić, że zabiłam Mike'a.

Dżamila wyłączyła dyktafon.

– To wszystko. W ten sposób niczego nie osiągniemy. Skierujemy cię na badania psychiatryczne, żeby ocenić, czy jesteś w stanie zrozumieć treść oskarżenia.

Sophie popatrzyła na nią szeroko otwartymi oczami.

– Co? – wrzasnęła. – Chcesz mi wmówić, że jestem wariatką? O to ci chodzi? Pokażę ci, kto tutaj zwariował!

Gwałtownie wstała, a jej krzesło przewróciło się z hukiem. Następnie pochyliła się nad stołem i złapała Dżamilę za prawą rękę. Policjantka uderzyła ją lewą dłonią w twarz i spróbowała odepchnąć, jednak uścisk Sophie był bardzo silny. Niespodziewanie ugryzła Dżamilę w rękę, tuż nad kciukiem, tak mocno, że aż trysnęła krew. Dżamila krzyknęła z bólu i gwałtownym szarpnięciem zdołała się wyrwać. W tej samej chwili Jerry rzucił się na Sophie i przewrócił ją na podłogę. Umundurowana policjantka przycisnęła jej twarz do linoleum, a plecy przydusiła kolanem. Błyskawicznie wykręciła ręce Sophie, odpięła od pasa kajdanki i zatrzasnęła je na przegubach dziewczyny.

– Nie martw się! Nie martw się! – krzyknęła Sophie. – To był tylko pierwszy gryz! Zjem cię całą, ty wstrętna krowo! Zjem cię do ostatniego kawałka, a zęby będę sobie ostrzyła na twoich kościach!

Jerry i policjantka poderwali dziewczynę na nogi. Tymczasem do pokoju przesłuchań wbiegło dwóch policjantów w mundurach, których wezwała Dżamila.

Sophie zaczęła gwałtownie rzucać głową. Z jej ust pryskały krople śliny.

– Całą cię zjem, ty żałosna suko! Pogryzę cię, połknę i dobrze strawię, a wtedy staniesz się mną. Wtedy się dowiesz, kto zamordował Mike’a. Wtedy się dowiesz! Ale to będzie już dla ciebie za późno. Stanowczo za późno! Niech się tylko w ciebie wgryzę, ty suko! Wtedy nawet sam diabeł ci nie pomoże!

Trójka policjantów zaciągnęła Sophie, rozwrzeszczaną i wierzgającą, z powrotem do celi. Jerry popatrzył na krwawiącą dłoń Dżamili i zorientował się, że Sophie przegryzła ją aż do kości. Wyszarpnął z pudełka trzy chusteczki, złożył je w gruby tampon i przycisnął do rany.

– Chyba konieczne będzie szycie albo przynajmniej porządny opatrunek. No i trzeba ranę dokładnie oczyścić – powiedział. – Jeden Bóg wie, co dolega tej dziewczynie, ale lepiej, żeby to na ciebie nie przeszło.

Dżamila zagryzła wargi, żeby nie krzyczeć z bólu. Pokiwała tylko głową. Jerry domyślił się, że jest bliska płaczu. Gdyby nie była wyższa rangą od niego, przytuliłby ją i pocałował, a potem powiedział, że wszystko będzie dobrze.

18

Laura opłukała miseczkę po muesli i zostawiła ją w zlewozmywaku. Następnie poszła do łazienki, żeby umyć zęby. Był ponury, szary poranek. Kiedy zobaczyła swoje odbicie w lustrze nad umywalką, pomyślała, że jest już bardzo zmęczona i stara.

Od czterech lat była dyrektorką Szkoły Podstawowej im. Świętej Blandyny i były to cztery najtrudniejsze lata w jej życiu. Z pracy odeszły w tym czasie trzy jej najlepsze nauczycielki, a inspektorzy z kuratorium w Ofsted wystawili jej szkole ocenę „nieodpowiednią”. Włosy Laury, pofarbowane na brązowo, były suche i szorstkie, pod oczami miała worki, a od kącików ciągnęły się głębokie bruzdy. Pomyśleć tylko, że kiedyś była najśliczniejszą dziewczyną w całym college’u nauczycielskim. Już miała rozpocząć szczotkowanie zębów, gdy usłyszała jakiś szelest i stukanie docierające z korytarza. Zaczęła nasłuchiwać, wciąż patrząc na siebie w lustrze. Stukanie trwało i zdawało się dochodzić z szafy, w której trzymała płaszcze i buty.

W pierwszej chwili pomyślała, że to powietrze w rurach centralnego ogrzewania, jednak znała już te odgłosy i z pewnością brzmiały one inaczej. Te, które słyszała teraz, były łagodniejsze, następowały z większą częstotliwością i sprawiały wrażenie, jakby ktoś ukrył się pomiędzy płaszczami.

Odłożyła szczoteczkę do zębów, podeszła do szafy i otworzyła ją. W środku wisiały na wieszakach trzy płaszcze i dwie kurtki, a wszystkie buty stały równo na swoich miejscach. Szuranie i stukanie gwałtownie się urwało, ale Laura była pewna, że jeszcze przed chwilą płaszcze kołysały się na swoich wieszakach.

Wróciła do łazienki, żeby umyć zęby, jednak szafę pozostawiła otwartą. Chociaż nie potrafiłaby powiedzieć dlaczego, czuła, że nie jest w mieszkaniu sama. Już miała zawołać „Jest tu kto?”, ale pomyślała: Nie

bądź śmieszna. Drzwi frontowe i tylne są zamknięte na klucz, okna też. Nikt nie mógł wejść do środka bez twojej wiedzy.

Szybko poprawiła włosy, po czym podeszła do szafy i wyciągnęła z niej płaszcz z brązowego tweedu. Kiedy tylko wsunęła ręce w rękawy, zanim zdążyła zapiąć pierwszy guzik, poczuła nagle energiczne szarpnięcie, jakby ktoś stanął za nią i chwycił ją za ramiona. Jęknęła, wyrwała się do przodu i uderzyła prawą stroną czoła we framugę drzwi do łazienki, znajdującej się po drugiej stronie wąskiego korytarza.

Oszołomiona spróbowała się odwrócić, żeby oswobodzić się od napastnika, jednak została pociągnięta do tyłu. Upadła w głąb szafy, między płaszcze i kurtki; ich rękawy przylgnęły do jej twarzy, jakby chciały ją udusić. Walczyła, aby się od nich uwolnić, i ze zdziwieniem zauważyła, że rękawy zachowują się tak, jakby były żywymi istotami, które chcą ją przytrzymać w swoich objęciach. Ale to było przecież niemożliwe, ktoś musiał nimi poruszać!

Sięgnęła lewą ręką za głowę, żeby odepchnąć osobnika, który ją zaatakował, i wtedy przekonała się, że naprawdę nikogo przy niej nie ma. Obejmował ją jedynie płaszcz. Zacisnął się na niej tak mocno, jakby był przynajmniej trzy rozmiary za mały.

Złapała prawy mankiet i szarpnęła nim, jednak zabrakło jej siły, żeby go zerwać. Jeszcze kilkakrotnie pociągnęła bardzo mocno, ale bezskutecznie.

Znieruchomiała i kilka razy odetchnęła głęboko. Płaszcz tak wpijał jej się w ciało, że ogarnął ją niemal paniczny strach. Nie wiem, dlaczego nagle zrobił się taki ciasny, ale skoro nie mogę go normalnie zdjąć, pójdę do kuchni i przetnę go nożycami, pomyślała.

Pozostałe okrycia wciąż kołysały się na wieszakach, mimo że Laura trwała zupełnie nieruchomo. Niespodziewanie uniósł się rękaw płaszcza przeciwdeszczowego w kolorze khaki i pogłaskał ją po policzku. Zdołała jakoś wygramolić się z szafy i zataczając się jak pijana, ruszyła do kuchni. Płaszcz stawał się coraz ciaśniejszy, miała wrażenie, że za chwilę złamie jej obojczyk i zmiażdży klatkę piersiową. Oddychała z wielkim trudem.

W kuchni otworzyła szufladę i wyciągnęła nożyce, których zwykle używała do porcjowania drobiu. Przyłożyła ostrze do lewego rękawa i nagle się zawahała.

Dlaczego ona chce go odciąć?

To boli. Jest za ciasny. Doprowadza mnie do histerii.

Powiedz jej, żeby się uspokoiła. Powiedz, że nie musi się martwić. Płaszcz jest nią, a ona jest płaszczem. Jeśli to zrozumie, nie będzie czuła bólu.

Niby w jaki sposób mogłabym być płaszczem? Nic z tego nie rozumiem.

Jesteśmy teraz rodzeństwem syjamskim, ona i ja. Mogę w nią wejść i wtedy będziemy razem, we dwie, nierozłączne. Wiem, że ona w tej chwili nie jest zadowolona. Czuję to. Wiem, że jest zmęczona i rozczarowana. Ale mogę jej dać życie, które kiedyś należało do mnie. Mogę wrócić poprzez nią.

Laura powoli opuściła dłoń z nożycami i odłożyła je do szuflady. Ona miała rację. Płaszcz już nie chciał jej zmiażdżyć. W gruncie rzeczy leżał na niej doskonale. Czuła jedynie słabe kłucie na ramionach i na plecach, ale ono wcale nie było nieprzyjemne. W dziwny sposób lekko ją podniecało.

Wyszła z kuchni i podeszła do szafy na korytarzu. Popatrzyła na płaszcze i kurtki i pomyślała: Żyjecie. Jesteście moimi braćmi i siostrami. Nie martwcie się, dla was także znajdziemy takich ludzi jak Laura. Ludzi, których będziecie mogli objąć. Ludzi, którzy dadzą wam z powrotem życie, które straciliście. Dosyć już wycierpieliście. Wreszcie nadeszła wasza pora.

Płaszcze i kurtki zakołysały się na wieszakach, jakby w ten sposób wyrażały swoją cichą aprobatę.

Zaparkowała mini clubmana na tyłach szkoły i weszła do budynku. Szkoła mieściła się w edwardiańskim budynku z czerwonej cegły na rogu Hillbury Road, z widokiem na Tooting Bec Common. Jej patronką była chrześcijańska męczennica Święta Blandyna, którą najpierw przypiekano nad ogniskiem, a potem rzucono na arenę, gdzie rozszarpały ją rozjuszone byki. Ostatnio Laura miała wrażenie, że cierpi równie mocno jak Blandyna. Z tym że ona musiała zmagać się z inspektorami z kuratorium twierdzącymi, że szkoła potrzebuje gruntownych zmian, ze zrzędliwymi rodzicami, nauczycielami, którzy wiecznie mieli jakieś pretensje, i z niegrzecznymi, rozpuszczonymi dzieciakami.

Od dzisiaj wszystko będzie inaczej. Od dzisiaj nie będzie już wysłuchiwać żadnych bezsensownych uwag. Nie urodziła się, żeby cierpieć na tym świecie, nie tak jak ja.

Ruszyła korytarzem w kierunku swojego gabinetu. Z otwartych sal docierały do niej wrzaski i śmiechy dzieci.

Dlaczego każda szkoła cuchnie tak samo? – pomyślała. Farbą, papierem, dziecięcymi szczochami i kiepskim żarciem, które kuchnia przygotowuje na lunch. Nienawidzę tego smrodu. Kręci mi się od niego w głowie. Sprawia, że czuję się jak w pułapce.

Do szkoły uczęszczało obecnie siedemdziesięcioro siedmioro dzieci w wieku od czterech do siedmiu lat. Zanim krytyczny raport inspektorów z Ofsted ujrzał światło dzienne, była ich ponad setka, a gdy ich ubyło, szkoła zaczęła z trudem wiązać koniec z końcem. Laura musiała ograniczyć wycieczki edukacyjne, zlikwidowała szkolne obiady. Część rodziców narzekała, że porcje wydawane na lunch są coraz mniejsze, a przecież większość dzieci i tak pozostawiała niedojedzone posiłki na talerzach, no, może z wyjątkiem dwojga lub trojga grubasów.

Gdy mijała jedną z klas, wyszła z niej Leta Clover i wymownie popatrzyła na zegarek. Leta była młodą nauczycielką, pracowała w szkole od niedawna. Pochodziła z Jamajki, włosy miała splecione w cienkie warkoczyki, a z jej uszu zwisały wielkie złote kolczyki.

– O której godzinie zaczniemy lekcje, panno Miller? – zapytała. – Moja klasa jest bardzo niespokojna.

– Och, przepraszam panią – odparła Laura. – Chce mi pani powiedzieć, że spóźniłam się dziesięć minut? Przepraszam, że musiała pani na mnie tak długo czekać! Jestem tylko dyrektorką tej szkoły i pani pracodawcą. Chyba jestem głupia, skoro wydaje mi się, że mogę przychodzić i wychodzić z pracy, kiedy mi się podoba.

Leta szeroko otworzyła usta. Laura nigdy dotąd nie przemawiała do niej z takim sarkazmem – ani do niej, ani do żadnej innej nauczycielki. Zazwyczaj bardzo się starała, żeby żadnej niczego nie brakowało, chciała, aby się czuły doceniane, także dlatego, że o dobrego nauczyciela szkoły podstawowej było naprawdę bardzo trudno.

– Modlitwa za pięć minut – powiedziała Laura. – Czy to dziewczęta z pani klasy wrzeszczą wniebogłosy? Szkoła to nie miejsce na wrzaski. Proszę wrócić do klasy i je uspokoić.

– One tylko się bawią – zauważyła Leta.

– Przychodzą do szkoły nie po to, żeby się bawić, tylko po to, żeby się uczyć. Bawić będą się mogły, kiedy wrócą do domu. Niech pani do nich idzie i natychmiast je uciszy.

– Dobrze. Skoro pani sobie tego życzy…

– To nie jest moje życzenie, tylko kwestia przestrzegania regulaminu szkoły. Tutaj nie ma miejsca na dzikie wrzaski. Ani na szalone bieganie. Nie życzę sobie, żeby dzieci biegały po całej szkole.

– Coś jeszcze? – zapytała Leta napastliwie.

– Tak. Nie życzę sobie żadnych impertynencji. Zarówno ze strony dzieci, jak i nauczycieli.

Leta bez wątpienia była gotowa, żeby zareagować stanowczo, jednak się powstrzymała. Już bez zbędnych słów odwróciła się na pięcie, weszła do klasy i trzasnęła drzwiami.

O nie, pomyślała Laura. To koniec twojej kariery w Świętej Blandynie, młoda damo!

Weszła do swojego gabinetu. Na biurku czekała korespondencja – siedem lub osiem listów zaadresowanych do szkoły. Były to głównie rachunki i faktury, ale w jednej z kopert znalazła pismo z kuratorium dotyczące ostatniej kontroli. Zawierało konkretne wskazówki, jakie środki powinna zastosować Laura, żeby poprawić sytuację w swojej placówce. Przedarła pismo na pół i wrzuciła do kosza na śmieci. Przez chwilę patrzyła na pozostałe listy, a w końcu również je podarła.

Teraz ona tu rządzi. I to dobrze. Nie pozwoli nikomu, żeby czegoś od niej żądał ani mówił jej, co ma robić.

Usiadła przy biurku, włączyła laptop i zaczęła pisać list do rodziców informujący o nowym regulaminie szkolnym. W przypadku nieodpowiedniego zachowania dziecka rodzic zostanie natychmiast wezwany do szkoły i będzie zmuszony zabrać dziecko do domu na resztę dnia. Dzieci, które nie będą chciały jeść lunchu, będą musiały siedzieć przy stołach tak długo, aż pozostałe dzieci skończą posiłek, nawet jeśli będzie to trwało do ostatniego dzwonka.

Słyszała wesołe rozmowy i śmiechy dzieci, gdy nauczycielki wyprowadzały je do dużego holu, który służył zarówno za stołówkę, jak i za miejsce uroczystości szkolnych. Gdy wszystkie minęły drzwi jej gabinetu, wstała i ruszyła za nimi. Wciąż miała na sobie płaszcz. W szkole było ciepło, jednak Laura nie chciała go zdejmować – przypuszczała, że i tak nie dałaby rady tego zrobić. Miała wrażenie, że płaszcz stał się po prostu integralną częścią jej osoby. Płaszcz był nią.

19

Kiedy weszła do holu, dzieci siedziały już po turecku na podłodze, a nauczycielki na krzesłach, po dwie z każdej strony. Dzieciaki chichotały i poszturchiwały się nawzajem. Jeden z chłopców rzucał kulkami z papieru. Ani jedno dziecko nie zareagowało na jej wejście.

– Simon – odezwała się lodowatym tonem.

Chłopiec, który rzucał kulkami, nie zareagował.

– Simon! – krzyknęła.

Malec znieruchomiał i uśmiechnął się do niej.

– Tak, proszę pani?

– Idź do toalety – powiedziała.

– Ale mi się nie chce, proszę pani.

– Nic mnie to nie obchodzi. Idź do toalety, zamknij za sobą drzwi i zostań tam, dopóki ci nie powiem, że możesz wyjść.

Wszystkie dzieci, a wśród nich Simon, roześmiały się, chociaż w jego śmiechu można było usłyszeć nutę wahania.

– Dlaczego uważasz, że żartuję? – zapytała Laura. – Idź do toalety, natychmiast, i nie waż się stamtąd wychodzić, bo jeśli to zrobisz, zatelefonuję do twojej matki i powiem jej, że się źle zachowujesz i będzie musiała cię zabrać do domu.

Śmiech w holu ucichł. Wyraz twarzy Laury podpowiadał dzieciom, że mówi poważnie. Simon wstał i omijając inne dzieci, skierował się do drzwi. W oczach miał łzy, a usta wygięte w podkówkę.

Kiedy wyszedł, Laura odezwała się gromkim głosem:

– Posłuchajcie mnie wszyscy. Od dzisiaj nie będzie w tej szkole żadnych rozmów w czasie modlitwy. Ani dzisiaj, ani jutro, nigdy. Nie będzie też wolno rozmawiać na korytarzu ani po nim biegać. Kiedy wyjdziecie się pobawić na powietrze, nie będzie wam wolno krzyczeć ani głośno się nawoływać. Zapisano was do tej szkoły, żebyście się uczyły, i na pewno nauczycie się dwóch podstawowych rzeczy: dobrego zachowania

i szacunku dla starszych. Nie obchodzi mnie, na co rodzice pozwalają wam w domach. To nie moja sprawa. Ale tutaj, w szkole imienia Świętej Blandyny, będziecie robić to, co ja wam każę. Zrozumiałyście?

Dzieci milczały. Laura dostrzegła, że nauczycielki patrzą po sobie z niedowierzaniem. Leta wzruszyła ramionami i w odpowiedzi na pytające spojrzenie koleżanki zrobiła głupią minę, która miała znaczyć: „Nie pytaj mnie o nic, bo nic nie wiem!”.

– Zrozumiałyście? – powtórzyła Laura.

– Tak, panno Miller – odpowiedziały dzieci chórem.

Te najmłodsze, zajmujące miejsca w pierwszym rzędzie, wydawały się kompletnie zdezorientowane, a starsze wyglądały na przestraszone. Dwóch albo trzech chłopaków wzruszyło ramionami.

– A teraz możecie wracać do klas – powiedziała Laura.

Jedna z nauczycielek, Susan Lawrence, podniosła rękę. Odpowiadała za sześciolatki i uczyła w szkole im. Świętej Blandyny od początku jej istnienia.

– Nie zaśpiewamy dzisiaj hymnów, panno Miller? Nie odmówimy modlitwy?

– Nie będziemy przecież okazywać czci jakiemuś wyimaginowanemu Bogu.

– Ale to jest przecież szkoła chrześcijańska, prawda?

– Wierzysz w duchy, Susan?

– Oczywiście, że nie, ale…

– Duchy istnieją w naszej wyobraźni. Bóg też istnieje tylko w wyobraźni. Nie rozmawiamy z duchami, ponieważ zgodnie uznajemy ich istnienie za absurd, i nie śpiewamy śmiesznych piosenek Bogu dlatego, że jego obecność wśród nas również uważamy za absurd. Dzieci chodzą do tej szkoły po to, żeby się uczyć, a nie po to, żeby oddawać pokłony bóstwu. Czy to jest jasne? A teraz wszyscy mają wrócić do klas!

Klasnęła w ręce i wszystkie dzieci wstały, po czym w ciszy zaczęły wychodzić z holu. Kilkoro z nich zerknęło na Laurę z zaniepokojeniem. Co się stało z tą ciepłą i zawsze uśmiechniętą dyrektorką, która jeszcze wczoraj uczyła je śpiewać *Jesus Wants Me for A Sunbeam* i *Arky Arky*? Do większości z tych dzieci jeszcze nikt nigdy nie odezwał się takim szorstkim tonem, jakim dzisiaj przemówiła do nich pani dyrektor. Kilkoro z nich

głupio się uśmiechało, jakby były w teatrze, a Laura odgrywała jakąś rolę w sztuce.

Cóż, już wkrótce się przekonacie, co to za teatr, pomyślała Laura.

O godzinie dziesiątej trzydzieści do drzwi gabinetu Laury zapukała Natasha Bell. Miała bladą skórę i była całkiem ładną, choć tęgą kobietą. Włosy zawsze miała upięte w kok na czubku głowy. Klasa czterolatków uwielbiała ją.

– Muszę wyjść na umówioną wizytę do lekarza – powiedziała ostrożnie.

Laura jeszcze przez chwilę pisała na laptopie, po czym podniosła głowę i zapytała:

– Jaką wizytę?

– Tę, o której mówiłam pani już wczoraj, panno Miller. Staram się o zapłodnienie *in vitro*.

– Naprawdę? Jak długo cię nie będzie?

– Już do końca dnia. Uprzedziłam panią o tym.

– A kto się w tym czasie zajmie klasą?

Natasha posłała Laurze niepewny uśmiech.

– Cóż, pani dyrektor… Powiedziała pani, że zajmie się klasą i że to żaden problem.

– Jest pani pewna, że tak powiedziałam?

Laura wciąż trzymała ręce nad klawiaturą, jakby koniecznie chciała kontynuować pisanie i przerwa na rozmowę była jej nie w smak.

– Czekam na tę wizytę od trzech miesięcy – powiedziała Natasha. W jej głosie zabrzmiała nuta desperacji. – Jeśli teraz nie pójdę, to nie wiem, kiedy zdołam umówić się na następną.

– A więc chcesz mieć dziecko? – zdziwiła się Laura. – Powiedziałabym, że sprawiasz wrażenie, jakbyś miała z całego serca dość małych dzieciaków. Po dziurki w nosie.

– Proszę, panno Miller… Mój mąż już po mnie przyjechał. Czeka przed szkołą.

Laura popatrzyła jeszcze raz na ekran laptopa, po czym wyłączyła urządzenie.

– Doskonale. Przecież nie mogę pozwolić, żebyś uznała mnie za potwora. Kto się w tej chwili zajmuje twoimi małymi pociechami?

– Gemma jest z nimi. Dzieciom ze swojej klasy dała tymczasem jakieś zadanie. Zdaje się, że coś rysują.

Laura wstała. Natasha ze zdziwieniem zauważyła, że dyrektorka szkoły jest jakby wyższa niż zwykle, jej twarz jest jakoś zmieniona, rysy są bardziej wyraziste, a oczy znacznie mniejsze. Miała na sobie płaszcz i Natasha nawet chciała zapytać, czy jest jej zimno, ale Laura była teraz w tak dziwnym nastroju i zachowywała się tak opryskliwie, że nauczycielka postanowiła zmilczeć.

Natasha wyszła, a Laura ruszyła na górę po schodach. Na pierwszym piętrze odbywały się zajęcia czterolatków i siedmiolatków. Dzięki temu starsze dzieci zawsze znajdowały się w pobliżu, kiedy trzeba było pomagać najmłodszym – na przykład prowadzić je do toalety, co zdarzało się z irytującą częstotliwością.

Kiedy Laura weszła do klasy, Gemma Watts stała przed dziećmi i wspólnie z nimi śpiewała jakąś wesołą piosenkę. Większość maluchów energicznie poruszała ustami, chociaż kilkoro z nich bezmyślnie wpatrywało się przed siebie, a jakiś rudowłosy chłopaczek wszedł na krzesło i udawał, że dyryguje.

– Dziękuję ci, Gemmo – powiedziała Laura. – Myślę, że na dzisiaj wystarczy tego kociokwiku. Wracaj do siedmiolatków.

Gemma się zaczerwieniła. Była wysoką, postawną młodą kobietą. Tego dnia miała na sobie długi, ciemnobrązowy, rozpinany sweter i spódnicę w szkocką kratę. Zazwyczaj była bardzo wygadana, miała własne poglądy na temat edukacji najmłodszych dzieci i nigdy nie bała się mówić Laurze wprost, co myśli. Jednak w tej chwili nie tylko była wzburzona zachowaniem dyrektorki w czasie porannej modlitwy, która nie doszła do skutku, lecz niepokoiło ją coś jeszcze. Laura od wczoraj jakby urosła i była teraz równie wysoka jak Gemma, mimo że miała buty na niskim obcasie, a jej twarz zmieniła się w maskę, która nie zdradzała żadnych uczuć. Prawdę mówiąc, Gemma nagle zaczęła się bać swojej przełożonej.

Wyszła z klasy i Laura zamknęła za nią drzwi. Było jasne, że rano wywarła na dzieciach potężne wrażenie, ponieważ nagle zaczęły się wiercić, szeptać pomiędzy sobą i gapić się na nią z trwogą, podczas gdy zwykle wszystkie były roześmiane i wesołe jak skowronki. Tylko rudowłosy nadal stał na krześle, wymachiwał rękami i śpiewał.

– Luke – powiedziała Laura. – Zejdź z krzesła i usiądź porządnie.

Chłopiec nie zareagował, za to zaczął klaskać i śpiewać *Old King Cole*.

– Luke! Drugi raz nie powtórzę! Przestań wyć, złaź z krzesła i porządnie usiądź!

Kiedy nadal ją ignorował, podeszła do niego, zdjęła z krzesła i trzymając go pod pachy, wyniosła na przód klasy. Chłopak zaczął wrzeszczeć i kopać ze złości, jednak Laura była zbyt silna, żeby mógł coś wskórać. Kilkoro dzieci zaczęło się śmiać, ale inne wydawały się przerażone, szczególnie te najmniejsze. Siedziały w milczeniu, z wytrzeszczonymi oczami.

Tymczasem Luke wyrywał się Laurze i krzyczał:

– Nie! Nie! Nie! Puść mnie! Puść mnie! Jesteś wstrętna! Puść mnie!

– Zamknij się, gówniarzu! – warknęła Laura. I po chwili dodała: – Sam się o to prosiłeś!

Postawiła go na podłodze i jedną ręką przytrzymując go za kołnierz, drugą otworzyła okno. Gdy tylko do klasy wdarło się zimne powietrze, znowu podniosła Luke’a, postawiła go na parapecie, po czym bez wahania wypchnęła na zewnątrz. Chłopiec krzyknął rozpaczliwie i spadł.

Okno znajdowało się na wysokości kilku metrów nad wąską betonową ścieżką, która biegła wzdłuż muru szkolnego. Szkoła odgrodzona była od Hillbury Road płotem z żelaznych prętów zwieńczonych ostrymi kolcami. Gdy Luke spadł, kolce przebiły mu klatkę piersiową. Zawisł martwy, z szeroko rozrzuconymi rękami i nogami, jak szmaciana lalka z rudymi włosami.

Kilkoro dzieci podbiegło do okien. Parapet znajdował się zbyt wysoko, żeby mogły cokolwiek zobaczyć, jednak mała Somalijka z włosami splecionymi w cztery warkoczyki przysunęła sobie krzesło i stanęła na nim. Pozostałe dzieci wróciły na swoje miejsca; były zbyt przerażone, żeby zrozumieć, że Laura rzeczywiście wyrzuciła ich kolegę przez okno. Jedno z nich zaczęło płakać, po chwili rozpłakało się następne i jeszcze jedno, a po kilkudziesięciu sekundach żałośnie łkały niemal wszystkie.

– Luke jest ranny, proszę pani! – powiedziała Somalijka. – Zawisł na płocie! Musimy zejść na dół i go uratować!

– Luke był nieposłuszny i otrzymał to, na co zasłużył! – odpowiedziała Laura. – A teraz złaź z tego krzesła i siadaj na miejsce, Bishaaro. A wy przestańcie płakać! Słyszeliście? Macie przestać ryczeć!

– Ale Luke wisi na płocie! – zaprotestowała dziewczynka. – Musimy go uratować!

– Chcesz go ratować? – zapytała Laura. – Proszę bardzo, jak sobie życzysz!

Wypowiedziawszy te słowa, niespodziewanie chwyciła małą i mimo że dziewczynka próbowała się bronić, ją także wyrzuciła za okno. Bishaaro wrzasnęła rozpaczliwie i spróbowała jeszcze chwycić się parapetu, jednak miała zbyt krótkie ręce. Ostre zakończenie pręta przebiło jej szyję i tak zawisła – nienaturalnie skręcona. Jej ręce i nogi drżały w przedśmiertnych drgawkach.

Teraz już wyła i płakała cała klasa. Laura stanęła przed nimi i krzyknęła:

– Zamknąć się! Słyszycie mnie? Jeżeli nie przestaniecie wyć, wszystkie wylecicie przez to okno.

Nagle otworzyły się drzwi i do klasy wbiegła Gemma Watts.

– Na Boga, co się tu dzieje, panno Miller? Dlaczego wszystkie dzieci płaczą?

– Pilnuj swoich spraw i wracaj do klasy! – krzyknęła na nią Laura.

Któraś z dziewczynek wskazała na otwarte okno.

– Luke i Bishaaro! – powiedziała, łkając. – Pani Miller ich wyrzuciła!

– Gemmo, mówiłam, żebyś wracała do swojej klasy! – powtórzyła Laura, jednak nauczycielka podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz.

– O mój Boże – jęknęła. – Mój Boże, panno Miller, co pani zrobiła?

– Źle się zachowywali. Zostali ukarani.

– Henry! – powiedziała Gemma, zwracając się do jednego z dzieci. – Jesteś dzisiaj dyżurnym w klasie. Wyprowadź wszystkich do stołówki i powiedz pani Lawrence i pani Clover, co się stało! Szybciutko!

– Milcz! – wrzasnęła Laura. – To jest moja szkoła i moi uczniowie. Macie zostać na swoich miejscach!

Ale przerażone dzieci wybiegały już z klasy. Gdy Laura ruszyła do drzwi, żeby je powstrzymać, Gemma zagrodziła jej drogę. Wyjęła z kieszeni telefon komórkowy i wystukała numer alarmowy.

Laura spróbowała ją wyminąć, ale nauczycielka zrobiła krok w bok.

– Ambulans – rzuciła do telefonu. – Potrzebny jest ambulans i to natychmiast. Zdarzył się wypadek w Szkole Podstawowej im. Świętej Blandyny przy Tooting Bec Common. Potrzebna też będzie policja. Dwoje dzieci zostało wyrzuconych przez okno i zawisły na płocie. Tak. Spróbuję się nimi zająć, ale obawiam się, że mogą już nie żyć. Tak, nie wyłączę telefonu.

Laura stała i obserwowała ją bez słowa.

Czy te nauczycielki nie mają pojęcia, że dzieci potrzebują dyscypliny? Nic dziwnego, że ten świat jest taki, jaki jest: pełen przemocy i nieposłuszeństwa, skoro nikt nie wie, co to jest dyscyplina. Ludzi należy uczyć od najmłodszych lat, że mają robić, co im się każe, a niesubordynacja powinna być karana.

Laura usiadła za stołem. Na tablicy za nią widniały wykonane przez dzieci rysunki zwierząt, które parami wchodzą do arki Noego.

Gemma znów podeszła do okna. Zobaczyła, że Susan Lawrence i dwaj przechodnie próbują ściągnąć z płotu ciała dzieci.

– Zostaniesz tutaj, dopóki nie przyjedzie policja – powiedziała.

Laura uśmiechnęła się, wzruszyła ramionami i odpowiedziała:

– Policja jej o nic nie oskarży. Policja zrozumie. Dzieciom nie można pozwalać na buntowanie się. Wiesz to równie dobrze jak ona.

20

Jerry jadł właśnie w policyjnej kantynie kiełbaski z pieczoną fasolą i czytał strony sportowe „The Sun”, kiedy stanęła przy nim Dżamila. Prawą rękę miała zabandażowaną. Wyglądało to tak, jakby założyła na nią grubą mitenkę.

– Jak twoja rana? – zapytał, gdy usiadła obok niego.

– Och, zagoi się. To nic poważnego, mimo to dostałam zastrzyk przeciwtężcowy, a Sophie zostanie przebadana na obecność wirusa HIV. Jeszcze dzisiaj wyślemy ją do Springfield.

– Powiem ci, że jak myślę o tej sprawie, to mam wrażenie, że ja też potrzebuję leczenia w Springfield.

Szpital Springfield University był głównym centrum psychiatrycznym w Wandsworth, słynącym ze specjalnie strzeżonego, zamkniętego oddziału dla niebezpiecznych pacjentów z zaburzeniami psychicznymi. Kiedy otwarto go w 1840 roku, zyskał wśród ludzi z hrabstwa Surrey miano przytułku dla wariatów.

– Może wyciągniemy coś sensownego od naszego narkomana – powiedziała Dżamila. – Przed chwilą dzwonili ze Świętego Jerzego, udało się zdjąć z tego faceta płaszcz. Jeszcze się nie obudził po operacji, jednak w ciągu dwóch do trzech godzin powinien być *compos mentis*.

– A co z tym płaszczem? Długo o nim myślałem i wydaje mi się, że on jest raczej żywy niż czymś zakażony. To samo dotyczy kurtki Sophie.

– Płaszcz zawieziono już do zakładu medycyny sądowej. Za dzień lub dwa dowiemy się czegoś o nim.

– Wiemy coś o tym ćpunie?

– Jeszcze nie, ale rozesłaliśmy jego fotografię do okolicznych schronisk dla bezdomnych, do kuchni dla biednych oraz do klinik leczących osoby uzależnione od narkotyków. No i do „Evening Standard”.

– To, co robimy, chyba mocno odbiega od twojej specjalności, co? – zapytał Jerry. – Mam na myśli, że coraz mniej prawdopodobne wydaje się,

że Samira padła ofiarą zabójstwa honorowego.

– Sugerujesz, że powinnam zostawić tę sprawę? Myślę, że zbyt mocno już się w nią zaangażowałam. Poza tym, chociaż osobiście nie wierzę w zabójstwo honorowe, nadal istnieje pewne prawdopodobieństwo, że Samira została zamordowana przez członka swojej rodziny. Dopóki nie zrozumiemy, jak mógł na nią wpłynąć płaszcz, wycofanie się ze śledztwa byłoby przedwczesne. To dotyczy także śledztwa w sprawie Sophie Marshall. Przypuśćmy, że płaszcz w jakiś sposób zmienił spojrzenie Samiry na małżeństwo z mężczyzną, którego wybrali dla niej rodzice, a oni się na nią zdenerwowali?

Jerry nadział na widelec ostatnią kiełbaskę.

– Myślę, że Smiley ma w tej sprawie rację. Ta sprawa na sto procent jest popieprzona.

Do kantyny wszedł sierżant Bristow.

– Jerry, tutaj jesteś! Nie chcę ci przeszkadzać w lunchu, ale sierżant Morgan uważa, że zainteresuje cię sprawa kobiety, którą przywieźliśmy w charakterze podejrzanej. Mówił, że jest w jakiś sposób podobna do tej, nad którą teraz pracujesz.

– Podobna? – zapytała Dżamila. – To znaczy?

Sierżant zerknął na kartkę, którą trzymał w ręce.

– Jest dyrektorką w Szkole Podstawowej im. Świętej Blandyny. To Laura Jean Miller, lat czterdzieści pięć. Mniej więcej przed godziną wyrzuciła przez okno z klasy na pierwszym piętrze dwoje dzieci, czteroletniego chłopca i pięcioletnią dziewczynkę. Oboje spadli na ostre szpikulce płotu okalającego szkołę i zmarli.

– Cholera jasna – powiedział Jerry i odłożył widelec. – Powiedziała, dlaczego to zrobiła?

– Twierdzi, że źle się zachowywali i musiała ich ukarać. Ale powiedziała też, że to nie ona wyrzuciła je przez okno, mimo że w klasie nie było wtedy poza nią ani jednej dorosłej osoby. Upiera się, że to płaszcz wyrzucił dzieci za okno, a nie ona.

Jerry popatrzył na Dżamilę.

– Płaszcz? – zdziwiła się policjantka. – Co to za płaszcz?

– Zwykły brązowy, damski, długi mniej więcej do kolan. Nadal ma go na sobie.

– Nie możecie go z niej zdjąć?

– Ona na to kategorycznie nie pozwala, a kiedy jedna z policjantek chciała zrobić to na siłę, nie dała rady. Jakby w nią wrósł. Podobnie jak w przypadku tego bezdomnego, który jest u nas od rana.

– Musimy porozmawiać z tą kobietą – powiedziała Dżamila. – Została pouczona o przysługujących jej prawach?

Sierżant Bristow pokiwał głową.

– Spisaliśmy dane osobowe zatrzymanej, ale Morgan nie chce rozpoczynać formalnego przesłuchania, dopóki nie zbada jej lekarz.

Dżamila wstała.

– Oczywiście. Ale chciałabym ją przynajmniej zobaczyć.

Jerry odłożył nóż i widelec z ostatnią kiełbaską, po czym zwinął gazetę.

– Cholera, i tak straciłem apetyt.

Laura leżała spokojnie w celi, gdy zjawili się Jerry i Dżamila. Oczy miała otwarte, jednak w żaden sposób nie zdradziła, że dostrzegła ich przyjście.

– Laura Miller? – zapytała policjantka.

Kobieta nie reagowała, Dżamila usiadła więc na niebieskim plastikowym materacu obok niej i położyła dłoń na jej ramieniu.

– Laura Miller? – powtórzyła łagodnym głosem.

Laura patrzyła na nią przez kilka sekund, po czym zapytała:

– Kim pani jest? Czego pani chce?

– Jestem detektyw sierżant Dżamila Patel. Mogę zamienić z panią kilka słów?

– Jeżeli chodzi o te dzieci, nie mam nic do powiedzenia.

– Nie, Lauro. Nie chodzi o dzieci. Chodzi o panią.

– W jakim sensie?

Laura usiadła, kilkakrotnie zamrugała oczami, jakby ją bolały, i wreszcie znowu otworzyła je szeroko. Teraz już nie mrugała, ale wpatrywała się nieruchomo w drzwi celi. Ani razu nie spojrzała na Jerry’ego ani na Dżamilę.

– Nie zdołaliśmy zdjąć z pani płaszcza.

– Bo to jest *ona*, dlatego.

– Co chce pani przez to powiedzieć? Kim jest „ona”?

– *Ja*, oczywiście – odparła Laura, jakby Dżamila była niewiarygodnie głupia. – Ona jest mną, a ja jestem nią, a płaszcz to my obie. Dlatego nie możecie go zdjąć.

– Funkcjonariuszce, która panią aresztowała, powiedziała pani, że dzieci źle się zachowywały i należało je ukarać.

– Już mówiłam. Nie zamierzam rozmawiać o dzieciach.

– Rozumiem to, Lauro, muszę się jednak dowiedzieć, kto je ukarał: pani czy ona?

– To nie ja.

– A więc to *ona* ukarała dzieci, a nie pani? Mimo że ona jest panią, a pani jest nią?

– To płaszcz.

– Rozumiem, płaszcz. Teraz nie będę już pani niepokoić, Lauro. Proszę trochę odpocząć. Wkrótce zjawi się lekarz i spróbuje zdjąć z pani ten płaszcz.

– Nie może tego zrobić. Płaszcz to ja.

– Cóż, zobaczymy. Później jeszcze do pani wrócę i porozmawiamy.

– Proszę posłuchać! Tym dzieciakom się wydaje, że mogą robić i mówić, co tylko chcą. To z winy rodziców, oni są wszystkiemu winni. Ale nie można pozwalać, żeby złe zachowanie uchodziło tym wszystkim bachorom płazem, bo wyrosną na chuliganów.

– Ale dwoje małych dzieci nie żyje, Lauro. One już nie dorosną.

– Obwinianie mnie o to nie ma sensu. Przecież nie próbowałam ich zjeść. Ona by je zjadła, gdyby tylko zwietrzyła okazję.

– *Zjadłaby* je? Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nic. Nie odpowiem już na żadne pytania. W głowie mi huczy.

– Lauro…

– Nie. Nic już nie powiem. Ona też nic nie powie.

Gdy znaleźli się na korytarzu, Jerry popatrzył na Dżamilę, postukał się palcem w głowę i cicho gwizdnął.

– Czyste wariactwo, jak w pozostałych przypadkach. Zatrzymaliśmy już trzy osoby, które twierdzą, że za ich złe uczynki odpowiadają kurtki i płaszcze. Czwartą taką osobą jest Samira. Trudno więc mówić o przypadku.

– Kiedy tylko zdejmiemy płaszcz z Laury Miller i wyślemy go do laboratorium, będziemy musieli porozmawiać z doktorem Fullerem – stwierdziła Dżamila. – Tak jak powiedział inspektor Saunders, to wszystko musi mieć logiczne wyjaśnienie. Moja babcia z Peszawaru często przestrzegała mnie przed dżinnami, a ja się ich strasznie bałam. Mówiła mi,

że jeśli wyperfumuję się na noc, zapach zwabi dżinna do mojej sypialni. Dżinn przylgnie do mnie i nigdy już nie będę mogła się od niego uwolnić. A to była przecież tylko bajka. Teraz mamy do czynienia z czymś zupełnie innym… Gdybyśmy tylko wiedzieli z czym.

– Niezłą miałaś babcię, skoro na dobranoc straszyła cię takimi bzdurami – powiedział Jerry. – Moja babcia opowiadała mi historie o Złotowłosej i trzech niedźwiedziach. To też było przerażające. Kiedy próbowała wypowiedzieć zdanie „kto spał w moim łóżku?”, wypadała jej sztuczna szczęka.

Gdy szli korytarzem, dogonił ich detektyw posterunkowy Willis.

– Jerry… człowieku! Młody Billy Jenkins mówi, że ma dla ciebie coś, co na pewno będziesz chciał usłyszeć. Odnoszę wrażenie, że chce ubić jakiś interes.

– Nie mógł go zrobić z tobą?

– Nie. Uważa, że może ufać tylko tobie. Myśli, że jeśli rozmówi się ze mną, wykorzystam to jako dowód przeciwko niemu. No i chyba ma rację. Z pewnością bym tak zrobił i przyskrzynił tę beksę.

– Dobrze – odparł Jerry. Popatrzył na Dżamilę i dodał: – To nie zajmie dużo czasu. Za chwilę do ciebie dołączę.

Złapał oficera dyżurnego, który właśnie zamierzał się wymknąć z komisariatu tylnymi drzwiami na papierosa. Poprosił go, żeby otworzył celę Billy’ego.

Chłopak siedział zgarbiony na pryczy. Drżał na całym ciele i wyglądał, jakby zaraz miał umrzeć. W celi śmierdziało, jakby przez całą noc pocił się i puszczał wiatry.

– Serwus, Billy! – zawołał Jerry. Starał się, aby jego głos brzmiał radośnie. – Jak leci? Dobrze cię traktują? Jadłeś już lunch?

– Muszę stąd wyjść, panie Pardoe. Naprawdę. Inaczej zwariuję.

– Detektyw Willis poinformował mnie, że chcesz mi coś powiedzieć.

– Tak. Ale pod warunkiem że mi pan obieca, że stąd wyjdę.

– Nie mogę ci niczego obiecać, dopóki nie usłyszę, co masz do powiedzenia, Billy. To może być przecież coś, co już znam, na przykład cena Marmite po Brexicie.

– Chodzi o Liepę. Musi mi pan jednak przyrzec, że on się nie dowie, kto go sprzedał. Nigdy, przenigdy.

Jerry usiadł na pryczy obok Billy’ego.

– Dobrze. Zamieniam się w słuch. Tylko się streszczaj, bo strasznie śmierdzi tutaj pierdami. Czym oni cię tu karmią? Curry z kalafiora?

– Jutro jest czwartek, prawda?

– Zgadza się, a to dlatego, że dzisiaj mamy środę. Cholera jasna, jaki ty jesteś chudy. Pomyśleć, że niedawno nazwałem cię grubasem!

– Właśnie, bo dzisiaj jest środa. Ten czwartek należy do Cancer Research [1]. Chyba rozumie pan, ludzie wystawiają przed domy stare ubrania, buty i inne rzeczy, a furgonetka Cancer Research jeździ i je zbiera.

– Jasne. Ale co z tego? Mów dalej.

– Rzecz w tym, że Cancer Research zawsze dostaje rzeczy najlepszej jakości i znacznie więcej od innych, nawet od NSPCC [2], pewnie dlatego, że każdy zna kogoś, kto jest chory na raka. Liepa nie wyciąga na razie łapy po te kąski, specjalnie, ponieważ wie, że go macie na oku.

– Nie potwierdzam ani nie zaprzeczam.

– On w każdym razie uważa, że go obserwujecie, i to dlatego nie zabiera paczek przeznaczonych dla Cancer Research. Boi się, że go złapiecie na gorącym uczynku.

– Rozumiem. Chodzi o *in flagrante delicto*.

Billy nie miał pojęcia, co powiedział Jerry, jednak wcale się tym nie zraził.

– Ale jutro Liepa wyciągnie łapska po towar. Miałem jeździć z jego ludźmi i im pomagać. Facet dysponuje czterema furgonetkami, sam jeździ samochodem combi i jutro te wszystkie wozy objadą przed świtem Streatham, Mitcham i większość Tooting.

– O której wyjadą?

– O wpół do czwartej, z jego domu.

Jerry przez chwilę się zastanawiał, po czym powiedział:

– W porządku. Jeżeli cię wypuszczę, będziesz mógł jeździć z nimi, zgadza się? I wyślesz mi esemesa, kiedy zaczną zbierać paczki. W gruncie rzeczy wystarczy, jak zabiorą jedną, bo wtedy będę mógł go przyskrzynić.

– Ale nie powie pan nikomu, że go wydałem? Jeśli on się dowie, przybije mnie wielkimi pierdolonymi gwoździami do ściany i podpali.

– Nie, Billy, przysięgam ci na resztkę tego, co zostało z mojego honoru, że nikt się o tym nie dowie. Teraz pójdę do inspektora Callowa i poproszę go, żeby cię warunkowo wypuścił na wolność.

Billy trząsł się, nie był w stanie opanować dreszczy.

– Ale szybko pan wróci, prawda? Muszę stąd wyjść, panie Pardoe, albo dostanę jakiegoś pieprzonego zawału. Ja nie żartuję.

Jerry poklepał go po kościstym ramieniu.

– Nie denerwuj się, Billy. Będę biegł przez całą drogę.

Śpiesząc do inspektora Callowa, Jerry wbiegł do windy, kiedy już się zasuwały drzwi. Bristow przytrzymał je przez chwilę.

– Dzięki – powiedział Jerry. – Jedziesz do Callowa?

Sierżant machnął jakąś kartką.

– Zdaje się, że znowu będziemy musieli siłą wejść do jakiegoś domu. Zadzwoniła do nas pewna kobieta, że miała dziś rano pójść na zakupy z przyjaciółką, ale jej mąż powiedział, że przyjaciółka wyjechała w odwiedziny do siostry, która rzekomo zachorowała.

– Aha. I w czym problem?

– Kobieta powiedziała, że ten mąż dziwnie się zachowywał. Kiedy stanął w drzwiach, miał na sobie jedynie sweter i świecił gołym fiutem.

– No i co z tego? Nie ma to jak tłusta paróweczka z samego rana. Na co ta kobieta narzeka?

– Facet powiedział, że jego żona zostawiła telefon komórkowy w domu, ale ta kobieta uznała to za podejrzane, znalazła więc w książce telefonicznej numer tej siostry i do niej zadzwoniła. A ona powiedziała, że wcale nie jest chora i siostra, czyli przyjaciółka tej kobiety, od tygodni jej nie odwiedzała.

Winda zatrzymała się na drugim piętrze i Jerry z sierżantem Bristowem ruszyli w kierunku sekretariatu inspektora Callowa.

– Zadzwoniła do tego męża do pracy, żeby jeszcze raz z nim porozmawiać, ale on się w pracy nie pojawił – kontynuował sierżant. – Posłałem tam radiowóz.

– No i co? W domu nikogo nie było?

– Ktoś ich obserwował zza firanki, ale drzwi nie otworzył.

– Dziwne. Ale niektórzy z zasady nie otwierają drzwi, kiedy zobaczą policję. Nigdy tego nie zrozumiem. Posłuchaj, miałbyś coś przeciwko temu, że najpierw ja tam zajrzę? Załatwię tylko zwolnienie dla tego chłopaka z kontenera i zaraz tam jadę.

Obaj policjanci dotarli do biura inspektora Callowa. Drzwi do gabinetu były otwarte i usłyszeli, jak inspektor krzyczy na kogoś przez telefon.

– Nie ma sprawy, Jerry – powiedział sierżant Bristow. – Idź pierwszy.

1. Cancer Research – brytyjska organizacja charytatywna, której celem jest m.in. wspieranie badań nad chorobami nowotworowymi oraz zwiększenie świadomości społecznej na temat nowotworów (przyp. tłum.). [wróć]
2. NSPCC – National Society for the Prevention of Cruelty to Children (ang.) – Narodowe Stowarzyszenie na rzecz Zapobiegania Okrucieństwu Wobec Dzieci. Działa na terenie Wielkiej Brytanii i Wysp Normandzkich (przyp. tłum.). [wróć]

21

O osiemnastej piętnaście, kiedy na dworze zaczynało się ściemniać, dwa samochody policyjne zatrzymały się na Franciscan Road przed należącym do Davida Nelsona edwardiańskim bliźniakiem. Wysiadło z nich czterech umundurowanych policjantów, trzej mężczyźni i kobieta. Zaczęli głośno pukać do drzwi.

– Panie Nelson! Pan David Nelson! Policja! Chcemy zamienić z panem kilka słów!

Nikt nie zareagował, zapukali więc ponownie.

– Panie Nelson! Jeżeli nas pan nie wpuści, wejdziemy siłą. Mamy stosowny nakaz!

Tym razem nikt nie stał za firanką w pokoju na piętrze, jednak jeden z funkcjonariuszy sprawdził dane w iPhonie i powiedział:

– Ten samochód przed domem, srebrne audi, należy do niego. Nawet jeśli faceta nie ma w domu, to przynajmniej nigdzie nie wyjechał.

– Dobra, dajmy mu jeszcze jedną szansę – postanowił jego kolega i kilkakrotnie uderzył w drzwi pięściami, tak głośno, że po drugiej stronie ulicy zatrzymał się mężczyzna, który wyprowadzał psa na spacer, a z domu obok wyszła kobieta w fartuchu.

– Co się dzieje? – zapytała.

– Nie wie pani, czy pan Nelson jest w domu? – spytał policjant.

– Nie widziałam, żeby wychodził.

– A pani Nelson?

– Jej też przez cały dzień nie widziałam, chociaż zazwyczaj spotykamy się często.

– Może słyszała pani jakąś sprzeczkę, kłótnię?

Kobieta pokręciła głową.

– Nie, ale ściany w tych starych domach tłumią hałasy. Są bardzo grube. Ludzie mogliby się mordować, a nikt by niczego nie usłyszał.

– Rozumiem, proszę pani, dziękuję. Zechce pani uprzejmie wrócić do środka.

Kobieta niechętnie weszła do domu, ale niemal natychmiast pojawiła się w oknie.

Jeden z funkcjonariuszy poszedł do samochodu i po chwili wrócił z taranem, jednak gdy zbliżał się z nim do drzwi, te niespodziewanie się otworzyły i stanął w nich David – blady, nieogolony i potargany, w czarnym swetrze i szarych bokserkach.

– Pan Nelson?

– No i co z tego? Czego od niego chcecie?

– Długo pan nie otwierał.

– No i co z tego? Byłem zajęty. Czego chcecie?

– Otrzymaliśmy informację, że być może zaginęła pańska żona, sir.

– Zaginęła? Kto wam to powiedział?

– Tego nie mogę ujawnić, zechce pan jednak powiedzieć, gdzie w tej chwili przebywa pańska żona.

– A gdzie miałaby przebywać? Jest tutaj, w domu.

Do drzwi podeszła kotka. Popatrzyła na policjantów i głośno miauknęła, jakby chciała im coś powiedzieć.

– Moglibyśmy zamienić słówko z panią Nelson? – zapytał funkcjonariusz.

– Z jego żoną? Nie. Jest niedysponowana.

– Panie Nelson, musimy się przekonać, czy pańska żona jest w domu. Jeżeli jest niedysponowana, posterunkowa Bennett może do niej pójść.

– Nie. On nie pozwoli, żeby jej przeszkadzano.

– Przepraszam, sir, ale kim jest „on”?

– David. Nie może pozwolić, żebyście ją zobaczyli, i to wszystko. Do widzenia.

Mężczyzna zaczął zamykać drzwi, ale policjant postawił stopę na progu.

– Przykro nam, sir, ale musi nam pan umożliwić rozmowę z żoną. W przeciwnym razie będziemy zmuszeni zastosować środki przymusu.

David jeszcze raz pchnął drzwi, ale teraz policjant mocniej naparł na nie ramieniem i otworzył je na oścież. David uniósł obie ręce w geście kapitulacji i postąpił kilka kroków do tyłu.

– W porządku, wygraliście. Słynna brutalność policji. Dopilnuję, żeby ten incydent trafił do prasy.

Podeszła do niego posterunkowa Bennett, postawna blondynka o silnie zarysowanej szczęce. Włosy miała związane w koński ogon. Była niemal tak wysoka jak David i miała szerokie ramiona.

– Czy pani Nelson przebywa w sypialni na górze, sir? – zapytała.

– Nie. Nie ma jej tam.

– Powiedział pan, że jest niedysponowana.

– Tak. Ale teraz jest w kuchni.

Kobieta wyminęła go, a za nią podążyli dwaj policjanci. Trzeci został w progu, odcinając Davidowi wyjście na ulicę, chociaż było raczej mało prawdopodobne, że będzie chciał uciekać. Zachowywał się gburowato, jednak był spokojny, a poza tym był boso, a jego strój pozostawiał wiele do życzenia. Mimo to należało go pilnować; policja zna przypadki, kiedy ktoś wolał uciekać przed sprawiedliwością zupełnie nago, niż dać się zakuć w kajdanki.

Policjanci weszli do kuchni. W zlewozmywaku dostrzegli brudny talerz i dwa rondle. Na stole, oprócz pogniecionego egzemplarza „Daily Express” i pustych plastikowych kubeczków po jogurcie zauważyli brudne sztućce oraz piłę do metalu. Na podłodze walały się poplamione na brązowo ścierki do naczyń. Zdziwił ich jednak przede wszystkim silny odór przypalonych włosów. No i fakt, że mimo słów Nelsona w kuchni nikogo nie było.

– Gdzie ona jest? – zapytała posterunkowa Bennett.

David wszedł do kuchni i uśmiechnął się.

– Przecież ci powiedział. Jest niedysponowana. Ale patrzy na ciebie. Nawet jeśli jej nie widzisz, ona widzi ciebie!

– Słucham pana? Nic z tego nie rozumiem.

David wskazał na kuchenkę mikrofalową stojącą na kredensie. Posterunkowa popatrzyła na nią i zmarszczyła czoło. Kuchenka nie była włączona, w środku nie paliło się więc światło, jednak za laminowanymi szklanymi drzwiczkami dostrzegła jakiś niewyraźny, blady kształt. Bennett spojrzała na kolegów, ale oni tylko wzruszyli ramionami, więc powoli otworzyła kuchenkę.

Wewnątrz leżała na talerzu głowa Evie. Jej policzki były wydęte, usta krwistoczerwone, a włosy poskręcały się pod wpływem wysokiej temperatury. Widok był potworny, przywodził na myśl przerażającą głowę Gorgony.

W pierwszej chwili policjantka nie pojęła, że patrzy na prawdziwą ludzką głowę, jednak dotarło to do niej, gdy zobaczyła postrzępioną skórę w miejscach, w których nastąpiło cięcie, i krzepnący płyn, który zgromadził się na talerzu.

– Oto ona – powiedział David ochrypłym głosem człowieka, któremu zaczyna doskwierać katar. – Doskonale rozmrożona i oczekująca na kucharza. Znacie takie powiedzenie? Jeśli zjesz czyjś mózg, odziedziczysz po nim wszystkie wspomnienia… wszystkie doświadczenia, całą wiedzę.

Nie wiem, co mu przyjdzie ze spałaszowania mózgu Evie. W końcu nie była najbardziej błyskotliwą osobą na świecie, nie miała ciętego dowcipu. No, ale jego piła też była dość tępa! Nie był najlepszym prawnikiem i jako rzeźnik też się specjalnie nie sprawdził.

Jeden z funkcjonariuszy bez słowa obszedł stół kuchenny, wykręcił ręce Davida do tyłu i skuł go kajdankami. David nie opierał się i cały czas miał uśmiech na ustach.

Drugi funkcjonariusz wyszedł do holu i poprosił przez radio o natychmiastowe wsparcie, zespół techników oraz ambulans. Policjantka założyła lateksowe rękawiczki i zamknęła mikrofalówkę. Nie była w stanie wytrzymać spojrzenia martwej głowy.

– Gdzie się znajduje reszta zwłok, panie Nelson? – zapytała, bardzo się starając panować nad głosem.

David wskazał głową na drzwi do pomieszczenia gospodarczego.

– Włożył ją do zamrażarki. Jest tam cała, zapewniam. Brakuje tylko kawałka nogi. Jak chcesz, to sama zobacz.

– Zabił pan ją?

– Evie na to zasłużyła! Prosiła się o to od miesięcy.

– W jaki sposób?

– Swoim bezustannym marudzeniem i narzekaniem! To przecież jasne, że on miał już tego dość i nikt nie może go za to winić. Oczywiście, jego kancelaria miała spore kłopoty i nie przynosił do domu wielkich pieniędzy, a czasami wcale ich nie przynosił. Ale mąż potrzebuje od żony wsparcia w trudnych chwilach, prawda? Wsparcia, a nie biadolenia. Współczucia, a nie pretensji. A więc tak, zgadza się, David dał jej lekcję, na jaką zasłużyła.

– Panie Nelson, pan jest Davidem.

David popatrzył na posterunkową Bennett takim wzrokiem, jakby nie zrozumiał jej słów. Gdy przez dłuższą chwilę milczał, zaczęła recytować rutynową formułę:

– Davidzie Nelson, aresztuję pana w związku z podejrzeniem, że zamordował pan swoją żonę, Evie Nelson. Może pan milczeć, jednak…

– Na miłość boską, ile razy mam ci powtarzać, że nie jestem Davidem! – wrzasnął. – Zdejmij mi te kajdanki i idź stąd. Wszyscy się wynoście! Muszę się najeść. Jestem głodna jak wilk! Jak myślicie, dlaczego rozmroziłam głowę Evie?

– Sir, skoro nie jest pan Davidem Nelsonem, to kim pan jest?

– Jego matką, Jeanette Nelson. Zazwyczaj ludzie zwracają się do mnie „Netty”. Czy ja wyglądam jak mężczyzna?

– Szczerze mówiąc, wygląda pan, owszem. Ale niezależnie od tego, za kogo pan się uważa, aresztuję pana jako podejrzanego o popełnienie morderstwa.

Jeden z policjantów wszedł do pomieszczenia gospodarczego i otworzył zamrażarkę. Po chwili wrócił do kuchni. Z trudem przełknął ślinę, próbując zapanować nad nudnościami.

– Ciało jest w zamrażarce. A przynajmniej to, co z niego zostało.

David jakby chciał coś powiedzieć, ale zmienił zdanie i z rozdrażnieniem pokręcił głową, jakby miał już dosyć wyjaśniania głupim policjantom prostych rzeczy.

Nie będą w stanie udowodnić, że to ja ją zabiłam. Po co się w ogóle starają? A niech mnie nawet zaprowadzą przed sąd. Tylko stracą czas. Chociaż wolałabym, żeby zachowali resztki rozsądku i sobie poszli. Jestem cholernie głodna.

David zerknął w kierunku kuchenki mikrofalowej. Czuł zimno w brzuchu, a w jelitach mu bulgotało, jakby jego wnętrzności się topiły. Zaczynał tracić poczucie rzeczywistości.

Zemdleję, jeżeli natychmiast czegoś nie zjem. Zniknę.

Nie zwracał już uwagi na to, co mówi do niego posterunkowa Bennett. Rozmyślał tylko o tym, żeby wyciągnąć głowę Evie z mikrofalówki, rozpłatać jej czaszkę, zjeść część mózgu łyżeczką, a resztę usmażyć na maśle. Niemal czuł w ustach rozkoszny smak smażonego mózgu.

– Panie Nelson, ma pan coś do powiedzenia? – zapytała go ostrym głosem policjantka.

Powtórzyła pytanie, którego za pierwszym razem nie usłyszał.

David wbił w nią błagalne spojrzenie.

– Proszę… – powiedział. – Jeżeli nie pozwolicie mi się najeść, znowu umrę.

– Dostanie pan posiłek na posterunku, ale najpierw zostanie pan formalnie oskarżony.

Chociaż policjant bardzo starał się utrzymać go w pozycji stojącej, David padł na kolana i zaczął łkać.

– Nie chcę znowu umrzeć. Proszę. Nie chcę. Nie wiecie, jak to jest.

Policjant, który do tej pory stał przy drzwiach, wszedł do kuchni i powiedział z ulgą w głosie:

– Jest wsparcie.

– Nie wiecie, jak to jest! – wrzeszczał David. Jego przerażone oczy były szeroko otwarte. – Nigdy nie umarliście, więc nie wiecie, jak to jest!

22

Mindy spacerowała ze swoim yorkiem imieniem Sprout po parku Furzedown. W pewnej chwili zauważyła granatową aksamitną kurtkę wiszącą na ogrodzeniu. Chociaż był szary, bezwietrzny dzień, jeden z rękawów kurtki powiewał energicznie, niemal jakby machał w jej kierunku.

Przystanęła i przez dłuższą chwilę obserwowała kurtkę. Sprout szarpnął cienką, czerwoną skórzaną smyczą i popatrywał na swoją panią ze zniecierpliwieniem. Nieopodal przechodził czarny labrador i piesek koniecznie chciał do niego podbiec, żeby go obwąchać.

– Poczekaj, Sprout – rzuciła Mindy. – Muszę obejrzeć tę kurtkę. Widzisz, że coś porusza się w rękawie? Może do środka weszła wiewiórka?

Mindy była drobną, ciemnowłosą, ostrzyżoną na pazia dziewięciolatką z zadartym noskiem. W czerwono-żółtym swetrze w zygzakowate wzorki, w kapelusiku i butach do kostek wyglądała jak postać ze starych, ilustrowanych książek dla dzieci. Powinna właściwie być w szkole, jednak dochodziła do siebie po krótkim przeziębieniu i mama pozwoliła jej zostać w domu jeszcze jeden dzień dłużej.

Podeszła przez trawnik do ogrodzenia i z zaciekawieniem popatrzyła z bliska na kurtkę. Musiała pociągnąć Sprouta za sobą, ponieważ pies wciąż odwracał głowę w kierunku labradora.

Rękaw przestał powiewać i wisiał nieruchomo. Kurtka wyglądała na bardzo drogą i Mindy nie potrafiła sobie wyobrazić, dlaczego właściciel zostawił ją w parku. Być może jakaś kobieta powiesiła ją na barierce, kiedy pilnowała swoich dzieci bawiących się w parku, ale poranek był przecież zbyt zimny, żeby chodzić bez kurtki. W taką pogodę trudno zapomnieć wierzchniego okrycia.

A może któreś z jej dzieci spadło z karuzeli i zrobiło sobie krzywdę, a ona musiała szybko jechać z nim do szpitala? Może to właścicielka kurtki zasłabła i jakiś uprzejmy nieznajomy zaoferował jej podwiezienie do

domu? Mindy zawsze układała takie historyjki, wyjaśniając zdarzenia zachodzące w otaczającym ją świecie, chociaż czasami przekonywała się, że prawdziwe zdarzenia bywają dziwniejsze od jej pomysłów. Pewnego razu zobaczyła dwóch mężczyzn idących Tooting Broadway i prowadzących pomiędzy sobą prawdziwego wypreparowanego niedźwiedzia. Wymyśliła mnóstwo wyjaśnień na temat tego dziwnego zdarzenia, ale nigdy nie dowiedziała się, dokąd szli ci mężczyźni i po co.

Labrador gdzieś zniknął i Sprout znowu całą uwagę skierował na Mindy. Kiedy popatrzył na kurtkę, zaczął piszczeć i się cofać – robił tak zawsze, kiedy był przestraszony. Ale gdy tylko Mindy wyciągnęła rękę, żeby zdjąć kurtkę z barierki, zaczął warczeć, ostro, gwałtownie, niemal histerycznie. Nie miał zamiaru przestać. Kręcił się dookoła własnej osi, próbował odciągnąć Mindy, ale niczego nie osiągnął, a jedynie zaplątał się w smycz.

– Sprout! Przestań natychmiast! Nie bądź głupi! Przecież to tylko kurtka!

On jednak ani myślał się uspokoić – ujadał, warczał, popiskiwał i ciągnął z całej siły.

– Sprout! Przestań! Jeżeli natychmiast nie przestaniesz, nie dostaniesz swojego ulubionego przysmaku!

Pies wciąż warczał, Mindy przywiązała więc koniec smyczy do barierki. Wtedy zaczął skakać jak szalony, tak że omal się nie udusił obrożą.

Mindy wzięła kurtkę do ręki. Była zahaczona o spiczasty pręt ogrodzenia, który zrobił dziurę w materiale. W tym momencie dziewczynka odniosła dziwne, lecz upojne wrażenie, że się od czegoś uwolniła – podobnie czuła się zazwyczaj ostatniego dnia roku szkolnego, pierwszego dnia na plaży podczas wakacji albo kiedy biegła po piasku w kierunku morza.

Przesunęła palcami po aksamicie. Był tak miły w dotyku, tak rozkoszny, że postanowiła przymierzyć kurtkę, żeby się przekonać, czy na nią pasuje.

Zdjęła sweter i powiesiła go na ogrodzeniu, włożyła kurtkę i zapięła ją na wszystkie guziki. Była dla niej przynajmniej dwa rozmiary za duża, miała za długie rękawy, ale spowodowała, że dziewczynka poczuła dziwne ciarki, które sprawiły jej niemal rozkosz. Miała wrażenie, że kurtka jest jej własnością, że czekała na tym płocie specjalnie na nią i na nikogo innego.

Wyciągnęła z kieszeni swetra telefon komórkowy, żeby zobaczyć na ekranie, jak wygląda w nowym stroju. Potem zrobiła kilka selfie, wyginając

się i wydymając usta jak Kim Kardashian. Jakiś mężczyzna w średnim wieku przejeżdżający akurat na rowerze zawołał:

– Jesteś śliczna, dziewczynko! Powinnaś zostać modelką!

Mindy odwróciła się i odkrzyknęła:

– Odpierdol się, ty zboczeńcu!

Widzisz? Ona zawsze była słodziutka i grzeczna, robiła tylko to, co jej kazano, ale teraz jest silna i może sama się bronić, jeżeli zajdzie taka potrzeba.

Ale „odpierdol się”? Przecież to jest niegrzeczne!

Dziad sam się o to prosił. W końcu ona ma dopiero dziewięć lat i jest sama w tym parku. Kto wie, co takim lubieżnym dziadom przychodzi do głupich łbów.

Mindy poczuła, że kurtka staje się coraz bardziej obcisła. Wkrótce mocno przywarła do niej przez cienką bawełnianą bluzeczkę z długimi rękawami. Zrobiła się tak ciasna, że Mindy z trudem oddychała, jednak było jej zarazem bardzo przyjemnie, w taki sposób, jakiego nie doświadczyła nigdy dotąd. Nagle poczuła się dorosła i podniecona.

I co ona teraz zrobi? Pójdzie do domu i pokaże się matce? A może nadszedł już czas, żeby powiedzieć matce, co naprawdę o niej myśli?

Ale dlaczego? Czy mama zrobiła coś złego?

Och, daj spokój! Zastanów się! Owszem, niech ona sobie będzie jej matką, ale to przecież nie daje jej prawa bezustannie rozkazywać, jak ona powinna się zachowywać, że ma ścielić łóżko i sprzątać pokój, pomagać w domu i nie wiadomo co jeszcze. Bo niby z jakiej racji? Ona ma już dziewięć lat i jest niezależną osobą. Na początek mogłaby przestać chodzić z matką w każdą niedzielę do kościoła. Bóg nie istnieje, po co więc tracić cenny czas w zimnym kościele i śpiewać głupie piosenki sławiące dobro oraz słuchać nudnego wikarego opowiadającego o przebaczeniu? Jeżeli ktoś powinien prosić o przebaczenie, to z całą pewnością jej matka. I nie do Boga powinna się zwracać, a właśnie do niej.

Mindy odwiązała smycz od barierki i pociągnęła psa, który wciąż warczał i próbował uwolnić się z obroży. Sweter zostawiła na płocie. Po chwili jedna z dwóch młodych matek z wózkami niemowlęcymi zawołała za nią:

– Hej, kochanie! Czy ta bluza należy do ciebie?

Mindy machnęła na nią lekceważąco i krzyknęła:

– Wypchaj się, kobieto, i pilnuj swoich spraw!

– No wiesz! Powinnaś iść do domu i porządnie umyć tę niewyparzoną buzię. Najlepiej mydłem i gorącą wodą!

– Nie słyszałaś, co mówiłam? – odparowała Mindy. – Powiedziałam, żebyś się wypchała, więc się wypchaj, głupi babsztylu!

Młode matki popatrzyły po sobie z niewyraźnymi minami i poszły dalej, nie zatrzymując się. Przez kilka minut Mindy obserwowała je, aż w końcu ruszyła do bramy parkowej, niemal eksplodując z zadowolenia.

Widzisz? Tak z nimi trzeba rozmawiać. Znalazła w końcu własny głos!

Zaczynało się ściemniać, kiedy Mindy dotarła do Nimrod Road i weszła do domu kuchennymi drzwiami.

– Mindy! – zawołała jej matka. – Gdzie ty byłaś, na miłość boską? Dzwoniłam do ciebie i dzwoniłam. Czyżby twój telefon się popsuł? Jeszcze chwila i zadzwoniłabym na policję!

– Niby po co? – zareagowała Mindy, rzucając smycz na stół kuchenny. – Nie sądzisz, że ona sama potrafi doskonale o siebie zadbać?

– Co powiedziałaś? Skąd masz tę kurtkę? I gdzie jest Sprout?

– A co cię to obchodzi? – odparła dziewczynka i skierowała się do drzwi prowadzących na korytarz.

Matka odstawiła żelazko i złapała Mindy za ramię. Córka była tak podobna do matki, że można by ją wziąć za jej o wiele młodszą siostrę.

– Gdzie byłaś, Mindy? Gdzie jest Sprout? Co się stało? I dlaczego masz na sobie tę okropną kurtkę? Gdzie podziałaś sweter?

Mindy stanęła nieruchomo, patrząc przed siebie, jakby zamierzała wyjść z kuchni, kiedy tylko matka cofnie rękę.

– No i co? – zapytała. – Obrazisz ją za to, że się nie ubiera tak, jak ty byś chciała, i że nie robi wszystkiego, co jej każesz, na przykład odrabiać lekcje, grać na pianinie i chodzić na lekcje tańca?

– Mindy, gdzie jest Sprout? Co z nim zrobiłaś? Zgubiłaś go? Co się dzieje, kochanie? Proszę, powiedz mi!

Mindy w końcu spojrzała na matkę.

– Ona powie ci to samo, co powiedziała upierdliwym babom w parku: wypchaj się i pilnuj swoich spraw!

Matka spoliczkowała córkę otwartą dłonią, ale natychmiast zawołała:

– Przepraszam! Przepraszam cię, kochanie! Nie chciałam tego! Ale musisz mi powiedzieć, co się stało, Mindy. Dlaczego tak dziwnie mówisz?

Lewy policzek Mindy poczerwieniał, dziewczynka jednak uśmiechnęła się lekceważąco, jakby już wcześniej była pewna, że matka ją uderzy, i wcale się tym nie przejęła.

– Mindy, na miłość boską, kochanie! Naprawdę nie chciałam cię uderzyć! Jednak wróciłaś do domu kilka godzin za późno, w kurtce, którą masz nie wiadomo skąd, nie ma z tobą Sprouta, a na moje pytania odpowiadasz, jakbym była dla ciebie obcą osobą.

– Ona ma już tego wszystkiego dosyć – powiedziała Mindy.

– Dlaczego o sobie mówisz „ona”? Miałaś jakiś wypadek czy co? Ktoś cię napadł?

– Gdybyś doświadczyła w życiu chociaż dziesiątej części mojego cierpienia, czułabyś to samo co ja – odparła Mindy.

Jej głos był odmieniony, niski i wyważony, a jej matka pomyślała, że także oczy dziewczynki wyglądają inaczej – nie były już duże, okrągłe, niewinne, lecz bardzo dziwne, jakby kocie i przepełnione pełną znużenia wrogością. Były to oczy kogoś, kogo życie mocno doświadczyło i kto nie miał w sobie ani krzty współczucia ani przebaczenia.

– Mindy, chodźmy do salonu. Zatelefonuję do ojca.

– Naprawdę? A jak myślisz, co ten wielki i wspaniały tatuś zrobi po twoim telefonie? Jest równie beznadziejny jak ty, głupia suko.

Matka Mindy nie zamierzała uderzyć córki po raz drugi. W tej chwili była naprawdę zmartwiona. Trzymając dłoń na jej ramieniu, zaprowadziła ją do salonu i zapaliła światło. Na kominku stały fotografie w ramkach. Na większości z nich znajdowała się Mindy, od wieku niemowlęcego po dzień dzisiejszy, zawsze uśmiechnięta tym lekko zawstydzonym, nieśmiałym uśmiechem, jakby nie wierzyła, że jest tak ładna, że ktoś ma ochotę ją fotografować.

– Usiądź – powiedziała matka, delikatnie popychając ją na kanapę. – Myślę, że przytrafiło ci się coś złego, i muszę się dowiedzieć co. Może zdejmiesz tę okropną kurtkę? Właściwie to skąd ją masz? Nie wygląda na czystą.

– Nie – powiedziała Mindy i rozejrzała się po pokoju. – Nienawidzę tej tapety. Zielona! Dlaczego spośród wszystkich możliwych kolorów wybrałaś najohydniejszy, zielony?

– Dziecko, przynajmniej usiądź.

– Nie.

Widzisz? Ona wcale nie musi być posłuszna. Może postawić się matce, a ta nic nie jest w stanie wskórać. Już nigdy nie podniesie na nią ręki. Ten policzek sprawił, że poczuła się znacznie gorzej od Mindy.

Matka usiadła w fotelu obok kominka, drżącymi rękami wyciągnęła z kieszeni telefon komórkowy i zadzwoniła do męża. Odebrał niemal natychmiast.

– Cześć, kochanie. Co się dzieje? Mam ważne spotkanie.

– Peter, chodzi o Mindy. Dzieje się z nią coś okropnego. Nie wiem, co to takiego, a ona nie chce mi nic powiedzieć.

– Co to znaczy „coś okropnego”? Ktoś ją skrzywdził?

– Chyba nie, przynajmniej na pierwszy rzut oka niczego takiego nie widzę. Około trzeciej wyszła na spacer ze Sproutem i dopiero teraz wróciła. Bez psa i ubrana w jakąś dziwaczną używaną kurtkę. Nie wiem, gdzie podziała sweter. Opowiada dziwaczne rzeczy. Mówi o sobie w trzeciej osobie, jakby miała na myśli kogoś zupełnie innego.

– I nie chce powiedzieć, co jej się przydarzyło?

– Właśnie… powiedziała mi tylko, że to nie moja sprawa. Zachowuje się naprawdę bardzo niegrzecznie.

Nastąpiła długa cisza, po czym ojciec Mindy zapytał:

– Chyba nikt jej nie zgwałcił?

– Nie, nie sądzę.

Mindy stała dotąd plecami do matki, teraz się jednak odwróciła.

– Wiem, co on sobie myśli. Typowy ojciec. Myśli, że została zgwałcona, prawda? Bo sam chciałby przecież w sekrecie uprawiać z nią seks. Wszyscy ojcowie by tego chcieli. Oglądają swoje córeczki nagie w kąpieli i kiedy akurat nie ma w pobliżu żon, uwielbiają je dotykać.

– Peter – powiedziała matka Mindy. – Lepiej przyjedź. Myślę, że będziemy musieli zatelefonować na policję.

– Och, chcesz wezwać policję? – zapytała Mindy szyderczym tonem. – A co ci z tego przyjdzie? Myślisz, że policja zaraz zacznie szukać twojego durnego psa i swetra? Nie sądzisz, że policjanci mają kilka ważniejszych spraw na głowie?

– Mindy…

– Nie, Janet. Nie będziesz się więcej wtrącała w jej życie! Ona wreszcie znalazła w sobie siłę! Ma mnie, a ja mam ją. Jesteśmy jednością! Nic, co zrobisz albo powiesz, nigdy tego nie zmieni! – Głos Mindy przeszedł w krzyk. Pochyliła się i matka poczuła na policzkach kropelki jej śliny. – Od teraz wszystko będzie wyglądać inaczej! Nie będziesz już jej wydawać rozkazów i traktować jak dziecko! Ona jest kobietą, ponieważ ja jestem kobietą i obie jesteśmy jednością. Odtąd ona będzie robiła to, na co będzie miała ochotę! I nie tylko. Ona… – Mindy zawahała się i położyła rękę na brzuchu. Zakrztusiła się i po jej brodzie pociekła ślina. – I nie tylko… – powtórzyła, ale znowu obrzydliwie się zakrztusiła.

Przez kilka sekund stała przed matką z zamkniętymi oczami i wydętymi policzkami. Potem zadrżała i zwymiotowała prosto na jej kolana kawałkami czerwonego, niestrawionego mięsa oraz kłębami futra.

Wymiotowała, krztusiła się, z trudem łapała powietrze, a matka przytrzymywała ją za ramiona.

W końcu dziewczynka opadła na kolana, zwiesiła głowę i rozpłakała się. Matka popatrzyła na oślizłą maź na spódnicy. Futro i czarny jak lukrecja fragment nosa podpowiedziały jej, z czym ma do czynienia.

– Dobry Boże – wyszeptała. – Mindy, co w ciebie wstąpiło, kochanie? Co w ciebie wstąpiło?

23

– Jakie masz plany wobec tego, jak mu tam… litewskiego bandyty? – zapytał inspektor Saunders.

– To proste – odparł Jerry. – Od wczesnego rana będziemy obserwować jego dom, a kiedy wyjedzie na ulicę i zacznie zbierać worki z rzeczami przeznaczonymi dla biednych, przyskrzynimy go.

Saunders odszedł od okna. Na zewnątrz było już ciemno, dlatego prawdopodobnie podziwiał w nim jedynie swój wizerunek.

– Zastanawiam się, czy gra jest warta świeczki – powiedział. – Wiem, że według ciebie facet zarabia na tym przekręcie spore pieniądze, ale skoro ludzie wystawiają ten towar na ulicę, to chyba nie mamy do czynienia ze skokiem stulecia, co?

– Jego działalność ogranicza dostęp Cancer Research do potencjalnych źródeł finansowania. Jeśli u pańskiej mamy zdiagnozowano by raka, jak by się pan czuł, gdyby jakiś kacap z Europy Wschodniej podkradał pieniądze, które można by przeznaczyć na jej leczenie?

– U mojej mamy *zdiagnozowano* raka – powiedział inspektor. – Zmarła w minione święta Bożego Narodzenia.

– Och, przepraszam, nie wiedziałem. Jednak w tej sytuacji na pewno lepiej pan rozumie, co mam na myśli.

– Cóż, dobrze. Jednak kierowanie sił i środków na ten cel wydaje mi się trochę dziwne, skoro mamy akurat do czynienia ze znacznie ważniejszymi sprawami. Mam na myśli Samirę Wazir, Michaela Brenta i tych dwoje biednych dzieciaczków wyrzuconych przez okno.

– Nie zaniedbujemy tych śledztw – wtrąciła się Dżamila. – Ojciec Samiry Wazir wrócił dziś z Pakistanu i wieczorem zostanie przesłuchany. Jesteśmy też umówieni na rozmowę z doktorem Fullerem, kiedy tylko będzie miał wszystkie wyniki badań.

– Czyli kiedy?

– Tego dokładnie nie wiemy, sir. Doktor Fuller czeka z kolei na wyniki z Lambeth Road. Mamy nadzieję, że spotkamy się z nim jutro albo pojutrze. To zależy. Na razie i tak jesteśmy w kropce i nie ruszymy z miejsca, dopóki nie zrozumiemy, jaką rolę w tym wszystkim odgrywają ubrania, jeżeli jakąś odgrywają. Badania toksykologiczne także jeszcze trwają.

– Dobrze, ale siedźcie Fullerowi na karku, niech się śpieszy – rozkazał Saunders. – Bo mnie z kolei ścigają dziennikarze i naprawdę działają mi już na nerwy. I bądźcie ostrożni.

Wykonał gest, jakby jeszcze coś chciał dodać. Jednak w końcu wzruszył ramionami, wrócił za biurko i zaczął pisać na komputerze.

– Kiedy tylko zdobędziemy nowe informacje, natychmiast damy panu znać – obiecała Dżamila.

– Tak, oczywiście.

Jego głos zabrzmiał tak, że trudno było stwierdzić, czy miało to oznaczać zgodę, stwierdzenie faktu czy też groźbę: tak, oczywiście, bo jeśli nie, gorzko tego pożałujecie.

Gdy drzwi windy otworzyły się na parterze, Jerry i Dżamila usłyszeli kobiecy krzyk. Minęli ich dwaj funkcjonariusze biegnący w kierunku cel dla aresztantów. Niemal natychmiast zjawił się też sierżant Bristow i opadł na krzesło za swoim biurkiem w recepcji.

– Co się dzieje? – zapytał Jerry. – Mam nadzieję, że to nie ta dyrektorka szkoły, która wyrzuciła dzieciaki przez okno. Myślałem, że pojechała już do szpitala na zabieg zdjęcia płaszcza.

– Głos nawet podobny, co? – odparł Bristow. – Ale nie, to drze się ten facet.

– Facet? Brzmi jak moja ciotka Doris!

Bristow podniósł na niego wzrok.

– Pamiętasz ten telefon, o którym ci mówiłem dzisiaj rano?

– Oczywiście, że pamiętam. Chodzi ci o kobietę, która twierdzi, że zaginęła jej przyjaciółka.

– Właśnie. Dostaliśmy od Callowa zgodę na wejście siłą do domu tej przyjaciółki, ale okazało się, że nie musimy tego robić, bo w domu był jej mąż. Jego żona również tam była, ponieważ on zadźgał ją na śmierć i włożył zwłoki do zamrażarki.

Dżamila potrząsnęła głową.

– Nieprawdopodobne!

– Ale to nie wszystko – kontynuował sierżant. – Potem wykroił z ciała kawał mięsa, usmażył je i zjadł, a kiedy przyjechaliśmy na miejsce, rozmrażał w kuchence mikrofalowej jej głowę. Powiedział naszym ludziom, że właśnie zamierzał zjeść jej mózg, a kiedy mu na to nie pozwolili, zupełnie się załamał.

– Zbiera mi się na mdłości.

– I to on tak wrzeszczy? – zapytał Jerry.

– Tak. Są z nim Willis i Baker. Próbują go zmusić, żeby się rozebrał, ale on nie chce. Twierdzi, że nie może zdjąć swetra, bo kiedy próbuje to zrobić, czuje potworny ból.

– Ból? – zapytała Dżamila. – Co go boli?

– Nie mam pojęcia, ale musimy wezwać lekarza. Najpierw mieliśmy tego narkomana, potem nauczycielkę, a teraz jeszcze ten facet i zawracanie głowy z jego swetrem.

– Zerkniemy na niego, dobrze?

Bristow pokiwał głową, a Jerry i Dżamila pośpiesznie ruszyli do aresztu. David już nie krzyczał, tylko cicho łkał.

Przed celą stał dyżurny funkcjonariusz. Stał z założonymi rękami i sprawiał wrażenie znudzonego.

– Przyszliście zobaczyć Madame Butterfly? – zapytał.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu – odparła zimno Dżamila.

Policjant znalazł właściwy klucz i otworzył drzwi celi.

David siedział na łóżku z twarzą ukrytą w dłoniach. Jego ramiona drżały.

Posterunkowy Willis stał nad nim z rękami w kieszeniach i z wyrazem totalnej frustracji na twarzy, niczym ojciec, którego trzyletnie dziecko stoi na szczycie zjeżdżalni w parku i nie chce ani z niej zjechać, ani zejść po drabince.

Posterunkowa Jean Baker była młodą, pulchną kobietą o krótko ściętych rudych włosach.

Obok niej stali dwaj policjanci w mundurach – posterunkowy Ted Jonas o ramionach szerokich jak u rugbysty oraz posterunkowy Wilkinson, starszy od niego, siwiejący, z lekko wystającym brzuchem.

– Cześć, Jerry – powitał go Willis. – O, jest także pani sierżant Patel. To zaszczyt. Chyba mamy tu do czynienia z kolejną odsłoną syndromu

przyrośniętych ubrań. Facet nie chce zdjąć swetra, a kiedy próbujemy to zrobić za niego, drze się pieprzonym sopranem jak stare gacie.

– Przypomnij mi, jak on się nazywa – poprosił Jerry.

– David Nelson. Został oficjalnie oskarżony o zamordowanie żony i pouczony o przysługujących mu prawach. Nie poprosił o adwokata, ale według mnie bardziej mu jest potrzebny lekarz od czubków niż prawnik. Poza tym mówi o sobie w trzeciej osobie.

– W trzeciej osobie? – zdziwiła się Dżamila.

– Przyznał, że David Nelson zabił jego żonę i zjadł część jej nogi oraz odciął głowę, bo chciał zjeść mózg. Twierdzi jednak stanowczo, że to nie on jest Davidem Nelsonem.

Dżamila popatrzyła na Jerry’ego i powiedziała:

– Podobnie było z Sophie Marshall. I z Laurą Miller, tą nauczycielką. Obie przyznały się do morderstw, które popełniły, ale twierdzą, że to nie one są morderczyniami. Tak samo zachowywał się też ten narkoman, który został zatrzymany za nieobyczajne zachowanie. Można by odnieść wrażenie, że wszyscy mają poważne zaburzenia psychiczne.

– Myślę, że musi go zbadać lekarz. Poza tym trzeba poczekać na wyniki badań – powiedział Jerry. – To oczywiste, że popadł w jakąś paranoję, która będzie trwać dopóty, dopóki nie zdejmie tego swetra. – Usiadł obok Davida i położył dłoń na jego drżącym ramieniu. – David? Słyszysz mnie, David? Powiedz mi, jak się czujesz.

Mężczyzna przez długą chwilę nie odpowiadał, jednak powoli się uspokajał: przestał płakać, opuścił ręce i popatrzył na Jerry’ego opuchniętymi, przekrwionymi oczami.

– Nie mogę go zdjąć – wyszeptał, jakby nie chciał, aby ktokolwiek poza Jerrym usłyszał jego słowa. – Nie pozwoli mi.

– Kto ci nie pozwoli, Davidzie?

– Moja matka. Nie pozwoli mi.

– Twoja matka? Dlaczego ci nie pozwoli? Gdzie ona jest?

David na chwilę zamknął oczy i zadrżał. Kiedy je otworzył, jego twarz była odmieniona. Zamiast smutku widniała na niej nienawiść.

– A co ci do tego? – zapytał groźnie. Jego głos znowu stopniowo zmienił się w kobiecy krzyk. – Idź stąd, koleś, i zajmij się swoimi sprawami, kimkolwiek jesteś!

– Nazywam się Jerry Pardoe i jestem policjantem, a ty zostałeś aresztowany pod zarzutem popełnienia morderstwa. Nie poprawisz swojej sytuacji, jeśli będziesz na mnie wrzeszczeć.

– To nie byłem ja. To nie David. Ile razy mam ci powtarzać?

– Nazywasz się David Nelson. Zabiłeś swoją żonę i zacząłeś ją zjadać.

– Żadne prawo nie zabrania jedzenia ludzkiego mięsa.

– Wiem. Ale zabrania zabijania ludzi.

– Ale to nie ja zabiłem. Niczego mi nie udowodnisz.

Jerry cofnął rękę, którą cały czas trzymał na ramieniu Davida, i wstał.

– Ta rozmowa nie ma sensu – powiedział. – Poczekamy na lekarza. Gdyby ktoś pytał mnie o zdanie, jego też trzeba umieścić w Springfield.

– Poddałeś się, co? – zadrwił z niego David.

– Nie na długo.

– Musicie dać mi coś do jedzenia. Jestem głodny jak wilk. Jeżeli zaraz nie dostanę jakiegoś posiłku, rozchoruję się i gorzko tego pożałujecie. Macie obowiązek karmić ludzi, których aresztujecie.

– Później coś dostaniesz. Zakładam, że nie masz alergii pokarmowej. I na pewno nie jesteś wegetarianinem.

– Nie drwij sobie ze mnie, młody człowieku – powiedział David. – Jeżeli nie będziesz ostrożny, wydłubię ci oczy i usmażę je.

Jerry i Dżamila wyszli z celi, a za nimi pozostali policjanci.

Willis obiecał, że da im znać, jak tylko aresztanta zbada lekarz.

Zanim dotarli do stanowiska sierżanta Bristowa, usłyszeli przeraźliwy krzyk z celi Davida. Wrzeszczał jak człowiek poddawany torturom. Policjanci przystanęli, zastanawiając się, czy zawrócić. Nagle usłyszeli, jak David krzyczy:

– Nie! Nie! Nie możesz tego zrobić! Nie możesz tego zrobić! Przestań! Przestań, nie wolno ci! Nie!

Wszyscy jak na komendę ruszyli biegiem do aresztu. Dyżurny zmagał się już przy drzwiach z pokaźnym pękiem kluczy, chcąc otworzyć celę. Tymczasem David nie przestawał wrzeszczeć i wydawać przerażające dźwięki niczym zarzynana świnia.

– Co się tu dzieje? – warknął Jerry do dyżurnego. – Otwieraj te pieprzone drzwi!

– Klucz nie chce się obrócić!

– Co to znaczy, że nie chce się obrócić? Dawaj! – Jerry odepchnął go i sam spróbował przekręcić klucz w zamku, jednak nie dał rady. – Jesteś pewien, że to właściwy klucz?

– Oczywiście, że jestem pewien. Ktoś zapchał zamek.

Jerry uniósł judasza i zobaczył, że David stoi na środku celi, plecami do drzwi, i próbuje ściągnąć sweter przez głowę. Zdołał go unieść do wysokości barków i desperacko ciągnął dalej, jednak szarpiąc sweter, jednocześnie zrywał sobie skórę. Całe plecy były jedną wielką krwawiącą raną.

– Przestań! – krzyczał David, wijąc się z bólu. – Nie możesz tego zrobić! Wiesz, co się stanie, jeśli to zrobisz! Zabijesz mnie! Nie mogę znowu umrzeć! Zabijesz mnie!

Pomimo niewyobrażalnego cierpienia jeszcze raz mocno pociągnął sweter. Zdołał go zerwać przez głowę, ale jednocześnie zdarł resztki skóry z górnej części pleców i z ramion. Ze swetra zwisały teraz jej długie zakrwawione płaty.

– Ty draniu! – krzyczał. – Ty mały łotrze!

Po tych słowach runął na bok, znikając Jerry’emu z pola widzenia.

– Wezwij pomoc! – zawołał Jerry do dyżurnego. – I przynieś jakiś łom!

Jeszcze raz spróbował przekręcić klucz w zamku. Klucz najpierw z uporem tkwił w miejscu, ale gdy kilkakrotnie nim szarpnął, usłyszał łagodny zgrzyt i drzwi się otworzyły, jakby popchnęła je jakaś niewidzialna siła.

Jerry wbiegł do celi, a za nim Dżamila i Willis. David zwijał się z bólu na posadzce, trząsł się i mamrotał niezrozumiale. Jerry kucnął przy nim, jednak nie odważył się go dotknąć.

Nieszczęśnik zdarł z siebie nie tylko naskórek, ale też głębsze warstwy skóry.

– Trzymaj się, David, zaraz ci pomożemy – powiedział Jerry.

Mężczyzna otworzył oczy, ale jego źrenice natychmiast odpłynęły do góry. Był w głębokim wstrząsie i Jerry doskonale rozumiał, że musiałby się zdarzyć cud, żeby przeżył do chwili, gdy będzie można udzielić mu fachowej pomocy.

– Wygląda na to, że sweter zadziałał tak jak tamte płaszcze – stwierdziła Dżamila.

– Prawdopodobnie – potwierdził Jerry. – Ale gdzie jest ten cholerny sweter? Myślałem, że David rzucił go na posadzkę.

Dżamila rozejrzała się po celi.

– Jest. Pod pryczą.

Czarny sweter zaległ w ciemnym kącie pod pryczą, tak blisko ściany, że gdyby nikt go nie szukał, leżałby niezauważony. Dżamila pochyliła się, żeby sięgnąć po niego, ale natychmiast skoczyła na równe nogi.

– On się poruszył!

– Żartujesz? – Jerry popatrzył na nią z niedowierzaniem.

– Przysięgam, ten sweter się poruszył!

Jerry wsunął głowę pod pryczę i popatrzył. W pierwszej chwili sweter zdawał się leżeć nieruchomo, ale po kilku sekundach również Jerry odniósł wrażenie, że się poruszył. Jeden z rękawów przesunął się do przodu, jakby wciąż znajdowała się w nim czyjaś ręka.

– Tam jest szczur – powiedział. – Założę się, że do środka dostał się szczur. – Wyprostował się i zawołał dyżurnego. – Malcolm, miałeś tu ostatnio jakieś szczury?

– Szczury? – zdziwił się policjant. – Nie, Jerry, tutaj nigdy nie było szczurów.

Willis stał za drzwiami, rozmawiając przez telefon komórkowy z szefem ekipy technicznej. Baker poszła do recepcji, żeby, jak powiedziała, zaczekać tam na karetkę. Ale Jerry był pewien, że po prostu nie mogła patrzeć na ten makabryczny widok.

Jerry przyklęknął i jeszcze raz zajrzał pod pryczę. Sweter leżał teraz metr dalej niż przed chwilą i był wywrócony na lewą stronę. A przecież to była tylko część garderoby. Na pewno nie mógł samoistnie się poruszać.

Jerry sięgnął po niego, ale gdy tylko go dotknął, sweter cofnął się i za chwilę zaczął wypełzać spod pryczy jak wielki, okaleczony pająk.

– Derek, uważaj! – krzyknął Jerry.

Posterunkowy Willis odwrócił się i zobaczył, że sweter mknie po posadzce w jego kierunku. Z niedowierzaniem zrobił dwa kroki do tyłu. Dyżurny, który również to widział, stał jak wryty z otwartymi ustami i nie zareagował, gdy sweter wydostał się na korytarz i sunął dalej, pozostawiając za sobą krwawe ślady i fragmenty skóry Davida.

Dżamila wrzasnęła w panice:

– On żyje, Jerry! Przecież to niemożliwe!

Jerry wybiegł z celi. Dopadł sweter, zanim ten dotarł do recepcji, i przycisnął go stopą do posadzki. Sweter natychmiast zareagował: rękawy ciasno owinęły się Jerry’emu wokół kostki i zaczęły się przesuwać w górę po nodze, ściśle do niej przywierając. Jerry spróbował strząsnąć natręta. Uczynił to tak gwałtownie, że stracił równowagę i potoczył się na ścianę, boleśnie uderzając w nią ramieniem.

Podbiegł do niego dyżurny, wskoczył obiema nogami na sweter i zaczął po nim deptać. Dopiero wtedy rękawy zwiotczały, oswobadzając łydkę Jerry’ego. Sweter znieruchomiał i zaległ płasko na posadzce.

Jerry potarł bolące ramię i powiedział:

– Dzięki, Malcolm.

Obaj patrzyli przez chwilę na sweter, a potem wymienili spojrzenia. Żaden z nich nie potrafił uwierzyć, że to wszystko wydarzyło się naprawdę. Jerry milczał – nawet najgorsze przekleństwa nie oddałyby w tej chwili jego nastroju.

Dżamila została w celi przy Davidzie, ale Willis podszedł do nich i się przeżegnał.

– Nie wiedziałem, że jesteś wierzący, Derek – powiedział Jerry po sekundzie.

– Bo nie jestem – odparł Willis. – Ale jeśli tutaj nie działały siły nieczyste, to nie wiem, co to mogło być.

Dyżurny trącił sweter czubkiem buta.

– Nic z tego nie rozumiem. Przecież tam w środku nic nie ma. A mimo wszystko ta szmata szorowała sama po ziemi jak nakręcona, prawda? Jak… sam nie wiem, jak mop?

– Malcolm, przyprowadź tu kogoś, żeby miał na niego oko, dopóki nie przyjadą technicy. Nie chcę znowu się za nim uganiać.

W tym momencie nadeszła posterunkowa Baker z dwoma sanitariuszami w jaskrawożółtych kamizelkach.

– Patrzcie pod nogi – ostrzegł ich Jerry i wskazał im sweter leżący na posadzce.

Sanitariusze popatrzyli na sweter bez większego zainteresowania, jednak posłusznie go obeszli.

Jerry i Willis poczekali przy swetrze, aż dyżurny przyprowadzi kolejnego policjanta. Po chwili zastąpił ich młody posterunkowy z podkręconym jasnym wąsem i wystającym jabłkiem Adama.

– Już wezwaliśmy ekipę – powiedział do niego Willis. – Pilnuj tego swetra, dopóki się nie zjawią.

– Mam pilnować swetra? – zdziwił się młody posterunkowy. – A co mu się może stać?

– Może podjąć próbę ucieczki – odparł Jerry. – Jeżeli tak się stanie, nadepnij na niego obiema nogami. Najmocniej jak potrafisz.

Młody funkcjonariusz zaczął się śmiać, ale gdy zrozumiał, że Jerry jest śmiertelnie poważny, natychmiast zamilkł.

– Oczywiście. Rozumiem. Nadepnę na niego, jeżeli będzie chciał uciekać.

– Z całej siły – dodał Jerry.

Dżamila wyszła z celi. Miała smutną minę i potrząsnęła głową.

– David zmarł. Nie można już było mu pomóc.

– Cóż, po tym, co zrobił, i tak zapuszkowalibyśmy go na czterdzieści lat.

Dżamila popatrzyła na sweter.

– To samo było z kurtką. Sophie powiedziała, że zaczęła za nią pełznąć. Ciekawe, dokąd odpełzła po tym, jak wydostała się z mieszkania? Nie wiemy.

– Ja natomiast wiem, że to nie Sophie zabiła swojego chłopaka. Zabójcą na pewno jest kurtka. Tyle że wciąż nie potrafię tego ogarnąć. O co tutaj chodzi?

– To jest gorsze niż opowieści mojej babci – stwierdziła Dżamila. – Znacznie gorsze, bo dzieje się naprawdę. Przecież ten sweter uciekał jak gigantyczna tarantula, mimo że jest tylko kawałkiem wełnianej dzianiny. Jak to możliwe?

– Nie wiem, moja droga. I wydaje mi się, że doktor Fuller też nie będzie mógł nas oświecić. To, co się dzieje, nie ma żadnego logicznego wyjaśnienia. No, możemy ewentualnie przyjąć, że mamy do czynienia z czarami.

24

Jerry i Dżamila poczekali na przybycie techników. Wreszcie się pojawili, ubrani w białe kombinezony z tyveku. Wszyscy czterej natychmiast zaczęli się krzątać w celi Davida i w prowadzącym do niej korytarzu, robiąc zdjęcia, zbierając próbki i zabezpieczając ślady.

W końcu zwłoki Davida, przykryte niebieską folią, wyniesiono z celi, a sweter został umieszczony w pudle z tektury falistej, przeznaczonym do przechowywania dowodów rzeczowych. Nie dawał już oznak życia, nie zmieniał położenia, i chociaż Jerry wiedział, że powinien opowiedzieć technikom, co się wydarzyło, nie potrafił znaleźć odpowiednich słów, podobnie jak pozostali. Spoglądali tylko niepewnie po sobie, kiedy jeden z techników zabezpieczał pudło taśmą klejącą. Zawarli milczące porozumienie, że poczekają, aż sweter zbada doktor Fuller i porówna wyniki z badaniami dwóch płaszczy.

Była już prawie dziewiąta. Dżamila zatelefonowała do pana Wazira, by przełożyć rozmowę na następny dzień, jednak on zadecydował, że mogą przyjechać jeszcze tego wieczoru.

– Jedziesz, Jerry? – zapytała Dżamila. – A może masz już na dzisiaj dość?

– Jestem zmieszany, ale nie wstrząśnięty. Nie ma mowy, żebym wrócił teraz do domu, wypił piwo, zjadł gotowe danie z mikrofalówki i spokojnie zasnął.

Pan Wazir był schludnym, łysym mężczyzną z małym czarnym wąsikiem i kilkoma złotymi zębami. Miał na sobie nieskazitelnie czystą białą koszulę z krawatem z logo peszawarskiego klubu krykieta. Zaprowadził dwójkę policjantów do salonu, a tymczasem jego żona wycofała się do kuchni, skąd dolatywał silny zapach kardamonu.

Usiedli. Jak na mężczyznę Wazir miał bardzo małe stopy, a na nich bordowe sztruksowe pantofle. Jerry pomyślał, że oni też powinni zdjąć

obuwie, jednak gospodarz ich o to nie poprosił. Wydawał się spokojny, jakby trochę nieobecny, jednak zdecydowanie więcej było w nim rzeczowości niż emocji.

Dżamila odchrząknęła.

– Przede wszystkim, panie Wazir, zechce pan przyjąć nasze kondolencje z powodu tragicznej straty córki.

Mężczyzna w milczeniu pokiwał głową.

– Wiemy, że pragnie pan jak najszybciej urządzić pogrzeb – kontynuowała. – Jutro będzie można odebrać zwłoki Samiry. Proszę nas tylko poinformować, który zakład pogrzebowy pan wybrał.

– Samira była pełną radości młodą kobietą – rzekł Wazir. – Była bezustannie rozśpiewana, roześmiana. Nie znałem drugiej tak radosnej osoby.

– Cieszyła się, że wychodzi za mąż?

– O, tak. Starannie wybraliśmy dla niej męża, przystojnego i solidnego. Wiedzieliśmy, że będzie ją dobrze traktował. W końcu wychowała się tutaj, w Wielkiej Brytanii, i wiedzieliśmy, że nie będzie tolerować mężczyzny, który nie zechce jej szanować. Powiedziała mi, że z radością wyjdzie za mąż za Faraza.

– Wiadomo nam, że Samira często kłóciła się z matką – powiedział Jerry.

– Moja żona jest osobą o bardzo tradycyjnych poglądach. Wierzy, że młodzi ludzie powinni być bezwzględnie posłuszni starszym. W Wielkiej Brytanii dziewczęta nie przestrzegają tak rygorystycznie tej zasady, dlatego musiało dochodzić między nimi do pewnych spięć. Jednak moja żona nie skrzywdziłaby córki.

– Jak pan sądzi, kto mógł ją zabić?

– Nie mam pojęcia. Jak mówiłem, cieszyła się na myśl o ślubie z Farazem i nie spotykała się z innymi chłopcami, którzy mogliby być o nią zazdrośni. Miała kolegów, to naturalne, ale jak jej matka już pewnie państwu powiedziała, była czysta.

– A może popełniła samobójstwo? – zapytał Jerry.

– Dlaczego miałaby to zrobić? – Wazir odpowiedział pytaniem. – Była szczęśliwa, była piękna i wszystko w jej życiu układało się doskonale. Ktoś ją zabił, a ja nie mam pojęcia kto. Szczerze mówiąc, znalezienie mordercy to wasze zadanie, prawda?

– Ta sprawa mnie przytłacza – powiedziała Dżamila, kiedy wsiedli do samochodu i zapięli pasy. – Wszystkie dowody wskazują na to, że kiedy wylewano kwas na twarz Samiry, dziewczyna była sama w domu, a, jak powiedział ojciec, wszystko w jej życiu układało się wręcz perfekcyjnie. No i jest jeszcze sprawa tych włókien w skórze…

– Myślę, że znasz maksymę starego dobrego Sherlocka Holmesa, co? – zapytał Jerry. Uruchomił silnik i włączył się do ruchu.

– Tak, ale Sherlock Holmes nie miał do czynienia z tkaninami, które wrastają w skórę, ani ze swetrami biegającymi po podłodze jak pająki.

– Napijesz się czegoś przed snem? – zapytał Jerry. – Mieszkam przy następnej przecznicy. Wiem, że nie tykasz alkoholu, ale mógłbym ci zaparzyć filiżankę herbaty. Czasami nocuje u mnie moja córka i pewnie znalazłoby się w domu nawet kakao.

– A masz kawę? Bardzo chętnie wypiłabym kubek mocnej kawy. Potrzebuję czegoś, co nie pozwoli mi zasnąć przez całą noc, bo w przeciwnym wypadku będę miała okropne sny o wielkich pająkach.

– Zrobię ci potrójne espresso. Jak je wypijesz, to nie zaśniesz przez tydzień.

Mieszkanie Jerry’ego znajdowało się na pierwszym piętrze szarego betonowego bloku przy Prentis Road. Zanim otworzył drzwi, powiedział do Dżamili:

– Musisz mi wybaczyć potworny bałagan. Pewna miła Polka przychodzi do mnie co tydzień, żeby posprzątać, jednak w tym tygodniu gdzieś wyjechała. Jej siostra wychodzi za mąż albo umarł dziadek, coś w tym rodzaju.

Włączył światło w salonie. Jego umeblowanie stanowiły kremowa kanapa zarzucona mnóstwem gazet, dwa fotele nie do pary – jeden zielony, drugi pomarańczowy – wielki płaski telewizor i dębowa ława, na której tłoczyło się mnóstwo puszek po piwie Stella Artois, leżały jakieś zapisane notatniki i otwarta paczka czipsów paprykowych.

Dżamila zdjęła płaszcz i Jerry przewiesił go przez oparcie krzesła.

– Nie martw się – powiedziała. – Co prawda mam bzika na punkcie czystości, ale widywałam już bardziej zaniedbane mieszkania. Dom mojego

brata wygląda jak po trzeciej wojnie światowej. Ale mój brat ma troje dzieci, trzech małych chłopców.

– A ty jesteś mężatką? – zapytał Jerry. – Zauważyłem, że nie nosisz obrączki, ale przecież nie wszyscy je noszą. – Uniósł dłoń i dodał: – Ja wciąż noszę. Odstrasza kobiety, które mają chrapkę na przystojnych detektywów.

– Nie. Moi rodzice chcieli, żebym poślubiła kuzyna, który jest biznesmenem w Islamabadzie i doskonale mu się powodzi. Ale jest znacznie starszy ode mnie i po prostu mi się nie podobał, więc kategorycznie odmówiłam. Ojciec początkowo był na mnie wściekły, ale kiedy mu powiedziałam, że wstąpię do policji, przestał się na mnie dąsać.

– A teraz?

– Byłam w długim związku z pracownikiem opieki społecznej, którego poznałam już jako policjantka. Jednak się rozeszliśmy. Teraz mam kilku kolegów, ale z żadnym z nich się nie spotykam.

– Zaskoczyłaś mnie. Przecież jesteś bardzo atrakcyjną kobietą.

Dżamila zmieszała się i odwróciła głowę.

– Co z tą obiecaną kawą? – zapytała.

Jerry wahał się przez chwilę i Dżamila znowu na niego popatrzyła. Jej wzrok zdradził mu, że nie jest bynajmniej niezadowolona z komplementu swojego podwładnego. W końcu byli już po służbie, a Jerry odnosił wrażenie, że przez ostatnie kilka dni Dżamila trochę go polubiła. Może miała słabość do wysokich, niedbających o siebie Anglików, z potarganymi jasnymi włosami, o szafirowoniebieskich oczach?

Wszedł do kuchni i włączył ekspres do kawy marki De Longhi, a potem wyciągnął z lodówki puszkę piwa i otworzył ją. Niespodziewanie w progu stanęła Dżamila i rozejrzała się uważnie.

– Proszę, przynajmniej w kuchni masz porządek. – Uśmiechnęła się. – Właściwie porządek to za mało powiedziane. Jest nieskazitelnie czysta.

– To dlatego, że prawie w ogóle nie gotuję. Kiedyś umiałem zrobić doskonałe kiełbaski zapiekane w cieście, ale nie warto ich przyrządzać dla jednej osoby.

– Pamiętam, że obiecałam cię zaprosić na moją kimę, curry z mielonej baraniny, z grochem i ziemniakami.

– Trzymam cię za słowo. Jestem gotów przyjść z własną łyżką.

Kiedy espresso było gotowe, Jerry ostrożnie przelał gorący, czarny płyn do filiżanki i wrócili do salonu. Jerry zgarnął na podłogę stare egzemplarze „The Sun” i zajęli miejsca na kanapie. Dżamila usiadła z podwiniętymi nogami i popijała kawę, trzymając filiżankę w obu rękach. Jerry pomyślał, że wygląda po prostu na bezbronną, śliczną i ujmującą dziewczynę. W tej chwili wcale nie wyglądała na policjantkę.

Oboje jednak wiedzieli, że nie jest to właściwy czas ani na flirt, ani na szukanie pocieszenia w objęciach partnera. Musieli się skoncentrować na sprawie. Wciąż mieli przed oczami obdarte ze skóry i zakrwawione ciało Davida i tajemniczy sweter.

– Wierzę w moce nadprzyrodzone – powiedziała Dżamila. – Na przykład w duchy, które rzucają przedmiotami, przewracają krzesła i tak dalej. Ale nie jest łatwo to zobaczyć.

– Daj spokój. Musi istnieć jakieś naukowe wyjaśnienie tego, co się wydarzyło – odparł Jerry. – Może tu chodzi o jakąś reakcję chemiczną? Nie wiem.

– Najbardziej niepokojące jest to, że cała ta sprawa zaczyna przypominać epidemię. Najpierw Samira, potem Sophie, ten kloszard, wreszcie Laura Miller i David Nelson. Wiem, że te przypadki różnią się między sobą. Wiele wskazuje na to, że Samira zabiła się sama, nikt jej w tym nie pomógł, a z kolei ten ćpun tak naprawdę nikomu nie zamierzał zrobić krzywdy, chociaż może patrol, który go zgarnął, uprzedził bieg wypadków. Jednak w każdej z tych spraw pojawiła się jakaś sztuka odzieży. Jaki możemy wyciągnąć z tego wniosek? Że te ubrania były skażone? Ale czym? Co może sprawić, że włókna materiału, z którego uszyty jest płaszcz lub kurtka, wbijają się człowiekowi w skórę i zamieniają go w szaleńca?

– Ja też o tym myślałem, pani sierżant. I doszedłem do wniosku, że prawdopodobnie patrzymy na te wydarzenia ze złej strony. Może oni wszyscy coś brali, jakieś narkotyki, które spowodowały, że ich skóra zaabsorbowała te włókna, nie wiem, w drodze osmozy albo jakoś tak? Przecież ostatnio pojawiło się na rynku mnóstwo nowych narkotyków. Są tak silne, że zwaliłyby z nóg słonia. Niektóre, na przykład karfentanyl, rzeczywiście zostały opracowane do ogłuszania słoni, może są więc wystarczająco silne, aby wciągać w skórę nitki z płaszczy? Kto to wie? Miejmy nadzieję, że doktor Fuller coś wyjaśni.

– A jeśli nie? Może Saunders ma rację i powinniśmy zaprosić do współpracy egzorcystę? I…

– I co?

– I kiedy jesteśmy sam na sam, poza służbą, nie mów do mnie „pani sierżant”. Mam na imię Dżamila. W Afryce to imię tłumaczy się jako „czystość”, a w krajach arabskich Dżamila znaczy osoba o pięknej aparycji i zachowaniu.

– Pasuje do ciebie. Z kolei „Jerry” to Niemiec, kanister z benzyną albo brzydki gówniany budynek.

Żadne z nich się nie roześmiało. Przez kilka sekund patrzyli na siebie. Przepłynęła pomiędzy nimi jakaś wiadomość bez słów, a oni zrozumieli, że jest to wiadomość, której treści nigdy nie poznają.

Dżamila dopiła kawę i wstała.

– Muszę już iść, Jerry. Ty też zaczynasz pracę bardzo wcześnie, nie zapominaj o tym. Powodzenia z Liepą Mazgajem.

– Odwiozę cię do domu. Gdzie mieszkasz?

– W Merton, z przyjaciółką z Centrum Pomocy Kobietom Azjatyckim. Zadzwonię po Ubera. Piłeś, a poza tym masz już za sobą dość stresów jak na jeden dzień.

Samochód przyjechał po niecałych dziesięciu minutach. Jerry odprowadził Dżamilę na ulicę i otworzył przed nią drzwi auta. Noc była coraz chłodniejsza, gdzieś w oddali przejeżdżał pociąg.

Dżamila na chwilę znieruchomiała, wysunęła ku niemu twarz i Jerry pocałował ją w policzek.

– Mamy takie powiedzenie w Pakistanie – odezwała się. – Lepiej zaryzykować poniżenie, niż tłumić w sobie uczucia. Któregoś dnia można bowiem nie znaleźć już nikogo, kto chciałby o nich posłuchać.

25

Ojciec Mindy zszedł z pokoju córki do salonu, gdzie jego żona stała, obejmując się rękoma, jakby było jej zimno.

– Mocno śpi – powiedział. – Nie ma podwyższonej temperatury, nie chciała jednak zdjąć tej kurtki, a ja nie byłem w stanie jej zmusić.

– Co robimy? Może powinniśmy ją zawieźć do szpitala na ostry dyżur?

– Tak? I czekać w poczekalni sześć godzin tylko po to, żeby jakiś młody lekarz powiedział nam, że dziewczynka ma zaburzenia hormonalne?

– Ona ma dziewięć lat, Peter. Dojrzewanie płciowe to w jej przypadku jeszcze daleka przyszłość.

– W dzisiejszych czasach to nie jest takie oczywiste. Nie dalej jak wczoraj przeczytałem w gazecie, że dwunastoletnia dziewczynka urodziła dziecko.

– Peter, ona *zjadła* Sprouta. Zjadła go na surowo! Nie wiem, czy wcześniej go zabiła, czy jeszcze żył, kiedy go jadła, ale to przecież nie jest objaw przedwczesnego dojrzewania płciowego. To jest szaleństwo.

Ojciec Mindy usiadł, a jego żona zajęła miejsce obok i chwyciła go za ręce.

– Może powinniśmy ją zaprowadzić do psychiatry? Mówiłaś, że z jej opowieści wynikało, jakoby Sprouta zjadł ktoś inny, a nie ona. Może to są jakieś sprawy genetyczne? Kiedy moja babcia miała ponad osiemdziesiąt lat, zaczęła prowadzić długie rozmowy z ludźmi, którzy istnieli jedynie w jej wyobraźni.

– Tak, ale to było prawdopodobnie skutkiem starczej demencji. Dziewczynki w wieku Mindy raczej na nią nie chorują, prawda?

Rodzice Mindy milczeli długą chwilę. W końcu odezwał się Peter:

– Chodźmy do łóżka i spróbujmy się trochę przespać. Jutro rano postanowimy, co należy zrobić. Teraz jestem skrajnie zmęczony i nie potrafię już jasno myśleć.

– Myślisz, że zasnę? – zawołała z desperacją kobieta. – A nawet jeśli, co zrobimy, jeśli Mindy będzie chciała wyjść z domu? Powiedziała mi, że zamierza przychodzić do domu i wychodzić z niego, kiedy jej się będzie podobało, a ja na pewno nie zdołam jej powstrzymać.

– Wyciągnę klucz z drzwi kuchennych i zamknę drzwi frontowe na oba zamki. No i oczywiście włączę alarm. Nic się nie stanie. A ty weź tabletkę nasenną. Wyglądasz tragicznie.

– Ona jest moją małą córeczką, Peter. – Matka Mindy się rozpłakała. – Nie chcę jej stracić.

Mąż mocno ją przytulił i pocałował w czoło.

– Nie stracisz jej, kochanie. To jest przejściowy problem. Może przewróciła się w czasie spaceru ze Sproutem i uderzyła się w głowę? Poza tym pamiętaj, że ostatnio była przeziębiona. Może wysoka gorączka jej zaszkodziła? Od czegoś takiego ludzie tracą orientację. Założę się, że jutro rano Mindy wstanie z łóżka i w ogóle nie będzie pamiętała, co się dzisiaj wydarzyło.

– Gdybyśmy chociaż mogli zdjąć z niej tę straszną kurtkę.

– Wiem. Ona pewnie sama ją zdejmie jutro rano. Teraz postąpimy najrozsądniej, jeżeli pozwolimy jej się wyspać.

Matka Mindy otarła łzy i pokiwała głową.

– Chyba tak. Idźmy spać. A ja zażyję nytol. Ale czy ty na pewno ją usłyszysz, jeżeli będzie chciała w nocy wstać?

– Czyż to nie ja zawsze pierwszy się budziłem i karmiłem ją w środku nocy, kiedy była niemowlakiem?

– I ten biedny mały Sprout. To takie smutne. Dobry Boże… Mam nadzieję, że nie sprawiła mu wiele bólu.

Rodzice Mindy poszli na piętro do swojej sypialni, pozostawiając w salonie włączoną lampę, która rzucała trochę światła na schody. Gdy matka rozebrała się i poszła do łazienki, żeby umyć zęby i zażyć tabletki, ojciec podreptał na palcach do sypialni córki i pochylił się nad łóżkiem, aby się przekonać, czy równo oddycha.

Leżała odwrócona do niego plecami, nogi miała przykryte kołdrą. Kurtka była lekko zadarta, wciąż jednak przylegała mocno do ramion dziewczynki. Ojciec zrozumiał, że nie zdoła jej zdjąć, nie budząc córki.

Już miał wyjść z pokoju, kiedy Mindy niespodziewanie się odezwała.

– Muszę… muszę zaraz coś *zjeść* – wymamrotała.

Peter zastygł w bezruchu, zastanawiając się, czy dziewczynka się obudziła, czy tylko mówi przez sen. Wciąż jednak równo i głęboko oddychała i leżała bez ruchu, doszedł więc do wniosku, że nie zakłócił jej snu. Ale kiedy po chwili się poruszył, Mindy odezwała się znowu:

– Nie będą mi mówić, co mam robić. Za kogo oni się uważają?

– Mindy? – wyszeptał jej ojciec.

Nie odpowiedziała mu, nawet się nie poruszyła, więc wyszedł z pokoju, pozostawiając lekko uchylone drzwi.

Chociaż zażyła dwie tabletki nasenne, matka Mindy jeszcze długo nie mogła zasnąć. Jej mąż niemal natychmiast zaczął chrapać, jak zawsze kiedy kładł się do łóżka bardzo zmęczony albo zdenerwowany. Był to jego wrodzony mechanizm obronny, którego tej nocy żona zazdrościła mu jak nigdy dotąd. Ale Peter spał bardzo niespokojnie – rzucał się w pościeli i jęczał, jakby dręczyły go koszmary.

Mogłaby go obudzić, ale gdyby to zrobiła, prawdopodobnie nie zdołałby zasnąć po raz drugi. Nie, lepiej niech śpi, przynajmniej się nie martwi.

Znowu przypomniała sobie chwilę, gdy Mindy zwymiotowała. Nigdy tego nie zapomnę, rozmyślała. Ten widok pozostanie w mojej głowie do końca życia. A w uszach będą mi brzmieć obrzydliwe odgłosy, jakie wydawała moja córka wymiotująca szczątkami ukochanego psa. Kiedy Mindy w końcu przestała zwracać, pomiędzy jej zębami pozostały psie włosy. Nawet teraz, gdy dziewczynka spała, tkwiły tam nadal.

Jej matka też wreszcie zdołała zasnąć. Leżąc na plecach, w długiej, białej koszuli nocnej, z rękami złożonymi na brzuchu, przypominała rzeźbiony wizerunek świętej na płycie nagrobka. Spała spokojnie, a jej oddech był tak cichy, że niemal niesłyszalny.

Mniej więcej po półgodzinie drzwi sypialni otworzyły się bezgłośnie. W progu stanęła Mindy, nadal w kurtce. Głęboko oddychała, jakby poruszała się we śnie, ale jej oczy były szeroko otwarte, chociaż wzrok miała szklisty, skierowany w jeden odległy punkt.

Weszła do sypialni i stanęła obok łóżka rodziców po tej stronie, po której leżała jej matka. W prawej ręce trzymała nóż z ozdobną plastikową rękojeścią i z nadłamanym ostrzem. W lewej miała z kolei młotek z pazurem do wyciągania gwoździ.

Słyszałam, jak rozmawialiście w salonie. Myślicie, że oszalałam, co? Chcielibyście mnie zabrać do psychiatry, żeby sprawdził, czy nie mam rozdwojonej osobowości? Cóż, na razie ją mam, ale z każdą mijającą godziną jest we mnie mniej Mindy i coraz więcej mnie. Kiedy tylko zjem tyle, ile powinnam, znowu będę tylko sobą, a Mindy odejdzie. Zniknie, tak jak każdy musi pewnego dnia zniknąć, poza nami, tymi szczęśliwcami, którzy ocaleli. Jeżeli, oczywiście, można uważać za szczęśliwców osoby, które umarły, ale potem potrafiły znaleźć nowe wcielenia, dzięki którym mogą żyć znowu.

Była spokojna, chociaż czaił się w niej również smutek. Nie z powodu Mindy albo jej matki i ojca; smucił ją fakt, że jej życie dotarło do tego punktu.

Odmówiłabym za was modlitwę, gdybym wierzyła, że jakakolwiek modlitwa przyniosła kiedyś komuś coś dobrego.

Chyba nie zrobisz im krzywdy? Ja ich kocham.

Oczywiście, że nie zrobię im krzywdy. Niczego nie poczują.

Ale po co wzięłaś nóż i młotek?

Nie pozwolę, żeby mi rozkazywali. Nie mają prawa rozkazywać również tobie.

Ale to są przecież mój tatuś i moja mamusia!

Tym bardziej. Matki i ojcowie powinni szanować swoje dzieci. Powinni być nieskończenie wdzięczni swoim dzieciom za to, że to właśnie im dali życie. Wystarczy pomyśleć o tych wszystkich mężczyznach i kobietach, którzy nie mogą mieć dzieci.

Mindy podeszła bliżej. Położyła młotek na łóżku obok matki, a potem ostrożnie rozchyliła kołnierzyk jej koszuli nocnej. Matka nawet nie drgnęła.

Uniosła ostrze, wzięła głęboki oddech i z całej siły wbiła je w szyję. Matka drgnęła i krótko westchnęła, ale Mindy pchnęła jeszcze mocniej. Krew popłynęła szkarłatnym potokiem, zalewając koszulę nocną i pościel. Serce nadal pompowało krew, która tryskała z przeciętej tętnicy.

Kobieta uniosła ręce, jakby chciała zasłonić ziejącą w jej szyi ranę. W tym momencie obudził się jej mąż i gwałtownie usiadł na łóżku.

– Co jest? Janet! Co się dzieje? – Dostrzegł krew i z niedowierzaniem popatrzył na córkę.

– Mindy! Co ty zrobiłaś? Janet! Janet, trzymaj się!

Mindy patrzyła beznamiętnie, jak ojciec bezskutecznie próbuje zatamować krwawienie kołdrą.

– Janet! – zawołał z rozpaczą, gdy zrozumiał, że nic już dla niej nie może zrobić. – Na miłość boską, nie umieraj! Janet! – Popatrzył na Mindy i wrzasnął: – Dzwoń na pogotowie! Dzwoń na pogotowie! Chociaż tyle możesz zrobić, ty mały potworze!

Kiedy znowu pochylił się nad żoną, Mindy podniosła młotek, który do tej pory leżał jakby zapomniany na pościeli. Oburącz uniosła ciężkie narzędzie, na chwilę znieruchomiała, po czym z całej siły uderzyła ojca w tył głowy. Rozległ się chrzęst pękających kości i mężczyzna padł na twarz, ogłuszony, jednak wciąż przytomny. Gdy usiłował podnieść głowę, Mindy zadała mu kolejny cios, a potem jeszcze jeden i następny. Mężczyzna osunął się na swoją połowę łóżka, a wtedy Mindy obeszła je i uderzała dopóty, dopóki z głowy jej ojca nie została tylko krwawa miazga.

Mindy cofnęła się i obserwowała beznamiętnym, szklistym wzrokiem, jak jej matka i ojciec się wykrwawiają. W półmroku całe łóżko lśniło od ich krwi. Dziewczynka zastanawiała się, czy powinna zacząć obdzierać ich ze skóry już teraz, gdy ich ciała są jeszcze ciepłe, czy lepiej jednak poczekać.

Zjadłaś tego psa na surowo, prawda? I potem zwymiotowałaś. Więc najlepiej będzie, jeśli wykroisz z nich najsmakowitsze kawałki i je ugotujesz. Możesz udusić mięso na małym ogniu, jak cię tego uczono w szkole. A może zrobisz zapiekankę? Pomyśl tylko, jak wspaniale będzie smakować i ile pysznych porcji będziesz mogła przygotować z dwóch osób.

Kochałam ich, a teraz oboje umierają.

Tak, ale oni kochali cię jeszcze bardziej, a teraz ofiarują ci nowe życie.

Jest mi smutno.

Niepotrzebnie. Każde pokolenie musi poświęcić życie dla następnego. Tak właśnie funkcjonuje świat. Oni po to się urodzili, żeby poświęcić się dla ciebie. To ich przeznaczenie.

W umyśle Mindy zapanowała długa cisza. Miała wrażenie, że stoi w nocy na skraju ogromnej pustyni, nad którą hula zimny wiatr. W pewnym momencie wyszła z niej dziewczynka w granatowej aksamitnej kurtce i powoli wyruszyła w ciemność. Jej sylwetka z każdą chwilą wydawała się mniejsza; tą dziewczynką była ona sama.

– Kim jesteś? – zapytała, ale chociaż czekała na odpowiedź przez tak długi czas, że zdawał się nie mieć końca, nie uzyskała jej.

26

Kiedy Jerry przyjechał na komisariat, stały już przed nim dwa nieoznaczone samochody patrolowe i dwie furgonetki. Przed pojazdami przestępowało z nogi na nogę osiemnastu policjantów, niecierpliwie czekając na rozpoczęcie akcji. Wszyscy mieli na sobie kamizelki kuloodporne i cienkie kamizelki odblaskowe. W zimnym powietrzu z ich ust unosiła się para. Była godzina druga zero pięć nad ranem.

Inspektor French nadał tej operacji kryptonim Mazgaj, a uczestniczące w niej samochody otrzymały kody od „Mazgaj Jeden” do „Mazgaj Pięć”, wliczając samochód Jerry’ego.

Jerry zatrzymał swoje auto za jedną z furgonetek. French od razu do niego podszedł. Jerry opuścił szybę.

– Dobra, Jerry – odezwał się inspektor. – Rozpoczynamy operację Mazgaj. Tym razem dorwiemy drania. Są z nami reporter i kamerzysta z BBC London News, to będzie naprawdę smakowity kąsek dla widzów.

Inspektor French był niskim, krępym mężczyzną o siwiejących włosach. Wyglądał jak bokser, który zrezygnował z kariery po dwudziestu latach kiepskich występów na ringu. Jego szary płaszcz przeciwdeszczowy był mocno ściągnięty paskiem.

Inspektora Frencha wielokrotnie już pomijano przy awansach i przydzielano mu jedynie drobne, choć upierdliwe sprawy, które trudno było uznać za poważne zagadki kryminalne. Miał nadzieję, że aresztowanie i oskarżenie Jakobusa Liepy o kradzież darów przekazywanych na cele charytatywne zwróci na niego uwagę zarówno prasy, jak i opinii publicznej i przyniesie mu – być może już ostatnią – szansę awansu na stanowisko detektywa nadinspektora. Jerry uważał, że cokolwiek zrobi French, szans na awans nie ma już żadnych, jednak zachowywał tę myśl dla siebie.

– Dobra, Jerry, pojedziesz do Du Cane Court i dasz nam sygnał, kiedy tylko facet wyjedzie w trasę. Nie obchodzą mnie jego pomocnicy. Kiedy tylko będziesz wiedział, dokąd on jedzie, Mazgaj Jeden, Dwa i Trzy

wyruszą spod komisariatu i złapią go na gorącym uczynku, jak będzie kradł pierwszą torbę. Jednak zanim go zwiniemy, musi zabrać przynajmniej jedną torbę i musi to być oficjalna torba z emblematami Cancer Research, a nie jakiś stary worek na śmieci. Poczekamy, aż wrzuci ją do przedziału ładunkowego swojej furgonetki, zamknie drzwi i odjedzie. Zanim to nastąpi, facet pod żadnym pozorem nie ma prawa się domyślić, że dostał ogon.

Jerry pokazał Frenchowi uniesiony kciuk i powiedział:

– Zrozumiałem, sir.

French streścił bez pośpiechu cały plan, a przecież nie dalej jak poprzedniego popołudnia szczegółowo, z najdrobniejszymi detalami omówili już szczegóły tej operacji. French lubił mówić, nigdy nie nudził go dźwięk własnego głosu, a gdy nie miał już nic nowego do powiedzenia, zaczynał mówić to samo od początku.

Jerry zawrócił, ponownie przejechał przez centrum Tooting, a potem skierował się na północny wschód, w kierunku Balham High Road. Ulice były puste, jeśli nie liczyć dwóch pijaków zataczających się na Tooting Broadway. Jakobus Liepa mieszkał na najwyższym piętrze w Du Cane Court, luksusowym budynku mieszkalnym w stylu art déco, zbudowanym w 1936 roku. Od tego czasu mieszkało tutaj wielu sławnych aktorów, piosenkarzy i artystów komediowych. Mówiło się, że ten dom upatrzył sobie nawet Adolf Hitler. Podobno zamierzał urządzić w nim swoją kwaterę po podbiciu Anglii i właśnie dlatego bombowce Luftwaffe oszczędziły budynek w czasie drugiej wojny światowej.

Dotarłszy na miejsce, Jerry zobaczył, że w zatoczce przed domem stoją już trzy duże fordy transity, dwa białe i jeden jasnoniebieski. Minął je i zaparkował kilkadziesiąt metrów dalej, na przystanku autobusowym. Z tego miejsca bardzo dobrze widział we wstecznym lusterku wszystkie samochody. Wywołał przez radio Frencha i powiedział mu, że zajął pozycję.

– Rozumiem, Jerry, przyjąłem – odparł inspektor. – Tylko nie spieprz tego i nie pozwól, żeby cię rozpoznał.

– Nie, sir, niczego nie spieprzę.

Minęło niemal dwadzieścia minut, zanim zgraja ośmiu lub dziewięciu mężczyzn wyszła z budynku. Wszyscy byli ogoleni na łyso i maszerowali charakterystycznym, agresywnym krokiem. Jerry zastanawiał się, czemu

tacy faceci nie noszą po prostu koszulek z jasną deklaracją: *Jestem oprychem*. Większość z nich nosiła wiatrówki albo czarne skórzane kurtki i dżinsy, chociaż najwyższy miał na sobie długi płaszcz z wielbłądziej wełny, z wysoko postawionym kołnierzem; szyję miał owiniętą ciemnobrązowym szalem.

Był to Jakobus Liepa – Liepa Mazgaj. Był na tyle przystojny, że mógłby uchodzić za aktora. Miał ostro zarysowane kości policzkowe, kanciastą żuchwę, bladą cerę i głęboko osadzone oczy o złowrogim blasku. Z takim wyglądem idealnie nadawałby się do ról wszelkiej maści łotrów.

– Liepa ruszył – powiedział Jerry do radiotelefonu. – Wsiada do jasnoniebieskiej furgonetki o numerze rejestracyjnym RB02 UOH. Teraz siada na miejscu pasażera, obok kierowcy.

– Rozumiem, Jerry, przyjąłem.

– Furgonetki właśnie ruszają, wszystkie trzy. Pierwsza z nich zawróciła i jedzie w kierunku Broadwayu. Druga skręciła w lewo, w Balham Park Road. Samochód z Liepą pojechał od razu w prawo, w Elmfield Road. Odczekam kilka sekund i pojadę za nim.

Jerry poczekał, aż jasnoniebieska furgonetka zniknie mu z pola widzenia, a potem pojechał za nią Elmfield Road. Po lewej stronie brakowało jej światła sygnalizującego hamowanie, był więc w stanie rozpoznać ją nawet z dużej odległości. Zresztą o tej porze na ulicach prawie nie było ruchu, co ułatwiało mu obserwację. Wyłączył własne światła, chcąc mieć absolutną pewność, że kierowca Liepy nie dostrzeże go we wstecznym lusterku.

– Skręca teraz na północ w Cloudesdale Road, mimo że to jest ulica jednokierunkowa, a jego samochód jedzie pod prąd. Porusza się bardzo powoli, co może oznaczać, że szuka wystawionych przed domy toreb z ubraniami.

– Dobrze – powiedział inspektor French. – Możemy rozpoczynać akcję. Skieruję Mazgaja Dwa i Mazgaja Trzy na ulice równoległe do Cloudesdale Road, po obu stronach, jedną na Childebert Road, a drugą na Foxbourne Road. Mazgaj Jeden pojedzie przed Liepą Bushnell Road, w tym samym kierunku co on, i pozostanie przed nim, dopóki facet nie zacznie kraść. Wtedy się cofnie i go zablokuje.

– Tak jest, sir. Przyjąłem.

Jasnoniebieska furgonetka Liepy nadal jechała powoli na południe przez Cloudesdale Road. Jej prędkość nie przekraczała ośmiu kilometrów na godzinę. Do tej pory jednak znajdujący się w niej mężczyźni nie zauważyli niczego, co mogliby ukraść. Jerry już miał powiedzieć Frenchowi, że najprawdopodobniej i policja, i Liepa marnują czas, gdy nagle zabłysło przed nim czerwone światło hamowania i furgonetka się zatrzymała.

Jej tylne drzwi się otworzyły i na ulicę wyskoczył mężczyzna w skórzanej kurtce. Pobiegł w kierunku przedostatniego budynku po lewej stronie i zabrał stojący przed nim pękaty biały worek stojący na progu. Nawet ze znacznej odległości Jerry dostrzegł umieszczoną na nim niebiesko-różową literę „C”, symbol Cancer Research.

– Mazgaj zaczął działać – powiedział przez radio do Frencha. – Zabrali torbę, wrzucili ją do furgonetki, zatrzasnęli drzwi, jadą dalej…

– O to nam chodziło, Jerry! Teraz poczekaj, aż Mazgaj Jeden ich zablokuje i będziemy go mieli na gorącym uczynku!

Jerry nadal trzymał się w odległości mniej więcej pięćdziesięciu metrów od obserwowanej furgonetki. A ona nadal sunęła powoli do przodu, dopóki z Bushnell Road nie wyłonił się samochód oznaczony kodem Mazgaj Jeden. Jadąc z dużą szybkością na wstecznym biegu, przeciął skrzyżowanie z Ritherdon Road i uderzył w furgonetkę Liepy. Nawet z daleka i przy podniesionych szybach Jerry usłyszał zgrzyt metalu i odgłos pękającego szkła. Jasnoniebieski samochód zatrząsł się i potoczył kilka metrów do tyłu.

Ale jego kierowca zareagował błyskawicznie. Natychmiast włączył wsteczny bieg i ruszył do tyłu. Tak mocno nacisnął pedał gazu, że spod opon strzelił ciemny dym.

Kierowca Liepy nie wiedział jednak, że za nim znajduje się samochód Jerry’ego. Jerry również nacisnął na pedał gazu i z ogłuszającym trzaskiem uderzył w furgonetkę. W jego twarz wystrzeliła poduszka powietrzna, przecinając mu dolną wargę i niemal wybijając przednie zęby.

Lekko ogłuszony, zdołał otworzyć drzwi i wydostać się na ulicę. Zatoczył się jednak i musiał się chwycić najbliższego płotu, by pewnie stanąć na nogach. Tymczasem trzech umundurowanych policjantów wyskoczyło z Mazgaja Jeden i podbiegło do furgonetki. Jeden z nich był uzbrojony w karabin półautomatyczny Heckler & Koch. Dwaj pozostali trzymali w rękach latarki halogenowe i świecili nimi na rozbitą przednią szybę wozu Liepy.

– Wysiadać! – krzyknął jeden z nich. – Wysiadajcie z samochodu i trzymajcie ręce tak, żebyśmy mogli je widzieć!

Drzwi furgonetki pozostawały zamknięte, na wezwanie nikt nie zareagował.

– Powiedziałem: wysiadać! – powtórzył funkcjonariusz.

Policjanci z latarkami stanęli po bokach furgonetki, a ten z karabinem wciąż stał z przodu z uniesioną bronią. Gdy jeden z policjantów spróbował otworzyć drzwi po tej stronie, po której siedział Liepa, silnik niespodziewanie ożył i auto szarpnęło do przodu. Uderzyło w uzbrojonego funkcjonariusza i zaczęło go pchać. Mężczyzna wisiał na kratownicy osłaniającej chłodnicę. Furgonetka uderzyła w tył samochodu policyjnego, a policjant, który znalazł się pomiędzy dwoma pojazdami, został dosłownie zgnieciony, czemu towarzyszył przerażający chrzęst miażdżonych kości.

– Cofnij! Cofnij, gnoju, ten samochód! – wrzasnął ochrypłym głosem jeden z jego kolegów. – Ty go, kurwa, zabiłeś!

W tym samym momencie drzwi furgonetki otworzyły się i wysiadł z niej kierowca z podniesionymi rękami.

– Przepraszam, szefie. Silnik mnie nie posłuchał.

Tymczasem drugi policjant wskoczył do Mazgaja Jeden i ruszył, dzięki czemu ciało zmiażdżonego funkcjonariusza zaczęło się zsuwać na jezdnię. Drugi z jego kolegów złapał je i delikatnie położył na asfalcie.

Jerry podniósł zakrwawiony karabin i podszedł do otwartych drzwi po stronie kierowcy. Jakobus Liepa wciąż siedział na fotelu pasażera z rękami złożonymi na piersiach i wpatrywał się przed siebie, w popękaną, matową szybę. Można było odnieść wrażenie, że się nudzi.

– Liepa! – krzyknął Jerry. – Ruszaj dupę, wyskakuj stąd! Rusz się, natychmiast!

Nawet nie odwróciwszy głowy w jego kierunku, Jakobus Liepa otworzył drzwi i wysiadł z furgonetki, nonszalanckim ruchem poprawiając kołnierz płaszcza. Jerry obszedł samochód i stanął przed bandziorem.

– Na ziemię! – rozkazał.

Był tak wstrząśnięty i wściekły, że wrzeszczał na całe gardło.

Jakobus Liepa popatrzył z niesmakiem na trotuar, a potem na Jerry’ego.

– Słyszałeś, co mówiłem? Na ziemię! Ręce i nogi szeroko!

– Przecież to był wypadek – powiedział Jakobus Liepa. – Niestety, stopa mojego kierowcy zsunęła się na zły pedał. Nie kazałem mu tego zrobić,

możesz być pewien.

– Powiedziałem, kurwa, na ziemię – wycedził Jerry, tym razem spokojnie, jednak odbezpieczył karabin, dając do zrozumienia, że nie żartuje.

Mężczyzna wzruszył ramionami, podciągnął nogawki drogich spodni i ostrożnie położył się na chodniku.

– Przysięgam, to był absolutny przypadek – powiedział jeszcze raz i uniósł lekko głowę, żeby policzkiem nie dotykać betonu. – Jestem równie wstrząśnięty jak ty.

– Zamknij się!

W tym momencie z wyciem silników zajechały z dwóch przeciwnych kierunków Mazgaj Dwa i Mazgaj Trzy. Samochody stanęły w poprzek ulicy i wybiegli z nich policjanci.

Kierowca Mazgaja Jeden podszedł do Jerry’ego z ponurą miną.

– Wezwałem ambulans. Chociaż nie ma to już żadnego sensu. – Na moment zakrył twarz dłonią. – Whitey. Nie mogę w to uwierzyć. Jego chłopak ma w sobotę trzecie urodziny, a w kwietniu Maureen spodziewa się drugiego dziecka.

Jakobus Liepa znowu uniósł głowę.

– Przykro mi. To był wypadek.

– Niedługo sam zobaczysz, co to znaczy wypadek, skurwysynu – powiedział do niego policjant. – Jak z tobą skończę, będziesz rzygał własnymi jajami.

27

Mindy skręciła w Moyser Road i wtedy poczuła na twarzy pierwsze krople deszczu. Strzepnęła wilgoć z ramion kurtki i popatrzyła na chmury, żałując, że nie wzięła parasola matki.

Szła do sklepu spożywczego, by kupić trochę ziół i puszkę pomidorów, postanowiła bowiem zrobić zapiekankę. Jej przyrządzania nauczyła się w szkole, chociaż tam używano do niej jedynie piersi z kurcząt.

W nocy męczyły ją wymioty. Była głodna, ale doświadczenie ze Sproutem uprzytomniło jej, że nie powinna jeść surowego mięsa. Musiała sobie coś ugotować. Kiedy po raz pierwszy przyniosła ze szkoły samodzielnie przyrządzoną zapiekankę, rodzice bardzo ją chwalili, więc pewnie cieszyliby się, że będą składnikiem potrawy, która za życia tak im smakowała.

Weszła do sklepu i kupiła wszystko, czego potrzebowała, a ponadto dwa czekoladowe batoniki Mars i pudełko z tartaletkami. Miała przy sobie siedem funtów w drobnych monetach, które jej matka wrzucała po zakupach do glinianego dzbanka.

Kiedy poszła zapłacić, kasjerka rodem z Pakistanu uśmiechnęła się do niej i zapytała:

– A ty dzisiaj nie jesteś w szkole?

– W szkole? – Mindy zmarszczyła czoło. – Ona od wielu lat nie była w szkole.

– Uczysz się w domu?

– Nie wiem, o czym mówisz. Pilnuj swoich spraw, dobrze?

– Och, przepraszam. Ale przecież nie musisz być aż tak niegrzeczna.

Mindy odliczyła kwotę należną za zakupy i położyła pieniądze na ladzie.

– Masz – powiedziała. – Pięć funtów sześćdziesiąt pięć. Żałuję, że nie mogę ci kupić biletu, żebyś wróciła tam, skąd przyjechałaś.

Sprzedawczyni otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, jednak pomyślała, że lepiej postąpi, jeżeli zmilczy, i tylko pokręciła głową. Mindy

wyszła ze sklepu i ruszyła do domu w rzęsistym deszczu. Jego zimne strugi przywodziły na myśl kondukt pogrzebowy złożony z niemal niewidzialnych duchów. Wiedziała, że wróci kompletnie przemoczona. Będzie musiała użyć suszarki do włosów, żeby wysuszyć kurtkę, bo przecież nie da rady jej zdjąć. Zresztą, właściwie to nawet nie chciała jej zdejmować – miała wrażenie, że kurtka jest jej częścią tak samo jak własna skóra.

Dotarła niemal do rogu Nimrod Road, kiedy zrównało się z nią srebrne bmw i ktoś opuścił w nim szybę po stronie pasażera. Od strony kierowcy wychylił się siwy mężczyzna w okularach i zawołał:

– Cześć, kochanie! Podwieźć cię? Jeszcze trochę i cała zmokniesz!

Kurtka była już kompletnie mokra, a Mindy wiedziała, że mokry aksamit szybko sztywnieje.

– Tak, dziękuję panu – odpowiedziała. – Mieszkam za rogiem.

– Wskakuj więc. – Mężczyzna otworzył drzwi i Mindy usiadła obok niego na fotelu pasażera.

– Pojedzie pan dalej Nimrod Road, mieszkam zaraz za skrzyżowaniem ze Spalding Road – wyjaśniła.

– Śliczna jesteś, wiesz? – powiedział mężczyzna i uśmiechnął się do niej.

Przypominał jej wujka Jima, brata matki. Miał bulwiasty nos i nastroszone siwe wąsiki. Spod brudnej kurtki w kolorze khaki widać było koszulę Tattersall z krawatem. Jednak w przeciwieństwie do wujka Jima, który cuchnął papierosami i maściami przeciwbólowymi, ten mężczyzna raczej przyjemnie pachniał dobrą wodą kolońską, zawierającą nutkę zapachu czekolady. Mimo to Mindy poczuła też kwaśny odór potu.

– Będziesz miała coś przeciwko temu, że najpierw skoczymy do mojego domu? – zapytał mężczyzna, ruszając. – Zapomniałem pieprzonego telefonu, a to cholernie ważne. Przepraszam za mój język. Możesz wejść ze mną i obejrzeć moje złote rybki. Mam w akwarium złote rybki naprawdę rzadkiej urody. Każda z nich jest warta ponad sto funtów. Uwierzysz? Sto funtów! Za jedną malutką złotą rybkę!

Nie poczekał na odpowiedź, tylko przeciął Nimrod Road i jechał dalej Moyser Road w kierunku południowo-wschodnim, aż do Pretoria Road, kolejnej długiej ulicy z wiktoriańskimi szeregowcami z czerwonej cegły po

obu stronach. Wreszcie skręcił w lewo i po dwustu metrach zatrzymał samochód przed domem, do którego prowadziły jaskrawozielone drzwi.

– Poczekam na pana – powiedziała Mindy.

– Och, nie mogę ci na to pozwolić, kochanie. Miałbym nieprzyjemności, gdybym zostawił w samochodzie nieletnią osobę bez opieki. A poza tym, czy nie chcesz zobaczyć moich złotych rybek za sto funtów? To są japońskie rybki z zakręconymi płetwami ogonowymi.

Mindy miała już powiedzieć, że ani trochę nie interesują jej japońskie rybki z zakręconymi płetwami ogonowymi, ale zmieniła zdanie. Poza tym nie jestem nieletnia, pomyślała. Ale on o tym nie wie. I jestem głodna. I chyba należy mu się nauczka, że nie należy podrywać dziewczynek na ulicy. Facet sprawia wrażenie lubieżnego świntucha.

– Zgoda – powiedziała i otworzyła drzwi.

– Dobra dziewczynka. – Mężczyzna pokiwał głową i wysiadł z samochodu.

Wciąż padało, dlatego otoczył Mindy ramieniem i pobiegł z nią szybko w kierunku zielonych drzwi. Wyciągnął z kieszeni klucz i włożył do zamka, ale zanim go przekręcił, rozejrzał się, czy nie obserwuje ich żaden z sąsiadów. Następnie otworzył drzwi i niemal wepchnął Mindy do środka.

Dom tonął w półmroku, cuchnął wilgocią i czymś jeszcze, słodkawym i nieprzyjemnym, być może brudnymi skarpetkami. Prawdopodobnie nie był remontowany co najmniej od lat sześćdziesiątych XX wieku, ponieważ brązowo-żółta tapeta na ścianach już dawno wyblakła, a farba na wszystkich drzwiach się łuszczyła.

– Proszę – powiedział mężczyzna i wprowadził Mindy do salonu, gdzie stały dwa głębokie fotele i poprzecierana brązowa kanapa.

Zdjął wiatrówkę, przewiesił ją przez oparcie jednego z foteli, podszedł do kominka obudowanego beżowymi kafelkami i włączył go. Kominek działał na prąd i miał trzy grube żarniki.

– To co? – odezwał się, zacierając ręce. – Będziesz miła i grzeczna? – Po chwili dodał: – Aha, pokażę ci rybki. Tędy, maleńka.

Poprowadził Mindy przez cały salon do jadalni. Akwarium stało na tanim orzechowym kredensie. Przez okno Mindy zobaczyła mały ogród na tyłach domu, gęsto porośnięty pokrzywami i innym zielskiem. Stał tam wypłowiały krasnal, a obok niego leżało połamane krzesło campingowe.

Mężczyzna stanął za Mindy, położył jej dłonie na ramionach i delikatnie zaczął je masować kciukami.

– Mam na imię Barry, moja droga – powiedział cichym, lekko chrapliwym głosem tak blisko głowy dziewczynki, że poczuła na włosach jego oddech. – A ty jak masz na imię, dziecinko? Jesteś bardzo ładną dziewczynką, wiesz? Bardzo, bardzo ładną. Powinnaś zostać modelką.

– Która z tych ryb to ta z zakręconą płetwą ogonową? – zapytała Mindy. – Woda w akwarium jest tak brudna, że właściwie nic nie widać.

– Jak masz na imię, kochanie? – powtórzył Barry.

– Warwara. Ale nie widzę żadnej rybki.

– Warwara? Imię niezwykłe, lecz piękne. Będę musiał wyczyścić to akwarium, prawda, Warwaro? A wtedy zobaczysz wszystkie rybki. Mogę ci zrobić kilka zdjęć, Warwaro?

– Co? Dlaczego?

– Dlaczego? Ponieważ jesteś piękna. A jeśli zrobię ci zdjęcia, będę mógł je rozesłać do kolorowych czasopism, a ty zostaniesz sławną modelką. Co ty na to? Czy mama i tato nie będą z ciebie dumni?

– Nie, nie będą.

– Och, będą, na pewno. Ich piękna córka Warwara znajdzie się na okładce kolorowego czasopisma. Mogę pójść po aparat?

Mindy przez chwilę się zastanawiała.

– Dobrze, idź – powiedziała w końcu.

Jej głos był zupełnie beznamiętny. Już od chwili, w której Barry przyprowadził ją do swego domu, planowała, co z nim zrobi.

– Będziesz sławna, przysięgam! – wyszeptał Barry. – Aparat jest na piętrze, zaraz go przyniosę. A ty zdejmij na początek kurtkę.

Mindy mu nie odpowiedziała. Barry odwrócił ją, znowu się do niej uśmiechnął i mrugnął. Wreszcie zostawił ją i pobiegł po schodach. Po chwili na górze rozległy się jego ciężkie kroki.

Ty biedny, żałosny, kłamliwy głupcze. Znałam wielu takich mężczyzn. Wiem, czego chcą od naiwnych małych dziewczynek.

Po prawej stronie zauważyła jakieś drzwi. Podeszła do nich i je otworzyła. Jak się spodziewała, prowadziły do kuchni. Była wąska i brudna, dominował w niej ogromny zardzewiały zlewozmywak. Na ociekaczu do naczyń zalegała sterta męskich majtek, koszul i koszulek, czekających na wypranie. Emaliowana kuchenka gazowa miała

przynajmniej czterdzieści lat. Stały na niej trzy powgniatane aluminiowe rondle.

Mindy otwierała jedną szufladę po drugiej, aż w końcu znalazła to, czego szukała: mały nóż z drewnianą rączką. Przycisnęła jego ostrze do kciuka. Pomyślała, że mogłoby być trochę bardziej ostre, niemniej jednak do jej celów zupełnie wystarczało. Mało ją obchodziło, że tępy nóż sprawi Barry'emu więcej bólu niż ostry. Zasługiwał na wszystko co najgorsze, a jej znowu zrobiło się niedobrze z głodu. Musiała natychmiast napełnić żołądek.

Wsunęła nóż do kieszeni kurtki i wróciła do jadalni. Po kilku sekundach Barry zszedł po schodach, pogwizdując fałszywie i machając aparatem fotograficznym marki Leica z lampą błyskową. Mindy najspokojniej w świecie zaglądała do akwarium, jakby naprawdę wierzyła, że pływają w nim złote rybki.

– Nie zdjęłaś kurtki, kochanie – powiedział Barry, odkładając aparat na stół. – Chcesz, żebym ci pomógł?

– Nie – odparła Mindy, nie odrywając wzroku od akwarium.

W ciemnozielonym szkle widziała upiorne odbicie swojej twarzy. Wydawało się tajemnicze, enigmatyczne, jakby należało do dużo starszej, doświadczonej i przebiegłej osoby.

– Pomogę ci się rozebrać – powiedział znów Barry. – Te fotografie, widzisz, one muszą być efektowne.

Dopiero teraz Mindy odwróciła się w jego stronę.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Cóż, jesteś dziewczynką i chyba wiesz, co znaczy słowo „efektowne". Seksowne. Wiem, że jesteś bardzo młoda, ale właśnie to czyni cię tak atrakcyjną. Pewnie widziałaś dziewczyny z *Wyspy miłości* i oglądałaś podobne programy. I widziałaś na Facebooku celebrytki, chociażby takie jak Kim Kardashian. One wiedzą, że są ładne, i lubią się dobrze prezentować przed obiektywem. Tego właśnie ludzie szukają w kolorowych czasopismach. Ładnych, efektownych dziewcząt. Wiele odsłaniających.

Mindy podeszła do niego bardzo blisko. Miała zaledwie sto czterdzieści centymetrów wzrostu, a on przynajmniej sto osiemdziesiąt, musiała więc zadrzeć głowę, żeby popatrzeć mu w twarz. Z kolei on musiał się pochylić. Przy tym ruchu spod kołnierza jego koszuli wypłynął podwójny podbródek.

– Czego właściwie ode mnie chcesz? – zapytała Mindy.

Jej głos przez cały czas był beznamiętny, tak absolutnie beznamiętny, że Barry’ego trochę zbiło to z tropu i przez długą chwilę wahał się, zanim jej odpowiedział.

– No przecież wiesz! – wybuchnął nagle. – Widziałaś te dziewczyny na zdjęciach, prawda? Pozują w bikini i w bieliźnie. Robią sobie selfie w łazienkach, kiedy mają na sobie tylko staniki i majteczki. Takich fotografii szukają też kolorowe czasopisma.

Mindy patrzyła na niego w milczeniu.

– Według mnie jesteś za młoda, żeby nosić stanik – kontynuował Barry. – Ale majteczki na pewno nosisz, prawda? A może nie? Znam dziewczęta, które nie noszą majtek. Ale czasopismom to się też podoba. Mógłbym ci zrobić kilka zdjęć bez majteczek. Nie miałabyś nic przeciwko temu, prawda? Chodzi o takie zupełnie niewinne fotografie. Jesteś do nich jakby specjalnie stworzona. Jesteś prześliczna i niewinna.

Mindy nadal milczała i tylko się w niego wpatrywała.

– Może jednak zdejmiesz tę kurtkę na dobry początek? – zapytał Barry. – Zrobimy ci kilka zdjęć w koszulce i zobaczymy, jak nam pójdzie. Później pomyślimy o bardziej efektownych ujęciach.

Mindy dźgnęła go palcem wskazującym lewej ręki.

– Co takiego?

Barry pochylił się, przykładając zgiętą dłoń do ucha, jakby myślał, że Mindy chce mu coś powiedzieć. Ona tymczasem wyciągnęła z kieszeni nóż, wzięła zamach i wbiła mu go w szyję. Następnie przeciągnęła tępawe ostrze ku dołowi. W grubej szyi Barry’ego ziała teraz szeroka na pięć centymetrów rana.

Nie przecięła tętnicy szyjnej, ale z rany i tak trysnęła krew, barwiąc na czerwono kołnierz koszuli. Mężczyzna zatoczył się niepewnie do tyłu, przycisnął prawą dłoń do rany, a lewą wyciągnął w jej stronę.

– Ty… – Zakrztusił się. – Co ty zro…

Cofnął się kilka kroków, znalazł się w salonie i opadł na sofę z wytrzeszczonymi oczami. Jego prawa dłoń zrobiła się czerwona i lśniła, jakby założył na nią gumową rękawiczkę.

– Karetka – wycharczał, a na jego wargach pojawiły się pęcherzyki krwi, które szybko pękały. – Dzwoń po pogotowie. Proszę.

Wstrząs sprawił, że jego twarz przybrała szarą barwę popiołu.

Mindy podążyła za nim do salonu i stanęła nad nim.

– Nie.

Barry potrząsnął głową. Chciał znowu coś powiedzieć, jednak krztusił się własną krwią. Zakaszlał, rozpylając szkarłatną mgiełkę.

– Aaa… – zaczął, ale znowu gwałtownie zakaszlał, po czym ze świstem wciągnął powietrze do płuc.

Mindy usłyszała, jak bulgocze w nich krew.

Uklękła przy sofie i położyła lewą rękę na rozporku Barry’ego. Lekko nacisnęła i uśmiechnęła się do niego złośliwie.

– Hej, Barry. Co powiesz na to? Wciąż jesteś dość twardy. Myśl o ślicznej małej Warwarze bez majtek mocno cię podnieciła, co?

Barry pokręcił głową najbardziej stanowczo, jak mógł. W tej chwili sam gotów był w to uwierzyć. Zrobiłby wszystko, żeby powstrzymać krwawienie; desperacko łaknął powietrza.

Mindy odłożyła nóż i zaczęła rozpinać rozporek. Barry charczał i próbował jej to uniemożliwić, cofając się, jednak pchnęła go na oparcie sofy i powiedziała:

– Bądź spokojny, Barry! Przecież nie jesteś japońską rybką z zakręconym ogonkiem! Tym bardziej że przecież nie masz takiej rybki w tym swoim marnym akwarium, kłamczuchu! Założę się, że nie trzymałeś w nim nawet pustej puszki po sardynkach! A co dopiero rybek, ty łobuzie!

Barry był zanadto spanikowany, by zauważyć, że głos Mindy się zmienił. Nie był to już głos dziewięcioletniej dziewczynki z Tooting. Każde słowo brzmiało twardo, groźnie, przemawiała do niego z prawie idealnym akcentem BBC, chociaż spłaszczała samogłoski – nikt, kto by jej teraz uważnie słuchał, nie uznałby, że ma do czynienia z rodowitą Brytyjką. Mówiła raczej głosem emigrantki z Europy Wschodniej, która nauczyła się mówić po angielsku, słuchając radia, i której zdaje się, że w taki właśnie sposób mówią ludzie z klas wyższych.

Sięgnąwszy do rozpiętego rozporka Barry’ego, Mindy z obrzydzeniem wydęła usta. Wyjęła jego penis, który zdążył już całkowicie zwiotczeć, i wyciągnęła go najbardziej jak dała radę. Barry już nie próbował jej powstrzymać. Jego powieki trzepotały, a z kącików ust płynęła krew.

Mindy znów wzięła do ręki nóż, przecięła skórę i znajdującą się pod nią gąbczastą tkankę. Ponieważ nóż był dość tępy, musiała kilka razy przeciągnąć ostrzem jak piłą, żeby oddzielić od reszty ciała ostatnie

fragmenty skóry, a gdy tego dokonała, Barry nie miał już penisa, a jedynie krótki, zakrwawiony kikut.

Mindy wstała, trzymając odcięty członek pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym. Pomachała nim przed oczyma Barry’ego i powiedziała:

– Popatrz, Barry! Popatrz! Już nigdy nie będziesz miał problemów z dziewczętami. Nie zasypiaj, Barry! Patrz!

Mężczyzna otworzył oczy i spróbował skoncentrować wzrok na dłoni Mindy, jednak było jasne, że w ogóle nie rozumie, na co patrzy. Krwawienie z szyi powoli ustawało i przez dziewczynkę przebiegł dreszcz satysfakcji, kiedy przyszło jej do głowy, że mężczyźnie uda się przeżyć. Tyle że już nigdy nie będzie napastować dziewczynek i będzie musiał wyjaśnić lekarzom, co mu się przydarzyło. Tylko co im powie? Że wypadły mu z rąk nożyce do cięcia żywopłotu, kiedy nago pracował w ogrodzie? Że postanowił się wykastrować?

Poszła do kuchni. Wrzuciła nóż do zlewozmywaka, a potem po kolei otworzyła kilka szafek ściennych, poszukując talerza, na którym mogłaby położyć penis Barry’ego. Wreszcie jej wybór padł na niewielki talerzyk ozdobiony wzorem w liście wierzby. Pomyślała, że penis wygląda bardziej jak ślimak o purpurowej główce niż jak część ciała człowieka. Niemal wyobraziła go sobie, jak pełza, zsuwając się z talerza, i z trudem toruje sobie drogę pomiędzy leżącymi na stole przedmiotami.

Zmyła krew z rąk zimną wodą, a potem otworzyła lodówkę, szukając masła. Ale natrafiła jedynie na pięć pomidorów, litr mleka i starą niedojedzoną konserwę mięsną. W jednej z szafek znalazła do połowy pełną butelkę z olejem słonecznikowym. Wyjęła ją i wlała odrobinę do jednego z rondli.

Kiedy olej się rozgrzał, wrzuciła do rondla penis Barry’ego. Szybko zaczął skwierczeć i jeszcze bardziej się skurczył. Zaczęła obracać go drewnianą łyżką, żeby podpiekł się równo ze wszystkich stron i przede wszystkim żeby się nie spalił. Pachniał jak kotlety wieprzowe, które jej babcia smażyła w rodzinnym domu, kiedy była małą dziewczynką, trochę młodszą niż obecnie Mindy. Zapach ten przywrócił jej mnóstwo wspomnień. Czuła, że jej prawdziwa osobowość coraz szybciej zalewa umysł Mindy. Odnosiła wrażenie, że pęka ogromna tama i dziewięć lat Mindy odpływa bezradnie w niepamięć, a tymczasem na powierzchnię wypływa jej własne siedemdziesiąt osiem lat bólu, nienawiści i cierpienia.

Usmażywszy penis Barry’ego, przełożyła go z powrotem na talerz. Wróciła do salonu i z radością zobaczyła, że mężczyzna ma otwarte oczy. Jego twarz była tak biała, jakby ktoś ją posypał mąką.

Uklękła przy nim i pokazała mu talerz.

– Proszę – zaskrzeczał i znowu zakaszlał krwią. – Wezwij karetkę. Proszę.

– Wiesz, co to jest? – zapytała Mindy.

Barry spróbował skoncentrować wzrok na talerzu, ale po chwili pokręcił głową.

– To jesteś ty. To jest twój wacek. I twoja kara za to, co ci przyszło do głowy. Że mógłbyś się ze mną zabawić. Twoja kara, ale moja nagroda. Wiesz, jak mówimy w Wilnie? „Głód nie jest ciotką. Nie przyniesie ci ciasta”. Jeśli chcesz zjeść ciastko, sam musisz je sobie upiec.

– Kim ty jesteś? – zapytał Barry.

Mindy wzięła do ręki usmażony penis i uśmiechnęła się.

– Ty żałosny smutny człowieczku! Co z ciebie za klaun! Naprawdę mam na imię Warwara, możesz być tego pewien. I nie jestem osobą, za którą mnie uważasz. Popatrz w moje oczy. Kogo w nich widzisz, Barry? Kogo w nich widzisz?

Wypowiedziawszy te słowa, wbiła zęby w żołądź i zaczęła przeżuwać, otwierając szeroko usta, aby Barry mógł to widzieć. Żołądź była bardziej żylasta, niż Mindy się spodziewała, i gdy po kilku minutach dokładnie ją rozgryzła, nie miała już żadnego smaku. W końcu musiała ją połknąć.

Barry znowu zamknął oczy i zaczął drżeć. Mindy spędziła przy nim jeszcze kilka minut, lecz w końcu odstawiła talerz i wstała. Nie miała ochoty na resztę penisa, mimo że nadal była głodna. Poza tym nie miało to już sensu, skoro Barry tracił przytomność i nie widział, co ona robi. Kiedy matka ją biła – dawno temu, gdy była dzieckiem – zawsze kazała jej stawać przed wysokim lustrem w holu, żeby mogła dobrze widzieć swoje upokorzenie.

Sięgnęła do kieszeni wiatrówki Barry’ego i wyjęła z niej portfel. Znalazła w nim dwa banknoty dziesięciofuntowe, jeden pięciofuntowy i kartę kredytową aqua, a także prawo jazdy i fotografię zezowatej kobiety o mocno kręconych brązowych włosach. Wzięła tylko pieniądze i rzuciła portfel na podłogę.

– Do widzenia, głupcze – powiedziała po litewsku do Barry’ego. – Życzę ci szczęścia.

Podeszła do drzwi. Musiała teraz zabrać swoje zakupy z samochodu Barry’ego, a potem pójść pieszo do domu i w końcu przyrządzić zapiekankę. Jej dom znajdował się w odległości pięciu minut spacerem, a przez okno zobaczyła, że deszcz już prawie przestał padać.

Gdy położyła rękę na klamce, niespodziewanie zadzwonił dzwonek przy drzwiach. Mindy wahała się przez chwilę, ale w końcu uchyliła je lekko i wyjrzała.

Za progiem stała czarnoskóra policjantka w mundurze.

– Wszystko dobrze, młoda damo? – zapytała.

– Słucham? Co pani rozumie przez „wszystko dobrze”?

– Mogę porozmawiać z mężczyzną, który mieszka w tym domu?

– Dlaczego?

– Jesteś jego krewną?

– Nie.

– Skoro nie jesteś jego krewną, to co robisz w jego domu?

– Właśnie wychodziłam. Chcę wrócić do siebie.

– Gdzie mieszkasz?

– Niedaleko, przy Nimrod Road.

– Jak masz na imię, kochanie?

– Mindy.

– Zechcesz mi powiedzieć, w jaki sposób się tutaj znalazłaś? Jeden z sąsiadów widział, jak wchodzisz do tego domu z mężczyzną, który tu mieszka, i się zaniepokoił. Czy ten mężczyzna jest w domu? Chciałabym z nim porozmawiać.

– Dlaczego?

– Pozwól mi wejść do środka, bardzo proszę. Chciałabym z nim zamienić jedynie kilka słów, tylko po to, żeby się upewnić, że wszystko jest tutaj w porządku.

– Nic złego się nie stało. A ja muszę iść do domu.

– Tak, kochanie. Co tutaj robisz?

– Ten pan mnie podwiózł, ponieważ padał deszcz.

– Rozumiem. Mimo wszystko muszę z nim porozmawiać. To nie potrwa długo.

– Nie może pani.

– Dlaczego? Przecież on jest w domu, prawda?

– Tak, ale nie może pani z nim rozmawiać.

– Przykro mi, Mindy, ale muszę wejść do środka i się z nim zobaczyć. Dlatego, że jest znany policji. Nie mogę ci powiedzieć, co o nim wiemy, ale zapewniam cię, że policja ma mocne podstawy, aby wejść do jego domu i zadać mu kilka pytań.

– Chyba musi pani mieć do tego jakiś pisemny nakaz?

Policjantka zmarszczyła czoło i zapytała:

– Ile masz lat, kochanie?

– Dziewięć.

– Dziewięć? Naprawdę? Kiedy ja miałam dziewięć lat, nie miałam pojęcia, że istnieje coś takiego jak nakaz prokuratorski. Ale skoro masz wątpliwości, wyjaśniam ci, że jeśli policjant ma uzasadnione podejrzenie, że popełniono przestępstwo lub że może do niego dojść, może wejść na teren każdej posesji.

– Ten człowiek nawet mnie nie dotknął, a ja muszę iść do domu.

Policjantka westchnęła.

– Daj spokój, dziecko, nie utrudniaj sytuacji.

Mindy milczała. Patrzyła na samochód Barry’ego, zastanawiając się, czy zdoła wybiec z domu i zabrać zakupy z auta, zanim policjantka ją zatrzyma. Po namyśle doszła do wniosku, że to jej się nie uda, i jeśli nie zostanie schwytana natychmiast, to kobieta i tak szybko ją dogoni. Odeszła od drzwi i oparła się plecami o ścianę, dzięki czemu policjantka mogła wejść do środka.

– Gdzie on jest, Mindy? – zapytała.

Dziewczynka ruchem głowy wskazała na drzwi prowadzące do salonu.

– Panie McGowan! Tu policja! Słyszy mnie pan? Jestem w pańskim domu i chcę zamienić z panem kilka słów.

Mindy została w holu oparta o ścianę, z zamkniętymi oczami, a policjantka weszła do salonu. Ucieczka nie miała sensu. Policjanci dotarliby do jej domu i znaleźli zwłoki rodziców. A teraz będzie mogła przynajmniej powiedzieć, że dźgnęła Barry’ego nożem w obronie własnej, ponieważ chciał zerwać z niej ubranie i robić jej zdjęcia pornograficzne. Aparat wciąż leżał na stole w jadalni i stanowił doskonały dowód przestępstwa, a Mindy była przekonana, że mężczyzna ma w domu także komputer z fotografiami roznegliżowanych dziewczynek.

Niemal natychmiast policjantka wybiegła z salonu. Była przerażona.

– Boże, dziecko, co mu się stało? Kto mu to zrobił? Był tutaj ktoś jeszcze? A może to on sam? – zarzuciła dziewczynkę pytaniami.

Ale zanim Mindy zdołała odpowiedzieć, policjantka włączyła radiotelefon i drżącym głosem wezwała pomoc medyczną oraz wsparcie. Po chwili powiedziała do Mindy:

– Zostań tutaj, kochanie. Proszę, nie ruszaj się. Pomoc jest już w drodze.

Wróciła do salonu i Mindy mogła tylko przypuszczać, że próbuje udzielić Barry’emu pierwszej pomocy.

To wszystko zaczęło już ją nudzić, no i wciąż była głodna. Dręczyło ją coś więcej niż tylko świadomość, że ma pusty żołądek. Czuła okrutny, nękający ból, jakby w każdej kości jej szkieletu pełzały pasożyty i zachłannie pożerały szpik. Odnosiła wrażenie, że znajdują się również w jej czaszce. Nie wiedziała, ile jeszcze może przetrwać, jeżeli ich nie nakarmi, a nie chciała znowu umrzeć.

Aby chociaż na chwilę oderwać umysł od myśli o głodzie, zaczęła nucić kołysankę, którą kiedyś śpiewała jej matka:

Była sobie Cyganka z długim nosem
Pytała, jak skrócić ten nos!
Powiedział jej ktoś, żeby kupiła masło
Posmarowała nim nos i żeby potem
Obcięła go siekierą!

28

Jakobus Liepa też był znudzony. Kiedy Jerry patrzył na niego przez judasza w drzwiach celi, z zapamiętaniem dłubał w nosie i marszczył czoło, spoglądając na to, co z niego wydobył.

– Dobra – powiedział Jerry do dyżurnego. – Zabierzmy się do niego, zanim zacznie sobie wydłubywać mózg.

Dyżurny otworzył drzwi celi.

– Pan Liepa? – zapytał Jerry z przesadną grzecznością. – Zechce pan uprzejmie pójść teraz ze mną do pokoju przesłuchań? Zamierzam panu zadać kilka bardzo ważnych pytań.

– Nie kazałem Herkusowi naciskać pedału gazu – zareagował Liepa. – Przecież chyba mnie pan nie podejrzewa o taką lekkomyślność?

– Wyjaśni pan wszystko w czasie oficjalnego przesłuchania. Pański adwokat jest już na miejscu. Reprezentuje pana Laurence Shipman z kancelarii Shipman & Bridges. Nie jest tani, co? Założę się, że buli mu pan mnóstwo forsy za samo powiedzenie „dzień dobry”.

Za drzwiami czekał posterunkowy Jonas i razem z Jerrym poprowadził Liepę do pokoju przesłuchań. Był tam już inspektor French. Rozmawiał z eleganckim mężczyzną w granatowym trzyczęściowym garniturze. Mężczyzna miał lśniące włosy, ufarbowane na czarno i zaczesane do tyłu, oraz pełną, nijaką twarz o świńskich oczkach.

– Jak pana traktują, Jakobus? – zapytał, gdy Liepa usiadł.

– Nie powinni byli mnie aresztować – odparł zapytany, patrząc na Jerry’ego. – Nie zrobiłem przecież nic złego.

– Niestety, my to widzimy inaczej – zaoponował French. – Ty i twoi kumple wyruszyliście na wyprawę ulicami miasta z oczywistym zamiarem kradzieży ubrań, które ludzie chcieli przekazać na rzecz Cancer Research, umieszczając je w oficjalnych workach, wcześniej im w tym celu dostarczonych przez tę instytucję, a zatem będących jej własnością. Wyprawa odbywała się pod twoim przywództwem, więc jesteś winien

kradzieży każdego pakunku, niezależnie od tego, czy którykolwiek z nich osobiście podniosłeś z ziemi. Co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości.

– Przepraszam, że przerywam – wtrącił się Laurence Shipman. – Jednak sprawy mają się tak, że mój klient, pan Liepa, skorzystał z propozycji podwiezienia go, jaką złożył jeden z jego współpracowników, i nie był świadom, że kiedy samochód na moment się zatrzymał, inny ze współpracowników zabrał worek z ubraniami z progu pobliskiego domu.

Detektyw inspektor French otworzył plastikową teczkę, która leżała przed nim na stole. Wyciągnął z niej trzy kartki z zeznaniami świadków, spięte zszywką, i uniósł je na wysokość oczu.

– Przesłuchaliśmy już pana Herkusa Adomaitisa. Był on kierowcą pojazdu, w którym miejsce po stronie pasażera zajmował pański klient. Przesłuchaliśmy również pana Ignasa Gabrysa, który znajdował się w przedziale ładunkowym tego samochodu i który osobiście zabrał worek z darami z progu domu. Obaj mężczyźni niezależnie od siebie oświadczyli, że pański klient był pomysłodawcą i organizatorem kradzieży worków należących do Cancer Research i że wspomniany akt kradzieży jednego z nich odbył się przy jego pełnej wiedzy i aprobacie.

Jakobus Liepa uderzył pięścią w stół.

– A wy oczywiście wierzycie we wszystko, co ci dranie wam mówią? – zaprotestował. – To są tępi i złośliwi durnie. Przebywają w Wielkiej Brytanii nielegalnie, a więc, rzecz jasna, powiedzą wam wszystko, co będziecie chcieli, bylebyście tylko nie odesłali ich z powrotem na Litwę! Poza tym co z tego, że ktoś zabrał spod domu jakiś worek ze starymi ubraniami? Co on był wart? Prawie nic! Przecież to śmieszne!

– Mój klient ma absolutną rację – powiedział Laurence Shipman. – Żadnego z tych dwóch dżentelmenów, o których mówimy, nie można uważać za wiarygodnego świadka. A wartość tego, co zabrał pan Gabrys, jest minimalna. Panie inspektorze, bądźmy realistami. Złoczyńcy, którzy kradną znacznie więcej niż jeden worek starych ubrań, zazwyczaj wychodzą z aresztu za kaucją.

– Przepraszam, panie Shipman – odezwał się Jerry. – Tutaj nie chodzi tylko o kradzież używanych swetrów. W trakcie aresztowania pańskiego klienta i jego goryli życie stracił posterunkowy Stephen Whitey i jak pan dobrze wie, pański klient został oskarżony o morderstwo.

– Oczywiście, doskonale o tym wiem. Mój klient bardzo żałuje, że zginął funkcjonariusz policji na służbie, zapewniam pana. Jest mu z tego powodu niezmiernie przykro. Jest jednak niezaprzeczalnym faktem, że był jedynie pasażerem samochodu, który uderzył i zabił nieszczęsnego policjanta, a poza tym jest głęboko przekonany, że kierowca jedynie przez przypadek nacisnął na pedał gazu i że śmierć pańskiego kolegi nastąpiła po prostu w wyniku nieszczęśliwego wypadku. Wypadku godnego ubolewania, ale jednak tylko wypadku.

– To prawda – powiedział Jakobus Liepa. – Jak można oskarżać mnie o zabicie policjanta, skoro nawet nie siedziałem za kierownicą? To tak, jakby oskarżyć mnie o zabicie kogoś, kogo przejechał autobus, którym jechałem jako pasażer, w dodatku czytając gazetę.

Inspektor French pokiwał głową, jakby zgadzał się z wywodami Jakobusa Liepy. Ale po chwili znowu wziął do ręki kartki z zeznaniami świadków i powoli nimi pomachał.

– Problem tkwi w tym, panie Liepa, że pański kierowca, pan Adomaitis, powiedział w zeznaniu złożonym pod przysięgą, że to pan rozkazał mu przycisnąć pedał gazu i przejechać funkcjonariusza. Tu następują stosowne słowa w pańskim ojczystym języku. – French przeczytał kilka słów po litewsku.

Jakobus Liepa energicznie pokręcił głową.

– To czyste szaleństwo! On kłamie! Okłamuje was w żywe oczy! Myśli, że w ten sposób uratuje własną skórę!

– Być może – przytaknął French. – Ale pan Gabrys powiedział nam, że przebywając w przedziale ładunkowym, usłyszał dokładnie to samo, słowo w słowo. Takie polecenie wydał pan kierowcy. A jak już wspomniałem, obaj mężczyźni złożyli to zeznanie niezależnie od siebie.

– Na tym etapie mój klient nie ma nic więcej do powiedzenia – oznajmił spokojnie Laurence Shipman. – Oczywiście będziemy podważać wiarygodność tych dwóch zeznań. Jak już zasugerował mój klient, panowie Adomaitis i Gabrys sami będą za wszelką cenę dążyli do uniknięcia odpowiedzialności za śmierć policjanta Whiteya. Obaj mieli możliwość uzgodnienia treści zeznań, jeszcze zanim zostali odseparowani. I wszystko wskazuje, że tak właśnie postąpili.

– A pański litewski akcent jest gówniany – dodał Jakobus Liepa, zwracając się do Frencha.

– Przykro mi, proszę pana. Będzie pan miał jeszcze mnóstwo okazji, żeby mnie go poduczyć, oczekując w więzieniu na rozprawę sądową.

– Oczywiście będę wnioskował o wypuszczenie mojego klienta za kaucją – powiedział Shipman, upychając papiery w neseserze marki Berluti, wartym co najmniej dwa i pół tysiąca funtów. Jerry zauważył, że ma starannie przycięte, wypielęgnowane paznokcie.

– Życzę powodzenia, panie Shipman – odparł French z sarkazmem, zamykając swoją teczkę.

Jerry zaczynał sobie zdawać sprawę, że inspektor French z wielką satysfakcją zajmuje się Liepą. Gdyby oskarżył go jedynie o kradzież worka z używanymi ubraniami, miałby minimalną szansę na długo oczekiwany awans. Ale jeśli uda mu się przyskrzynić Litwina za morderstwo policjanta na służbie, jego sytuacja diametralnie się odmieni. Zostanie uznany za bohatera dnia – nie tylko w Tooting, ale w całej policji.

Gdy Jakobusa Liepę wreszcie odprowadzono do celi, Jerry poszedł do stołówki i zamówił herbatę oraz kanapkę z bekonem. Jeszcze nic dziś nie jadł. Zaledwie zdążył usiąść, pojawiła się Dżamila. Z wielce zmartwioną miną podeszła do jego stolika.

– Co jest, pani sierżant?

– Znowu pojawiła się granatowa kurtka.

– Chcesz być dowcipna z samego rana?

– Nie. Zatrzymaliśmy dziewięcioletnią dziewczynkę, która ją włożyła, a właściwie powinnam powiedzieć, że dziewczynkę, którą włożyła kurtka. Dźgnęła pewnego faceta w szyję i odcięła mu…

– Co mu odcięła? Czyżbyś miała na myśli…

Pokiwała głową.

– Miał szczęście, że się nie wykrwawił. Jest u Świętego Jerzego. Właśnie trwa operacja. Może uda się uratować mu życie.

– Kiedy to się stało?

– Wiadomość dotarła do nas pół godziny temu. Na miejsce pojechali Willis i Baker. Kiedy Baker zobaczyła tę kurtkę, natychmiast do mnie zadzwoniła.

– Ta dziewczynka… wciąż ma ją na sobie?

– Tak. Powiedziałam Baker, żeby nie pozwoliła jej się rozebrać.

Dziewczyna za ladą zawołała:

– Kanapka gotowa!

Ale on wstał i rzucił w jej kierunku:

– Cholera jasna. Przykro mi, kochana, ale obowiązki mnie wzywają. Kastracja jest ważniejsza od bekonu. Dokąd jedziemy? – zwrócił się do Dżamili.

– W pobliże Pretoria Road. Dziewczynka wciąż tam jest. Nie chce podać swojego nazwiska ani powiedzieć naszym ludziom, gdzie mieszka.

– Kurwa mać. Z każdą minutą ten dzień robi się coraz bardziej popieprzony.

29

Mindy siedziała na tylnej kanapie nieoznakowanego samochodu policyjnego, a posterunkowa Baker obok niej. Po drugiej stronie ulicy parkowały dwa kolejne wozy patrolowe, a pięciu umundurowanych policjantów stało w ogrodzie przed domem Barry’ego, rozmawiając z posterunkowym Willisem. Wśród nich znajdowała się czarnoskóra policjantka, która interweniowała jako pierwsza.

Jerry zatrzymał swoje auto za samochodem policyjnym, trochę za daleko od krawężnika. Gdy tylko Jerry i Dżamila wysiedli, podszedł do nich Willis.

– Cześć, Jerry. Bez wątpienia znowu mamy do czynienia z twoim syndromem przylegających ubrań. Ale nie uwierzysz, co zrobiła ta dziewczynka.

– Pewnie obcięła facetowi fujarę, co?

– Nie tylko, Jerry. Sanitariusze szukali tego fiuta z nadzieją, że da się go przyszyć z powrotem, i znaleźli. Ale niestety tylko połowę. Usmażoną.

– Co?

– To, co słyszysz. Usmażoną. I były na nim ślady zębów. Możemy przyjąć, że drugą połowę zjadła ta dziewczynka.

– Jezu! Dzięki Bogu, że nie zdążyłem zjeść śniadania.

– I co? Uważasz, że tu też chodzi o nieracjonalne postępowanie osoby, do której przylgnęło ubranie? – zapytała Dżamila.

– Bez cienia wątpliwości. Jeszcze nie mamy stu procent pewności, że dziewczynka ubrana jest w tę samą kurtkę, którą nosiła Sophie Marshall, ale jej opis pasuje. Jest granatowa, aksamitna i ma guziki na patkach. Ale najważniejsze jest to, że mała twierdzi, jakoby to kurtka dźgnęła faceta nożem i ucięła mu penis.

– Wiemy, jak ona się nazywa?

Willis pokręcił przecząco głową.

– Nie chce powiedzieć jak się nazywa ani gdzie mieszka. Ma torbę z zakupami, której nie chce otworzyć, jednak wiemy, że torba pochodzi z pobliskiego sklepu, zatem bez wątpienia dziewczynka mieszka w najbliższej okolicy. Sąsiad, który do nas zatelefonował, pan Harris, jest takim lokalnym ciekawskim. Wie, że Barry McGowan figuruje w rejestrze przestępców seksualnych, i dlatego uważnie mu się przygląda. McGowan już dwa razy był skazany za molestowanie dziewczynek w wieku poniżej dwunastu lat i rozpowszechnianie pornografii dziecięcej. Za miesiąc upływa mu okres próby po warunkowym zwolnieniu z więzienia.

– Co mówią ratownicy o jego ranach?

– Okaleczenie jest nieodwracalne, ale powinien przeżyć. Kiedy się wybudzi, będziemy mogli z nim porozmawiać. Znalazłem nóż, którego prawdopodobnie użyła dziewczynka, a ekipa techników kryminalistycznych powinna tu być w ciągu kilku minut.

– Spróbujmy z nią porozmawiać – zaproponowała Dżamila. – Musimy się dowiedzieć, gdzie znalazła kurtkę, i przekonać się, czy naprawdę do niej przyrosła, tak jak to było w przypadku Sophie Marshall.

Podeszła do samochodu i zastukała w szybę. Posterunkowa Baker wysiadła z wozu i powiedziała:

– Zadałam jej już wiele pytań, jednak nie odpowiedziała nawet jednym słowem.

– Rozumiem. Teraz ja spróbuję – powiedziała Dżamila. – Jerry, usiądź z przodu.

Zajęła miejsce obok Mindy, a Jerry usiadł obok miejsca kierowcy.

– Nie musisz się niczego bać – powiedziała Dżamila do Mindy. – Mam na imię Dżamila, a to jest Jerry. Chcemy ci pomóc. Musimy się dowiedzieć, dlaczego zaatakowałaś tego mężczyznę. Próbował zrobić ci krzywdę?

Mindy milczała przez długą chwilę. Wreszcie, opuściwszy powieki i złączywszy palce w taki sposób, jakby się modliła, wyszeptała:

– Ja nic nie zrobiłam.

– Jeżeli nie ty, to kto? Przecież w domu nie było nikogo innego, prawda?

– Nie.

– Był jeszcze ktoś? Kto to był? Znasz tę osobę?

– Warwara.

– Warwara? Co to za imię?

– Nie wiem.

– Kobieta?

– Tak.

– I chcesz nam powiedzieć, że to Warwara posłużyła się nożem?

– Tak.

– Gdzie ona teraz jest? Uciekła?

– Nie. Wciąż jest tutaj. Ale śpi.

– Jest tutaj? Gdzie? Chyba cię nie rozumiem.

Mindy odwróciła się do Dżamili i popatrzyła na nią twardym wzrokiem.

– Nie widzisz jej? Ona jest we mnie. Jest skulona i śpi, ale jest wewnątrz mnie.

Dżamila popatrzyła na Jerry'ego, który się odezwał:

– Skąd masz tę kurtkę, kochanie?

Mindy pochyliła się ku niemu i odpowiedziała ledwo dosłyszalnie:

– Znalazłam ją w parku.

– Dlaczego szepczesz? – zdziwiła się Dżamila.

– Ponieważ nie chcę obudzić Warwary. Będzie zła, jeżeli usłyszy, że z tobą rozmawiam.

– A powiesz nam, jak masz na imię?

Mindy zawahała się, ale po chwili przeliterowała:

– M-I-N-D-Y.

– Rozumiem – powiedział Jerry. – Powiesz nam jeszcze, gdzie mieszkasz?

Mindy zamknęła oczy, jakby chciała się upewnić, że postać, którą czuje w środku, nadal jej nie słucha. Po chwili przeliterowała swój adres przy Nimrod Road.

– Nimrod Road, rozumiem – potwierdził Jerry. – Mieszkasz tam z rodzicami?

Mindy pokręciła głową.

– Nie – wyszeptała. – Już nie.

– Co to znaczy „już nie"?

Oczy dziewczynki wypełniły się łzami, a usta wygięły w podkówkę.

– Oni nie żyją! – wybuchła nagle. – Ona ich zabiła! Warwara ich zabiła! A ja powinnam teraz wrócić do domu i ich ugotować!

Gdy tylko wypowiedziała te słowa, gwałtownie zadrżała, odchyliła głowę do tyłu i ciasno owinęła się kurtką. Wywróciła oczy, tak że widać

było tylko białka, i obnażyła zęby w obrzydliwym grymasie. Jej ciałem zaczęły wstrząsać gwałtowne drgawki.

– Chyba nie wierzycie tej głupiej gówniarze, co? – wyszeptała. – Co takie małe dziecko może wiedzieć o śmierci, bólu i tęsknocie? Czy może rozumieć, czym jest śmierć?

Na koniec Mindy wypluła z siebie słowa w jakimś obcym języku i po chwili konwulsje ustały. Pochyliła się do przodu, a potem oparła się bokiem o drzwi.

Dżamila pokręciła głową i powiedziała:

– Mindy… Mindy? Słyszysz mnie, Mindy?

Dziewczynka nie odpowiedziała. Jej klatka piersiowa szybko unosiła się i opadała. Dżamila dotknęła jej szyi, żeby sprawdzić puls, i po chwili dała znać Jerry’emu, że jest prawidłowy.

– Trzeba ją zawieźć do szpitala, natychmiast – powiedziała. – Im szybciej ściągniemy z niej tę kurtkę, tym lepiej. Zadzwonię do doktora Fullera i powiem mu, że będzie potrzebny.

Jerry wysiadł z samochodu i skinął na posterunkową Baker i jednego z umundurowanych policjantów. Mindy wciąż siedziała skulona w kącie policyjnego auta, ciężko oddychając przez otwarte usta, z których sączyła się strużka śliny.

– Jedźcie z nią do Świętego Jerzego – powiedziała Dżamila. – Musicie ją przekazać bezpośrednio do rąk doktora Fullera. Koniecznie. Dopóki dziewczynka nie znajdzie się na oddziale, nie wolno z niej zdejmować żadnej odzieży ani też dopuścić, żeby ona sama się rozbierała.

– Cholera jasna – powiedział Jerry, kiedy samochód ruszył. – Ona chyba mówiła po rosyjsku. Albo w jakimś podobnym języku. Niestety, nie jestem specjalistą od języków wschodnioeuropejskich.

– To był litewski – oznajmiła Dżamila. – Jeden z moich wujków miał kolegę, litewskiego biznesmena. Facet nachalnie próbował mnie dotykać i strasznie go nienawidziłam. To dokąd teraz pojedziemy? Za prawidłową odpowiedź nie przewiduję nagrody. Niestety, gdyby Mindy kłamała, mówiąc, że jej rodzice nie żyją, widziałabym to w jej oczach.

Jerry popatrzył w niebo. Wyciągnął rękę i poczuł pierwsze krople deszczu.

– Pani sierżant – odezwał się. – To już przekracza wszelkie granice. Przecież, do diabła, nie możemy aresztować używanej odzieży, i to pod

zarzutem popełnienia morderstwa.

30

Drzwi domu przy Nimrod Road były zamknięte jedynie na prosty zamek Yale i Jerry otworzył go wytrychem. Gdy tylko znaleźli się w holu, ogarnęła go pewność, że Mindy mówiła prawdę. W domu unosił się wyraźny zapach śmierci – ten słodki, dojrzały, ciężki odór, którego niczym nie dawało się przytłumić.

– Rany, chciałbym mieć katar. – Jerry zakrył dłonią nos i usta.

Weszli do salonu. Okna były zasłonięte, było ciemno i chłodno. Na sofie leżał egzemplarz „Daily Mail”. Jerry podszedł, wziął do ręki gazetę i sprawdził datę.

– Wczorajsza – powiedział. – Ale gdybym miał oceniać po zapachu, założyłbym się, że trupy leżą tu co najmniej od trzech dni.

Przeszli do kuchni. Żaluzje były opuszczone, z kranu nad zlewem monotonnie kapała woda. Na blacie obok płyty grzejnej stało duże naczynie żaroodporne bez pokrywy oraz leżał ostry nóż kuchenny.

– Widzisz to? – zapytała Dżamila. – I myślisz o tym samym co ja?

– Nie. Wolę w ogóle nie myśleć.

– Ja też mam już na dzisiaj dosyć makabry. Ale to nie zmienia faktu, że w sypialni znajdziemy rodziców Mindy.

Jerry wrócił do holu i ruszył po schodach.

– Wiesz co? – odezwał się do Dżamili. – Mój ukochany staruszek chciał, żebym pomagał mu w jego biznesie. Prowadził zakład hydrauliczny.

– Naprawdę? I czemu go nie posłuchałeś?

– Powiedziałem mu: „Nie mam zamiaru poświęcić życia na przetykanie cudzych sraczy”. Gdybym tylko wiedział, co będę robił w policji…

Pierwsza sypialnia na piętrze należała do Mindy. Jej łóżko było niezasłane, pościel wymięta. Duże plakaty na ścianach przedstawiały Justina Bibera i Harry’ego Stylesa. Obaj mieli wokół głów dorysowane usta złożone do pocałunków, w słabym oświetleniu przywodzące na myśl chmary czarnych ciem. Na biurku stał otwarty laptop, a wisząca półka na

ścianie nad biurkiem pełna była książek. Dżamila szybko zerknęła na tytuły, chcąc sprawdzić, czy są wśród nich książki nieodpowiednie dla dziewięcioletniej dziewczynki, jednak dostrzegła tylko *Harry'ego Pottera* oraz powieści dla dziewcząt autorstwa Jacqueline Wilson.

– Nic tu nie ma – stwierdził Jerry i otworzył drzwi do sypialni rodziców dziewczynki.

Natychmiast ogarnęła ich fala tak straszliwego smrodu, że Dżamila zakrztusiła się, potrząsnęła głową i szybko powiedziała:

– Przepraszam.

Matka i ojciec Mindy leżeli obok siebie na łóżku. Zakrwawiona pościel została zdarta z łóżka i leżała na podłodze obok. Bluza pidżamy ojca była rozpięta, mężczyzna miał obnażoną klatkę piersiową i spodnie opuszczone do kolan. Koszula nocna matki była okręcona wokół szyi. Brzuchy i uda obu ofiar nosiły ślady poprzecznych cięć, jakby jakiś szaleniec ostrym nożem grał na ich ciałach w kółko i krzyżyk. Odór był tak silny, ponieważ w kilku miejscach jelita przebite były na wylot. Prawa pierś matki była częściowo odcięta i zwisała, odsłaniając lśniące, białe żebra. Pod penisem ojca ziała głęboka dziura.

Przystanęli po przeciwnych stronach łóżka i patrzyli w milczeniu na tę jatkę. Po długiej chwili Dżamila powiedziała:

– Widziałam już kiedyś coś podobnego. Wtedy też dziecko zamordowało swoich rodziców. Wykastrowało ojca za karę, że dał mu życie, i obcięło piersi matki za to, że je wykarmiły.

– Tak, ale tutaj chyba nie chodzi o atak dziecka na rodziców, prawda? – odparł Jerry. – To, podobnie jak w pozostałych wypadkach, dzieło osoby niepanującej nad swoimi poczynaniami. „To nie ja, to mój płaszcz, moja kurtka, mój sweter". A ta Mindy mówiła z kolei, że wstąpiła w nią jakaś inna osoba.

Dżamila pokiwała głową.

– Tak, jakaś Warwara, ktokolwiek to jest.

– I to całe gotowanie, jedzenie… o co w tym chodzi? Zombi lubią zjeść kawałek ludzkiego mięsa na kolację, prawda? Na przykład w *Nocy żywych trupów*. Ale zombi nie smażą swoich ofiar przed posiłkiem. A poza tym zombi nie istnieją.

– Ale pamiętaj, że mieliśmy już w historii przypadki kanibalizmu i przyrządzania potraw z ludzkiego mięsa – powiedziała Dżamila. – Pewien

Niemiec zamieścił w prasie ogłoszenia, poszukując ochotnika, który chciałby zostać zjedzony, pamiętasz? I zjadł około dwudziestu kilogramów jakiegoś młodego człowieka, usmażonego w oliwie z czosnkiem, a do uczty wykorzystał najlepszą zastawę stołową, jaką dysponował, zapalił świeczki i w ogóle. Mój ojciec opowiadał mi o kilku pojedynczych przypadkach kanibalizmu, do jakich doszło w Pakistanie, ale wówczas chodziło o dzieci; ich rodzice byli niemal zagłodzeni na śmierć.

– Pojedyncze przypadki to możliwe – mruknął Jerry. – Tyle że my tutaj mamy cholerną epidemię.

Pośpiesznie wykonał iPhone'em kilka zdjęć, po czym wrócił do salonu i zatelefonował do inspektora Saundersa, który właśnie wybierał się na lunch.

– No i jak wam idzie? – zapytał Saunders. – Może porozmawiamy później? Wrócę na czwartą, na konferencję prasową.

– Przepraszam, szefie, ale to, co powiem, nie będzie przyjemne – odparł Jerry.

Opowiedział mu o Mindy i Barrym oraz o znalezieniu martwych rodziców dziewczynki. Kiedy skończył, szczegółowo opisawszy stan zwłok, Saunders milczał; trwało to na tyle długo, że Jerry w końcu pomyślał, iż szef przerwał połączenie.

– Cholera jasna – rzucił w końcu. Po chwili powtórzył z jeszcze większym naciskiem: – Cholera jasna. – Następnie dodał cierpkim tonem: – Dobra, Jerry. Ogarnę sprawy tutaj, na miejscu, a potem sam obejrzę wasze znalezisko. Ale pamiętaj: ani słowa dziennikarzom! Wciąż nie wiem, jak przekazać te informacje opinii publicznej, żeby nie wywołać paniki.

– Rozumiem, szefie, oczywiście.

Jerry i Dżamila wyszli z domu i stanęli na ulicy przed bramą. Padał deszcz, ale przynajmniej powietrze pachniało mokrą trawą i wyziewami z rur wydechowych, a nie rozkładającymi się ciałami. Jerry pomyślał, że chętnie by zapalił, może to pomogłoby zabić zapach i smak śmierci. Miał wrażenie, jakby sam jeszcze przed chwilą miał w ustach ludzkie mięso.

Po chwili Dżamila przerwała ciszę.

– Jakoś przestałam wierzyć, że doktor Fuller udzieli nam odpowiedzi na wszystkie pytania. Albo chociażby na połowę.

– Problem w tym, pani sierżant, że chyba nikt nie jest w stanie udzielić nam mądrych odpowiedzi – odparł Jerry. – W kraju nie ma raczej ekspertów

od ubrań, które żyją własnym życiem.

Wychodząc, Jerry dokładnie zamknął drzwi domu, teraz jednak kątem oka dostrzegł, że powoli się otwierają. Odwrócił się, żeby sprawdzić, co się dzieje. Niespodziewanie drzwi gwałtownie otworzyły się na oścież. Wyskoczyła z nich jakaś czarna postać wielkości dziecka. Skręciła w lewo i biegła przez niewielki ogród, wymachując rękami.

– Hej! Ty! Stój! – zawołał Jerry i pobiegł za nią.

Postać przeskoczyła niski murek z cegieł oddzielający posesję od sąsiadów i dała nura za srebrny samochód combi stojący na podjeździe. Po chwili wyłoniła się zza niego i pobiegła ulicą, wciąż machając rękami. Wyglądało to dziwacznie, jakby szybkości nadawał jej porywisty wiatr. Poły długiego płaszcza unosiły się za nią. Gdy Jerry się zbliżył, zauważył, że postać w ogóle nie ma nóg. Ona leciała, a nie biegła! Kiedy policjant znalazł się niemal na wyciągnięcie ręki, zauważył, że nie ma też głowy.

Był to po prostu czarny płaszcz przeciwdeszczowy unoszący się w powietrzu.

Jerry potknął się, zatoczył i niemal upadł na chodnik, ogłupiały i wstrząśnięty faktem, że ucieka przed nim sam płaszcz, że nie goni człowieka. Po chwili poczuł złość.

Przecież to jest pierdolony pusty płaszcz, a ja gonię za nim jak jakiś debil, pomyślał.

Po kolejnych stu metrach z trudem łapał już oddech, jednak w końcu zdołał chwycić płaszcz za kołnierz. Zamierzał jednym szarpnięciem złożyć go na pół, ale okrycie zaczęło mu się wyrywać i niespodziewanie zaatakowało go oboma rękawami. Jerry cofnął się i zszedł na jezdnię, osłaniając się przed ciosami. Płaszcz jednak kontynuował atak, jakby wpadł we wściekłość. Bił Jerry’ego po twarzy sprzączkami na rękawach, a połami posługiwał się tak, jakby były skrzydłami. Jerry miał wrażenie, że napadł go rozjuszony łabędź.

– Pani sierżant! – zawołał. – Na miłość boską, pani sierżant! Dżamila!

Ona już biegła w jego kierunku. Nad głową trzymała furtkę z kutego żelaza, którą zapewne wyrwała z ogrodzenia któregoś z domów. Gdy tylko dotarła do Jerry’ego, jeszcze wyżej uniosła bramkę i kilkakrotnie uderzyła nią płaszcz. Jakaś starsza kobieta przechodząca chodnikiem po drugiej stronie ulicy zatrzymała się i patrzyła na nich szeroko otwartymi oczami.

Dżamila bez wytchnienia okładała płaszcz, boleśnie zahaczając przy tym o dłoń Jerry’ego.

– Hej! Uważaj! – zawołał.

Płaszcz prawdopodobnie czuł uderzenia, ponieważ kurczył się po każdym ciosie, jakby w środku ktoś się jednak znajdował. W końcu Dżamila rąbnęła go z całej siły w okolice barków, najpierw z lewej, a potem z prawej strony, i po drugim uderzeniu płaszcz całkowicie zwiotczał. Jego rękawy zwisły bezwładnie i nagle po prostu opadł na ziemię.

Jerry zaczął go wdeptywać w chodnik. Po chwili kopnął go raz i drugi, jednak mokry materiał nie dawał już żadnych oznak życia. Dżamila oparła furtkę o najbliższy płot. Sprawiała wrażenie, że jest równie wstrząśnięta jak Jerry. Z trudem łapała oddech.

– Przecież to niedorzeczne – wysapał. – To jest, kurwa, niedorzeczne. Tym niemniej jestem twoim dłużnikiem, pani sierżant. Naprawdę jestem twoim dłużnikiem. Będziesz bohaterką popołudniówek: „Detektyw sierżant zabiła płaszcz przeciwdeszczowy za pomocą żelaznej furtki”.

– Nic z tego – odparła Dżamila. – Nikomu o tym nie powiemy, Jerry, bo to jest bez sensu. Jak myślisz, jak zareagowaliby dziennikarze? Zaczęliby wymyślać, że się naćpaliśmy.

Jerry szturchnął płaszcz czubkiem buta. Nie zareagował.

– Cóż, prawdopodobnie masz rację. Na dodatek Smiley wpadłby w furię. Już teraz rwie sobie włosy z głowy, rozmyślając, jak przedstawić tę sprawę na konferencji prasowej i pani nadinspektor. Przecież nie może dopuścić, żeby doszła do wniosku, że facet nadzoruje śledztwo prowadzone przez parę obłąkańców.

– Zabierzmy ten płaszcz do domu Mindy – postanowiła Dżamila. – I furtkę też umieszczę na swoim miejscu, bo jeszcze sama siebie będę musiała aresztować za wandalizm.

Jerry powoli się pochylił i złapał płaszcz za rękaw. Był pewien, że deszczowiec drgnął, jednak kiedy pociągnął go za sobą, nie próbował się wyrwać.

Gdy wrócili do domu rodziców Mindy, przeciągnął płaszcz przez próg, zamierzając go zamknąć w schowku pod schodami. Ale gdy tylko wszedł do środka, popatrzył na schody i stanął jak wryty.

– Pani sierżant – powiedział cicho.

Dżamila przystanęła za nim.

– *Bismillah* – wyszeptała.

Całe schody były zawalone odzieżą – były tam suknie, swetry, kurtki i spodnie. Ale nie leżały po prostu na stopniach, tylko pełzły w dół, jakby były żywe. Zielony golf dotarł już do holu i sięgał właśnie jednym z rękawów ku kostce Dżamili.

Policjanci bez słowa pośpiesznie wycofali się na zewnątrz. Jerry wahał się jeszcze przez kilka sekund, aż wreszcie wrzucił płaszcz do środka i zatrzasnął drzwi.

– To niemożliwe – powiedział i pokręcił głową. – Ja śnię, to musi być sen. Nie, to nie jest zwykły sen, to koszmar.

– To jest możliwe – odparła Dżamila. Zaciskała pięści, a jej głos był spokojny, jednak Jerry doskonale widział, że jest wstrząśnięta. – To jest tak samo możliwe jak istnienie duchów na świecie.

– Nie rozumiem.

Popatrzyła na niego. Jeszcze nigdy nie widział jej tak poważnej.

– To, że ludzie na Zachodzie stracili wiarę w Boga i we wszystko, czego nie potrafi wyjaśnić nauka, nie oznacza jeszcze, że duchy nie istnieją. Uważam, że one są wśród nas, Jerry. Jestem pewna, że istnieją dobre i złe duchy i że potrafią nawiedzić każdego i wszystko, nie tylko ludzi. Potrafią żyć w zwierzętach, co może potwierdzić każdy właściciel kota albo psa. I potrafią kryć się także w przedmiotach nieożywionych. Jak myślisz, skąd się wzięła bajka o Aladynie i magicznej lampie?

– Pani sierżant, przecież to są ubrania. Widziałem tam lewisy i pulowery od Marksa i Spencera.

– To bez znaczenia, Jerry. Ja też początkowo nie chciałam w to wierzyć, musimy jednak spojrzeć prawdzie w oczy. W okolicy szerzy się zaraza, taka jak grypa azjatycka albo wirus Ebola. Nie wiem, do czego dotarł doktor Fuller, jednak jestem przekonana, że mamy do czynienia z zarazą duchową, a nie mikrobiologiczną.

– Uważasz więc, że te ubrania zostały zakażone przez duchy, a kiedy ludzie je wkładają, zaraza przechodzi na nich?

– Oczywiście nie mogę mieć pewności, ale czy masz jakieś inne wytłumaczenie?

– Sam nie wiem. Może to Rosjanie wrzucili nam coś do wody pitnej i teraz wszyscy mamy halucynacje?

Jerry popatrzył na drzwi, myśląc o tym, co się za nimi dzieje. Co się stanie z ubraniami, które zdołają uciec z tego domu? Czy duchy, które w nie wstąpiły, opuszczą je, znikną albo poumierają? A może pozostaną uśpione, czekając na moment, w którym jakaś niczego się niespodziewająca ofiara po nie sięgnie, dzięki czemu będą mogły ożyć?

– Musimy pilnie znaleźć kogoś, kto ma szerszą wiedzę na ten temat – powiedziała Dżamila. – Inspektor Saunders zażartował, żeby zatelefonować do ojca Karrasa. Ale właśnie kogoś takiego teraz potrzebujemy.

– Może egzorcystę?

– Bo ja wiem… Te duchy mogą nie mieć nic wspólnego z chrześcijaństwem, islamem ani jakąkolwiek inną religią. Wirusów nie zabijają przecież kapłani, szamani ani mułłowie. Może tej zarazy również nie da się zwalczyć modlitwą i wodą święconą?

31

Najpierw przyjechało ośmiu mundurowych z sierżantem Bristowem na czele. Zaczęli odgradzać dom taśmą policyjną, gdy podjechały dwie białe furgonetki z technikami kryminalistycznymi, a po kolejnych dziesięciu minutach na miejsce dotarł także nieoznakowany granatowy vauxhall insignia. Wysiadł z niego inspektor Saunders w mundurze wyjściowym. Kiedy stał już na chodniku, założył czapkę.

Jerry i Dżamila stali ramię w ramię przy drzwiach i aż do przyjazdu inspektora nikogo nie wpuszczali do domu.

– Są tam podobno dwa ciała – stwierdził Bristow. – Dlaczego nie chcecie nikogo wpuścić do środka?

– Miejsce zbrodni wygląda trochę niezwykle, sierżancie, to wszystko – odparł Jerry. – Tam może być niebezpiecznie i chcę, żeby to detektyw inspektor Saunders zdecydował, że można wejść.

– Co to znaczy „niezwykle”?

– Stało się tutaj mniej więcej to samo co ze swetrem tego Nelsona. Tylko że tutaj jest o wiele gorzej.

– Nabijasz się ze mnie?

– Tak, oczywiście. Stoimy tutaj przemoczeni do suchej nitki, zmarznięci po same dupy, czekając na Smileya, tylko po to, żeby z ciebie zażartować. O, ale oto i on.

Saunders przebił się przez gromadę policjantów i techników i wreszcie stanął pod drzwiami. Bez żadnego wstępu wybuchnął:

– Co się dzieje? Dlaczego wszyscy stoicie na zewnątrz?

– Zaszły nowe okoliczności, sir – odparła Dżamila.

– Jakie okoliczności?

Dżamila wyjaśniła, że prawdopodobnie ubrania rodziców Mindy same wyszły z szaf i zaczęły schodzić po schodach, podobnie jak sweter Davida Nelsona wędrował korytarzem na komisariacie. Nie opowiedziała mu o walce z płaszczem przeciwdeszczowym. Postanowiła, że tę informację

pozostawi na później, kiedy opanują sytuację w domu i zrobi się trochę spokojniej.

– A więc po całym domu walają się teraz ubrania? – zapytał Saunders.

– Tak, sir.

– A nie przyszło wam do głowy, że w domu oprócz ofiar mógł się znajdować ktoś jeszcze? Ktoś, kto porozrzucał ubrania, kiedy byliście na zewnątrz?

– Nie, sir.

– Przeszukaliście wszystkie pomieszczenia?

– Tylko pokój Mindy, sir.

– A więc ktoś mógł być w domu?

– To możliwe, sir, tylko że widziałam na własne oczy, jak te ubrania się poruszają bez udziału ludzi. Jeden ze swetrów chciał nawet dotknąć mojej nogi.

Saunders zdjął czapkę i zajrzał do niej, jakby się spodziewał, że jest pełna losów na loterię.

– Sweter chciał dotknąć twojej nogi? – upewnił się.

– Tak, sir.

– Cóż, mamy tutaj funkcjonariuszy z pałkami i paralizatorami, przynajmniej dwóch z nich jest uzbrojonych w broń palną. Chyba aż nadto wystarczą w zmaganiach z kilkoma złymi swetrami?

– To pan decyduje, sir.

– Zostało tutaj zamordowanych dwoje ludzi, pani detektyw, decyduję więc, że natychmiast wchodzimy i badamy miejsce zbrodni.

Jerry otworzył drzwi na oścież i zajrzeli do środka. Części garderoby były porozrzucane po podłodze w holu i na schodach, aż do połowy ich wysokości. Nie poruszały się; Jerry jednak dostrzegł, że czarny płaszcz, z którym walczył, leży na podłodze w kuchni, znacznie dalej, niż go rzucił.

Saunders wszedł do holu i pociągnął nosem.

– Od jak dawna nie żyją?

– Nie minęły nawet dwadzieścia cztery godziny od ich śmierci – odparł Jerry. – Ale oboje mają uszkodzone jelita, stąd ten potworny smród.

Detektyw inspektor Saunders pochylił się i podniósł zielony golf, który próbował złapać Dżamilę za nogę. Przez dłuższą chwilę obracał go w rękach na wysokości oczu, po czym potrząsnął nim i rzucił z powrotem

na podłogę. Następnie sięgnął po brązową kurtkę w jodełkę i ją też podsunął sobie przed oczy.

– Cóż, Jerry, niezależnie od tego, jak te ubrania się tutaj znalazły, zbyt wiele życia raczej w nich nie ma, co?

– Nie, szefie. Chyba że udają martwe.

Saunders nie odniósł się do jego słów, powiedział natomiast:

– Dobrze, obejrzyjmy ofiary. Sierżancie Bristow! Technicy mogą już wchodzić. Niech najpierw sfotografują wszystkie ubrania, które się tutaj walają.

Wypowiedziawszy te słowa, zaczął wchodzić po schodach, starając się nie deptać po leżącej na nich odzieży. Dżamila chciała mu przypomnieć, że powinien założyć osłony na buty, ale po namyśle zrezygnowała. Zważywszy na jego nastrój, nie było sensu jeszcze pogarszać sytuacji.

Jerry popatrzył na nią i zrobił krzywą minę. Aż do dzisiaj Saunders zdawał się akceptować myśl, że jakiś niezwykły wirus zakaził ubrania, które następnie przylepiły się do osób oskarżonych o morderstwo oraz do Samiry Wazir i narkomana, który został aresztowany za publiczne składanie nieobyczajnych propozycji. Teraz jednak Jerry odniósł wrażenie, że inspektor stara się odrzucić podejrzenia, że dzieje się coś niezwykłego. Być może zmienił zdanie pod wpływem swojej przełożonej, pani nadinspektor. Ale bardziej prawdopodobne było to, że bał się prześmiewczych artykułów w prasie, które mogłyby uniemożliwić mu awans. Nie chciał, żeby spotkało go to co inspektora Frencha – beznadziejne oczekiwanie na przyśpieszoną emeryturę.

Dżamila wzruszyła ramionami i powiedziała:

– Wszystkie dowody są jak na dłoni, Jerry. Będzie musiał im uwierzyć.

– Myślę, że już im wierzy – odparł Jerry. – Ale boi się konsekwencji ich zaakceptowania. Podobnie jak my. Przecież ten płaszcz wcale nie musiał samodzielnie biegać po ulicy, prawda? Może po prostu popychał go wiatr?

– Och, daj spokój. – Dżamila machnęła ręką i ruszyła po schodach.

Jerry podążył za nią.

Była w połowie schodów, gdy nagle usłyszała histeryczny krzyk Saundersa:

– Na litość boską, odczep się ode mnie!

Przeskakując po dwa stopnie, pobiegli do sypialni rodziców Mindy.

Stanąwszy w progu, Jerry wydobył z siebie tylko jedno słowo:

– Boże…

Detektyw inspektor Saunders leżał na plecach na zakrwawionym łóżku. Ojciec Mindy klęczał obok niego i przytrzymywał go, zaciskając dłonie na jego nadgarstkach, a jego żona pochylała się nad nim i szarpiąc za kołnierz munduru, próbowała ugryźć go w twarz.

Jerry na chwilę zamarł. Stał w drzwiach, nie mając pojęcia, co robić. Przecież ci ludzie nie żyli, sam widział, jak leżeli martwi, a mimo to atakowali teraz Saundersa, i to z taką zaciekłością, że nie był w stanie się od nich uwolnić.

– Jerry, zrób coś! – krzyknął do niego Saunders.

Dżamila, która przybiegła za nim, zawołała:

– Sierżancie Bristow! Sierżancie Bristow! Potrzebujemy wsparcia, natychmiast!

Jerry podbiegł do toaletki i złapał stojący przed nią ciężki taboret. Uniósł go i z całej siły uderzył matkę Mindy w tył głowy. Natychmiast opadła bez sił i stoczyła się z łóżka na podłogę, jednak w jej ustach pozostał fragment lewego ucha Saundersa, na którym w momencie uderzenia zaciskała zęby.

– Kurwa mać! – wrzasnął Saunders, brocząc krwią.

Jerry tymczasm trzasnął ojca Mindy w ramię. Mężczyzna szarpnął się w lewą stronę, jednak wciąż zaciskał ręce na nadgarstkach Saundersa. Z jego ust zwisała strużka śluzu. Jerry uderzył go jeszcze raz, tym razem mocniej, prosto w głowę, i tak już zniekształconą po ciosach, jakie zadała mu Mindy. Mężczyzna zaległ na podłodze.

Saunders z trudem dźwignął się z łóżka; jedną ręką przyciskał naderwane ucho. Przy mundurze brakowało mu trzech guzików, a gors koszuli miał czerwony od krwi. Kiedy z pomocą Jerry’ego wreszcie odzyskał równowagę, stał w miejscu oszołomiony, nie potrafiąc pojąć, co mu się przydarzyło.

Tymczasem ojciec Mindy zaczął się podnosić z podłogi, a jego żona klęczała po drugiej stronie łóżka, jakby się modliła. Twarze obojga były obrzęknięte i poranione, a czoło i nos mężczyzny tak strasznie zdeformowane, że wyglądał bardziej jak maska halloweenowa.

Ojciec Mindy wciąż miał na sobie bluzę od pidżamy; spodnie opadły mu do kostek. Jerry zauważył, że jego szyję oplatają ciemnobrązowe rękawy, a reszta swetra przylgnęła mu do ramion.

Popatrzył na matkę Mindy – jej szyję z kolei obejmowały rękawy długiej czarnej sukni wieczorowej. Zaciskały się na niej z ogromną siłą. Pomyślał, że jeśli ta kobieta żyje, to z pewnością grozi jej uduszenie.

Jerry cofnął się i wypchnął Saundersa za drzwi. Nie miał pojęcia, czy powinien polecić małżonkom, żeby się nie ruszali, czy też kazać im położyć się z powrotem na łóżku. No bo co może powiedzieć policjant do zwłok, które właśnie ożyły? „Wracajcie do świata martwych albo was aresztuję”? Poza tym, czy zwłoki byłyby w stanie go usłyszeć?

Szurając nogami z powodu krępujących jego kostki spodni od pidżamy, ojciec Mindy zbliżył się do drzwi i wyciągnął obie ręce w stronę Jerry’ego, jakby parodiując ruchy zombi. Ale on w końcu podjął decyzję. Jednym ruchem zatrzasnął drzwi i trzymając rękę na klamce, zapytał Saundersa:

– Do cholery, co robimy, szefie?

Tymczasem wezwani na pomoc dwaj dobrze zbudowani policjanci w rynsztunku bojowym wbiegli po schodach. Pierwszy z nich miał przy pasie paralizator, a drugi trzymał w rękach półautomatyczny pistolet maszynowy.

Saunders wyciągnął z kieszeni chusteczkę, rozwinął ją i przyłożył do ucha.

– Nie mam pojęcia – odpowiedział. – Oni nie żyją, ale najwyraźniej nie mają zamiaru tego zaakceptować. Jakieś podpowiedzi?

– Widziałem, że mężczyzna ma na szyi sweter, a kobieta suknię wieczorową. Tych rzeczy nie było w sypialni, kiedy oglądaliśmy zwłoki. Moim zdaniem to te ubrania przywróciły ich do życia. – Urwał na chwilę i powtórzył z naciskiem: – Ubrania – jakby chciał, żeby jego słowa wryły się Saundersowi w pamięć.

Z równym powodzeniem mógłby powiedzieć cokolwiek, ponieważ Saunders jedynie gapił się na niego oszołomiony, a dwaj policjanci spoglądali po sobie, niczego nie rozumiejąc.

– Zgadzam się z detektywem Pardoe – powiedziała Dżamila. – Wszystko wskazuje na to, że ubrania w tym domu zostały zakażone tym samym wirusem co płaszcz Samiry Wazir, sweter Davida Nelsona i kurtka Sophie Marshall. Widzieliśmy już, jak zakażona odzież działa na żywych ludzi. Sophie Marshall ugryzła mnie w rękę, a ta kobieta właśnie próbowała odgryźć panu ucho. Trudno nie zauważyć podobieństwa, prawda?

– Sugeruję, aby zaatakować ich paralizatorem i zabrać im te rzeczy, dopóki są jeszcze otępiali po moich ciosach – powiedział Jerry.

– Oni nie żyją – zauważył Saunders.

– Wiem, szefie. Ale być może pozbawieni tych ubrań rzeczywiście wrócą do świata zmarłych.

– Hmm… to brzmi przekonująco – zgodził się Saunders. – A ja będę musiał przyjąć pieprzony zastrzyk przeciwtężcowy. Że nie wspomnę o badaniu na obecność wirusa HIV. Mogę nawet dostać sepsy albo stracić to cholerne ucho. Chryste!

W tym momencie rozległo się łomotanie do drzwi sypialni.

– Chyba chcą stamtąd wyjść – zauważył Jerry.

– Dobra. – Saunders pokiwał głową. – Otwórzcie drzwi i potraktujcie ich prądem.

Policjant z paralizatorem wystąpił do przodu i stanął obok Jerry’ego. Drugi policjant wycelował pistolet i zajął miejsce krok za nimi. Saunders i Dżamila się cofnęli.

– Gotowi? – zapytał Jerry. – Trzy, dwa, jeden, naprzód!

Z całej siły pchnął drzwi sypialni. Impet uderzenia sprawił, że ojciec Mindy, który stał tuż za nimi, zatoczył się i usiadł na skraju łóżka, jednak natychmiast zerwał się na nogi. Jego żona przyglądała się swojemu odbiciu w lustrze toaletki, ale gdy usłyszała hałas, odwróciła się.

– Boże wszechmogący… co się z nimi stało? – zawołał policjant z paralizatorem. – Wyglądają, jakby potrzebowali lekarza, a nie paralizatora.

– Po prostu poślij im ładunki! Najpierw celuj w mężczyznę!

– Tak bez ostrzeżenia?

– Rób, co mówię, do cholery!

Oficer wycelował paralizator w ojca Mindy i nacisnął spust. Z ostrym trzaskiem z urządzenia wystrzeliły dwie kąśliwe elektrody i uderzyły w poranione piersi mężczyzny, ciągnąc za sobą druty przewodzące energię. Piętnaście tysięcy woltów niewątpliwie nim wstrząsnęło. Potworny ból i gwałtowne porażenie mięśni powinny natychmiast rzucić go na podłogę.

Tymczasem on jedynie się otrząsnął i zaczął machać rękami, jak zaniepokojony kurczak skrzydłami. Następnie, z drutami wystającymi z piersi, znowu ruszył prosto przed siebie.

– Co jest grane?! – zawołał Saunders. – Czy to cholerne urządzenie jest wystarczająco naładowane?

– Ustawiłem je na maksymalne napięcie – bronił się policjant.

– Bez wątpienia – zgodził się Jerry. – Pamiętajmy, że ten facet nie żyje. Wyładowanie elektryczne nie będzie na niego działać, bo nie ma na co. Jego układ nerwowy nie funkcjonuje, serce nie bije. To nie są już żywe organizmy.

– Chcesz powiedzieć, że oni naprawdę nie żyją? – zapytał policjant. – A ja myślałem, że według ciebie tylko udają umrzyków. Jak to możliwe?

– Nie pytaj mnie, tylko popatrz, w jakim są stanie. Kobieta ma tak poderżnięte gardło, że jej głowa ledwie trzyma się tułowia. A ta szara maź za uchem faceta to jego mózg.

– Każcie im się położyć na podłodze – zażądał Saunders. Był rozwścieczony. – Powiedzcie im, że jeśli się nie położą, będziemy do nich strzelać.

Ojciec Mindy dotarł już niemal do drzwi, a jego żona szła tuż za nim. Gdyby Jerry zrobił tylko jeden krok do przodu, mógłby położyć dłoń na jego ramieniu i wyrecytować formułkę aresztowania. Mężczyzna zaciskał zęby, jakby nie mógł się doczekać, kiedy zatopi je w twarzy Jerry’ego. Niespodziewanie beknął. Nie próbował mówić. Nie byłby zresztą w stanie, ponieważ w płucach nie miał powietrza, jedynie śmierdzące gazy.

– Stój! – zawołał do niego Jerry, chociaż zdawał sobie sprawę, że zachowuje się irracjonalnie. – Stój i połóż się na podłodze twarzą w dół, bo w przeciwnym wypadku będziemy strzelać.

– Właśnie – powiedział Saunders. – Nie chciałbym, żebyście otworzyli ogień, nie ostrzegając podejrzanego. – Popatrzył na policjanta z pistoletem maszynowym i rozkazał: – Skasuj ich. Celuj w nogi. To powinno wystarczyć.

– Oni nie są uzbrojeni, sir – zaprotestował funkcjonariusz. – I nie stanowią dla nas bezpośredniego zagrożenia. Jeśli ich zastrzelę, popełnię morderstwo.

– Nie możesz ich zamordować, ponieważ i tak już nie żyją! Nie słuchałeś, co się tutaj mówi? Nie widzisz, co się dzieje?

– Tak, ale…

– Oni są martwi – powtórzył Saunders. – Może i chodzą jeszcze po ziemi, chociaż nie wiem, jakim cudem, ale uwolnijmy ich od tego. Jasne?

To rozkaz!

– Tak jest, sir. Cofnijcie się wszyscy, bo mogą być rykoszety.

Jerry, Dżamila i Saunders odsunęli się, a policjant odbezpieczył broń. Gdy stanęli u szczytu schodów, podszedł do nich szef ekipy kryminalistycznej w białym kombinezonie.

– Możemy wchodzić na miejsce zbrodni? – zapytał.

Saunders nawet na niego nie spojrzał.

– Jeszcze nie. I będę wdzięczny, jeśli na razie wyprowadzisz swoich ludzi z domu. Zawołam cię, kiedy wszystko będzie gotowe.

– Tak jest, sir, muszę jednak zaznaczyć, że trochę się śpieszymy. Trzem spośród moich ludzi kończą się godziny pracy.

– Powiedziałem: zawołam, kiedy będziemy gotowi.

Technik zaczął schodzić po schodach. W tej samej chwili uzbrojony policjant zaczął iść w ich stronę, popychany przez ojca i matkę Mindy.

– To potworne. Już do końca życia nie będę w stanie spokojnie zasnąć – szepnęła Dżamila.

Funkcjonariusz z bronią powoli cofał się korytarzem, dzięki czemu rodzice Mindy mogli wyjść z sypialni. Było oczywiste, że policjant nie ma ochoty strzelać. Para nieszczęśników była skąpana we krwi i wyglądała groteskowo, z czarnymi językami wystającymi z ust; wyglądali żałośnie, jak dwoje ciekawskich klaunów, którzy przez pomyłkę weszli do klatki rozjuszonego lwa.

– Naprawdę musimy to robić? – Dżamila zapytała Saundersa.

– A co? Masz inną propozycję? Nie da się ich porazić prądem, to co nam pozostaje? Mamy ich zamknąć? Nie popełnili żadnego przestępstwa, jeśli nie brać pod uwagę tego, że kobieta odgryzła mi cholerne ucho. Mamy ich posłać do szpitala? Przecież są martwi, więc jaki to miałoby sens? Poza tym zaatakowali mnie jak dwa wściekłe psy, a co się robi z wściekłymi psami?

Ojciec Mindy nagle wydał z siebie głośny charkot, jak ktoś, komu się zbiera na wymioty, i szybciej ruszył w stronę policjanta z bronią, wymachując rękami. Wtedy rozległ się ogłuszający huk i policjant strzelił, trafiając go w pierś. Kula odrzuciła mężczyznę na ścianę, ale zebrał się w sobie i ponownie zaatakował policjanta. Ten znowu strzelił, trafiając go dwukrotnie w klatkę piersiową i raz w brzuch. Nieszczęśnik znów padł do tyłu, ale po chwili na nowo odzyskał kontrolę nad swoimi ruchami i ruszył do przodu, tym razem boksując rękoma przed sobą.

– Nogi! – zawołał Saunders. – Mówiłem ci, żebyś strzelał w nogi!

Policjant zrobił krok w tył i przestrzelił mężczyźnie oba kolana. Ojciec Mindy zatoczył się i upadł. Leżał, wijąc się i z frustracją tłukąc pięściami w podłogę.

Matka Mindy, nie zważając na nic, szła naprzód. Funkcjonariusz strzelił jej najpierw w prawe udo, a potem w lewe i po chwili w prawą kostkę; siła tego ostatniego strzału sprawiła, że niemal odpadła jej cała stopa. Ale kulejąc, jeszcze przez chwilę szła dalej, aż wreszcie padła na podłogę obok męża i leżała twarzą w dół, uderzając otwartą dłonią w dywan.

Korytarz wypełnił się drażniącym dymem, a Jerry na chwilę stracił słuch. Policjant zmienił magazynek.

– W porządku – powiedział Saunders. – Teraz zabierzmy im sweter i suknię, skoro waszym zdaniem – popatrzył na Jerry’ego i Dżamilę – to takie ważne.

– Ja to zrobię – postanowił Jerry.

Wyciągnął z kieszeni scyzoryk i otworzył najdłuższe ostrze. Kiedy ukląkł przy ojcu Mindy, jego żona odwróciła głowę i patrzyła na niego upiornymi ciemnoszarymi oczami. Prychnęła z nienawiścią, jednak nie miała siły zaatakować.

– Przykro mi, stary – powiedział Jerry do mężczyzny, chociaż nie miał pojęcia, czy ten go słyszy, i nie wiedział nawet, czy to naprawdę jest ojciec Mindy.

Złapał rękawy ciemnobrązowego swetra oplatające jego szyję i zaczął je przecinać scyzorykiem. Były miękkie i miłe w dotyku, jednak tnąc je, miał wrażenie, jakby robił komuś krzywdę.

Jerry przeciął rękawy, ale kiedy spróbował oderwać je od szyi ojca Mindy, okazało się, że mocno przylgnęły do skóry. Złapał za skraj swetra i kilkakrotnie szarpnął, jednak bez powodzenia.

– Masz problemy? – zawołał Saunders.

– Niewielkie – mruknął Jerry.

Znowu pociągnął sweter, jeszcze mocniej. Rozległ się odgłos rozdzieranego materiału i zdołał oderwać jakieś siedem, osiem centymetrów, jednak reszta swetra wciąż nie chciała puścić. Brązowe nitki już wgryzły się w ciało.

Dżamila położyła dłoń na ramieniu Jerry’ego.

– Może pociąłbyś go na małe części? – zasugerowała.

– Co?

– Może to była tylko jedna z opowieści mojej babci, ale powiedziała mi kiedyś, że gdy pewnej nocy dżinn chciał wejść do domu, mój dziadek przytrzasnął go drzwiami i w efekcie jego część pozostała wewnątrz, a część tkwiła na zewnątrz. Tę część dżinna, która znalazła się w domu, dziadek odciął nożycami i wrzucił do ognia.

– Twoją babcię trzeba było umieścić w zakładzie zamkniętym za opowiadanie takich bredni – powiedział Jerry.

Mimo to złapał kawałek dzianiny w lewą rękę, a prawą zaczął ciąć go scyzorykiem.

W miarę jak darł sweter na fragmenty, jego pozostałe części coraz słabiej przywierały do skóry. Wkrótce rękawy odpadły od szyi, a reszta odkleiła się od ramion. Ojciec Mindy nadal miał otwarte oczy, jednak znieruchomiał.

– Rzeczywiście, zadziałało – zdziwił się Jerry. Dla pewności pchnął ciało mężczyzny. Przeturlało się po podłodze, nie dając oznak życia. – Facet jest naprawdę martwy, jak każdy porządny umarlak.

Jerry przykucnął teraz obok kobiety. Tym razem zaczął drzeć materiał na wysokości piersi i brzucha. Poddawał się bez problemów, jednak policjant darł tak długo, aż w rękach pozostały mu tylko wąskie paski, które również pociął na części. Wszyscy w skupieniu go obserwowali.

Kiedy z sukni pozostały już tylko strzępy, rękawy odpadły od szyi kobiety jak dwa spłoszone węże. Jej ręka leżała już nieruchomo na dywanie, a ciemne oczy wpatrywały się niewidzącym spojrzeniem w martwego męża.

Jerry wstał i złożył scyzoryk. Był oszołomiony – nie dlatego, że wszystko wokół wydawało się nierealne, ale dlatego, że czuł się, jakby przed chwilą odebrał życie dwóm osobom.

Saunders podszedł bliżej i popatrzył na ciała.

– Czy oni na pewno nie żyją? W stu procentach? Nie chciałbym, żeby któreś za chwilę podskoczyło i znowu mnie ugryzło.

– Byli martwi już wcześniej – odpowiedziała Dżamila. – To te ubrania ich ożywiły. A my musimy zadać sobie pytanie, kto lub co je nawiedziło. To może być odzież używana, kupiona w sklepach dla biednych, jak ta, z którą mieliśmy do czynienia wcześniej, albo…

– Albo co?

– Nie wiem. I nie dowiemy się tego, dopóki doktor Fuller nie zbada DNA. Zastanawiam się, co będzie, jeśli akurat tych ubrań nikt wcześniej nie używał? Jeżeli sweter i suknia nigdy nie należały do nikogo innego, a tylko do rodziców Mindy? Jeśli teraz próbowali ożywić już nie cudze, a własne martwe ciała?

– Naprawdę myślisz, że ta cała historia to może być ich sprawka? – Nadal przyciskał chusteczkę do ucha. – Nigdy bym nie pomyślał, że to tacy ludzie. Gotowi odgryźć komuś ucho. Wyglądają przecież na spokojnych przedstawicieli klasy średniej. Zresztą gdyby kiedyś popełnili jakieś przestępstwo, na pewno byliby notowani.

– Szefie, mam już wzywać techników? – zapytał Jerry.

– Jeszcze nie. Posłuchajcie mnie. To jest cholernie ważne. Całą tę historię z ubraniami musimy zachować w tajemnicy. Sami musimy ją najpierw wyjaśnić, od początku do końca. Jak już mówiłem, istnieje niebezpieczeństwo, że albo wywołamy powszechną panikę, albo wyjdziemy na kompletnych idiotów. Albo jedno i drugie.

– Ale ten ubraniowy wirus zdaje się rozprzestrzeniać – nieśmiało zaprotestowała Dżamila. – Ludzi trzeba uprzedzić o zagrożeniu.

– Wywołalibyśmy w ten sposób znacznie więcej problemów, niż to warte. Sami musimy nad tym zapanować, zdusić zagrożenie w zarodku. Kiedy tylko ogarniemy tu sytuację, skontaktuję się z doktorem Fullerem i powiem mu, żeby ruszył dupę i wziął się ostro do roboty. Musimy się dowiedzieć, z czym mamy do czynienia, i to natychmiast. Przyjęliśmy, że chodzi o jakąś chorobę, a zatem musi na nią istnieć lekarstwo. Pomyślcie o AIDS.

– AIDS sprawia, że żyjący ludzie umierają, sir – stwierdziła Dżamila. – Nie ożywia martwych.

Saunders zignorował ją i mówił dalej:

– W dzisiejszych czasach musimy myśleć o jeszcze jednej kluczowej sprawie. Jeżeli ten problem przedostanie się do mediów, zaczną go roztrząsać politycy. To woda na młyn cholernej lewicy liberalnej, zabiorą się do tematu tak samo, jak się dobierają do zgonu byle opryszka w więzieniu albo lamentują nad pożarem bloku mieszkalnego pełnego nielegalnych imigrantów. Chyba wiesz, co się zacznie na Tweeterze: „Biedni ludzie, których stać jedynie na używane ubrania, giną po atakach

wirusa wyprodukowanego przez torysów i te świnie bezczelnie udają, że nie dostrzegają problemu”.

– Z całym szacunkiem, sir… – chciała się wtrącić Dżamila, ale Saunders nie dopuścił jej do głosu.

– Wiem, co chce pani powiedzieć, sierżant Patel, ale jeśli my nie potrafimy teraz ogarnąć problemu, jak pani myśli, w jaki sposób będzie sobie z nim radził przeciętny Smith? Zapanuje cholerne krwawe pan-de-mo-nium.

Przeszedł nad zwłokami ojca Mindy i wszedł do sypialni. Jerry i Dżamila przez chwilę się wahali, ale w końcu poszli za nim. Jedne z przesuwnych drzwi garderoby były odsunięte i Jerry dostrzegł, że większość plastikowych wieszaków w szafie jest pusta, a mnóstwo ich leży na podłodze. W całej sypialni stertami zalegały pogniecione ubrania: koszule, pulowery, spodnie, kurtki i sukienki. Można było odnieść wrażenie, że ktoś wszedł do garderoby i w ataku złości wszystko z niej powyrzucał.

– Kiedy weszliście tutaj po raz pierwszy, sypialnia wyglądała zupełnie inaczej, czy tak? – zapytał Saunders. – Te ubrania nie były porozrzucane?

– Nie – odparła Dżamila. – Drzwi do garderoby były zamknięte, a w pokoju, poza makabrą na łóżku, panował porządek.

– Jeżeli więc nie pojawił się tutaj ktoś trzeci, obecnie nam nieznany, i nie porozrzucał tej odzieży, powinniśmy przyjąć, że ubrania uciekły z garderoby, że tak powiem, na własnych nogach?

– Sherlock Holmes mówił… – zaczął Jerry, ale Saunders mu przerwał.

– Jerry, wiem, co mówił pieprzony Sherlock Holmes, ale Sherlock Holmes to wytwór bujnej wyobraźni, a my mamy realny problem! Mamy do czynienia z ubraniami, które zamieniają zupełnie normalnych ludzi w morderców, a nawet kanibali. Z ubraniami, do kurwy nędzy! – Stał na środku pokoju, taksując wzrokiem porozrzucane części garderoby. Oddychał tak ciężko, że Jerry zaniepokoił się, czy nie grozi mu zawał serca. Ale po chwili Saunders odezwał się znacznie spokojniej: – Życzę sobie, żeby te wszystkie cholerne łachy zapakowano w worki i wywieziono na hałdy do Smugglers Way, do centrum recyklingu.

– A jeśli niektóre z nich zdołają uciec? – zapytała Dżamila. – Jeżeli przylgną do kogoś? Jeżeli jakiemuś robotnikowi spodoba się któraś z kurtek i przymierzy ją, zanim zdążą je zutylizować?

– Nie mam zamiaru nawet o tym myśleć – odparł Saunders. – Człowiek o zdrowych zmysłach nie potrafi sobie tego wyobrazić. Poza tym gdy te ubrania znajdą się na hałdach w Londynie, my nie będziemy już za nie odpowiedzialni. Wtedy problemem będą się musiały zająć władze Wandsworth. To chyba na ich terenie znajduje się Smugglers Way, prawda?

– Sir… – Dżamila chciała jeszcze coś dodać, ale Saunders wyszedł z sypialni i zbliżył się do dwóch uzbrojonych policjantów, którzy wciąż stali przy drzwiach.

– Chcę, żeby to, co teraz powiem, było dla was jasne – zaczął. – Mamy tutaj do czynienia z całkowicie bezprecedensową sytuacją, której aktualnie nie jesteśmy w stanie zrozumieć ani ogarnąć. Jeżeli jakakolwiek informacja na temat tego zdarzenia wydostanie się na zewnątrz, w szczególności do prasy, zagrozi to śledztwu i prawdopodobnie wywoła znacznie więcej ofiar śmiertelnych. Proszę was więc, abyście trzymali gęby na kłódkę. A właściwie to nie jest prośba, lecz rozkaz.

– A co z pięcioma wystrzelonymi pociskami, sir? – zapytał jeden z policjantów. – Przecież muszę się z nich rozliczyć.

– Napiszesz w raporcie, że musiałeś oddać strzały ostrzegawcze, a ja to potwierdzę. Nikogo nie zabiliście ani nie zraniliście, posterunkowy, nie macie się więc czym martwić.

Policjant popatrzył na zwłoki leżące na korytarzu i z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Po raz pierwszy w życiu strzelałem do żywych ludzi, a teraz się okazuje, że oni i tak byli wtedy martwi. Niech mi pan wierzy, nie powiem nikomu ani słowa. Nie chcę robić z siebie wariata.

32

Gdy następnego ranka w szpitalu spotkali się z doktorem Fullerem, wszyscy troje byli w podłym nastroju.

Inspektor Saunders miał na lewym uchu opatrunek, poza tym przy goleniu zaciął się nad górną wargą. Oczy Dżamili były opuchnięte, jakby nie spała całą noc, a Jerry'ego straszliwie bolała głowa, ponieważ zanim poszedł do łóżka, wypił trzy butelki stelli. Zamroczony piwem nie miał koszmarów z chodzącymi trupami – a przynajmniej po obudzeniu ich nie pamiętał – i spał nieprzerwanie aż do siódmej, kiedy obudził go alarm w telefonie komórkowym.

Doktor Fuller też miał zły humor. Zwłoki rodziców Mindy przywieziono do prosektorium krótko przed północą, dlatego do tej pory zdołał je tylko pobieżnie obejrzeć. Nadal czekał na wyniki badań pozostałych ofiar, które miały nadejść z Lambeth Road. Zbadał już Mindy, ale nie podjął próby zdjęcia z niej kurtki. Wciąż leżała w izolatce, nafaszerowana środkami nasennymi. Przed drzwiami czuwał policjant.

– Przed nami jeszcze bardzo długa droga, inspektorze – powiedział, przesuwając wyniki badań po blacie biurka. Popatrzył na nie, zmarszczył czoło i odsunął je na miejsce. – Czekają nas dni, a może tygodnie testów. No i będę musiał rozpocząć kolejne badania, kiedy zdołam zdjąć kurtkę z tej dziewczynki.

– Muszę jednak wiedzieć, czy mimo wszystko ma pan na ten temat jakąś teorię. Mam na głowie cały świat, wszyscy domagają się postępów w śledztwie, a tymczasem nie posunę się ani krok do przodu, jeżeli się nie dowiem, z czym właściwie mamy do czynienia.

Doktor Fuller popatrzył na niego ponad szkłami okularów.

– Obawiam się, że błądzę w ciemności tak samo jak pan, inspektorze. Mogę jednak przekazać jedną dobrą wiadomość. Wczoraj po południu dzwonili do mnie z Lambeth Road. Potwierdzili, że próbki włókien, które wydobyłem ze zwłok Samiry Wazir, są identyczne jak te, które tkwiły

w ciele tego narkomana. Na tej podstawie mogę potwierdzić, że byli ubrani w tę samą garderobę.

– A co z DNA na ubraniu? – zapytał Saunders. – Też było identyczne?

– Owszem, jednak skoro było identyczne, to nie należało oczywiście do żadnej z tych dwóch osób. Do tej pory nie wiadomo, czyje to DNA.

– A ta dyrektorka szkoły, która wyrzuciła dzieci przez okno… jak się nazywała?

– Laura Miller. Tak, znaleźliśmy DNA na włóknach z jej płaszcza. To nie było jej DNA, ale nie ustaliliśmy czyje. Nie posiadamy w bazie danych tej osoby.

Inspektor Saunders milczał przez kilka sekund z rękami złożonymi na piersiach i wpatrywał się w Fullera, jakby oczekiwał, że ten telepatycznie odgadnie jego kolejne pytanie. Wyczuwszy napięcie, doktor uniósł wzrok znad dokumentów i starannie osadził okulary na nosie.

– Znalazł pan we włóknach pobranych od Davida Nelsona coś, co mogłoby sprawić, że jego sweter mógł się poruszać o własnych siłach? – zapytał wreszcie Saunders.

– Chyba pana nie rozumiem.

– Ujmę to inaczej. Istnieją środki farmakologiczne, które wywołują niekontrolowane skurcze mięśni, prawda?

– Niektóre silne środki moczopędne mogą powodować skurcze mięśni. Podobnie preparat stosowany w chorobie Alzheimera. Jednak nic nie wskazuje na to, że David Nelson zażywał któryś z tych medykamentów… w gruncie rzeczy nie przyjmował żadnych leków.

– A więc w tych włóknach nie było niczego, co mogłoby spowodować, że ubrania, które z nich zrobiono, poruszały się niezależnie od woli Davida Nelsona?

– Pewne ruchy mogłaby wywołać elektryczność statyczna, ale w gruncie rzeczy nie rozumiem, o co panu chodzi.

Jerry spróbował zmienić temat.

– Wszystkie te włókna, których próbki pan bada… czy one mają ze sobą coś wspólnego? Na przykład czy jest pan w stanie wyodrębnić jakiegoś wirusa? Wszyscy jesteśmy bliscy wniosku, że mamy do czynienia ze swego rodzaju epidemią, musi więc istnieć jakiś czynnik zakaźny.

– Powiedziałem już, że daleko nam jeszcze do ukończenia badań – oznajmił doktor Fuller z naciskiem. – Jednak do tej pory nie natrafiliśmy

na żadne wirusy, bakterie ani inne czynniki, które mogłyby mieć wpływ na funkcjonowanie mózgu człowieka. Ja też na początku podejrzewałem, że włókna przesiąkły jakąś substancją psychoaktywną: ayahuascą, a nawet fencyklidyną. Ale badania tego nie potwierdzają.

– I to wszystko, doktorze? – zapytał niecierpliwie Saunders. – Powiedział nam pan jedynie, że Samira Wazir i ten głupi ćpun ubrani byli w ten sam płaszcz, do czego pewnie doszlibyśmy sami, i nic więcej pan nie wie? Nie jest pan nawet w stanie określić, w jaki sposób płaszcz Samiry zniknął z jej domu? I jak zniknęła kurtka z domu Sophie Marshall?

– Nie, tego nie potrafię – odparł doktor Fuller. – Prowadzę laboratorium medycyny sądowej, a nie biuro rzeczy znalezionych.

Saunders na chwilę zamknął oczy i wziął głęboki oddech. Po chwili rzekł:

– Przypuśćmy na użytek naszych rozważań, że nikt ich nie wyniósł, że samodzielnie oddaliły się z miejsc, w których zginęli ludzie. Co pan na to?

– To dlatego pytał mnie pan, czy włókna są zdolne do poruszania się?

– Tak.

Jerry zorientował się, że jego szef jest bliski utraty panowania nad sobą.

– Odpowiadam panu z całą powagą: nie, ubrania nie mogą się poruszać bez udziału człowieka. Możliwe jest naładowanie włókien tkaniny elektrycznością statyczną, ale efekt jest zawsze taki, że stają one wtedy na sztorc. Mógłby pan zaobserwować takie zjawisko, pocierając o swoje włosy balonem. Elektryczność statyczna z pewnością nie sprawi, że sweter wyjdzie sobie za drzwi, jeśli coś takiego pan sugeruje.

– I nie jest pan w stanie wyjaśnić, w jaki sposób ubrania mogły wpłynąć na stan psychiczny ludzi, którzy je nosili?

– Zgodzę się, że ci ludzie popadli w stan przypominający objawy manii. Więcej na ten temat mógłby się pan dowiedzieć w Springfield. Ale z mojego punktu widzenia… nie, nie jestem w stanie panu tego wyjaśnić.

– Rozumiem – powiedział Saunders. – Kiedy zamierza pan zdjąć kurtkę z dziewczynki?

– Jeszcze dzisiaj po południu. Najpierw zbadam jej krew.

Inspektor wstał, a zaraz po nim uczynili to Jerry i Dżamila.

– Niech pan posłucha, doktorze, nawet pan sobie nie wyobraża, jaka to jest cholernie ważna sprawa – odezwał się jeszcze Saunders.

Jego słowa zabrzmiały niemal jak groźba, jakby chciał dać Fullerowi do zrozumienia, że jeśli szybko nie udzieli mu wyjaśnień, spotka go coś bardzo nieprzyjemnego.

Fuller popatrzył na niego i chociaż milczał, wyraz jego twarzy nie pozostawiał wątpliwości, że bierze Saundersa za irytującego ignoranta.

Ubrania, które samodzielnie wędrują? Nie, inspektorze, to jest na pewno sprawka goblinów odzieżowych.

Na szpitalnym parkingu Saunders popatrzył na zegarek i odezwał się:

– Rozumiem, że wy dwoje pojedziecie teraz do Springfield, żeby jeszcze raz przesłuchać podejrzanych?

– Nie pojedzie pan z nami? – zapytała Dżamila.

– Nie. Wpadnę na Lambeth Road i zamienię kilka słów z szefem laboratorium. Mam nadzieję, że to ktoś sprawniejszy niż Bob Johnson, który ostatnio odszedł na emeryturę. Śledztwo potrzebuje mocnego kopa w dupę, a raczej nie możemy się go spodziewać od Fullera. Wiem, że to wybitna postać w medycynie sądowej, ale jak dla mnie ten facet ma zbyt silne skłonności do dzielenia włosa na czworo. I jest, cholera, zbyt powolny. A my musimy działać na skróty, jeżeli całe to śledztwo nie ma nam się wymknąć z rąk.

– Jasne, szefie – powiedział Jerry. – Zobaczymy się, kiedy wrócimy na komisariat. Chociaż nie powiem, żebym się wiele spodziewał po wizycie w Springfield.

Saunders z grobową miną wsiadł do auta i odjechał.

Jerry popatrzył na Dżamilę i wzruszył ramionami.

– No to co, pani sierżant? Do roboty.

W męczącym korku dojechali do Glenburnie Road i w końcu skręcili na teren szpitala. Główny budynek był imponującym gmachem, wybudowanym w 1840 roku w stylu Tudorów jako schronisko dla obłąkanych, jednak podejrzani, do których musieli dotrzeć, zostali umieszczeni w nowoczesnej dwupiętrowej przybudówce.

Zaparkowali samochód i weszli do środka, a tam dyżurny skierował ich na oddział numer 3.

Doktor Dorothy Stewart rozmawiała akurat z Cherry Mwandi, pielęgniarką oddziałową. Mniej więcej piętnaścioro pacjentów siedziało

w dużej sali, oglądając w telewizji *Antiques Roadshow*[1]. Jakaś młoda kobieta z potarganymi czarnymi włosami nuciła coś pod nosem i bezustannie przebierała palcami po policzkach, jakby wklepywała krem nawilżający, a mężczyzna ze szczypcami homara wytatuowanymi na szyi co kilka chwil odrzucał głowę do tyłu i wpatrywał się z otwartymi ustami w sufit, jednak większość pacjentów wydawała się całkowicie pogrążona we własnych zamkniętych światach.

Doktor Stewart podeszła i przywitała się z policjantami. Była wysoką, elegancką kobietą po czterdziestce, o krótko obciętych ciemnych włosach. Szary tweedowy kostium i ogromne okulary dodawały jej powagi. Dżamila wyciągnęła legitymację. Jerry'ego pani doktor dobrze pamiętała już z poprzednich wizyt.

– Obawiam się, że waszej trójce nie wiedzie się najlepiej – powiedziała. – Przeprowadziliśmy pierwsze badania, jednak do tej pory nie postawiliśmy ostatecznej diagnozy na temat ich zdrowia psychicznego. Szczególnie zastanawiające jest to, że wszyscy oni twierdzą, że są bardzo chorzy, chociaż z punktu widzenia psychiatrii niczego nietypowego u nich nie stwierdziliśmy.

– Może pani powiedzieć, że ich stan psychiczny jest podobny? – zapytał Jerry.

– Owszem, chyba tak. Wszyscy wykazują objawy, które mogłyby wskazywać na schizofrenię, jednak badania tego nie potwierdzają.

– Można z nimi porozmawiać?

– Większość dnia przesypiają, ale tak, można. Cherry was do nich zaprowadzi. Proszę tylko, żebyście zbyt mocno na nich nie naciskali.

Cherry Mwandi była ładną, choć trochę zbyt korpulentną czarnoskórą kobietą. Wyglądała raczej na piosenkarkę albo gwiazdę telewizji niż na pielęgniarkę w szpitalu dla psychicznie chorych. Poprowadziła gości długim korytarzem aż do drzwi zamkniętych na klucz i opatrzonych tabliczką: „Oddział zamknięty. Nieupoważnionym wstęp wzbroniony".

– Ta Sophie… mamy z nią mnóstwo kłopotów – powiedziała, wciskając na specjalnym panelu czterocyfrowy kod umożliwiający otwarcie drzwi. – W jednej chwili jest słodka i spokojna, a po kilku sekundach jakby coś w nią wstąpiło i próbuje ugryźć mnie w szyję.

Dżamila uniosła zabandażowaną prawą dłoń.

– Proszę nic nie mówić. Niemal odgryzła mi kciuk.

– Trochę nad nimi zapanowaliśmy – kontynuowała pielęgniarka. – Ale lepiej nie wyprowadzać ich z równowagi. Dopóki ostatecznie się nie przekonamy, co im dolega, musimy robić wszystko, żeby byli spokojni. Zdenerwowanie może wywołać przemijający atak niedokrwienny – dodała po chwili, patrząc przy tym na Jerry'ego, czy zrozumiał, on jednak wiedział, co to takiego.

Przy końcu korytarza siedział na krześle młody posterunkowy, czytając „Daily Mirror". Kiedy do niego podeszli, wstał.

– Wszystko w porządku? – zapytała go Dżamila.

– Od czasu do czasu słyszę jakieś krzyki i wrzaski, pani sierżant – odparł posterunkowy. – Jednak nikt nie próbuje uciec… ani tam wejść.

– Porozmawiamy najpierw z Sophie – postanowiła Dżamila. – Ona interesuje mnie najbardziej. Jej zbrodnia była wykalkulowana z zimną krwią.

Cherry Mwandi poprowadziła policjantów do kolejnych drzwi. Zajrzała do pomieszczenia przez niewielką szybkę i dopiero wtedy otworzyła je kluczem.

Pokój był prawie pusty – stało w nim jedynie łóżko, dwa czerwone plastikowe krzesła i niewielki stolik. Małe okno, umieszczone wysoko pod sufitem, wpuszczało niewiele światła. Jedyną dekorację stanowiła duża fotografia przedstawiająca widok na bezkresny ocean. Jej autorem był David Hockney.

Sophie leżała na łóżku odwrócona twarzą do ściany. Miała na sobie prostą białą koszulę nocną i białe skarpetki. Niebieski pas, przymocowany do ramy łóżka, krępował jej ruchy.

– Sophie, kochanie – odezwała się pielęgniarka, dotykając delikatnie jej ramienia. – Masz gości.

– Idźcie sobie – zareagowała Sophie. Miała piskliwy, świszczący głos, jakby trudno jej było oddychać. – Pozwólcie mi umrzeć w spokoju.

– Sophie, ty nie umierasz. Jesteś zdrowa jak ryba. Przywitaj się z gośćmi, dobrze?

Po długiej chwili dziewczyna się odwróciła. Popatrzyła na Jerry'ego i Dżamilę, jednak bez wątpienia ich nie rozpoznała. Jej twarz była kredowo biała, ale usta miała czerwone, opuchnięte i poranione, jakby bezustannie je gryzła.

Dżamila usiadła na krześle obok łóżka.

– Sophie, pamiętasz nas? Mam na imię Dżamila. A to mój kolega Jerry. Przyszliśmy tutaj, bo chcemy ci pomóc.

– Nie możecie mi pomóc. Nikt mi nie może pomóc. Do jutra rana będę martwa.

– Jak sądzisz, na co jesteś chora?

– Na zapalenie płuc. Złapałam je tutaj, w szpitalu.

– Sophie, wiesz, gdzie się teraz znajdujesz?

– W szpitalu Świętego Jerzego, oczywiście. Dlaczego mówisz do mnie „Sophie”?

– Przepraszam. Jak brzmi twoje prawdziwe imię?

– Warwara. Większość ludzie mówi do mnie Wal.

– A dlaczego znalazłaś się w szpitalu?

– Z powodu grypy. Ale tutaj mi się pogorszyło, zamiast poprawić. Ludzie trafiają do szpitala na leczenie, ale tam, zamiast leczyć, zabija się ich.

Dżamila popatrzyła na Cherry, która stała w nogach łóżka. Pielęgniarka pokręciła głową, dając jej do zrozumienia, że przyczyną zmienionego głosu Sophie nie jest żadna choroba krtani ani płuc.

– Wal, pamiętasz, co zrobiłaś Michaelowi Brentowi?

– Nic mu nie zrobiłam. Nawet go nie dotknęłam. To ona.

– Kiedy mówisz „ona”, to kogo masz na myśli?

– Sophie, a kogo innego? Dlaczego zadajesz mi te wszystkie pytania? Ja umieram. Nie możesz mnie zostawić w spokoju?

Jerry usiadł obok Dżamili.

– A gdzie teraz jest Sophie, Wal? – zapytał.

– Poszła sobie, a jak myślisz?

– Dokąd?

– Donikąd. Ona już nie istnieje.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Że zmarła?

Sophie zmarszczyła czoło i popatrzyła na Jerry’ego, jakby nie była w stanie określić, czy żartuje, jest po prostu głupi, czy może próbuje ją sprowokować.

– Nie. Ona *odeszła*. W jednym ciele nie ma miejsca dla dwóch osób, prawda? Ale teraz ja też odchodzę, pielęgniarki mnie nie karmią, więc do rana będę martwa.

– Nie dostajesz nic do jedzenia? Nie wierzę.

– Nie dostaję tego, czego potrzebuję – powiedziała Sophie i zaczęła kaszleć.

Cherry nalała do szklanki trochę wody. Pomogła dziewczynie usiąść i przysunęła jej szklankę do ust. Sophie wypiła łapczywie kilka łyków, a kolejny wypluła na koszulę.

– Myślę, że Sophie ma na dzisiaj dosyć – stwierdziła pielęgniarka. – Powinniśmy teraz porozmawiać z pozostałymi?

Gdy wyszli na korytarz, Dżamila zapytała:

– Co Sophie miała na myśli, kiedy mówiła, że pielęgniarki nie karmią jej tym, czego potrzebuje?

– Ona chciała jeść właśnie pielęgniarki – odparła Cherry i zamknęła drzwi pokoju Sophie na klucz. – Gdy przychodziły, żeby ją wykąpać albo pomóc jej skorzystać z toalety, namawiała każdą z nich: „Daj mi zjeść kawałek twojego cycka albo uda… przecież możesz żyć bez kawałka cycka…” I tak w kółko.

– Bingo – powiedział Jerry. – To rzuca zupełnie nowe światło na zagadnienie wyżywienia w szpitalu, prawda?

Poszli za Cherry do następnego pomieszczenia. Po drodze Dżamila odezwała się:

– Każe na siebie mówić Warwara… To chyba wystarczający dowód, że ona i mała Mindy nosiły tę samą kurtkę, co? No i są już trzy osoby, które mają ochotę na ludzkie mięso. A nawet coś więcej niż ochotę. One go łakną. Tak jakby głęboko wierzyły, że jeśli się nim nie najedzą, stracą życie.

1. *Antiques Roadshow* (ang). – brytyjski program telewizyjny, w którym znawcy antyków podróżują do różnych rejonów Wielkiej Brytanii, aby oceniać cenne przedmioty przynoszone przez mieszkańców. Program wyemitowano po raz pierwszy 18 lutego 1979 r., dotychczas powstało ponad 700 odcinków (przyp. tłum.). [wróć]

33

Laura również była przypięta pasem ograniczającym jej ruchy, siedziała jednak na fotelu z wysokim oparciem. Drzemała, kiedy Cherry wprowadziła policjantów do pokoju, ale gdy usiedli naprzeciwko niej, otworzyła oczy i popatrzyła na nich podejrzliwie.

– Kim jesteście? – zapytała chropowatym głosem. – Chyba was nie znam. Czego chcecie?

– Ja jestem sierżant Patel, a to jest posterunkowy Pardoe. Może pamiętasz, że rozmawialiśmy już wcześniej na komisariacie? Przyszliśmy zapytać, jak się czujesz.

– A jak mam się czuć przywiązana do krzesła? Jestem chora i niedożywiona. Chcę iść do domu.

– Lauro, w obecnym stanie nie możesz iść do domu. A poza tym zostałaś przecież aresztowana. Wyrzuciłaś dwoje nieszczęsnych dzieci przez okno i oboje nie żyją.

– Ha! Zasługiwały na to. W końcu nadszedł czas, żeby zacząć uczyć dzieci posłuszeństwa wobec starszych.

– Wcześniej powiedziałaś mi, że to nie ty je zabiłaś. Powiedziałaś, że to zrobił twój płaszcz.

– Zabraliście mi go. Czy wyraziłam na to zgodę? Zabraliście mi płaszcz i od tego czasu wszystko mnie boli. Moje plecy, ramiona… czuję się tak, jakby ktoś mi je przetarł papierem ściernym.

– Nadal twierdzisz, że za twój zły uczynek odpowiada płaszcz?

– Już go nie ma. Zabraliście go. A ona odeszła razem z nim. Krzyżyk na drogę. A zawsze udawała taką rozsądną osobę. Co za hipokryzja. Nienawidziła tych bękartów tak samo jak ja. Nie mogła mieć własnych dzieci i dlatego ich tak nienawidziła.

– Lauro, jesteś skłonna przyznać, że to ty zabiłaś te dzieci? – zapytał Jerry. – Zdajesz sobie sprawę, że jeśli się przyznasz, otrzymasz znacznie łagodniejszy wyrok?

– To mój płaszcz. Ale płaszcz był mną. I nią też był, tą głupią krową.

– Czy możemy to uściślić? Chociaż te dzieci zabił płaszcz, płaszcz był tobą, tak? Ty i płaszcz byliście jednością?

– I jeszcze była ona.

Jerry popatrzył na Dżamilę.

– Myślę, że niczego więcej nie osiągniemy.

– Masz rację – zgodziła się Dżamila i oboje wstali.

Zanim jednak zdążyli wyjść, Laura rzuciła za nimi:

– Możecie oglądać ten płaszcz, ile chcecie. Nie znajdziecie jej. Ona już odeszła. I ja też odejdę, zanim się zorientujecie.

– Co chcesz przez to powiedzieć, Lauro? – zapytała Dżamila.

– A jak myślisz? Dusze nie mogą żyć bez ciał. Ale oni nie pozwolą mi na uzyskanie ciała.

– Masz na myśli ciało człowieka?

– Oczywiście. Na co mi ciało owcy? Albo psa? Tej kobiecie, która twierdzi, że jest terapeutką, powiedziałam, że nie potrzebuję żadnej terapii, potrzebuję kogoś do zjedzenia. Wystarczyłoby mi małe dziecko, mimo że nie znoszę dzieci. Jakaś sierotka. Nawet martwy noworodek. Cokolwiek.

Policjanci wyszli, a Cherry Mwandi zamknęła drzwi na klucz.

– Wiedziała pani, że ona chce zjeść dziecko? – zapytała Dżamila.

Pielęgniarka pokręciła głową.

– Nie. Jestem wstrząśnięta. Rozmawiała z nią Katharine Worsey, nasza najlepsza specjalistka od terapii poznawczo-behawioralnej. Może doszła do wniosku, że Laura po prostu z niej drwi? Wielu pacjentów tak postępuje. Udają, że mają ochotę zrobić coś dziwacznego i obrzydliwego, po to tylko, żeby nas zaskoczyć. Mają zaburzenia psychiczne, ale nie brakuje im przy tym sprytu ani poczucia humoru. Pewien facet powiedział mi w zeszłym tygodniu, że kiedy popada w depresję, wrzuca do powłoczki na poduszkę małe kotki i po nich skacze.

– Rzeczywiście, zabawne – mruknęła Dżamila.

– To chore, wiem, ale w tej pracy można się do tego przyzwyczaić. Chodźmy, zaprowadzę was do ostatniego podejrzanego.

Gdy pielęgniarka nie mogła słyszeć jej słów, Dżamila powiedziała do Jerry’ego:

– Szczerze mówiąc, po tych dwóch rozmowach jestem pięćdziesiąt razy bardziej skołowana niż dotąd.

– No to witaj w klubie.

– Niektóre z tych ubrań wydają się jakby opętane przez poprzednich właścicieli; opętane, zakażone albo zatrute, jakkolwiek to nazwiemy. Jednak wygląda na to, że płaszcz Laury został zakażony przez nią samą albo przez inną stronę jej osobowości.

– Jak ojciec Mindy przez swój sweter, a jej matka przez suknię?

– Dokładnie tak. Każdy, kto włoży konkretną część garderoby, czy to własną, czy też noszoną wcześniej przez kogoś innego, natychmiast ujawnia najgorsze strony swojej osobowości.

– No a ten płaszcz, który uciekał ulicą? Co z nim?

– Nie wiem, Jerry. Nawet nie chcę o nim myśleć. Być może miałeś rację, mówiąc, że za zachowanie tego płaszcza moglibyśmy obwinić jakiś wyjątkowo dziwaczny podmuch wiatru i o nim zapomnieć.

Dotarli do ostatnich drzwi na korytarzu i Cherry je otworzyła. W pomieszczeniu było ciemno, ponieważ zaciągnięto zasłony, włączyła więc lampę sufitową.

Jamie leżał na łóżku, ubrany podobnie jak Sophie w szpitalną koszulę nocną i podobnie jak ona przypięty do łóżka niebieskim pasem. W powietrzu unosił się nieprzyjemny zapach – woń nieświeżego oddechu i ryby.

Jamie zdecydowanie bardziej wyglądał na chorego niż Sophie albo Laura. Jego nieogolona twarz była blada i obsypana krostami. Nogi miał chude jak kije od szczotki, a z kolei jego brzuch był tak wydęty, jakby był w ostatnich tygodniach ciąży.

Trzymał w rękach tanią książkę z pozaginanymi kartkami, mimo że w jego pokoju było zbyt ciemno, aby mógł czytać. Kiedy weszli, opuścił książkę na piersi, tak że dało się przeczytać jej tytuł: *Subud. Uświęcona podróż* [1].

– Kolejni lekarze? – zapytał. – Mam ochotę wyłącznie na odrobinę marihuany. Te wszystkie świństwa, którymi mnie faszerujecie, w ogóle na mnie nie działają.

– Dostałeś naltrekson – powiedziała pielęgniarka. – Niestety, niczego więcej ci nie podamy. To bardzo skuteczny opioid, ale musisz poczekać, aż zacznie działać.

– Ja nie mam czasu! Popatrz tylko na mnie. Przecież jestem już jedną nogą na tamtym świecie. Mam raka piersi, ale w ogóle mnie na to nie leczycie! Zaaplikujecie mi w końcu jakąś chemioterapię?

– Nie masz raka piersi, ponieważ nie masz piersi – odparła Cherry Mwandi. – Zostałeś kompleksowo przebadany w szpitalu Świętego Jerzego i na pewno nie masz żadnego raka. Jesteś uzależniony od heroiny, niedożywiony, a na plecach i ramionach masz rany po usunięciu płaszcza, ale poza tym absolutnie nic ci nie dolega.

– Jesteście lekarzami? – Jamie popatrzył na Jerry'ego i Dżamilę. – Powiedzcie jej, że nie ma racji. Dlaczego ona twierdzi, że ja nie mam piersi? I proszę was, proszę, proszę, proszę, podajcie mi chociaż jeden malutki zastrzyk morfiny. Nie mówcie mi, że nie macie w szpitalu hery albo morfiny. Mam wrażenie, że od wewnątrz trawi mnie ogień, a przecież cały się trzęsę jak na mrozie i nie jestem w stanie trzymać pokarmu w żołądku.

– Niestety, przyjacielu, nie jesteśmy lekarzami – powiedział Jerry. – Jesteśmy funkcjonariuszami policji i przyszliśmy z tobą porozmawiać o twojej błazenadzie w centrum Tooting.

– Gliniarze? Cholera jasna.

Usiedli obok łóżka.

– Po pierwsze, powiedz nam, jak się nazywasz – zażądał Jerry.

– Powiem, jeżeli dostanę trochę marychy.

– Nie, stary, to tak nie działa. Najpierw odpowiesz na nasze pytania, a potem się zastanowimy nad wszystkim innym.

– Przecież ja cierpię. Nawet nie potrafię opisać, jak bardzo cierpię. I mam sraczkę.

– A więc im szybciej odpowiesz na pytania, tym będzie lepiej dla wszystkich – zauważyła Dżamila. – Powiedz nam, jak się nazywasz i gdzie mieszkasz. Rozesłaliśmy po kraju twoją fotografię, ale na razie nie zgłosił się nikt, kto by cię znał, i nikt też nie zgłosił twojego zaginięcia.

– Jestem… – zaczął Jamie, jednak zaraz urwał i zamknął oczy na dziesięć sekund. Jerry i Dżamila czekali cierpliwie, aż otworzy je znowu, ale kiedy to się stało, powiedział tylko: – Nie jestem pewien. Muszę być nią. Jestem nią, prawda?

– A kim jest ona? – zapytała Dżamila. – I jak się nazywa?

– Ona jest mną. Musi być mną, ponieważ ja mam guza i ona ma guza.

– Nie masz żadnego guza, stary – powiedział Jerry. – I wcale nie widzę w tobie kobiety. Wyglądasz po prostu na nieogoloną męską łajzę. Podrap się po policzku, jeżeli mi nie wierzysz. Znasz jakieś kobiety, które wyglądają jak książę Harry?

Jamie popatrzył na niego niemal w panice.

– Ale ja przecież wiem, jak się nazywam. Wiem, gdzie mieszkam. Jestem Rachel Beveridge, mieszkam przy Fontenoy Road pod numerem czterdzieści trzy. Mój partner ma na imię Paul, Paul Johnson. – Urwał na moment, pomacał swój zarost i zmarszczył czoło. – A wy twierdzicie, że nią nie jestem. Naprawdę? To kim jestem według was? – Przyłożył z kolei dłoń do piersi. – Nie jestem Rachel? I nie mam raka piersi?

– Nie, stary, nie jesteś żadną Rachel – zapewnił go Jerry. – Zasadnicze pytanie więc brzmi: kim jesteś?

– Ja… ja zapomniałem. Jestem pełen Rachel. Pamiętam nawet, gdzie chodziłem do szkoły. Gdzie ona chodziła do szkoły. To było w Burntwood.

– Może jednak się uspokoisz i pozwolisz, żeby na powierzchnię wypłynęło twoje prawdziwe ja? – zapytała Dżamila. – Im więcej myślisz o Rachel, tym mocniej tłumisz w sobie własną osobowość.

Jamie opuścił głowę na poduszkę i wbił spojrzenie w sufit. Dłonie miał tak mocno zaciśnięte, że zbielały mu knykcie; wszystkie mięśnie miał napięte.

Jerry sięgnął po książkę, którą czytał Jamie, i przez chwilę ją kartkował.

– Subud? To jakiś szurnięty wschodni kult, co? Popatrz, co tutaj piszą: „Życie jest czymś więcej niż molekularnym przypadkiem”. Ani mi się śni z tym zgodzić. Każdy dzień jest jednym wielkim cholernym przypadkiem molekularnym, od momentu, w którym się budzisz, do momentu, w którym znów kładziesz się spać.

– James Mullins – powiedział nagle Jamie.

Jego głos był teraz grubszy, jednak tak cichy, że z trudem go usłyszeli.

– Tak się nazywasz? James Mullins?

Jamie pokiwał głową.

– „Jamie” to zdrobnienie, tak zwracali się do mnie kumple. Kiedy jeszcze miałem kumpli.

– Gdzie mieszkasz, Jamie?

– Jestem facetem „bez stałego miejsca zamieszkania”, tak to chyba oficjalnie określacie.

– A rodzina? Masz matkę i ojca? Gdzie mieszkają?

– W Worthing. Tam mieszkają tylko starzy ludzie. Ale oni wiele lat temu się mnie wyrzekli. Wydaje mi się, że już nie żyją.

– Masz siostry albo braci?

– Mam siostrę. Starszą siostrę, Mary. Mieszka teraz w Szwecji z jakimś grubym Szwedem, ale ona nigdy mnie nie lubiła.

– Skąd wziąłeś ten szary płaszcz, Jamie?

– Znalazłem go, leżał w alejce, tuż przy drzwiach do biblioteki. Było kurewsko zimno i pomyślałem, że oto przytrafił mi się prezent świąteczny.

– Najprawdopodobniej nie wniesiemy przeciwko tobie żadnych oskarżeń, Jamie – powiedziała Dżamila. – Będziesz jednak musiał pozostać tutaj dopóty, dopóki nie będzie cię można uznać za zdrowego. Tymczasem przyjdzie do ciebie pracownik opieki społecznej. Spróbuje znaleźć ci jakąś pracę i miejsce do mieszkania. Musisz jednak się odtruć i zapomnieć o narkotykach.

– To już nie ma żadnego znaczenia – mruknął Jamie. – My umieramy.

– Kogo masz na myśli, mówiąc „my”?

– Siebie i Rachel oczywiście. Wiem, czego jej potrzeba, ale jestem zbyt chory, żeby to jeść. Nie jestem w stanie zjeść nawet herbatnika, żeby go nie wyrzygać. Rachel jest o to na mnie zła, jednak wie, że nic nie może poradzić.

– A czego jej potrzeba?

Jamie odwrócił głowę, a gdy odpowiadał, jego głos znów był trochę wyższy, jak na początku przesłuchania.

– Nie powiem wam. Gdybym wam powiedziała, uznalibyście mnie za potwora. Ale ja już się poddałam… umieram.

– Rachel? – odezwała się Dżamila.

– Nie mam nic do powiedzenia. Umarłam już kiedyś; to było gorsze, niż jesteście w stanie sobie wyobrazić. Myślicie, że istnieje piekło? Poczekajcie, aż umrzecie. Zrobicie wtedy wszystko, żeby wrócić do świata żywych. Dosłownie wszystko.

– Rachel…

– Nie mam już ochoty z wami rozmawiać. Jeżeli nie możecie dać mu narkotyków, których potrzebuje, nie wracajcie tu więcej. Zabijecie mnie, tak samo jak zabijacie jego. Odejdziemy za dzień lub dwa. Ale nie

przychodźcie na jego pogrzeb. Na *nasz* pogrzeb. Nie będziecie mile widziani.

Po tych słowach Jamie znów zamknął oczy i leżał z rękami skrzyżowanymi na piersiach, niczym posąg złożonego do grobu męczennika.

Odczekali minutę, ale było oczywiste, że Rachel nie będzie już chciała z nimi rozmawiać i nie pozwoli na to Jamiemu. Zostawili go więc samego i poszli za pielęgniarką do pomieszczeń pobytu dziennego. Była tam doktor Stewart; rozmawiała z jednym ze szpitalnych terapeutów.

– No i co?

– Wszyscy troje twierdzą, że pozostało im już niewiele życia – stwierdziła Dżamila.

– Powtarzają to bez przerwy. Dziwne, prawda? Na pewno nie są w najlepszym stanie fizycznym, jednak żadne z nich nie jest chore, a już na pewno nie śmiertelnie. Uzyskaliście interesujące was informacje?

– Owszem, częściowo.

– I co państwo sądzicie o ich stanie psychicznym? Jak to wygląda w porównaniu z innymi przestępcami?

– Na razie wolimy nie dokonywać żadnych ocen. Zarejestrowaliśmy każde słowo, ale musimy wszystko dokładnie przeanalizować. Prześlę pani raport.

Wyszli ze szpitala i skierowali się do samochodu. Nisko nad ich głowami zagrzmiał samolot pasażerski schodzący do lądowania na Heathrow.

– Udzieliłaś doskonale wymijającej odpowiedzi – zauważył Jerry, kiedy ustał hałas.

– Wiem. Ale nie tylko dlatego, że musimy utrzymywać wszystko w tajemnicy. Po tych przesłuchaniach mam chyba w głowie większy mętlik niż oni. Zastanawiam się, z kim ja właściwie rozmawiam. Z Sophie czy z Warwarą, z Laurą czy z jej alter ego, z Jamiem czy z Rachel? A przecież musimy jeszcze przesłuchać Mindy, a ona również twierdzi, że jest Warwarą.

– Życie – powiedział Jerry, włączając się do ruchu na Glenburnie Road. – Molekularny przypadek. Szczególny molekularny przypadek.

1. Subud – ponadreligijna organizacja non profit. Zrzesza ludzi o różnych poglądach i zainteresowaniach. Jej założycielem był sufi z Jawy, Bapak Muhammed Subuha. W 1925 roku doznał iluminacji, którą uznał za dar od Boga, i zaczął przekazywać innym ludziom. W 1957 roku Subud trafił do Ameryki i Europy, obecnie działa w około 60 krajach na świecie (przyp tłum.). [wróć]

34

W drodze na komisariat Dżamila otrzymała esemesa od doktora Fullera z informacją, że zdołał zdjąć z Mindy kurtkę i że poszło to znacznie lepiej, niż się spodziewał. Dziewczynka miała spędzić noc w szpitalu na Oddziale Intensywnej Opieki Medycznej, a nad ranem planował odesłać ją do Springfield na badania psychiatryczne i dalsze leczenie.

– Jutro powinienem mieć dzień wolny – powiedział Jerry. – Ale jeśli chcesz, przyjadę do Springfield i przesłuchamy ją razem. Alice mam zabrać dopiero o szóstej po południu.

– Jeszcze nie wiem, czy ona w ogóle będzie w stanie z nami rozmawiać. Alice zostanie u ciebie na noc?

– Tak, zwykle zostaje. Chyba nie będziemy robić nic szczególnego. Pójdziemy do Nando na burgera z fasolą i wrócimy do mnie, żeby po raz sto jedenasty obejrzeć *Krainę lodu*.

– Ile ona ma lat? To jest chyba dla ciebie trudne, widywać ją tylko od czasu do czasu.

– W czerwcu skończyła siedem. Masz rację, to dla mnie bardzo trudne. Strasznie za nią tęsknię. Za każdym razem, kiedy ją widzę, wydaje mi się, że urosła. Jednak nie było szansy, żeby mój związek z jej matką trwał nadal. Jesteśmy do siebie zbyt podobni, w tym tkwił problem. Wiesz, jak jest z magnesami?

Skręcili na parking policyjny. Nie wysiedli od razu z samochodu, ale siedzieli w milczeniu obok siebie, jakby potrzebowali chwili spokoju na przemyślenia – nie tylko na temat śledztwa, ale również swoich prywatnych spraw.

– Pójdę już. Muszę napisać raport – powiedziała Dżamila. – Saunders powinien się dowiedzieć, w jakim stanie są podejrzani. W tym momencie nie możemy nawet myśleć o postawieniu ich przed sądem. Moim zdaniem czeka ich długie leczenie psychiatryczne.

– Jeżeli przeżyją.

– Uważasz, że naprawdę wkrótce umrą? Ja sądzę, że to jakieś urojenia.

– Sam nie wiem. Jedno jest pewne: cała ta sprawa rozwija się tak, że wkrótce uznam szpital psychiatryczny za najlepsze miejsce także dla mnie.

– Poszperam w Internecie. Przecież podobne przypadki musiały się już zdarzać w przeszłości. Może niekoniecznie u nas, ale w innych krajach.

– To możliwe, choć z drugiej strony raczej byśmy o nich słyszeli, prawda?

– Nie wiem. Może nikt nie potraktował ich poważnie, bo były po prostu niewiarygodne?

– Czego więc chcesz szukać? „Płaszcze, które sprawiają, że uważasz się za kogoś innego”? „Kurtki, które namawiają, by jeść innych ludzi”? A może wpiszesz hasło: „Swetry, które pełzają po domu i łapią ludzi za nogi”?

– Jerry, do niczego nie dojdziemy, jeżeli będziemy sobie stroić żarty.

– A czy ja wyglądam na żartownisia? Jeszcze przy żadnej sprawie nie miałem takiego pietra jak przy tej. A wiesz, co w niej jest najgorsze? Mamy mnóstwo dowodów, wszyscy podejrzani przyznali się do popełnienia morderstw, a jednak w ich zeznaniach nie ma żadnego sensu.

Dżamila położyła dłoń na dłoni Jerry’ego.

– Nie popadaj we frustrację. Wszystko na tym świecie ma sens. Tyle że nie zawsze potrafimy go zrozumieć.

Popatrzył na nią. Zobaczył w jej oczach coś, co z jednej strony trochę go uspokoiło, a z drugiej sprawiło, że nagle poczuł się bardzo samotny. Zdał sobie sprawę, co właśnie dała mu do zrozumienia Dżamila: że ich wzajemne relacje nigdy nie wyjdą poza obowiązki służbowe, i to wcale nie z powodu ich pochodzenia etnicznego i wychowania w odmiennych religiach. Dżamila zawsze będzie panią detektyw sierżant Patel, a on detektywem posterunkowym Pardoe.

– Chodź – powiedziała z uśmiechem. – Mamy zamęt w głowach, zrobimy więc trochę zamętu Smileyowi.

35

Philip musiał przebiec przez cały peron, żeby wskoczyć do ostatniego pociągu z Victorii do Streatham Common, i kiedy pociąg zatrzymywał się na Clapham Junction, wciąż starał się wyrównać oddech.

Oprócz dziewczyny z dredami, która siedziała za nim i przez całą podróż rozmawiała przez telefon komórkowy, w jego części wagonu nikogo nie było. Widział swoją twarz w ciemnym oknie i pomyślał, że wygląda przynajmniej na czterdziestolatka, a przecież miał zaledwie dwadzieścia osiem lat. Ostatnio zaczęły mu rzednąć włosy, ale złożył to na karb stresu, w którym żył bezustannie, odkąd podjął nową pracę.

Kiedy wysiadł, na stacji Streatham Common było pusto i nie musiał pokazywać biletu. Brakowało dziewięciu minut do północy, siąpił nieprzyjemny drobny deszcz, w którym światła uliczne wyglądały jak dmuchawce.

Wysoko postawił kołnierz kurtki i ruszył w kierunku Greyhound Lane. Do mieszkania miał zaledwie pięć minut spacerem, był jednak tak zmęczony, że nie zważając na deszcz, chętnie położyłby się spać w którymś z mijanych po drodze przydomowych ogrodów. Minęło ledwie pięć miesięcy od dnia, w którym zaczął pracować w Ensurex International jako reward manager, menedżer do spraw emerytur i rent, jednak w tym czasie jego korporacja przejęła dwie inne firmy ubezpieczeniowe, co oznaczało, że spadła na niego większa odpowiedzialność za rozstrzyganie problemów związanych z setkami sprzecznych żądań o emerytury, renty oraz inne świadczenia.

Philip uwielbiał liczby. Mógłby się nimi zajmować całymi dniami. A tymczasem musiał prowadzić bezustanne wojny ze znerwicowanymi menedżerami oraz upierdliwymi, wiecznie niezadowolonymi pracownikami, a to strasznie go zniechęcało i męczyło. Firma Ensurex International płaciła dobrze, jednak zaczynał się zastanawiać, czy jego wynagrodzenie jest warte takich nerwów.

Przeszedł na tę stronę ulicy, po której stał rząd domów z frontami skierowanymi na południową stronę ciemnych i pustych o tej porze błoni, oddzielonych od ulicy jedynie rzędem rzadko rosnących drzew. Jego mieszkanie znajdowało się w przebudowanym edwardiańskim budynku na rogu Braxtend Road, z betonowym podwórzem zamiast ogrodu i mnóstwem zielonych koszy na śmieci pod murami zamiast trawników. Dwoje młodych ludzi, którzy mieszkali bezpośrednio nad Philipem, bezustannie paliło papierosy, kłóciło się i całymi nocami słuchało głośno rapu. Już od wielu miesięcy miał ochotę się wyprowadzić, jednak brakowało mu czasu i energii, żeby znaleźć sobie jakieś nowe, przytulne gniazdko.

Był zaledwie trzydzieści metrów od drzwi swojej klatki schodowej, kiedy dostrzegł w półmroku błoni sześć albo siedem postaci, ustawionych mniej więcej w kole. Zatrzymał się i popatrzył na nie, osłaniając dłonią oczy przed ostrym światłem latarni. Postacie znajdowały się zbyt daleko, aby mógł je wyraźnie widzieć, odniósł jednak wrażenie, że wszystkie mają na głowach kaptury i lekko się kołyszą, jakby wykonywały jakiś rytualny taniec.

Wiedział, że w takich sytuacjach lepiej nie wykazywać zbytniego zainteresowania obcymi, czytał jednak ostatnio w „Streatham Guardian” o lokalnej społeczności druidów, którzy próbowali odnaleźć ślady hipotetycznych prehistorycznych linii przebiegających przez tę część południowego Londynu. Linie te rzekomo łączyły różne miejsca o właściwościach nadprzyrodzonych – jak na przykład neolityczne pozostałości na wzgórzu w Crystal Palace ze świętą studnią w Waddon. Zagadnienie interesowało Philipa, ponieważ sam znalazł już sposób na wytyczenie ich na mapie za pomocą analizy kształtów, dziedziny geometrii cyfrowej często wykorzystywanej przez archeologów do odszukiwania zagrzebanych w ziemi ruin dawnych obiektów.

Uważał, że to trochę głupie zajęcie dla kogoś takiego jak on, jednak po prostu uwielbiał rozwiązywać problemy za pomocą liczb, i to już od najmłodszych lat.

Mroczne sylwetki w kapturach przywodziły na myśl druidów. Być może rzeczywiście przez błonia przebiegała jedna z tych linii. W końcu Streatham nie na darmo nazywano czasami *street-ham* [1], być może nazwa pochodziła

od rzymskiej drogi, która biegła tędy dawno temu – powszechnie się mówiło, że Rzymianie budowali swoje trakty w miejscu mitycznych szlaków wytyczonych już dawno przed nimi przez starożytnych Brytów.

Philip przeszedł przez jezdnię i powoli idąc po mokrej trawie, zbliżył się do postaci. Kołysały się w całkowitym milczeniu, a ich osłonięte kapturami twarze kryły się w kompletnej ciemności, nie mógł więc ich zobaczyć.

Gdy stanął w odległości kilku kroków od nich, najbliższe trzy zakapturzone głowy nagle odwróciły się w jego kierunku, jednak wciąż nie widział twarzy. Odniósł dziwne wrażenie, że ich po prostu nie mają.

– Ja… mam… mam nadzieję, że w niczym nie przeszkadzam! – wypalił. – Zobaczyłem was i przyszło mi do głowy, że jesteście druidami. Wiecie, tymi, którzy szukają magicznych linii. Sam się nimi bardzo interesuję. Tymi liniami.

Teraz już wszystkie głowy skierowały się w jego stronę. A on stał w miejscu, zaniepokojony, że być może przerwał jakąś ceremonię rodzinną o osobistym charakterze, na przykład nabożeństwo ku czci zmarłego dziecka, albo może obrządek którejś z alternatywnych religii. Postacie jednak wciąż milczały, tyle że zaczęły się kołysać w trochę inny sposób, co Philipa zaniepokoiło, chociaż nie potrafiłby powiedzieć dlaczego.

– Posłuchajcie, przepraszam was – powiedział. – Nie chciałem przeszkadzać. Po prostu czytałem niedawno o druidach i magicznych liniach, które rzekomo biegną przez tę okolicę. Przepraszam, przepraszam, już sobie idę.

Zaczął się cofać w kierunku drogi. Ale przeszedł zaledwie kilka metrów, gdy usłyszał za plecami jakieś trzaski, przypominające odgłos trzepania dywanu na trzepaku. Chciał się odwrócić, żeby zobaczyć, co jest ich źródłem, lecz nie zdążył, gdyż jedna z postaci skoczyła mu na ramiona i przydusiła go twarzą do trawy.

Na kilka sekund zabrakło mu oddechu, nie był w stanie wydusić z siebie ani słowa. Wreszcie spróbował podnieść głowę, jednak otrzymał tak mocny cios w lewe ucho, że pękł mu bębenek. Spróbował odwrócić się na plecy i strącić z siebie napastnika, jednak natychmiast pojawiło się przy nim kolejnych dwóch. Owinęli rękawami jego ramiona, krępując go tak mocno, że nie mógł się ruszyć. Kolejni dwaj unieruchomili mu nogi.

Odniósł wrażenie, że został skrępowany kaftanem bezpieczeństwa. Im gwałtowniej próbował się uwolnić, tym ciaśniejsze stawały się więzy.

W pewnej chwili stały się tak ciasne, że utrudniały krążenie krwi. Chciał wołać o pomoc, jednak postać, która rzuciła się na niego jako pierwsza, przyciskała go do ziemi tak mocno, że nie mógł zaczerpnąć powietrza. Była dziwnie ciężka i Philip się obawiał, że od tego ciężaru pęknie mu kręgosłup. Mógł jedynie wydawać nieartykułowane dźwięki.

Z kolei postać, która przytrzymywała jego prawe ramię, zaczęła wykręcać je w stawie. Poczuł tak przenikliwy ból, że łzy napłynęły mu do oczu, nieuszkodzonym uchem usłyszał, jak pękają ścięgna.

Przestańcie, przestańcie, przestańcie, na Boga, to boli, przestańcie – zaczął błagać w myślach, lecz napastnik nie tylko nie przestał, ale coraz gwałtowniej poruszał jego ręką, aż wreszcie wyrwał ją ze stawu, drąc przy tym rękawy kurtki i koszuli. Po kolejnym szarpnięciu pękła skóra i popłynęła krew.

Ból zamroczył Philipa. Przed oczami miał jedynie szkarłatną mgłę, ale po chwili zastąpiła ją ciemność i zemdlał.

Napastnik nadal szarpał jego ramię, aż oderwał je od tułowia i odrzucił daleko na mokrą trawę.

Ale inni na tym nie poprzestali. Po chwili ciało zostało pozbawione lewej ręki, a potem obu nóg. Po dwudziestu minutach siedem postaci wreszcie zaspokoiło chęć mordu. Wszystko odbywało się w ciszy, zakłócanej tylko trzaskiem rozdzieranych ubrań, pękających mięśni, ścięgien i kości oraz cichym pomrukiem przejeżdżających samochodów, docierającym z odległej Streatham High Road.

Gdy oprawcy pastwili się nad nogami Philipa, doszło do wstrząsu z upływu krwi i nastąpił zgon. Jego śmierć nie powstrzymała jednak tajemniczych postaci przed dalszym znęcaniem się nad szczątkami. Odwróciły Philipa na plecy i z absolutną obojętnością deptały po brzuchu, darły skórę, rozrywały ścięgna i mięśnie. Otworzywszy brzuch nieszczęśnika, wywlekły na wierzch wnętrzności. Nie odrzucały ich smród, krew ani przelewające się fekalia. Brały do rąk jelita, przytrzymując je, jakby to były dawno zagubione i szczęśliwie odzyskane dzieci. Podawały je sobie nawzajem i podsuwały pod kaptury, wykonując ruchy, jakby je całowały.

Później jeszcze niemal przez godzinę postacie siedziały na trawie, w padającym deszczu, wśród szczątków brutalnie zamordowanego człowieka. Ich głowy były opuszczone jak głowy pielgrzymów, którzy

wreszcie odnaleźli upragniony spokój po latach daremnego poszukiwania. W końcu jedna po drugiej podniosły się i w ciszy ruszyły ku północnej stronie błoni, gdzie drzewa rosły znacznie gęściej. Wkrótce wszystkie zniknęły w ciemności.

1. *Street* (ang.) – ulica (przyp. tłum.). [wróć]

36

Dżamila szła korytarzem do pokoju detektywów, w jednej ręce trzymając kubek z café latte, a w drugiej płaszcz przeciwdeszczowy. Nagle w drzwiach swojego gabinetu stanął inspektor Saunders i zawołał ją do siebie.

– Nie odebrałaś mojego esemesa? – zapytał.

– Przepraszam, ale nie. Nie naładowałam w nocy telefonu i bateria padła.

– Dzwoniłem też na telefon domowy, jednak twoja koleżanka powiedziała mi, że wcześnie wyszłaś.

– Rzeczywiście. Musiałam przed pracą zrobić zakupy. Nigdy nie mam na to czasu.

– Słuchałaś porannych wiadomości?

– Nie. A co się stało?

– Dzisiaj rano na błoniach w Streatham znaleziono zwłoki młodego człowieka. A właściwie to, co zostało z jego ciała. Został dosłownie porozrywany na strzępy. Ktoś oderwał mu obie ręce i nogi: oderwał, nie odciął. Jeden Bóg wie, jak to się stało. Poza tym został wypatroszony, a jego narządy wewnętrzne porozrzucano po trawie. Wątrobę, płuca, serce i tak dalej. Szczątki znalazł facet, który spacerował z psem. Powiedział, że musiał bardzo się starać, żeby jego bokser nie urządził sobie uczty z ludzkich zwłok.

– Potworne. Wiemy, kim jest ofiara?

Saunders wrócił za biurko i wziął do ręki notes.

– Niejaki Philip Wakefield, lat dwadzieścia osiem. Samotny, niepozostający w żadnym związku. Był menedżerem do spraw emerytur i rent w Ensurex International. To duża korporacja ubezpieczeniowa, która ma siedzibę w budynku Walkie Talkie. Policja londyńska skontaktowała się już z szefami chłopaka, żeby się zorientować, czy miał jakieś problemy w pracy, wrogów, którzy mu grozili, i tak dalej.

– Kto prowadzi tę sprawę?

– Inspektor French razem z sierżantem Willoughbym i posterunkowym Brightem. Możliwe jednak, że włączymy do niej również ciebie i Jerry’ego.

– Szczerze mówiąc, sir, chyba oboje mamy na razie dosyć roboty. Przeczytał pan mój raport ze Springfield?

– Tylko przejrzałem. Dopiero dzisiaj mam zamiar przeczytać go dokładnie. Tymczasem widzę poważny powód, dla którego ty i Pardoe powinniście zająć się sprawą ze Streatham, chociaż przysięgam, że chciałbym się mylić. Otóż French poinformował mnie, że w czasie pierwszej pobieżnej lustracji terenu zbrodni znaleziono płaszcz.

Saunders umilkł i popatrzył na Dżamilę z wahaniem, jakby nie miał ochoty zdradzać dalszych szczegółów. Wyraz twarzy inspektora podpowiedział jej, że ostatnie śledztwo stanowi dla niego większą udrękę, niż jest gotów przyznać.

– Płaszcz? – powtórzyła ze zdumieniem w głosie.

– Dokładnie czarną budrysówkę. Leżała porozdzierana w krzakach głogu w północnej części błoni, między drzewami. Materiał płaszcza, szczególnie rękawy, jest przesiąknięty krwią, fekaliami. Są na nim skrawki ludzkiej skóry, ścięgien oraz tkanki łącznej. Fragmenty tkanek narządów wewnętrznych i zakrzepła krew znajdują się również wewnątrz kaptura.

– A więc płaszcz prawdopodobnie miał kontakt ze szczątkami ofiary już po jej śmierci – zauważyła Dżamila. – Może ktoś próbował nim przykryć zamordowanego?

– Być może. Miejmy taką nadzieję chociaż przez chwilę. Ale chyba wiesz, o czym teraz myślę, i jestem przekonany, że ty myślisz o tym samym. Ziemia była mokra po deszczu, zresztą wszystko się działo na terenie trawiastym i z natury wilgotnym. Dlatego powinno się tam znajdować mnóstwo śladów stóp, najwięcej w pobliżu szczątków. Nie da się rozerwać człowieka na strzępy, nie pozostawiając po sobie śladów. A jednak do tej pory technicy znaleźli tylko ślady należące do ofiary. Oraz do faceta, który wyprowadzał psa.

Dżamila milczała, ale jej umysł wirował jak karuzela. Słowa Saundersa sugerowały, że Philipa Wakefielda zaatakował wielki orzeł albo smok – w każdym razie stwór, który nadleciał z chmur i rozerwał go, ani przez chwilę nie dotykając ziemi. Ale na świecie nie istnieją istoty latające, które zdołałyby wyrwać człowiekowi ręce i nogi.

Bo przecież wszystko działo się w prawdziwym, realnym życiu, a nie w jakiejś *Grze o tron*, a wielkie orły i smoki w tym życiu nie istnieją. Więc do kogo należał płaszcz i dlaczego właściciel zostawił go w krzakach? Przecież musiał wiedzieć, że znajdują się na nim ślady zbrodni, które go obciążą.

To nie miałoby znaczenia, gdyby sprawca zbrodni fizycznie nie istniał – a przynajmniej gdyby nie był nim człowiek. Wyobraźnia podsunęła Dżamili obrazy czarnego płaszcza uciekającego ulicą z domu Mindy. Płaszcza, który poruszał się bez człowieka. A może tego morderstwa w Streatham dokonał ktoś niewidzialny albo duch, w każdym razie ktoś, kto nie zostawiał po sobie odcisków stóp?

Inspektor Saunders miał rację. Dżamila myślała o tym samym co on, o morderczych ubraniach. Nie miała wątpliwości, że zabójstwo Philipa Wakefielda było o wiele bardziej okrutne od morderstw popełnionych przez Sophie Marshall, Davida Nelsona, Laurę Miller i Mindy. Niemniej jednak, jak w każdej z tych spraw, powtarzał się jeden dowód poszlakowy. Było to ubranie – w tym przypadku kolejny płaszcz.

– Zakładam, że nie było naocznych świadków.

– Nie, nikt nie widział samego morderstwa. Musiało się wydarzyć krótko po północy, ponieważ Philip Wakefield wysiadł z ostatniego pociągu, który przyjechał z dworca Victoria w Londynie. Noc była bezksiężycowa i padał deszcz. Oczywiście, detektyw inspektor French rozesłał ludzi, którzy teraz pukają do każdego domu po obu stronach błoni, no i zamieścił w mediach społecznościowych standardowy apel o zgłaszanie się świadków. Tymczasem szczątki ofiary zostały już przewiezione do kostnicy, a płaszcz pojechał na Lambeth Road.

– Zatelefonuję do Jerry’ego, niech przyjdzie, jak tylko będzie mógł. A później, cóż, poczekam cierpliwie na telefon od inspektora Frencha. Zadzwoni, jeżeli będzie nas potrzebował. Dzisiaj po południu chciałam przesłuchać tę dziewczynkę, Mindy. Jeśli będę miała trochę szczęścia, podpowie mi, dlaczego te ubrania sprawiają, że ludzie wpadają w psychozę.

– Mam nadzieję, że nie muszę ci przypominać o szlabanie na wszelkie informacje na temat tych ubrań. Nie wolno ci z nikim rozmawiać o naszych podejrzeniach. Oczywiście poza Jerrym.

– Szczerze mówiąc, sir, nawet nie wiedziałabym, w jaki sposób rozpocząć taką rozmowę. Jeżeli płaszcz zostawił morderca, szukamy

mordercy. Ale jeśli mordercą jest płaszcz? W zasadzie już go aresztowaliśmy.

Saunders nic nie powiedział, tylko odprowadził ją do drzwi i zamknął je zmęczonym ruchem człowieka, który musi chociaż na chwilę zostać sam.

Jerry usłyszał informację o Philipie Wakefieldzie z radia LBC, jedząc w wannie batonik śniadaniowy z płatkami owsianymi i miodem. Radio podało jedynie, że na błoniach Streatham znaleziono zwłoki mężczyzny i że opinia publiczna pozna jego nazwisko dopiero wtedy, gdy informacja o zgonie zostanie przekazana najbliższej rodzinie. Policja zaapelowała o zgłaszanie się potencjalnych świadków i chociaż prawdopodobnie doszło do przestępstwa, nie dotarła jeszcze do nikogo, komu można by postawić zarzuty. Nieznany był też motyw zbrodni. Nie pewno nie był nim rabunek, gdyż przy zwłokach znaleziono portfel, telefon komórkowy i zegarek marki Raymond Weil wart co najmniej tysiąc funtów.

– Powinni raczej powiedzieć „pomiędzy fragmentami zwłok” – stwierdziła Dżamila przez telefon. – Szczątki tego człowieka były porozrzucane na obszarze dwudziestu metrów kwadratowych.

– Cholera jasna. Mam przyjechać?

– Na razie nie, Jerry. Ani ja, ani ty nic nie zrobimy, dopóki inspektor French nie dokończy rozmów z mieszkańcami okolicznych domów, a doktor Fuller nie przeprowadzi sekcji zwłok. Potrzebujemy też z Lambeth Road wyników badań laboratoryjnych płaszcza.

– Rozumiem. Zadzwoń jednak do mnie, jeżeli coś się zmieni i będziesz mnie potrzebowała. Moim jedynym obowiązkiem jest dzisiaj wizyta w pralni. Masz jakieś świeże wiadomości o Mindy?

– Nie, jeszcze nie. Byłabym zdziwiona, gdyby się okazało, że można ją przesłuchać już dzisiaj.

– Powiem ci coś, pani sierżant, te problemy z płaszczami mocno przekroczyły granice mojej wyobraźni. Wystarczająco dziwne było to, że zamieniły uczciwych obywateli w maniakalnych morderców, ale teraz, gdy same zaczęły krążyć po okolicy i…

– Jerry, przecież nie wiemy, czy ta budrysówka chodziła po błoniach bez udziału człowieka.

– Ale to ty powiedziałaś, że w jej kapturze znaleziono fragmenty jego narządów wewnętrznych i krew. Pomyśl tylko… w kapturze. Jak się tam

dostały? Jeżeli ktoś miał ten kaptur na głowie, to wszystko trysnęłoby mu na twarz, prawda?

– Jest za wcześnie na jakiekolwiek wnioski, Jerry. Musimy poczekać na wyniki badań laboratoryjnych. Posłuchaj, zadzwonię do ciebie później, jeżeli będziesz mi potrzebny. Na razie niczym się nie przejmuj, dam sobie radę. Ciesz się spotkaniem z Alice.

Dżamila przerwała połączenie. Całe to śledztwo było coraz bardziej surrealistyczne. Zaczynała odnosić wrażenie, że po prostu zasnęła, a ukochana babcia opowiada jej teraz jedną ze swoich historyjek o dżinnach i *bhoot*, duchach, które nawiedzają domy. A ona nie może się ze swojego snu wybudzić.

Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że bardzo niewiele osób w Wielkiej Brytanii traktuje zjawiska nadprzyrodzone tak poważnie jak mieszkańcy Pakistanu, jednak wychowano ją w wierze, że złe duchy naprawdę istnieją, i była to wiara, której nie potrafiła odrzucić. Nawet współcześnie zawsze odmawiała przed snem odpowiedni fragment z Koranu i zawsze sypiała na prawym boku, żeby odpędzać demony, które mogłyby ją prześladować w ciemnościach.

Gdy jadała posiłki razem z Jerrym, zauważyła, że kiedy spada mu na stół ziarnko soli, za każdym razem podnosi je i rzuca za siebie wysoko nad lewym ramieniem. Z pewnością był to jakiś zabobon, który dowodził, że praktycznie każdy człowiek do pewnego stopnia wierzy w siły nadprzyrodzone. Jednak to, co się działo z ubraniami związanymi ze śledztwem, musiała traktować znacznie poważniej, a zbrodni nie wiązać z przesądami. Od chwili, w której zobaczyła, jak sweter Davida Nelsona sunie po podłodze niczym pająk, nabrała przekonania, że są one w jakiś sposób nawiedzone, i właśnie dlatego nie zawahała się przed ściganiem płaszcza po ulicy. Ubrania, które rozpierzchły się po domu, opuściwszy garderobę rodziców Mindy, jeszcze utwierdziły ją w tym przekonaniu.

Włączyła komputer i spróbowała znaleźć w Internecie informacje o ożywających ubraniach. Dotarła do kilku historii ludzi, którzy bali się wkładać rzeczy noszone wcześniej przez zmarłych – głównie z Chin i Indonezji. Ale natrafiła też na przykłady kultur, w których ludzie z radością korzystali z ubrań odziedziczonych po przodkach, bo wierzyli, że zapewnią im bliskość ze zmarłymi krewnymi.

Jezus rzekomo rzucił klątwę na wszystkie ubrania prane w Wielki Piątek, ponieważ gdy niósł krzyż na Golgotę, został uderzony w twarz mokrym fartuchem. Według legend ubrania prane tego dnia ożywają i duszą ludzi rękawami, a w najlepszym przypadku po wyjęciu z pralki mają krwawe plamy.

Dżamila spędziła ponad pół godziny na poszukiwaniach informacji w sieci. Przeczytała przynajmniej tuzin bajek o sukniach, które tańczą, kiedy baleriny spokojnie śpią, i upiornych opowieści o mściwych płaszczach wędrujących nocami po ulicach miast. A jednak nie zdołała znaleźć żadnych wiarygodnych informacji o ubraniach, które oddziaływałyby na funkcjonowanie mózgu noszących je ludzi, ani o ubraniach poruszających się bez udziału człowieka. Nawet w Pakistanie.

Przeglądała akurat „chińskie obrzędy pogrzebowe”, kiedy zadzwonił Saunders.

– Dżamila? Inspektor French otrzymał właśnie wstępne wyniki sekcji zwłok. Prześlę je na twoją skrzynkę pocztową.

– Szybko mu poszło.

– To dlatego, że sprawca dużo roboty wykonał za niego.

– Przekazał informację, w jaki sposób oderwano ręce i nogi od korpusu ofiary?

– Wykręcono je.

– Wykręcono? Przecież do tego potrzeba mnóstwo siły.

– Przeczytam ci, co napisał doktor Fuller: „Do wykręcenia ramienia ludzkiego potrzeba siły rzędu stu trzydziestu kiloniutonów, a do wykręcenia nogi około dwustu”. Czyli od jednego do czterech megapaskali, jeśli ci to coś mówi. To równowartość piętnastu koni mechanicznych.

– Piętnastu koni mechanicznych? Nie jestem fizykiem, sir, ale takiej siły w ręce raczej nie ma przeciętny człowiek.

– Oczywiście. Według Fullera przeciętna zdrowa osoba dysponuje siłą około półtora konia mechanicznego, i to w szczytowym momencie wielkiego wysiłku, a nie przez dłuższy czas.

– A więc… jeżeli nogi i ręce tego nieszczęśnika wykręcono bez pomocy narzędzi mechanicznych… Wiemy, jak to się odbyło?

– Doktor Fuller pisze: „Kończyny ofiary wykazują obrażenia, które wskazują, że człowiek ten został skrępowany sznurami lub pasami o szerokości mniej więcej dziewiętnastu centymetrów. To go

unieruchomiło. Jednak aby wygenerować moment obrotowy, który umożliwiłby wykręcenie jego ramion i nóg, sprawca musiałby dysponować odpowiednim narzędziem: albo mechanicznym, takim jak tokarka, albo słoniem”.

– Tokarka? – zdziwiła się Dżamila. – Przecież tokarki są bardzo ciężkie, a na ziemi chyba nie znaleziono odcisków żadnego ciężkiego urządzenia.

– Nie, nie znaleziono. Nie znaleziono też śladów słonia, chociaż wspominając o nim, Fuller prawdopodobnie chciał być zabawny.

– Może wcale nie, sir? Czytałam o przypadkach, gdy dziko żyjące słonie w Pakistanie zabijały ludzi, którzy wkraczali w ich naturalne środowisko. Aż do końca dziewiętnastego wieku w wielu krajach azjatyckich powszechnym sposobem wykonywania egzekucji na przestępcach było uśmiercanie ich za pomocą słoni, którym przytwierdzano do nóg noże.

– To ciekawe, Dżamilo, jednak postawię dziesiątaka na to, że po błoniach w Streatham nie włóczyły się ostatniej nocy żadne słonie.

– Oczywiście, sir. Też tak uważam. Ale nie było tam również tokarek.

Saunders przez chwilę milczał. Wreszcie westchnął i odezwał się:

– Nic z tego nie rozumiem. Moim zdaniem istnieje jeszcze ewentualność, że ofiara została rozdarta na kawałki przez jakąś maszynę w innym miejscu, a szczątki ktoś po prostu rozrzucił na błoniach. Jednak w trawę wsiąkło cholernie dużo krwi, a sposób, w jaki były rozwleczone wnętrzności, raczej temu zaprzecza. No bo jak sprawca by je tam przywiózł? W wannie? To szaleństwo. Cholerne krwawe szaleństwo. No i pozostaje kwestia płaszcza.

– Właśnie. – Dżamila pokiwała głową. – Pozostaje kwestia płaszcza.

37

Alice była szczupłą, ładną dziewczynką o jasnych włosach. Bardzo przypominała swoją matkę. Podobnie jak ona, miała niebieskie oczy i zadarty nos.

Jerry przyjechał swoim sześcioletnim fordem focusem do Peckham. Zaparkował przed niewielkim domem stojącym w zabudowie szeregowej przy Lugard Road. Kiedyś w nim mieszkał, a teraz miał odebrać córkę. Kiedy zatrzymał samochód, Nancy stała już w drzwiach z rękami skrzyżowanymi na piersiach i tradycyjnym nieprzystępnym wyrazem twarzy. Zawsze odzywał się do niej pierwszy, zazwyczaj słowami: „cześć, jak się masz”, jednak Nancy rzadko mu odpowiadała. Jeżeli miała dla niego jakieś konkretne instrukcje w związku z Alice – na przykład żeby podawał jej syrop na kaszel albo odwiózł ją do domu wcześniej, ponieważ powinna jeszcze zdążyć na przyjęcie urodzinowe koleżanki – przekazywała mu je przeważnie na kartce napisanej na komputerze.

– Jak ci idzie w szkole? – zapytał, kiedy jechał z córką przez Peckham Rye z powrotem do Tooting.

– Całkiem dobrze. Ostatnio dostałam złotą gwiazdkę za rysunek.

– Wspaniale. Dobra robota. A co narysowałaś?

– Moją lalkę przebierankę. Wiesz, taką, której wycina się różne ubranka i się ją w nie ubiera.

– Brzmi ciekawie.

– Zrobiłam kilka rysunków. Na jednym lalka ubrana jest w suknię ślubną, a na drugim w balową. Jest szczęśliwa. Ale na kolejnym rysunku ma czarną suknię, ponieważ jej mąż zginął w wypadku samochodowym, a na następnym jej suknia jest podarta, ponieważ lalka oszalała z rozpaczy.

– Oszalała? Biedna dziewczyna. To niezbyt miłe.

– Wiem, ale chciałam przekazać, że po ubraniu człowieka można się zorientować, w jakim jest nastroju. Założę się, że i ty potrafiłbyś zgadnąć, czy ktoś jest zły czy zadowolony tylko na podstawie jego ubrania.

Jerry zamilkł. Nie chciał rozmyślać o związku pomiędzy ubraniami a stanem psychicznym ludzi; w końcu miał dzisiaj wolny dzień. Cieszył się, że Dżamila nie zadzwoniła do niego ani w sprawie mężczyzny znalezionego na błoniach w Streatham, ani w sprawie Mindy. Zamierzał jak najlepiej wykorzystać wspólne chwile z Alice. Od ich ostatniego spotkania znowu jakby trochę urosła, a przecież widzieli się zaledwie przed dwoma tygodniami. Jej płaszczyk Czerwonego Kapturka był już za krótki, rękawy nie zakrywały jej drobnych nadgarstków i plecionych bransoletek, które z upodobaniem nosiła.

Kiedy przyjechali do Tooting, była osiemnasta trzydzieści i na dworze zapadł zmrok. Jerry zatrzymał się na progu mieszkania, żeby włączyć światło. Następnie zaciągnął zasłony i rzucił torbę Alice na kanapę. Od razu wrócili do samochodu, żeby pojechać do Nando po kolację.

– Jesteś bardzo głodna?

– Jak wilk – odparła. – Mogłabym zjeść małe dziecko.

– W Nando nie podają dzieci do jedzenia.

Zdawał sobie sprawę, że jej słowa tylko przypadkiem łączą się z jego śledztwem, jednak zaczynało go ogarniać denerwujące wrażenie, że Alice szóstym zmysłem wyczuwa, czym się zajmuje jej ojciec, i prowokuje go do rozmowy na ten temat.

Co powiedziała Laura Miller? „Jakaś sierotka. Albo martwy noworodek. Cokolwiek”.

– Naprawdę nie ma dzieci na kolację? – Alice udała, że jest zdziwiona. – W takim razie zjem wielkiego burgera.

Mijali park Tooting Bee, gdy jakieś sto metrów przed maską samochodu grupa kilku ciemno ubranych postaci wybiegła na ulicę. Nie oglądając się na samochody, przebiegły przez jezdnię i skręciły w Franciscan Road, po drugiej stronie parku.

– Widziałaś tych zasrańców? – zawołał Jerry i zaraz pożałował, że użył słowa „zasrańcy”.

– Nie – odparła Alice, nie podnosząc wzroku. Grała w *Star Stable* na iPhonie. – Jakich zasrańców?

Pod wpływem impulsu Jerry skręcił za nimi w Franciscan Road i zorientował się, że biegną chodnikiem w zwartej grupie. Jego uwagę zwrócił fakt, że żaden z nich nie ma na sobie stroju do biegania ani kamizelki odblaskowej. Nie mógł widzieć ich wyraźnie, ponieważ widok

ograniczały mu samochody parkujące wzdłuż ulicy, dostrzegł jednak, że wszyscy mają na sobie czarne budrysówki i kaptury nasunięte na głowę.

Wyprzedził ich i zwolnił, żeby się im przyjrzeć we wstecznym lusterku. Postaci nie tylko były zakapturzone, ale chyba także czarnoskóre, albo miały na głowach kominiarki, ponieważ ich twarze były zupełnie niewidoczne. Co dziwne, nie widać też było białek oczu, a przecież nie mogły biegać z zamkniętymi oczami.

Jechał powoli, chcąc się zrównać z biegnącymi. Kiedy to się stało, jechał obok nich mniej więcej przez czterdzieści metrów, oni jednak jakby nie dostrzegli jego samochodu, w każdym razie żaden nie odwrócił głowy w jego kierunku.

Alice oderwała wzrok od gry i zapytała:

– Dlaczego jedziemy tak powoli? Już jesteśmy na miejscu?

– Nie, kochanie. Zauważyłem po prostu coś dziwnego i chcę się temu przyjrzeć.

Alice odwróciła się na fotelu.

– Co to takiego? Ci mężczyźni?

– Tak. Ale nie patrz na nich.

Grupa dotarła prawie do skrzyżowania Franciscan z Mantilla Road. Powinna ją przeciąć, wtedy Jerry mógłby dokładniej się przyjrzeć. Ale gdy znalazła się na rogu, jakiś kierowca, nadjeżdżający Franciscan Road z przeciwka, pokazał kierunkowskazem, że zamierza skręcić w Mantilla Road w prawo.

Postacie ani na moment się nie zawahały. Przebiegły przez jezdnię tuż przed maską skręcającego samochodu, tak że kierowca musiał gwałtownie nacisnąć na hamulec. Następnie nacisnął też klakson i opuścił szybę, najwyraźniej gotów obrzucić je przekleństwami, ale one nie zatrzymały się ani na moment i po chwili znajdowały się w już połowie drogi do następnej przecznicy, mijając rzęsiście oświetlone wystawy sklepowe.

Jerry również musiał gwałtownie stanąć, ponieważ nagle poczuł się, jakby ktoś go uderzył w żołądek. Zobaczył bowiem, że postacie przecinające ulicę w świetle samochodowych reflektorów wcale nie biegną. One nie miały nóg. Sprawiały wrażenie, jakby składały się jedynie z pustych płaszczy pchanych przez wiatr.

Zatrzymał samochód przy krawężniku i zatelefonował do Dżamili.

– Jerry? Właśnie kończę pracę na dzisiaj. Co się stało?

Wysiadł z auta i zatrzasnął za sobą drzwi, żeby Alice nie usłyszała jego słów.

– Jestem mniej więcej w połowie Franciscan Road. Właśnie zobaczyłem cztery albo pięć czarnych budrysówek biegnących bez ludzi.

– Co widziałeś? Przepraszam, ale chyba źle cię słyszę.

– Pięć budrysówek, czarnych płaszczy, biegających bez ludzi w środku. Właściwie to one nie biegły, ponieważ nie mają nóg. Pani sierżant, nikogo w nich nie było, chociaż być może miały głowy. Nie jestem pewien, bo miały naciągnięte kaptury.

– Mógłbyś pojechać za nimi? Poproszę Bristowa, żeby podesłał ci kilka samochodów patrolowych.

– Straciłem je z oczu, ale chyba nie odbiegły zbyt daleko. Jest ze mną Alice, ale dam radę.

Z powrotem usiadł za kierownicą, włączył silnik i z piskiem opon ruszył Franciscan Road. Postacie dotarły już prawie do następnego skrzyżowania, z Brudenell Road. Po drugiej stronie tej ulicy stał kościół pod wezwaniem Wszystkich Świętych, zbudowany z brunatnej cegły. Postacie bez wahania przebiegły przez jezdnię, prosto w jego kierunku… – przebiegły, przefrunęły albo przemieściły się z nagłym wiatrem, którego Jerry w ogóle nie czuł.

Gwałtownie skręcił za nimi, ale czarne postacie nie biegły dalej Brudenell Road. Przed nimi pojawił się trawnik otaczający kościół, ogrodzony niskim płotem z zamkniętą bramą. Postacie przeskoczyły przez płot, przecięły trawnik i zniknęły w ciemności za budynkiem. Wyglądały jak wielkie czarne nietoperze powracające do swojej jaskini.

– Co się dzieje? – zapytała Alice ze zniecierpliwieniem. – Co robisz? Myślałam, że jedziemy prosto do Nando.

– Jedziemy tam, kochanie, ale zobaczyłem na ulicy podejrzanych ludzi i nie chcę, żeby mi uciekli. Poczekaj na mnie przez chwilę w samochodzie. Zamknę go na klucz, żeby nikt do ciebie nie wszedł.

– Masz na myśli tych ludzi?

– Alice, przysięgam ci, nie masz się czego bać. Zatelefonowałem już na komisariat po wsparcie i jedzie do nas duża grupa policjantów.

Wyciągnął ze skrytki latarkę, po czym wysiadł z samochodu i skierował się do kościoła. Odwrócił się jeszcze do Alice, oświetlił swoją twarz

i pokazał język, ale widział, że córka nie jest zadowolona z rozwoju wydarzeń. Ponownie zatelefonował do Dżamili.

– Dżamila? Jestem przy kościele Wszystkich Świętych na rogu Brudenell Road. Podejrzani pobiegli za kościół i na razie ich nie widzę. Chyba się zorientowali, że ich śledzę, i gdzieś się ukryli.

– Już jedzie do ciebie samochód ze wsparciem. Ściągnęliśmy go z posterunku przy Tooting Bee, więc szybko do ciebie dotrze. Ale bądź ostrożny. Jeżeli te płaszcze mają coś wspólnego z tym, który znaleźliśmy na błoniach Streatham, nie wiadomo, do czego są zdolne. Może nikomu nie zagrażają, może to tylko zwykłe płaszcze. Ale na wszelki wypadek musimy się spodziewać najgorszego.

– Biegły ulicą, pani sierżant. Zwykłe płaszcze nie biegają ulicami, oboje to wiemy. Jest ich przynajmniej pięć, ale nie martw się, nie zamierzam podejmować z nimi walki. Tym razem nie mam przy sobie ratownika z żelazną furtką do neutralizowania płaszczy.

Dżamila nie była w nastroju do żartów.

– Nie rozłączaj się, Jerry, i nie podejmuj żadnej bohaterskiej akcji. Co z Alice?

– Zamknąłem ją w samochodzie. Jest bezpieczna.

Jerry włączył latarkę i podszedł do głównych drzwi kościoła. Nacisnął klamkę, jednak drzwi były zamknięte na klucz, a zatem płaszcze na pewno nie weszły tędy do środka. Zaczął obchodzić budynek dookoła.

Na przykościelnym parkingu nie było ani jednego pojazdu, który mógłby stanowić osłonę, założył więc, że płaszcze ukryły się gdzieś w cieniu za przyporami. Bardzo ostrożnie, oświetlając teren przed sobą, ruszył wzdłuż murów. Serce waliło mu tak mocno, że słyszał każde jego uderzenie. Był spięty, czujny, w każdej chwili gotów do ucieczki.

Po doświadczeniu z płaszczem przed domem rodziców Mindy nie odrzucał możliwości, że te okrycia żyją, ba, nie tylko żyją, ale są też skrajnie niebezpieczne. Cokolwiek wstąpiło w tamten deszczowiec, miał siłę jak człowiek. A jeżeli nie człowiek, to przynajmniej potężny i agresywny duch.

W świetle latarki dostrzegł dwoje żółtych ślepi i zastygł w bezruchu. Ale sekundę później z ciemności wyszedł bury kot, wskoczył na płot i zniknął na terenie sąsiedniej posesji. Miał szczęście, że Jerry nie był uzbrojony, ponieważ z pewnością zostałby zastrzelony albo przynajmniej

potraktowany paralizatorem, zanim zdążyłby się zorientować, co go zaatakowało.

Jerry okrążył już niemal cały kościół, nie dostrzegając żadnego śladu po płaszczach, gdy nagle od ulicy usłyszał głośne dudnienie. Po kilku uderzeniach rozległ się trzask, jakby pękała szyba samochodu, a potem powietrze rozdarł przenikliwy pisk.

O Boże, to Alice!

Wybiegł przed kościół i zobaczył, że jego samochód otacza pięć zakapturzonych postaci walących rękawami w dach i maskę. Rękawy jednak nie trzepotały na wietrze. Uderzały w samochód i wydawały przy tym odgłosy, jakby wykonano je z ciężkiego drewna. Rozbita była już tylna szyba i jedna z bocznych.

Alice siedziała skulona w samochodzie, rękami zakrywając głowę. Krzyczała w skrajnym przerażeniu.

Jerry przebiegł przez trawnik i szarpnął bramę. Wyskoczył na chodnik i złapał za ramię napastnika, który przymierzał się właśnie do rozbicia drzwi samochodu po stronie pasażera. Płaszcz był szorstki, jak najzwyklejsza budrysówka, jednak Jerry wyczuł, że ktoś lub coś go wypełnia – coś niby muskularnego, ale przypominającego raczej mackę kałamarnicy niż ludzkie ramię. Spróbował odciągnąć go od samochodu, jednak płaszcz natychmiast odwrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i jeden z rękawów tak mocno uderzył go w policzek, że Jerry zatoczył się do tyłu, przewrócił i uderzył potylicą w żelazną bramę.

Odniósł wrażenie, że pękła mu czaszka. Jego włosy natychmiast zrobiły się mokre od krwi. Z trudem wstał i po raz drugi zaatakował płaszcz. Udało mu się chwycić za kaptur, ale gdy chciał go ściągnąć, do walki dołączył drugi płaszcz i dwa razy owinął rękawem jego podniesioną rękę, a zrobił to tak błyskawicznie, jakby owijał się wokół niego rzemień bata. Rękaw zadziałał jak opaska do mierzenia ciśnienia krwi, jednak jego ucisk był dziesięć razy mocniejszy.

– Kurwa… odczep się ode mnie – wystękał Jerry, jednak płaszcz już odciągał go od samochodu.

Jego opór był daremny.

Pozostałe cztery płaszcze wciąż rozbijały jego auto, a po chwili Jerry usłyszał, jak pęka kolejna szyba. Zobaczył, że po drugiej stronie ulicy

otwierają się drzwi i okna i ludzie wyglądają na zewnątrz, żeby się zorientować, skąd pochodzą hałasy.

Płaszcz wciąż odciągał Jerry’ego od samochodu. W pewnej chwili pod kaptur dotarło światło lampy ulicznej. Jerry nie zobaczył żadnej twarzy. Kaptur był pusty, a przynajmniej tak wyglądał. Nie było też widać rąk ani nóg, tylko kraciastą podszewkę. A mimo to dysponował nieprawdopodobną siłą – był silniejszy niż którykolwiek z ludzi, z którymi Jerry miał dotychczas do czynienia, czy to w trakcie interwencji ulicznych, czy w hali sportowej, kiedy uprawiał kick-boxing. Alice nie przestawała panicznie krzyczeć, a on czuł taką złość i bezsilność, że prawie wybuchnął płaczem.

Prawy rękaw płaszcza sięgał teraz do jego szyi. Jerry próbował do tego nie dopuścić, ale jego wysiłek na nic się nie zdał. Płaszcz wsunął rękaw pod jego ramię i otoczył wilgotny kołnierzyk, a potem mocno zacisnął się na szyi.

Boże, on mnie udusi, pomyślał.

Z całej siły uderzył płaszcz pięścią, ale cios jedynie otarł się o sflaczały materiał. Z kolei spróbował go kopnąć, tak jakby kopał prawdziwego mężczyznę w krocze, jednak jego stopa znów natrafiła jedynie na rąbek płaszcza.

Tymczasem rękaw na jego szyi zaciskał się coraz mocniej. Z tego powodu Jerry musiał wysoko zadrzeć głowę i w tym momencie zrozumiał, że płaszcz zamierza mu ją oderwać. Oddychał z trudem, przed oczyma zatańczyły mu gwiazdy.

Coraz słabiej widział i już miał zemdleć, gdy usłyszał głośny szczęk rozdzieranego metalu, po którym nastąpił jakiś stukot. Prawy rękaw płaszcza nagle odwinął się z jego szyi, a lewy rękaw puścił jego ramię. Jerry zachwiał się, niemal stracił równowagę, jednak tym razem się nie przewrócił i od razu zrozumiał, dlaczego płaszcz stracił zainteresowanie nim. Dwa inne płaszcze wyrwały drzwi z samochodu i odrzuciły je daleko na chodnik. Jeden z nich sięgał już do wnętrza pojazdu nad przednim siedzeniem. Alice skuliła się z tyłu i przycisnęła do drzwi po drugiej stronie, dlatego płaszcz nie był w tej chwili w stanie dosięgnąć jej i wyciągnąć na ulicę. Pozostałe płaszcze otoczyły go ciasno, jakby nie mogły się doczekać nadchodzącej uczty.

Alice już nie krzyczała. Jej buzia była śmiertelnie blada, a usta wykrzywione w wyrazie absolutnego przerażenia.

Jerry zwietrzył szansę i nie wahał się ani przez chwilę. Zerwał się na równe nogi i w kilku susach obiegł auto niczym Long John Silver, jednocześnie wyciągając z kieszeni spodni kluczyki do samochodu. Błyskawicznie otworzył drzwi po stronie kierowcy. Wskoczył za kierownicę, wsunął kluczyk do stacyjki i uruchomił silnik. Płaszcz, który znajdował się częściowo w kabinie, uderzył go w ramię, a potem w głowę i spróbował otoczyć rękawem jego łokieć. Jerry'emu jednak udało się włączyć pierwszy bieg, nacisnął na pedał gazu i auto z piskiem opon wystrzeliło do przodu.

Płaszcz chciał jeszcze wdrapać się do środka, chwytając jednym rękawem za dźwignię hamulca ręcznego, a drugim za oparcie fotela pasażera. Jerry zaczął jechać zygzakiem, żeby napastnik stracił równowagę i wypadł na zewnątrz. Alice cicho łkała z tyłu. Jerry nie widział jej we wstecznym lusterku, ponieważ zsunęła się między fotele.

Spróbował zmienić bieg, ponieważ silnik zaczął dziko wyć w proteście, ale rękaw zdołał się owinąć już nie tylko wokół hamulca ręcznego, lecz także dookoła dźwigni zmiany biegów, i uniemożliwił mu to. Jerry bezskutecznie szarpał za gałkę, skupiony tylko na tym, ale w pewnej chwili dostrzegł z przodu betonowy słup z latarnią, ustawiony na skrzyżowaniu z kolejną ulicą. Gwałtownie szarpnął kierownicą w lewo i wjechał na chodnik, niszcząc koła przy gwałtownym zetknięciu z krawężnikiem. Z głuchym odgłosem przypominającym uderzenie w ciało człowieka, płaszcz, który wciąż częściowo wystawał na zewnątrz, zderzył się ze słupem i wypadł z samochodu. Jeszcze przez dłuższą chwilę toczył się po chodniku, aż wreszcie znieruchomiał na jezdni.

Jerry zobaczył to w lusterku, jednak ani na moment nie zwolnił. Wręcz przeciwnie, z prędkością ponad osiemdziesięciu kilometrów na godzinę dotarł aż do Upper Tooting Road, rzęsiście oświetlonej, z mnóstwem restauracji i sklepów. Dopiero wtedy zatrzymał samochód przy krawężniku i wysiadł. Popatrzył w kierunku Brudenell Road, czy nikt go nie ściga. Skoro płaszcze były wystarczająco silne, aby wyrwać z zawiasów drzwi samochodu, jeden Bóg wiedział, jak szybko potrafią się przemieszczać.

Otworzył tylne drzwi i wyciągnął Alice z wozu. Dziewczynka przylgnęła do niego całym ciałem. Drżała i płakała.

– Czy coś ci się stało, kochanie? – zapytał Jerry.

– Chcę do mamy! Chcę wrócić do domu! – załkała.

– Dobrze, zawiozę cię do mamy. Ale nie możemy jechać dalej tym samochodem. Zadzwonię do Dżamili Patel, a ona przyśle kogoś po nas.

– To nie byli ludzie – powiedziała Alice przez łzy. – To były same płaszcze! To niemożliwe, ale one zniszczyły ci samochód!

– Przykro mi, kochanie, ja również nie wiem, jak to się mogło wydarzyć. Ale masz rację, mieliśmy do czynienia z płaszczami. Mam nadzieję, że ci się nie przyśnią w nocnych koszmarach. A ja razem z sierżant Patel wyjaśnię, dlaczego płaszcze biegają po ulicach i straszą ludzi. Powstrzymamy je. Nie musisz się już nimi więcej martwić, masz na to moje słowo.

Jerry delikatnie posadził córkę na tylnym siedzeniu samochodu i zadzwonił do Dżamili. Przez cały czas obserwował wyjazd z Brudenell Road.

– Pani sierżant?

– Tak, Jerry, gdzie jesteś? Właśnie skontaktował się ze mną posterunkowy Rollins sprzed kościoła Wszystkich Świętych i powiedział, że niczego tam nie znalazł, poza drzwiami wyrwanymi z samochodu. A ludzie, którzy mieszkają naprzeciwko kościoła, poinformowali go, że pięciu czarnych mężczyzn napadło na samochód, ale kierowca zdołał uciec. To byłeś ty?

– Owszem. Ale to nie byli mężczyźni, lecz płaszcze. I odnoszę wrażenie, że razem z Alice mieliśmy cholerne szczęście, uszedłszy z tego z życiem.

Najzwięźlej jak potrafił, Jerry opowiedział o ataku płaszczy na jego córkę i o tym, jak jeden z nich o mały włos go nie udusił.

– Teraz nie ma już po nich śladu – stwierdziła Dżamila. – Bristow wysłał w okolicę kolejne trzy samochody, jednak to nic nie dało.

– Czy policjanci wiedzą, że mają szukać płaszczy, a nie czarnoskórych mężczyzn?

– Niezupełnie.

– Niezupełnie? Tak czy nie?

– Nie wiedzą. Ale porozmawiam o tym z Saundersem. Nie ma mowy, żebyśmy dłużej trzymali tę sprawę w sekrecie.

– Rozumiem – mruknął Jerry.

Chciał jeszcze dodać coś uszczypliwego, ale zobaczył, że Alice znalazła w samochodzie swój iPhone i telefonuje do Nancy.

– Posłuchaj – powiedział do Dżamili. – Jestem na skrzyżowaniu Upper Tooting Road i Brudenell Road. Mój samochód nie nadaje się do dalszej jazdy. Jak możesz sobie wyobrazić, Alice jest wstrząśnięta i muszę ją odwieźć do matki. Gdybyś więc przysłała do nas samochód…

– Nic jej nie jest? Zdaję sobie sprawę, że musiało ją to śmiertelnie przerazić.

– Wszystko jest w porządku, dzięki Bogu nie odniosła żadnych obrażeń. Ale potwornie się wystraszyła, a to i tak mało powiedziane. I powiem ci szczerze, nie tylko ona.

38

Jerry wrócił do Tooting dopiero przed dziewiątą. Był poobijany i straszliwie zmęczony.

Oczywiście Nancy poobijała go psychicznie znacznie dotkliwiej niż wszystkie płaszcze tego świata, chociaż, to musiał przyznać, starannie oczyściła mu ranę na głowie. Usiadł przy stole w pomieszczeniu, które kiedyś było jego kuchnią, i gdy delikatnie wcierała mu w skórę maść odkażającą, niemal uwierzył, że minione dwa lata nigdy się nie wydarzyły i że nigdy nie musiał przyjmować do wiadomości faktu, że on i Nancy nie tylko przestali się kochać, ale też przestali się lubić, a nawet rozumieć.

Ich związek od początku opierał się jedynie na fascynacji fizycznej, na niczym więcej. Nancy zawsze czytała „Guardiana”, a on wolał „Sun”. Uwielbiała swojego pieska, Staffie, a z kolei Jerry uważał, że kundel jest jedynie brzydkim i kosztownym wypełniaczem przestrzeni w mieszkaniu. Jako chrześcijanka Nancy regularnie chodziła do kościoła i w takim duchu wychowywała Alice. Tymczasem Jerry widział w życiu wystarczająco dużo zbrodni, łotrostwa i pedofilii, by mógł uznać za pewnik, że Bóg nie istnieje.

– Alice mówi, że zaatakowały was jakieś płaszcze – rzuciła niemal mimochodem Nancy, gdy opatrzyła jego ranę. – Co to za historia?

– Napastnicy byli ubrani w czarne budrysówki, to prawda.

– Jerry, nie rozmawiasz ze swoim inspektorem. Alice powiedziała mi, że to były płaszcze, po prostu płaszcze, bez ludzi. Chcę wiedzieć, dlaczego tak powiedziała.

– Nie mogę z tobą o tym rozmawiać. Naprawdę.

Nancy przysunęła sobie krzesło i usiadła obok Jerry’ego. Popatrzyła na niego ostro i zrozumiał, że łatwo się nie wyłga; przesłuchiwać to ona naprawdę potrafiła. Najbardziej zażarty przestępca nie ośmieliłby się jej okłamywać.

– Twoja córka zaznała dzisiaj wieczorem takiej traumy, że nie wiem, czy przez najbliższe miesiące będzie w stanie spokojnie zasnąć.

Prawdopodobnie będę musiała chodzić z nią na terapię. Pytam cię więc jeszcze raz, Jerry. Dlaczego ona twierdzi, że zaatakowały ją płaszcze?

– Było ciemno, a ona była bardzo wystraszona. Mogła je sobie wymyślić albo paść ofiarą iluzji optycznej.

– Czy to *była* iluzja optyczna?

– Niestety, nie wolno mi o tym rozmawiać. To ci musi wystarczyć. Prosiłem też Alice, żeby z nikim, poza tobą oczywiście, nie rozmawiała o dzisiejszych wydarzeniach. Ty także nie wspominaj o nich nikomu. To kwestia bezpieczeństwa.

– Co się dzieje, Jerry? Chcesz mi wmówić, że Alice kłamie albo oszalała?

– Oczywiście, że nie.

– Powiesz mi więc, co się naprawdę wydarzyło?

– Nie.

Nancy wstała.

– W takim razie, Jerry, idź sobie stąd. I to natychmiast. A ja podejmę starania, żebyś nie mógł się już więcej spotykać z Alice. Cokolwiek się stało, nie powinieneś był wciągać jej w śledztwo policyjne. To było tak lekkomyślne i głupie, że po prostu brakuje mi słów. Alice mogła doznać poważnych obrażeń, a nawet stracić życie. Być może nigdy się z tego nie otrząśnie.

– W przyszłym tygodniu Alice ma urodziny – zauważył Jerry.

– Nawet nie marz o tym, że ją zobaczysz. Nie kupuj jej prezentu ani nie wysyłaj kartki z życzeniami. Dzisiaj wieczorem zapomniałeś, na czym polega opieka nad córką. Od dzisiaj możesz także zapomnieć, co to znaczy być ojcem.

Kiedy przyjechał do komisariatu, Dżamila jeszcze tam była. Siedziała przy biurku z kubkiem latte i talerzem z niedokończoną samosą [1]. Jerry padł na krzesło naprzeciwko niej. Długo patrzyli na siebie, zanim padły pierwsze słowa.

– Mamy wstępny raport z Lambeth Road na temat płaszcza, który został znaleziony w Streatham – powiedziała w końcu Dżamila, wytarłszy usta chusteczką.

– No i co? Płaszcz siada i salutuje w nazistowskim pozdrowieniu?

Pokręciła głową.

– Nie… znacznie gorzej. To jest nowy płaszcz. Nikt go wcześniej nie nosił.

– Jak do tego doszli w laboratorium?

– Jedyne ślady DNA, które na nim znaleziono, należą do ofiary, Philipa Wakefielda. Poza tym ma metkę. To Navy Commander w dużym rozmiarze. Nowy płaszcz tej marki kosztuje prawie czterysta funtów.

– Wiadomo, skąd się wziął w Streatham?

– Na razie nie. Ale jeśli należał do tej samej zgrai płaszczy, która zaatakowała ciebie i Alice, oznacza to, że jakiemuś sklepowi albo hurtowni brakuje obecnie towaru za niemal dwa i pół tysiąca funtów. Nie wierzę, że nikt nie zgłosi tej straty.

– Czekamy więc na zgłoszenie kradzieży markowych płaszczy. A może same zeskoczyły z wieszaków i poszły sobie w siną dal, ale wtedy także ktoś powinien zauważyć ich brak – stwierdził Jerry.

– Właśnie. Pamiętaj, że mówimy o płaszczach o identycznym kroju, kolorze, rozmiarze, a Tooting Bee znajduje się w odległości niespełna dwóch kilometrów od błoni w Streatham.

– Interesujące, że jeden z tych płaszczy zaplątał się w krzakach.

– Tak? A dlaczego?

– Widzisz, te płaszcze są cholernie silne. Jeżeli ten, który znaleziono w krzakach, był jednym z bandy, dlaczego się z nich nie uwolnił? Przecież mógł te pieprzone krzaki zmieść z powierzchni ziemi.

Dżamila wyprostowała się, nabrała samosę na widelec, ale zaraz odłożyła z powrotem na talerz.

– Zdajesz sobie sprawę, o czym my tu dywagujemy? Wciąż się zastanawiam, jak o tym rozmawiać z Saundersem, że nie wspomnę o dziennikarzach. A ten najnowszy raport z Lambeth Road… ustawia całe śledztwo na zupełnie nowym poziomie.

– Masz na myśli to, że płaszcz jest nowy, a nie z drugiej ręki?

– Oczywiście. Ubrania, które nasi podejrzani obwiniali o to, że namówiły ich do popełnienia morderstw, mogły być nawiedzone lub skażone przez poprzednich właścicieli. Rozmawialiśmy o tym, pamiętasz? Tymczasem budrysówka nie miała żadnego poprzedniego właściciela. W płaszczach, które zaatakowały ciebie, prawdopodobnie też nikt nigdy nie chodził.

– W każdym razie ja nikogo w nich nie zobaczyłem – powiedział Jerry. – Ale za to je czułem. Kiedy jeden z nich próbował mnie dusić… rany, poczułem się, jakby mnie zaatakował cholerny wielki boa dusiciel. A mój samochód jest całkiem zniszczony. Nie wiem, jak to wyjaśnię firmie ubezpieczeniowej. Mogę dostać odszkodowanie tylko z tytułu odpowiedzialności cywilnej, w wypadku pożaru lub kradzieży. W polisie nie ma ani słowa o ataku budrysówek.

Dżamila wstała i podeszła do okna.

– Myślałam, że będziemy w stanie rozwikłać tę sprawę, nie informując o zagrożeniu opinii publicznej. Gdyby chodziło tylko o grupę ludzi przeżywających załamanie nerwowe z powodu używanych płaszczy i swetrów… Brzmi to dziwacznie, ale moglibyśmy to jakoś wyjaśnić, nawet gdyby trzeba było naginać prawdę.

– Zaczynasz mówić jak Smiley.

– Nie, Jerry. Powiedziałam ci już przez telefon, że nie możemy dłużej trzymać sprawy w tajemnicy. Te wszystkie incydenty się łączą. Najpierw te używane ciuchy, potem sweter i suknia rodziców Mindy, które, o ile nam wiadomo, nosili tylko oni sami, a teraz wszystko wskazuje na to, że ludzi mordują całkiem nowe płaszcze.

– To jaki masz plan?

– Najpierw musimy porozmawiać z Saundersem. Jestem pewna, że on będzie musiał przekazać sprawę wyżej. Ty i Alice macie szczęście, że nie zginęliście. Nie możemy pozwolić, żeby podobne historie przytrafiały się innym ludziom.

– Już widzę te tytuły w „Evening Standard”: „Gliniarzom z Tooting odebrało rozum”.

– Nic takiego nie pojawi się w prasie, jeżeli kolejna osoba zostanie rozerwana na strzępy.

Przyszedł sierżant Bristow i powiedział im, że poszukiwania pięciu podejrzanych w czarnych budrysówkach nie przyniosły rezultatów, mimo że przeprowadzono je na ogromnym obszarze. Wylegitymowano sporą grupę czarnoskórych mężczyzn, niektórych spośród nich przeszukano, jednak wszyscy mieli wiarygodne alibi. Tylko jednego z nich aresztowano za posiadanie marihuany.

Zarówno Jerry, jak i Dżamila zdawali sobie sprawę, że poszukiwania pięciu czarnoskórych mają wszelkie znamiona działań na tle rasistowskim, jednak doskonale wiedzieli też, że jeśli każą szukać czarnych budrysówek poruszających się bez udziału ludzi, żaden z policjantów patrolujących ulice nie potraktuje takiego rozkazu poważnie.

Samochód Jerry'ego przetransportowano do warsztatu przy Lambeth Road, razem z wyrwanymi drzwiami. Rano mieli go zbadać specjaliści.

Dżamila wysłała esemesa do Saundersa. Krótko przed północą zjawił się na komisariacie, ubrany w wieczorowy garnitur z czarną muszką. Pachniał dymem tytoniowym. Na lewym uchu miał opatrunek.

– Nie musiał pan natychmiast przyjeżdżać – powiedziała Dżamila. – Mogliśmy przedyskutować problem jutro rano. Detektyw Pardoe i ja i tak mieliśmy już jechać do domu.

– Nic z tego, sprawa jest zbyt poważna – odparł Saunders. – Właśnie byłem na kolacji dobroczynnej wydanej przez Międzynarodową Federację Dziennikarzy. Wyobraźcie sobie, że jakiś przemądrzały dziennikarz śledczy z „Daily Mail" niemal zapędził mnie w kozi róg. Powiedział, że dotarły do niego plotki, jakoby policja celowo ukrywała związki pomiędzy kilkoma morderstwami, do których doszło w ostatnich dniach. Zapytał mnie, czy podejrzani zażywali te same środki halucynogenne, a my nie chcemy tego ujawnić.

– Powiedział panu, skąd ma te informacje? – zapytał Jerry.

Saunders pokręcił głową.

– Nie, nie powiedział. Ale zakładam, że informacja wyciekła ze Springfield. Ktoś z personelu chlapnął, że nasi podejrzani opowiadają brednie o tym, że są więcej niż jedną osobą. A stąd do wniosku, że są na jakichś prochach, niedaleka droga. Ale te cholerne płaszcze… one wszystko zmieniają.

Poszli za Saundersem do jego gabinetu. Kiedy weszli do środka, włączył wszystkie światła w pomieszczeniu. Marynarkę przewiesił przez oparcie krzesła, odpiął muszkę i odezwał się:

– No, Jerry, a teraz po kolei. Opowiedz mi o wszystkim, co się zdarzyło, niczego nie ukrywaj. Dzięki tej cholernej sprawie mogę dostać kopa w górę, ale równie dobrze mogę z jej powodu zakończyć karierę. Wy też. Wszyscy troje zamierzamy z niej wyjść z podniesionymi głowami, prawda?

A już na pewno nie chcemy skończyć w charakterze czubków w Springfield.

Jerry opowiedział wszystko. Saunders słuchał go z opuszczoną głową, w milczeniu, jednak wyraz jego twarzy dowodził, że każde słowo podwładnego wzmaga w nim niepokój.

Kiedy Jerry skończył, inspektor wyprostował się i zaczął stukać długopisem w biurko z regularnością metronomu.

– Nikt w to nie uwierzy – powiedział. – Absolutnie nikt. Usłyszę od przełożonych, że kurtki ze sklepów z używaną odzieżą nie mogą być odpowiedzialne za to, że jakaś dziewczyna wypatroszyła swojego chłopaka, albo za to, że dziewięcioletnia dziewczynka poderżnęła gardła rodzicom. Powiedzą mi, że bredzę, kiedy stwierdzę, że martwi rodzice z kolei odzyskali życie dzięki jakiemuś swetrowi albo kiecce. A w końcu postanowią zwolnić mnie, i przy okazji was, ze służby oraz zamknąć całą trójkę w szpitalu dla czubków za straszenie ludzi płaszczami, które biegają po mieście same z siebie i zabijają w ciemnościach księgowego, po kolei wyrywając mu kończyny ze stawów.

– Tak, tylko że to wszystko wydarzyło się naprawdę.

Jerry przez chwilę się zastanawiał.

– Ten dziennikarz z „Daily Mail” wspomniał o środkach halucynogennych… może powinniśmy zasugerować mu, że ma rację? W sumie to nadal nie mamy pewności, że jest inaczej, prawda? Nasi podejrzani mogli się przecież znajdować pod wpływem jakiejś substancji, która zmieniła ich w okrutnych morderców. Nie wiem… może powinniśmy nawet nadać jej jakąś nazwę? Na przykład Straszne Zioło?

– Ha, ha, ha! – roześmiał się Saunders ponuro. – A co z budrysówkami? Przecież to te płaszcze bez ludzi, o ile zdążyłem się zorientować, są teraz największym zagrożeniem. Co powiemy o nich?

– Chyba nie musimy wyjaśniać, że płaszcze działają bez udziału ludzi – odparł Jerry. – I to nie będzie kłamstwo. Udział ludzi w zbrodniach będzie dla opinii publicznej oczywisty, ale przecież my o tym nie powiemy ani słowem. Natomiast ostrzeżemy społeczeństwo przed gangiem osobników w czarnych płaszczach, każemy trzymać się od nich z daleka, ponieważ stanowią zagrożenie, i w przypadku natknięcia się na podejrzane typy natychmiast telefonować na policję.

– To ma sens, sir. – Dżamila pokiwała głową. – Musimy natychmiast wystosować ostrzeżenie, ale jeśli powiemy ludziom, że mają strzec się biegających płaszczy, większość uzna to za żart. Sama nie pomyślałabym inaczej o takim ostrzeżeniu. Chyba widział pan te wszystkie zabawne historie, jakie ludzie publikują na Twitterze i na Facebooku? I tak nie uchronimy się przed poważnym ryzykiem, że jeśli jakiś niedowiarek natrafi gdzieś na chodzące płaszcze, podejdzie do nich i zechce zrobić im kawał. A wtedy zginie.

– Mam cholernie złe przeczucia, niezależnie od tego, co zrobimy – powiedział Saunders. – Ale tak, Jerry, chyba powinniśmy tymczasowo poinformować media, że według nas przyczyną zbrodni jest działanie silnych narkotyków, które zaczęto niedawno rozprowadzać. Martwi mnie tylko, że ktoś może nagrać płaszcze na wideo i pokazać wszystkim, że one fruwają, a nie chodzą, i że ich kaptury są puste w środku.

– Nawet jeżeli tak się stanie, wiele osób uzna to za czyjś głupi dowcip – stwierdziła Dżamila. – W Fotoshopie można z filmami i fotografiami robić dosłownie wszystko.

– Dobrze. – Saunders popatrzył na zegarek. – Spotkamy się jutro rano z oficerem prasowym i ustalimy treść komunikatu. A tymczasem, jak się posuwają inne nasze sprawy?

– Niestety, bardzo powoli – odparła Dżamila. – Właściwie to prawie wcale się nie posuwają. Na razie wystosowaliśmy apel do sprzedawców płaszczy, żeby poinformowali nas o ewentualnych kradzieżach, jednak jest za wcześnie na reakcję z ich strony. Być może jutro zdołam przesłuchać Mindy i nie wykluczam, że dziewczynka coś mi podpowie. Gdybym tylko natrafiła na klucz do zagadki, dlaczego te ubrania stają się takie agresywne… niech to będzie klucz nadprzyrodzony albo naukowy, wszystko mi jedno.

– Może to wszystko jest jednak tylko głupim dowcipem? Może to Bóg drwi z nas, śmiertelników, i rechocząc, wypina na nas z niebios swoją boską dupę? – powiedział Saunders gorzko i wzruszył ramionami.

1. Samosa – potrawa kuchni indyjskiej, pierożek smażony na głębokim oleju, nadziewany warzywami, mięsem lub serem (przyp. tłum.). [wróć]

39

Deszcz przestał padać, wyszedłszy więc z domu Billa i Sarah, Ron i Nuying postanowili pójść spacerem do swojego mieszkania przy Bickley Street.

– Nie smakowało mi to ich spaghetti po bolońsku. A tobie? – zapytała Nuying, gdy szli ramię w ramię przez Church Lane. – Było w nim czuć wyłącznie przecier pomidorowy.

– Och, daj spokój – odparł Ron. – Sarah nigdy nie pretendowała do tytułu mistrzyni świata w gotowaniu. Kiedyś chciała podać gościom pieczonego kurczaka, ale wkładając go do piekarnika, zapomniała zdjąć z niego plastikową osłonę.

– Jutro zrobię ci kurczaka po syczuańsku, zobaczysz, jaki będzie pyszny – obiecała Nuying.

Dotarli do Amen Corner i ruszyli Mitcham Road. Dochodziła już druga w nocy i ulica była opustoszała. Jasno oświetlone wystawy sklepowe odbijały się od mokrego trotuaru. Gdzieś w oddali żałośnie zawodził pies.

W ubiegłą niedzielę minęła pierwsza rocznica, odkąd Ron i Nuying byli razem, i to dlatego Bill i Sarah zaprosili ich na wspólne świętowanie. Ron był menedżerem w Budget Car Hire w Battersea. Miał dwadzieścia dziewięć lat, był wysoki i chudy jak tyczka, miał wielkie uszy i przylizane płowe włosy. Jego pierwsze małżeństwo z Kayley trwało trzy lata i skończyło się rozwodem po tym, jak się przespała z jego najlepszym przyjacielem, Pete’em. Po tym doświadczeniu zaczął szukać nowej partnerki w Internecie i znalazł Nuying. Miała dwadzieścia pięć lat, była niską i pulchną córką chińskiego restauratora z Croydon. Zarówno Nuying, jak i Ron byli spokojni i nieśmiali, oboje uwielbiali wycieczki rowerowe, piosenki Eda Sheerana i telewizję. Wieczory lubili spędzać we dwoje w domu. Nie musieli dużo rozmawiać – po prostu cieszyli się swoją obecnością.

– To było jednak miłe z ich strony, że dali nam w prezencie podkładki pod talerze.

– Tak – zgodziła się Nuying. – Teraz potrzebujemy do nich jedynie stołu.

– Nic się nie martw. W tym roku osiągnąłem dobre wyniki finansowe i spodziewam się dużej premii na Boże Narodzenie.

Byli już niemal na Bickley Street, kiedy usłyszeli dwa głośne trzaski, a potem brzęk pękającej szyby wystawowej. Zaledwie dwadzieścia metrów przed nimi tysiące kawałków szkła wystrzeliło na chodnik, jakby w jednej chwili rozszalała się burza lodowa. Jednocześnie rozległo się wycie alarmu sklepowego.

– Cholera jasna! – zawołał Ron. – Co to było, do diabła?

Nuying pociągnęła go za rękę.

– Uciekajmy. Musimy uciekać. Może wybuchła butla z gazem?

– To na pewno nie była butla z gazem – odparł Ron. – Ktoś rozbił wystawę młotkiem.

Nuying szarpnęła go mocniej.

– Tym bardziej powinniśmy uciekać.

Ron cofnął się kilka kroków, ale po chwili zatrzymał się i wyciągnął z kieszeni iPhone’a. Wystukał numer alarmowy i niemal natychmiast uzyskał połączenie.

– Tu centrum alarmowe, z kim mam połączyć?

– Chyba z policją. I ze strażą pożarną. Na Mitcham Road pękła szyba na wystawie sklepowej i odłamki szkła posypały się na chodnik. Mogło to być spowodowane wybuchem gazu albo czymś podobnym. Albo ktoś celowo rozbił okno. Nie jestem pewien.

Zanim dyżurny zdążył zadać mu dodatkowe pytania, przed sklepem przystanęła ciemna postać. Była dziwnie gibka i przypominała raczej wielkie czarne zwierzę niż człowieka. Po niej ze sklepu wytoczyła się następna i kilka kolejnych. Miały na sobie różnokolorowe ubrania i w końcu pojawiło się ich tyle, że Ron przestał liczyć. Cały tłum kolorowych postaci stanął przed sklepem na kawałkach szkła, tyle że żadna z nich zdawała się tego szkła nie deptać.

Ron jeszcze raz się cofnął. Nuying jęknęła i przylgnęła do jego ramienia. Pomyślała, że postacie przypominają pranie, które jej babcia rozwieszała na podwórku, kiedy była małą dziewczynką, jeszcze w Hongkongu. Kiedy wiał silniejszy wiatr, czarne i białe mandaryńskie koszule zaczynały machać rękawami, przerażając małą Nuying. Teraz postacie sprzed sklepu

przerażały ją w taki sam sposób. Pociągnęła Rona za rękę tak mocno, że upuścił iPhone’a na chodnik.

– Sir? Słyszy mnie pan? – rozległ się głos operatora.

Ron pochylił się i podniósł telefon.

– Tak… przepraszam – powiedział. – Właśnie…

Zanim jednak zdołał powiedzieć coś więcej, postacie ruszyły w jego kierunku, szumiąc rękawami niemal identycznie jak te, które straszyły Nuying w dzieciństwie.

Gdy znajdowały się już bardzo blisko, Ron stwierdził, że nie ma do czynienia z ludźmi. Napierały na niego koszule, kurtki, płaszcze i suknie. Nikogo w nich nie było, z ubrań nie wystawały ani głowy, ani ręce, ani nogi, a jednak machały pustymi rękawami, wcale nie sprawiając wrażenia, że zamierzają zwolnić albo się zatrzymać.

Ron złapał Nuying za rękę i razem zaczęli biec w tę stronę, z której przybyli. Biegli w milczeniu, zdając sobie sprawę, że każdy dostępny haust powietrza w płucach będzie im potrzebny, żeby uciec. Słyszeli, że pościg jest coraz bliżej, a jednak nie ośmielali się odwrócić.

Dotarli do rogu Rookstone Road i Ron gwałtownie pociągnął Nuying w prawą stronę. Chodnik był teraz węższy, a przy krawężniku parkowały samochody, dlatego ubrania nie były w stanie poruszać się tyralierą. Gdyby tylko dali radę dotrzeć do Bickley Street, mieliby szansę schronić się w swoim mieszkaniu.

W biegu Nuying zahaczyła o boczne lusterko parkującej przy krawężniku toyoty, straciła rytm, poplątały jej się nogi i niemal się przewróciła. Ron ją pociągnął i znów biegli, stracili jednak cenne sekundy. Do końca ulicy brakowało im mniej niż jednej trzeciej jej długości, gdy długi trencz w kolorze khaki wystrzelił do przodu i z hałasem, który w uszach Rona zabrzmiał jak uderzenie pioruna, rzucił mu się na ramiona. To był tylko płaszcz, jednak spadł na niego takim ciężarem, jakby był w niego ubrany postawny mężczyzna. Ron przewrócił się i uderzył twarzą w chodnik.

– Ron! Ron! Wstawaj! – wrzasnęła Nuying.

Złapała za jeden z pagonów trencza i chciała nim szarpnąć, ale w tej samej chwili zwiewna ciemnozielona suknia owinęła jej się dookoła głowy. Dziewczyna nagle przestała cokolwiek widzieć i nie mogła oddychać.

Z kolei rękawy zielonego swetra owinęły jej się wokół kostek i upadła, uderzając głową w krawężnik.

Zgraja ubrań zaczęła atakować dwoje nieszczęśników ze ślepą furią. Trencz przycisnął głowę Rona do chodnika, a potem uderzył nią kilka razy z całej siły, masakrując mu twarz. Jednocześnie trzy kurtki ściągnęły mu buty i spodnie, po czym owinęły rękawami jego nogi i zaczęły je wykręcać ze stawów.

Szary anorak z garbem i trzy swetry przeczołgały się do Nuying. Przetoczyły ją w taki sposób, że mogły zdjąć z niej płaszcz, a potem wyrwać guziki sukni. Zdarły z niej biustonosz i majtki. Dwa swetry objęły rękawami jej uda i rozłożyły jej nogi tak szeroko, jakby zmuszały ją do zrobienia szpagatu, po czym anorak wsunął w nią rękaw aż po łokieć. Poruszał nim w jej łonie, podrygując i postękując z wysiłku, w końcu wysunął się na zewnątrz, cały oblepiony krwawą mazią.

Przez prawie godzinę ubrania rozdzierały zwłoki Rona i Nuying na strzępy. Pochylały się nad nimi i zrywały z nich warstwę po warstwie – skórę, tkankę tłuszczową, mięśnie, ścięgna i tkankę łączną. Wyciągnęły wnętrzności i porozciągały je na chodniku jak długie, śliskie węże strażackie. Wreszcie rozerwały klatki piersiowe, po czym wyciągnęły z nich płuca i serca.

Wszystko odbywało się w niemal absolutnej ciszy. Słychać było jedynie odgłosy rozdzieranego ciała i gruchotanych kości.

W końcu ubrania zebrały się w zwartą grupę. Prawie wszystkie były zbroczone krwią. Usiadły wśród ludzkich szczątków, wśród tej makabry, której były autorami. Każdy, kto zobaczyłby je z daleka, pomyślałby, że są uczestnikami jakiegoś obrzędu religijnego, być może modlącymi się albo medytującymi.

Po chwili na niebie pojawił się błysk wyładowania elektrycznego i rozległ się huk grzmotu. Wiatr zaczął się wzmagać, a ubrania wstały z chodnika i zaczęły odfruwać w grupach po dwa albo trzy. Skręciły za róg Rookstone Road niczym klucz migrujących ptaków i za chwilę nie było już po nich śladu.

40

Jerry’ego obudził dzwonek telefonu leżącego przy łóżku. W pierwszej chwili pomyślał, że to odzywa się sygnał budzenia; jeśli go nie nastawił, zazwyczaj zasypiał do pracy.

– Co się dzieje? – zapytał chrapliwym głosem.

Zerknął na zegar cyfrowy i nie chciał uwierzyć, że jest dopiero dziewięć po czwartej.

Telefonowała Dżamila. Nawet nie zapytała, czy go obudziła. Była bardzo rzeczowa i spokojna, a Jerry już się zdążył nauczyć, że taki spokój z jej strony zawsze zwiastuje coś niedobrego.

– Rozerwano na strzępy kolejne dwie osoby, Jerry. Wygląda na to, że zrobiono im to samo co Philipowi Wakefieldowi, tylko z jeszcze większym okrucieństwem.

– Cholera jasna – powiedział Jerry i usiadł. – Gdzie?

– Znaleźliśmy ich przy Rookstone Road, bocznej uliczce odchodzącej od Mitcham Road.

– Rozumiem, Rookstone Road. Zdaje się, że na rogu jest lokal, w którym serwują dobre curry, jakieś Kryszna-coś-tam.

– Jedna z ofiar zdążyła się połączyć z telefonem alarmowym. Wóz patrolowy nie dojechał na czas, ale i tak to policja znalazła rozczłonkowane zwłoki, zanim natrafił na nie ktoś przypadkowy, dzięki Bogu chociaż za to.

– Kim są ofiary? Wiesz coś o nich?

– Na miejscu są posterunkowi Malik i Young. Young przesłał mi nagranie wideo ze swojego telefonu. Jeśli chcesz, prześlę je również do ciebie. Ale przygotuj się na to, że jeśli to obejrzysz, będziesz miał trudności z przełknięciem śniadania.

– Jest aż tak źle?

– Powiedziałabym tak: gdyby na ziemi nie leżały portfel i torebka należące do ofiar, trudno byłoby stwierdzić, że mamy do czynienia ze szczątkami ludzkimi, a już na pewno nie odróżnilibyśmy kobiety od

mężczyzny. Ale poczekaj, Malik podał mi ich nazwiska. Zapisałam, chociaż ciężko mi teraz przeczytać własne bazgroły. To biały mężczyzna, Ronald Firbank, i Chinka, Nuying Liu. Ronald Firbank był menedżerem w Budget Car Hire w Battersea, a pani Liu manikiurzystką w Body Beautiful przy High Street.

– Oczywiście żadnych świadków?

– Nie, i według Malika na miejscu nie ma też innych śladów, chociaż mam nadzieję, że technicy jednak coś znajdą. Ronald Firbank zatelefonował na numer alarmowy o drugiej trzydzieści trzy, żeby zgłosić, że wypadła szyba w sklepie przy Mitcham Road. Uważał, że mogło to zostać spowodowane wybuchem gazu albo ktoś rozbił szybę celowo. Niestety, nic więcej nie zdążył powiedzieć. Telefonista zeznał, że sekundę po jego ostatnich słowach rozległ się taki dźwięk, jakby telefon wypadł mu z ręki, i niemal natychmiast połączenie się przerwało.

– Rozumiem – mruknął Jerry.

Wyszedł z łóżka i otworzył szufladę. Wyciągnął z niej szorty z wzorem podków końskich. Od czasu, gdy w tych szortach wygrał dwieście funtów na loterii, wierzył, że przynoszą mu szczęście. Uznał, że dzisiaj będzie potrzebować szczęścia bardziej niż kiedykolwiek.

– Malik powiedział, że w sklepie prawie nie ma zniszczeń, tyle że poprzewracane są niektóre wieszaki – kontynuowała Dżamila. – Nie ma też śladów eksplozji gazu ani w ogóle żadnego wybuchu. Wybita jest szyba wystawowa, ale całe szkło poleciało na zewnątrz, na chodnik, więc jest oczywiste, że ktoś wybił szybę od środka. Ale posłuchaj najważniejszego. To sklep sprzedający głównie używaną odzież.

– Nie mów?

– Nazywa się BrainWave, część dochodów przeznacza na badania związane z leczeniem urazów mózgu. Znajduje się niemal dokładnie naprzeciwko Little Helpers, gdzie pracowała Sophie Marshall.

– Coraz gorzej. Brakuje w nim jakichś ciuchów?

– Malik nie zdążył się jeszcze skontaktować z kierownikiem, ale niemal wszystkie wieszaki są puste. Należy więc przyjąć, że ze sklepu zniknęło mnóstwo ubrań.

Jerry usiadł na brzegu łóżka i zaczął wciągać nogawkę spodni.

– Zniknęło? – zapytał. – A może pouciekały?

– W tej chwili tego nie wiemy, Jerry. W każdym razie w pobliżu sklepu nie znaleźli żadnych części garderoby. Może nie było ich wiele, a może ktoś naprawdę je ukradł?

– A może te ubrania same zdołały wydostać się ze sklepu, a potem zabiły dwoje niewinnych przechodniów, którzy przypadkiem znaleźli się na ich drodze?

– Tak.

– Jakie jest twoje zdanie, pani sierżant? Pytam serio.

Głos Dżamili zabrzmiał bardzo poważnie.

– Nie budziłabym cię, gdybym nie uważała, że to wydarzenie ma związek z naszym śledztwem, prawda? Spotkajmy się na rogu Rookstone Road za pół godziny.

Gdy Jerry dotarł na Mitcham Road, po burzy nie było już śladu i powoli wstawał nowy dzień. Policja wyłączyła z ruchu cały zachodni pas ulicy, a korek samochodów z ludźmi zmierzającymi do pracy zaczynał sięgać mili.

Za taśmą odgradzającą miejsce zbrodni stało siedem samochodów patrolowych policji oraz dwie furgonetki techników kryminalistycznych. Przyjechały także samochody BBC, ITV i Sky News. Wszystkie stały na sąsiedniej ulicy, a duża grupa dziennikarzy, kamerzystów i dźwiękowców zgromadziła się na rogu. Wszyscy nerwowo przestępowali z nogi na nogę.

Dżamila czekała na Jerry’ego przed pustą wystawą BrainWave, rozmawiając z Malikiem. Dwóch techników krążyło już po sklepie i robiło zdjęcia.

– Cześć, Jerry – powiedział Malik. Był poważnym młodym człowiekiem urodzonym w Bangladeszu. Miał starannie przycięty mały wąsik i czarne włosy modnie zaczesane do tyłu. – Pracuję w policji równie długo jak ty, stary, ale jeszcze nigdy nie widziałem czegoś podobnego.

– Jesteś blady – zauważył Jerry. – Gdzie oni są? Za rogiem?

– W każdym razie to, co z nich zostało. Problem w tym, że zaraz po ich śmierci rozpadało się jak jasna cholera i deszcz zmył krew i ewentualne dowody.

– Świadkowie?

– Nic z tego. Zapukaliśmy niemal do wszystkich drzwi przy Rookstone Road, ale do tej pory nie natrafiliśmy na nikogo, kto by coś widział albo

słyszał. Nie wiem, jak można bez najmniejszego hałasu rozerwać dwoje ludzi na strzępy, jednak komuś się to udało.

– Wiemy, dlaczego ofiary znalazły się w tej okolicy o wpół do trzeciej nad ranem?

– Przypadkiem wiemy. Zatelefonował do nas ich znajomy z Church Lane. Para zjadła u niego kolację, świętowali pierwszą rocznicę swojego narzeczeństwa. Pani Liu zostawiła u niego parasol i postanowił do niej zatelefonować. Kiedy trzykrotnie nie podjęła rozmowy, zaczął się martwić.

– Kurewski koniec pierwszej rocznicy.

Malik pokręcił głową.

– Człowiek się zastanawia dlaczego. Jaki to miało, kurwa, sens? Przecież oni nawet niczego im nie ukradli. Dlaczego więc?

Ani Jerry, ani Dżamila nic nie odpowiedzieli, jednak oboje pomyśleli o tym samym. Czy normalny człowiek mógłby zrozumieć, dlaczego ubrania porozdzierały na strzępy dwoje ludzi? I jak to zrobiły? Następne dręczące pytanie brzmiało: gdzie te ubrania znajdują się obecnie? Czy po prostu straciły życie i sflaczały, jak ubrania w domu rodziców Mindy, czy gdzieś się schowały i czekają na chwilę, gdy będą mogły znów wypłynąć na ulice i zgładzić kolejnych niewinnych ludzi?

– Popatrzmy na szczątki ofiar, zanim zostaną stąd wywiezione – powiedziała Dżamila.

– Nie spodoba się pani ten widok – ostrzegł ją Malik. – Gwarantuję nocne koszmary po tym seansie. A nawet koszmary w ciągu dnia.

Minęli restaurację na rogu i skręcili w Rookstone Road. Na długości pięćdziesięciu metrów chodnik po prawej stronie ulicy w całości przykryty był cienkimi niebieskimi plastikowymi płachtami, a w kilku miejscach rozstawiono nad nimi prowizoryczne namioty. Technicy kręcili się po całym terenie. Co chwilę błyskały flesze.

Jerry popatrzył na drugą stronę ulicy. Ofiary zostały zamordowane niemal naprzeciwko wejścia do kościoła należącego do Zjednoczonego Kościoła Reformowanego. Transparent na jego fasadzie głosił: ROZLEJĘ MOJEGO DUCHA NA CAŁE CIAŁO.

Jerry szturchnął Dżamilę i wskazał głową na transparent.

– Ta obietnica cholernie pasuje do tego, co się tutaj wydarzyło, prawda?

– Nie powinieneś myśleć w ten sposób – odparła. – Bo zanim zdasz sobie z tego sprawę, zaczniesz podejrzewać, że morduje duchowny, tylko

po to, żeby uzasadnić swój nieświadomie wymuszony punkt widzenia. Moja babcia mawiała, że żywi ludzie zawsze poszukują logicznych wyjaśnień, ale duchy i demony nigdy się nie trudzą, żeby wszystko, co robią, miało sens.

– Szkoda, że twojej babci nie ma tu z nami, naprawdę. Przydałaby się nam teraz przewodniczka po świecie nadprzyrodzonym.

Przed namiotem stanęła piegowata laborantka i podała policjantom maski oraz plastikowe osłony na buty. Jerry podniósł płachtę, żeby Dżamila mogła pierwsza wejść do środka, po czym wszedł za nią. Detektyw posterunkowy Malik powiedział wcześniej, że jeszcze nigdy w życiu nie widział tak straszliwie okaleczonych ludzkich ciał, ale Jerry i Dżamila też czegoś takiego dotąd nie widzieli. Głowy Rona i Nuying leżały na chodniku tuż obok siebie, twarzą w twarz. Były tak zakrwawione i zdeformowane, że jedynie długie czarne włosy pozwalały poznać, która z nich należała do kobiety. Większość włosów była powyrywana.

Fragmenty zwłok leżały pod jedną ze ścian namiotu. Na tę stertę składały się dwa kręgosłupy, cztery płuca, żołądki i ciemnobrązowe nerki, a wokół nich zalegały lśniące jelita, częściowo oplatające niektóre narządy. Deszcz zdążył zmyć większość krwi, jednak ciemne strugi wciąż płynęły po betonie i ginęły w rynsztoku.

Obok wyrwanej ręki leżała plastikowa torba reklamowa. Rozdarła się i można było w niej dostrzec sześć podkładek pod talerze z reprodukcjami słoneczników Van Gogha.

Jerry i Dżamila wytrwali w namiocie kilka minut, a potem szybko wyszli na zewnątrz.

– Nie do wiary – odezwał się Jerry z niewyraźną miną.

– Co jest nie do wiary? Zaraz zwymiotuję.

– Gdy się patrzy na te krwawe ochłapy, kości, narządy wewnętrzne i wszystko inne, przychodzi do głowy pytanie, jakim cudem może się to składać na człowieka, który potrafi mówić, myśleć, śmiać się, uprawiać seks i tak dalej. Patrząc na to, niemal uwierzyłem w Boga. A w każdym razie w to, że rządzi nami ktoś cholernie sprytny.

Dżamila mu nie odpowiedziała, tylko wyciągnęła z kieszeni telefon. Po kilku sygnałach odezwała się do słuchawki:

– Tak, sir, to ja. Tak, jestem na miejscu. Jest ze mną detektyw posterunkowy Pardoe. Wiem, że mieliśmy się z panem spotkać o jedenastej

na komisariacie, uważam jednak, że powinien pan tutaj przyjechać i osobiście obejrzeć ofiary. Nie. Zdaję sobie z tego sprawę, sir. Rozumiem. Jednak żadne fotografie ani nagrania wideo nie oddadzą prawdy o tym, co się tutaj wydarzyło.

Słuchała jeszcze przez chwilę, kiwała głową, aż wreszcie powiedziała:

– Poczekamy na pana, oczywiście. Jest tu wielu dziennikarzy, telewizja i tak dalej. Nie wiem, czy ktoś ich uprzedził, że te morderstwa odstają od, że tak powiem, przeciętnej, jednak wcale by mnie to nie zdziwiło. Nie, nic im nie powiem, dopóki pan tutaj nie dotrze. Tak, sir. Nie.

Kiedy wsunęła telefon z powrotem do kieszeni, Jerry zapytał:

– Jak zareagował?

– Cóż, oczywiście nie jest szczęśliwy. Ale myślę, że zamierza działać szybko i zdecydowanie, chociażby po to, żeby chronić własną reputację. Powiedział, że przyjedzie tu najpóźniej za pół godziny, do tego czasu nikt nie może ruszać zwłok.

– Chciałaś powiedzieć skrawków zwłok – sprostował Jerry. Popatrzył na zegarek i dodał: – Wiesz co? Skoro mamy do jego przyjazdu pół godziny, skoczmy do Mud na potrójne espresso. Chyba na nie zasłużyliśmy.

Saunders odsunął niebieską płachtę namiotu i wyszedł na ulicę. Był wstrząśnięty, ale spokojny.

– Teraz porozmawiam z prasą – powiedział i ruszył w kierunku rogu ulicy, na którym zgromadzili się dziennikarze.

Gdy się do nich odezwał, jego głos był chłodny, mówił powoli i z naciskiem, ważąc każde słowo, robiąc długie przerwy pomiędzy zdaniami:

– W tej chwili mogę jedynie powiedzieć, że znaleźliśmy zwłoki kobiety i mężczyzny. Oboje najprawdopodobniej zostali zamordowani. Więcej informacji przekażę dopiero wtedy, gdy o zdarzeniu zostaną poinformowane rodziny, a ofiary formalnie zidentyfikujemy.

– Może pan powiedzieć, w jaki sposób zginęli? – zapytał reporter Sky News.

– Musimy poczekać na sekcję zwłok. Dopiero wtedy ta kwestia się wyjaśni.

– Czy to oznacza, że są w tej sprawie jakieś wątpliwości?

– Jak już powiedziałem, należy poczekać na wyniki sekcji zwłok.

– Czy policja ma jakichś podejrzanych? – zapytał dziennikarz BBC.

– Jak dotąd nie – odparł Saunders zniecierpliwionym głosem. – Ale oczywiście śledztwo posuwa się do przodu.

– Wiadomo, że obie ofiary miały bardzo poważne obrażenia – naciskał facet z BBC. – A właściwie zostały potwornie okaleczone.

– Kto tak uważa? – warknął Saunders.

– Cóż, nie mogę, niestety, ujawnić mojego źródła. Mógłby pan jednak opisać, jakiego rodzaju są to obrażenia? Czy w grę wchodzą urazy głowy? Rany od pocisków z broni palnej? Rany kłute? A może ciała zostały zmiażdżone, gdyż po nich przejechano? Zdaje się, że w dzisiejszych czasach rozjeżdżanie ofiar stało się *modus operandi* wielu zbrodniarzy.

– Obrażenia tych ludzi były śmiertelne – oznajmił Saunders. – W chwili obecnej mogę powiedzieć tylko tyle. O dwunastej biuro prasowe policji opublikuje oficjalny komunikat.

– A co ze zniszczeniami w sklepie BrainWave? – zapytała dziennikarka z „Wandsworth Guardian”. – Czy mają jakiś związek ze zgonem tych ludzi?

– Nie odpowiem już na żadne pytanie – powiedział Saunders. – Muszę jednak coś dodać. Policja pragnie prosić wszystkich mieszkańców Tooting i najbliższych okolic o wzmożoną czujność. Dotyczy to naprawdę *wszystkich*. Radzimy unikać odizolowanych miejsc, szczególnie w porze nocnej, szczególnie osobom samotnym i poruszającym się w małych grupach.

– A czego konkretnie ludzie powinni się wystrzegać? – zapytał dziennikarz BBC.

– Osób, które zachowują się w nietypowy sposób, oraz tych, które wydają się podejrzane.

– To niewiele mówi.

– Zgadzam się. Niestety, na tę chwilę nie dysponujemy dokładniejszymi wskazówkami. Jeszcze nie. Po prostu apelujemy do wszystkich o zachowanie szczególnej ostrożności. Nie chcemy, żeby doszło do kolejnych aktów agresji.

– Ze strony terrorystów?

– Ze strony osób, które zachowują się nietypowo i nietypowo wyglądają. Tyle mogę w tej chwili powiedzieć.

– Inspektorze Saunders! – zawołał dziennikarz Sky News. – Chodzi o ISIS?

Saunders zignorował go. Odwrócił się plecami do kamer, podszedł do swojego vauxhalla i usiadł za kierownicą. Dziennikarz głośno powtórzył pytanie, ale policjant nawet na niego nie spojrzał. Odjechał od krawężnika, a jeden z mundurowych uniósł taśmę, żeby mógł przejechać, i natychmiast pognał pustą ulicą na wschód.

Dziennikarze z nadzieją popatrzyli na Jerry'ego i Dżamilę. Ruszył w ich kierunku reporter z BBC. W wyciągniętej ręce trzymał mikrofon z emblematem stacji. Za reporterem podążał kamerzysta.

– Lepiej stąd zwiewajmy – powiedział Jerry. – W przeciwnym wypadku będziemy musieli im powiedzieć jeszcze wiele okrągłych słówek.

– Pewnie bym nie potrafiła – odparła Dżamila. – Chyba chorowałam, kiedy uczyli tego w szkole policyjnej.

Po kilku godzinach Saunders ujawnił na konferencji prasowej personalia Ronalda Firbanka i Nuying Liu, jednak praktycznie nie powiedział nic więcej.

Przyznał, że ich obrażenia były „rozległe", ale nie wdał się w żadne szczegóły. Wciąż nie ujawniał, że Peter Wakefield został rozdarty na kawałki, informując jedynie, że ofiarę spotkała „okrutna śmierć".

Powtórzył ostrzeżenie, że ludzie powinni mieć oczy otwarte, ponieważ „w najbliższej okolicy pojawiło się kilku prawdopodobnie wysoce niebezpiecznych przestępców". Oficer prasowy, kobieta, siedziała obok niego we fioletowym kostiumie i z niewyraźną miną. Saunders opowiedział jej pokrótce o używanych ubraniach, które prawdopodobnie miały wpływ na decyzję Samiry Wazir o popełnieniu samobójstwa oraz na działania czterech osób podejrzanych o popełnienie morderstw. Opowiedział jej również o budrysówkach, które zaatakowały Jerry'ego i Alice. Chociaż nie pozostawił cienia wątpliwości, że jest śmiertelnie poważny, jego informacje uznała za wysoce niewiarygodne.

– Na miłość boską, inspektorze, za kogo pan mnie bierze? Za idiotkę? Przecież płaszcze nie mogą biegać same po ulicach!

Ale w końcu zdołał ją przekonać, że powstało realne zagrożenie dla mieszkańców i nieważne jest, czy jego źródłem są same płaszcze, czy noszący je ludzie. Przyjąwszy ten punkt widzenia, niechętnie zgodziła się z Jerrym, że należy opowiedzieć dziennikarzom o nowym narkotyku, który zamienia ludzi w morderców.

– Przynajmniej będę mogła później powiedzieć, że się pomyliłam, a nikt mi nie zarzuci, że oszalałam – powiedziała Saundersowi. – Ale szczerze mówiąc, to wszystko brzmi dla mnie tak, jakbyście sami zażyli ten nowy narkotyk.

Saunders jedynie zacisnął usta. Sfrustrowany po rozmowie z kobietą narysował w swoim notatniku krowę.

W czasie konferencji prasowej wolny strzelec reprezentujący „The Sun” podniósł rękę i zawołał:

– Ten narkotyk, inspektorze, czy on ma jakąś nazwę?

– Fireball XL5 – odparował Saunders. – Tylko tyle o nim wiemy. Nie udało nam się jeszcze skonfiskować ani odrobiny, więc nie przeanalizowaliśmy jego składu. Wiemy jedynie, że osoby, które go zażywają, nabierają przekonania, że są zupełnie kimś innym, a ta druga tożsamość chce skrzywdzić każdego, kto może jej zagrozić. I to bardzo skrzywdzić.

– A co pan powie o Ronaldzie Firbanku i Nuying Liu? Czy oni komuś zagrażali?

– Na razie nic nam na ten temat nie wiadomo. Rozmawialiśmy z ich znajomymi i oni twierdzą, że byli spokojną i lubianą parą. Oczywiście śledztwo trwa, jednak na tym etapie przyjęliśmy, że są oni ofiarami przypadkowymi, a atak na nich nie ma żadnego motywu. Właśnie dlatego prosimy wszystkich o ostrożność.

– Skąd pochodzi Fireball XL5? Kto sprzedaje ten narkotyk? Wie pan coś na ten temat?

– Wciąż nad tym pracujemy.

– Teren na miejscu zbrodni – odezwał się dziennikarz z BBC – został osłonięty na długości ponad pięćdziesięciu metrów. Mógłby pan wyjaśnić, dlaczego tak się stało?

– Tak postanowiła ekipa techniczna. Nie będę tego komentował.

– Czy to prawda, że zwłoki Firbanka i Nuying Liu były poćwiartowane?

– Tego również nie skomentuję. Czekamy na wyniki sekcji zwłok i prawdopodobnie to jeszcze trochę potrwa.

– A co pan wie na temat rozbitego okna wystawowego w sklepie BrainWave? Rozmawiałem z kierownikiem sklepu, który powiedział, że skradziono z niego trzy czwarte ubrań. Czy policja wie już, kto to zrobił i czy ta kradzież ma związek z morderstwami?

– Wciąż prowadzimy w tej sprawie dochodzenie. Za wcześnie na szczegóły.

Konferencja prasowa dobiegła końca, jednak dziennikarze nie wydawali się bynajmniej usatysfakcjonowani. Dwaj z nich znali Jerry’ego i natychmiast do niego podeszli, chcąc uzyskać od niego więcej szczegółów. Jerry tylko wzruszył ramionami.

– Będziecie musieli jeszcze poczekać. Przykro mi – odpowiedział na ich pytania.

– Och, daj spokój, Jerry – zareagował dziennikarz z „Evening Standard”. – Przecież wy się zachowujecie gorzej niż prezydent Trump na swoich konferencjach. Jerry, stary, teraz rozmawiasz ze mną, a nie z jakimś dupkiem z pieprzonego BBC.

– Posłuchaj, wkrótce dowiesz się więcej – odparł Jerry. – A wtedy pożałujesz, że w ogóle coś wiesz, ponieważ nie zdołasz znaleźć słów, żeby to wszystko opisać.

– Do diabła, co to znaczy?

– Gdybym ci powiedział, i tak niczego byś nie zrozumiał.

Dwaj dziennikarze popatrzyli po sobie z zaskoczeniem. Jerry chciał jeszcze coś powiedzieć, ponieważ lubił ich podpuszczać, ale Dżamila go zawołała.

Ufała Jerry’emu, jednak nie ufała dziennikarzom.

41

Jerry zamówił na lunch tylko pasztecik na ciepło, ale i tak spory kawałek pozostawił na talerzu. Właśnie wyrzucał resztki do kosza na śmieci, gdy podeszła Dżamila i powiedziała, że dzwoniła doktor Stewart. Mniej więcej trzy godziny wcześniej Mindy przewieziono do Springfield i można ją przesłuchać.

Wkładając płaszcz przeciwdeszczowy, Jerry zapytał:

– A co z pozostałymi?

– Bez zmian. Ich stan się nie polepsza. Wszyscy wciąż są przekonani, że niedługo umrą.

– Hmm… może te duchy, które ich opętały, po prostu umrą? Twierdzą, że koniecznie muszą się najeść ludzkim mięsem, prawda? Tymczasem szpital raczej nie zaserwuje im przysmaków z niemowlaka. Pozostaje pytanie, czy razem z nimi umrą ich gospodarze.

– Nie mam pojęcia, Jerry. Sądzę jednak, że nie będziemy musieli długo czekać, aby się o tym przekonać.

Gdy szli do samochodu, Jerry wyciągnął do Dżamili rękę z kluczykami.

– Chcesz poprowadzić, pani sierżant?

– Jesteś pierwszym mężczyzną, który zadał mi takie pytanie. Ale nie, dziękuję, jestem kiepskim kierowcą. I to nie dlatego, że jestem kobietą, ale dlatego, że jestem Pakistanką. W ubiegłym roku w moim kraju prawie trzydzieści trzy tysiące osób zginęło w wypadkach drogowych.

– Cholera. To dwa razy więcej niż mieszka w Tooting. Wycofuję propozycję. Gdybym pozwolił ci prowadzić, cała dzielnica mogłaby się zmienić w jeden wielki cmentarz.

Dżamila uśmiechnęła się do Jerry’ego. Znowu dostrzegł w jej oczach ten błysk, który już znał, a który oznaczał: lubię cię i pozwoliłabym sobie polubić cię jeszcze mocniej, gdyby tylko nasze przeznaczenie było inne.

Myśl ta sprawiła mu przyjemność, ale zarazem zasmuciła go.

Cherry Mwandi już na nich czekała i poprowadziła ich prosto do odizolowanego skrzydła szpitalnego, gdzie umieszczono najcięższe przypadki. Na posterunku tkwił tym razem wyraźnie znudzony czarnoskóry funkcjonariusz. Na kolanach trzymał książkę, jednak z natężeniem wpatrywał się w ścianę, sprawiając wrażenie, że głęboko nad czymś myśli.

– Co czytasz? – zapytał go Jerry.

Policjant podniósł książkę, żeby Jerry mógł przeczytać tytuł z okładki: *Krótka historia czasu*.

– W każdym razie próbuję to przeczytać – wyjaśnił policjant. – Myślałem, że dzięki tej książce czas będzie mi upływał szybciej, ale zdaje się, że ta lektura jeszcze go spowalnia.

Pielęgniarka poprowadziła ich korytarzem do sali, w której umieszczono Mindy.

– Rozmawiała z panią? – zapytała Dżamila.

– Właściwie nie. Kiedy ją przywieziono, była mocno otumaniona środkami przeciwbólowymi. Pytała, gdzie się znajduje, poprosiła o wodę do picia, a mniej więcej pół godziny temu poprosiła o wódkę.

– Wódkę?! I co, dostała ją?

Otwierając drzwi kluczem, Cherry pokręciła głową z dezaprobatą.

– Oczywiście, że nie. Poza tym jest podłączona do kroplówki. Uzupełniamy płyny, które utraciła w czasie operacji.

Mindy leżała na łóżku z uniesionymi bocznymi barierkami, żeby nie wypadła. Jerry dostrzegł, że ona również jest przypięta niebieskim pasem. Była blada, miała opuchnięte oczy i czerwone krosty wokół ust. Ktoś porządnie uczesał jej lśniące ciemne włosy. Jerry nie mógł uwierzyć, że ta ładna dziewięcioletnia dziewczynka z zadartym noskiem z takim okrucieństwem zamordowała swoich rodziców, a potem odcięła i zjadła penis nieznajomego mężczyzny.

Jerry i Dżamila usiedli po przeciwnych stronach łóżka. Mindy przez chwilą taksowała oboje podejrzliwym wzrokiem.

– Znam was – powiedziała wreszcie chrapliwym szeptem.

– Tak – przyznała Dżamila. – Już z tobą rozmawialiśmy. Jestem sierżant Dżamila Patel, a ten pan to posterunkowy Jerry Pardoe. Musimy zadać ci kilka pytań i jestem pewna, że będziesz z nami współpracować.

– Jakie to ma znaczenie? Ja przecież i tak umieram.

– Wcale nie umierasz. Doświadczyłaś traumatycznych przeżyć i musiałaś przejść poważną operację, ale już niczym nie musisz się martwić. Niedługo poczujesz się znacznie lepiej.

– Mylisz się. Ja umieram. Wiem, co to znaczy umierać. Umarłam już dawno temu.

– Jak się nazywasz, kochanie? – zapytał Jerry.

– Już ci mówiłam. Warwara.

Jerry popatrzył na Dżamilę.

– Mieliśmy rację – powiedział.

Skinął głową w kierunku pokoju Sophie, a potem bezgłośnie wypowiedział słowa „obie są Warwarami”.

– W jaki sposób umarłaś, Warwaro? – Dżamila położyła dłoń na ręce Mindy.

– Miałam grypę. Nie mogłam oddychać. Zabrali mnie do szpitala, ale tam zachorowałam na zapalenie płuc. Nie chcę po raz drugi umrzeć w taki sposób. Miałam wrażenie, że tonę, choć leżałam w łóżku.

– Warwaro, nie wolno ci być tak samolubną – powiedziała Dżamila. – Ukradłaś tej biednej dziewczynce umysł i ciało i sprawiłaś, że przyznała się do najbardziej okrutnych zbrodni.

– A co innego mogłam zrobić? Byłam głodna – odparła Mindy. – Istnieje tylko jeden sposób, żebym mogła wrócić do życia: muszę jeść. A kogo obchodzi ta dziewczynka? Ona jest nikim. Ważne jest tylko moje życie.

– Ty już przeżyłaś swoje życie, Warwaro. A Mindy ma zaledwie dziewięć lat. Zasługuje, żeby przeżyć własne.

– Ha! Przeżyje je sobie, oczywiście. Jeżeli nie dostanę niczego do jedzenia, umrę w ciągu dwóch dni. Tym razem nawet nie będę miała pogrzebu.

– Aby pozostać przy życiu, potrzebujesz ludzkiego ciała, prawda? – zapytał Jerry.

– Oczywiście. Potrzebuję nowego ciała, ponieważ moje zostało skremowane. Jestem teraz tylko popiołem i muszę się odbudować. Potrzebuję do tego ludzkiego ciała, niczego więcej.

– Istnieje sposób, żebym mogła porozmawiać z Mindy? – zapytała Dżamila.

Mindy wpatrywała się w nią przez dłuższą chwilę i wreszcie odpowiedziała:

– Nie. A po co chcesz z nią rozmawiać?

– Czy ona wciąż jest w tobie?

– Śpi.

– Ale żyje i jest bezpieczna?

– Muszę coś zjeść. Jestem głodna. Zjadłabym własne ręce. Moglibyście, bardzo was proszę, znaleźć mi coś do jedzenia? To jest szpital, prawda? Przecież tutaj muszą być jacyś chorzy albo martwi ludzie, których nikt już nie chce.

– Warwaro, powiedz mi coś o sobie – poprosiła Dżamila. – Gdzie się urodziłaś?

– A jakie to ma znaczenie? Jestem strasznie głodna.

– To mogłoby nam dopomóc w zrozumieniu, co się z tobą stało… w jaki sposób przejęłaś ciało Mindy. Jeżeli to zrozumiemy… nie wiem, ale niewykluczone, że w jakiś sposób będziemy mogli ci pomóc.

– Chcecie mi pomóc w umieraniu? To było wystarczająco straszne za pierwszym razem, a teraz pewnie będzie jeszcze gorsze.

– Proszę cię, powiedz nam po prostu, skąd pochodzisz.

– Urodziłam się w Wilnie – powiedziała Mindy. – Dwunastego października tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego roku.

– W Wilnie? To jest stolica Litwy, prawda? – zapytał Jerry.

Mindy popatrzyła na niego jak na kogoś opóźnionego w rozwoju.

– Oczywiście. Masz wątpliwości?

– A kiedy przyjechałaś do Anglii?

– W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym roku. Poznałam mojego męża, Wiktora, kiedy przyjechał na Litwę pracować dla Achemy, firmy produkującej nawozy sztuczne. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku w fabryce doszło do wybuchu i nad okolicą rozpostarła się ogromna chmura amoniaku. Wchłonęłam go znaczną ilość i później już do śmierci miałam problemy z płucami. Wiktor otrzymał pracę w Merton i przeprowadziliśmy się tutaj, jednak wciąż czułam bóle w klatce piersiowej i łatwo łapałam przeziębienia. To dlatego zmarłam przedwcześnie. Nie uważacie, że zasługuję na nowe życie?

– Na pewno nie kosztem Mindy, kochana – odparł Jerry. – Zniszczyłaś tę dziewczynkę na zawsze. Zamordowała własnych rodziców i okaleczyła faceta, który ją zwabił do siebie, nawet jeśli sam się o to prosił. Kiedy

umrzesz, a Mindy wróci do swojego ciała, jak sądzisz, jak ona sobie z tym wszystkim poradzi? Zdziwię się, jeśli nie oszaleje.

Gdy Jerry mówił, Mindy zamknęła oczy, jakby chciała mu pokazać, że wcale go nie słucha. Ale kiedy skończył, niespodziewanie je otworzyła i zaczęła mrugać powiekami. Zacisnęła dłonie na kołdrze.

– Co to za światło? – zapytała.

– Jakie światło?

– Czerwone. Dlaczego świecicie mi czerwonym światłem prosto w oczy?

– Nikt ci nie świeci w oczy, Warwaro. Nie wiem, o czym mówisz.

– To mnie oślepia! – powiedziała ze złością i zakryła oczy rękami. – Powiedz, żeby je wyłączyli!

– Zawołam pielęgniarkę – postanowiła Dżamila i nacisnęła przycisk alarmowy.

– To mnie oślepia! Nic nie widzę!

Pojawiła się pielęgniarka, a za nią Cherry Mwandi.

Mindy przyciskała dłonie do oczu, ale milczała już, mimo że pielęgniarka zapytała ją, co się dzieje. Po dwóch lub trzech minutach oderwała dłonie od oczu i popatrzyła w sufit.

– Warwara? Możesz odpowiadać na pytania? – zapytała Dżamila, jednak dziewczynka nie zareagowała.

– Najlepiej będzie, jeśli już ją zostawicie – powiedziała Cherry. – Doktor Steward nie pozwala jej denerwować. Wciąż nie do końca wiadomo, co się z nią dzieje, i nie chcemy, żeby jej stan się pogorszył.

– Rozumiem. – Dżamila pokiwała głową. – Proszę nas informować na bieżąco o jej stanie.

Opuścili szpital i w gęstym korku ruszyli na komisariat. Po drodze Dżamila intensywnie zajmowała się swoim iPhone’em i podniosła znad niego wzrok dopiero na skrzyżowaniu z Tooting Broadway.

Czekając na zmianę świateł, Jerry się odezwał:

– Jak myślisz, o co jej chodziło z tym czerwonym światłem?

– Nie chcę nawet zgadywać. Musimy pamiętać, w jakim stanie psychicznym jest ta dziewczynka. Zaniepokoiło mnie jednak to, co mówiła o życiu na Litwie. Jeżeli nie opętała jej Warwara, to skąd wiedziałaby o wybuchu w fabryce nawozów? Właśnie znalazłam

w Google’u informację, że w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku rzeczywiście doszło tam do wybuchu, o którym mówiła.

– Bingo.

– Naprawdę do atmosfery przedostał się amoniak. Trująca chmura miała siedem kilometrów szerokości i pięćdziesiąt kilometrów długości. Spowodowała w okolicznych miastach śmierć siedmiorga ludzi. Setki osób doznało zawału serca i miało problemy z oddychaniem.

– Cóż, jeżeli to naprawdę jest ona, pani sierżant, jej historia mniej więcej pasuje do tego, co myślałem o czerwonym świetle. To może chodzić o światło *podczerwone*.

– Nie rozumiem.

– Ona tkwi w Mindy, prawda? A jednocześnie znajduje się w ciele Sophie Marshall, przebywa zatem w dwóch miejscach naraz. Ale tych miejsc być może jest jeszcze więcej. Możliwe, że wciąż jeszcze jest w kurtce. Doktor Fuller wysłał ją do badań na Lambeth Road, a tam z pewnością używają mikroskopu na podczerwień.

– I myślisz, że Mindy właśnie to zobaczyła?

– To są tylko moje luźne domysły, ale tak przecież mogło być. I jeszcze jedno… jeżeli ona wciąż znajduje się w kurtce, lepiej, żeby nikt jej nie przymierzał, bo skończy jak Sophie i Mindy. To samo dotyczy tego płaszcza, który nosili Samira i Jamie, płaszcza Laury Miller i swetra Davida Nelsona.

– Wątpię, żeby ktoś w laboratorium chciał przymierzać przedmiot badań, ale na wszelki wypadek ich ostrzegę. Chyba nie muszę im wyjaśniać przyczyn, co?

– Chyba nie. To w końcu profesjonaliści – odparł Jerry i skręcił na parking przy komisariacie. – W gruncie rzeczy sami nadal nie znamy tych przyczyn.

42

Jerry nie potrafił określić dlaczego, ale w miarę jak upływał dzień, ogarniało go coraz silniejsze przeczucie, że wkrótce wydarzy się coś strasznego. Nie miał podobnego przeczucia od dnia, w którym wszedł do pubu Two Chairmen przy Dartmouth Street, niedaleko Scotland Yardu, i zobaczył dwóch detektywów policyjnych pogrążonych w rozmowie z facetem o bogatej przeszłości kryminalnej. Po rozmowie detektywi otrzymali od niego mocno wypchaną kopertę.

Chociaż było dopiero piętnaście po trzeciej, niebo zrobiło się niemal czarne i w okna zaczęły uderzać grube krople deszczu. Jednocześnie na komisariacie zapadła nienaturalna cisza; nikt nie krzyczał, nie biegał i nie trzaskał drzwiami. W którymś z pomieszczeń jedynie uparcie dzwonił telefon, którego nikt nie zamierzał odebrać.

W tej dziwnej ciszy Jerry usłyszał czyjeś kroki za drzwiami pokoju detektywów. Po chwili drzwi się otworzyły i w progu stanął inspektor French. Zacierał ręce i wyglądał na nadzwyczaj zadowolonego z siebie.

– Jutro z samego rana Liepa będzie miał wstępne przesłuchanie przed sądem pokoju, mam więc nadzieję, Jerry, że napisałeś już raport?

– Właśnie nad nim pracuję.

– To nie powinno długo potrwać. Mam nadzieję, że jak nic zostanie skazany na dwadzieścia dziewięć lat odsiadki.

– A termin pogrzebu Whiteya jest już znany?

– Tak. Odbędzie się w najbliższy czwartek po południu, o drugiej, w katedrze w Southwark. Z pełnym oficjalnym ceremoniałem… Będzie poczet sztandarowy policji, karawan zaprzężony w konie, gwardia honorowa i tak dalej. Więcej informacji ma asystentka Callowa.

– Jasne, dzięki.

French stał jeszcze przez chwilę w drzwiach, jakby się wahał przed zadaniem pytania.

– Przy okazji… jak wam idzie z tą dwójką z Rookstone Road? Pytałem Saundersa, ale był dość tajemniczy, mówiąc łagodnie. Powiedział mi, że podejrzewacie jakiś gang, ale poza tym nie chciał zdradzić nic więcej.

– Myślę, że niczego przed panem nie ukrywa, szefie. Po prostu nie mamy żadnych świadków, z badań kryminalistycznych też nie wyniknął żaden nowy trop.

– Dziwna sprawa. Bardzo dziwna. Przypomina mi pierwsze morderstwo, z którym miałem do czynienia. Na kąpielisku znaleziono w wodzie ciężarną kobietę bez głowy i bez nóg. Od razu przypuszczaliśmy, że to robota jakiegoś gangu. Osobiście uważałem, że zabili ją chłopcy z Tooting Trap Stars, ale nigdy nie znalazłem mordercy.

– Może teraz sytuacja jest trochę inna? – zasugerował Jerry.

– Myślisz, że to robota Tooting Boys? Oni zawsze walczą pomiędzy sobą na siekiery, o ile pamiętam [1].

Jerry miał wielką ochotę opowiedzieć mu o płaszczach, mógł jednak tylko wzruszyć ramionami i skoncentrować uwagę na ekranie laptopa. Saunders nalegał, żeby poza Jerrym, Dżamilą i tymi policjantami, którzy na własne oczy widzieli poruszające się ubrania, nikt inny nie wiedział, w jakim kierunku zmierzają podejrzenia – przynajmniej do czasu, kiedy nie będzie już można zachowywać tego w tajemnicy. Nawet inspektor Callow wciąż był przekonany, że za morderstwa odpowiada jeden z miejscowych młodocianych gangów, a nie jakieś tam puste płaszcze.

Jerry wrócił do raportu. Pisał na klawiaturze dwoma palcami: „…pojazd kierowany przez Herkusa Adomaitisa, z Jakobusem Liepą na miejscu pasażera, uderzył w posterunkowego Whi…”

Przerwało mu trzaśnięcie drzwiami, a potem jakieś krzyki i bieganina. Wstał, żeby podejść do drzwi i zorientować się, co jest źródłem hałasu, ale w tym momencie usłyszał zawodzenie syren, głosy dochodzące z parkingu i pisk opon, gdy samochody patrolowe zaczęły jeden po drugim wyjeżdżać na ulicę. Było ich przynajmniej pięć. A kilka sekund później zadzwonił jego telefon.

– Jerry? – W słuchawce odezwał się Saunders. Był zdyszany, jakby przed chwilą biegł. – Jestem na stanowisku dowodzenia. Zejdź do mnie natychmiast.

– Co się dzieje?

– Chodź tutaj i sam zobacz. Mniej więcej dziesięć minut temu sierżant Bristow odebrał telefon od szefa zmiany z centrum monitoringu w Wandsworth. Niemal równocześnie ktoś zaatakował kilka sklepów z używanymi ubraniami położonych przy Tooting Broadway i Mitcham Road. Wybito w nich wszystkie okna wystawowe. Obiektem ataków był również Primark i sklep z modną odzieżą o nazwie Xclusive. W tej chwili jakieś dzikie gangi biegają po ulicach, atakują przechodniów, przewracają ich i wrzucają pod przejeżdżające samochody.

– Gdy mówi pan „gangi”…

– Na monitorach nie widać wyraźnie napastników. Telefony alarmowe dzwonią bez przerwy i wszyscy powtarzają to samo. Ludzie mówią, że napastnikami są płaszcze, kurtki i swetry, w których nikogo nie ma. Napastnicy nie mają głów, rąk ani nóg, a jednak zadają ofiarom poważne obrażenia. Trudno w tej chwili ocenić skalę przemocy, na razie wysłaliśmy w teren sześć samochodów patrolowych i dwa pojazdy opancerzone. Jeżeli sytuacja wymknie się spod kontroli, będziemy musieli użyć większych środków.

– Rozumiem, szefie. Zaraz tam będę.

Jerry chwycił płaszcz z wieszaka na drzwiach i zbiegł po schodach do pokoju dowodzenia. Byli tam już Saunders, Willis i sierżant Bristow. Wpatrywali się w sześć monitorów, które były połączone z centrum monitoringu miejskiego, znajdującym się w ratuszu miejskim w Wandsworth. Na jednym z monitorów widoczne było skrzyżowanie Tooting Broadway z Mitcham Road. Ruch uliczny praktycznie zamarł, a ludzie w panice biegali pomiędzy samochodami.

Początkowo trudno było się zorientować, skąd wszyscy biegną, lecz w pewnym momencie kilkadziesiąt osób zgromadziło się wokół wejścia do stacji metra. Grupa minęła pomnik Edwarda VII. Większość postaci miała nasunięte kaptury, lecz Jerry stwierdził, że wyglądają tak samo jak te, które zaatakowały jego i Alice. Dostrzegł także swetry i suknie bez głów.

Co jakiś czas któreś z ubrań łapało uciekającego człowieka, unieruchamiało go i zaczynało bezlitośnie bić albo wypychało go na jezdnię.

– Czy to się dzieje naprawdę? – zapytał Saunders z trwogą i niedowierzaniem. – Przecież to nie jest jedynie atak masowej histerii. Te wydarzenia rozgrywają się naprawdę, na naszych oczach.

– Tak, szefie.

– Musimy tam jechać. Gdzie jest sierżant Patel?

– Dwadzieścia minut temu wyszła, żeby coś zjeść – odparł Jerry. – Już do niej dzwonię.

– Dzwoń. Daj mi znać, jak wróci. Ja tymczasem poinformuję o sytuacji Callowa i za chwilę spotkamy się przed komisariatem.

Jerry podszedł do stanowiska dyżurnego i odebrał kluczyki do samochodu. Dyżur pełnił akurat sierżant Clark, siwiejący facet o wydatnym brzuchu.

– Cholerne pandemonium, co? – odezwał się. – Pieprzona trzecia wojna światowa.

Jerry wyszedł na parking. Musiał uskoczyć w bok przed kolejnym wozem patrolowym, który z piskiem opon i zawodzeniem syreny wyjeżdżał na ulicę. Sam wsiadł do nieoznakowanego srebrnego mondeo i wyjechał z parkingu, żeby przed głównym wejściem do budynku poczekać na Dżamilę i Saundersa. Czekając, słuchał przez radio chaotycznych informacji o ostatnich wydarzeniach.

„Ponad setka zgromadziła się przed wejściem do metra. Nie wierzę w to, co widzę! To są pieprzone płaszcze”.

„Jeszcze większa grupa biegnie Broadwayem od Garratt Lane, kierując się na południe. Jest ich przynajmniej pięćdziesiąt albo nawet sześćdziesiąt. To są płaszcze, kurtki, koszule i jeden Bóg wie co jeszcze”.

„Przebiegają teraz przez jezdnię. W ogóle się nie zatrzymują. Nie zwracają najmniejszej uwagi na pojazdy, nawet na autobusy”.

Dżamila wskoczyła na fotel pasażera. Jerry poczuł od niej zapach curry. Chwilę później z komisariatu wybiegł Saunders i zajął miejsce na tylnej kanapie samochodu.

– Jedziemy – zarządził. – Muszę to zobaczyć na własne oczy. Callow już zamówił oddział do tłumienia zamieszek z Sutton, a Jednostka Wsparcia Powietrznego z Lippitt’s Hill przyśle helikopter.

Jerry ruszył w kierunku Amen Corner, ale gdy tylko tam dotarł, zorientował się, że przelotowa Mitcham Road pełna jest samochodów i autobusów. Część kierowców powysiadała ze swoich aut, żeby się zorientować, co powstrzymuje ruch. Jerry włączył więc koguta na dachu i co kilka chwil uruchamiał syrenę. Samochody cofały się, przepuszczając

go, i dzięki temu powoli dotarł na środek jezdni. Poruszając się pomiędzy dwoma przeciwnymi pasami ruchu, znów mógł jechać w miarę szybko.

Pierwszych biegnących ludzi zobaczył już przy Granada Bingo Hall. Sprawiali wrażenie, jakby uciekali z miejsca ataku terrorystycznego. Najpierw było ich tylko kilkoro, a potem coraz więcej i więcej. Matki w panice pchały wózki z niemowlętami, uciekały z małymi dziećmi na rękach, a ludzie, którzy wyszli ze sklepów, porzucali torby z zakupami, żeby móc szybciej biec. Jakiś mężczyzna o azjatyckich rysach przerzucił sobie nawet przez ramię starszą kobietę w hidżabie.

Tuż za uciekającym tłumem pojawiły się płaszcze i kurtki. Jerry zobaczył, jak poruszają się falami, płaszcze – czarne, granatowe i w kolorze khaki, a także anoraki – brązowe, ciemnoszare i w kratę. Nie miały głów, jednak wymachiwały rękawami i niepowstrzymanie sunęły chodnikiem.

Gdy tylko któryś z płaszczy dopadł człowieka, natychmiast obejmował go rękawami. Następnie rzucał nim o ścianę lub drzwi najbliższego budynku albo o słup oświetleniowy. Jeśli nieszczęśnik od razu nie stracił przytomności, płaszcz bił go dopóty, dopóki nie zaczął broczyć krwią. Nieprzytomnych ludzi płaszcze układały na chodniku twarzami w dół, a potem przekręcały ich głowy, łamiąc im karki.

Ubrań najróżniejszego rodzaju było całe mnóstwo, poruszały się tak szybko, że wkrótce zaczęły wyprzedzać ludzi i blokować im drogę ucieczki – rozłożonymi rękawami zagradzały im drogę, uniemożliwiając desperackie próby uniknięcia pułapki. Wkrótce na ulicy zaległo tak wiele zakrwawionych i zmaltretowanych ciał, że ludzie biegnący za pierwszymi uciekinierami zaczęli się o nie przewracać, stając się jeszcze łatwiejszą zdobyczą dla prześladujących ich hord ubrań.

– Chryste, to jest istna masakra – powiedział Saunders.

Chociaż szyby samochodu były podniesione, do jego wnętrza docierały okrzyki przerażenia i jeszcze jeden szczególny, dziwny dźwięk. Był to głęboki szum, jakby pełen nienawiści, podobny do wycia wiatru.

W radiu policyjnym słyszeli coraz bardziej chaotyczne rozmowy: „… straciliśmy kolejnych trzech ludzi… nie możemy…”, „…ich jest za dużo… wycofujemy się!”, „Boże, on mu urwał głowę! Pojawił się przed nim nie wiadomo skąd i urwał mu pierdoloną głowę!”.

Teraz wśród uciekającego tłumu można było dostrzec również umundurowanych policjantów. Bez opamiętania walili pałkami płaszcze

i kurtki, niby to usiłując je powstrzymać, było jednak oczywiste, że policjanci też walczą o życie. Trzy zakapturzone płaszcze rzuciły się na posterunkowego. Obaliły go na ziemię, a potem pojawiło się ich więcej i wszystkie zaczęły go szarpać. Kiedy z nim skończyły, z nieszczęśnika właściwie nic nie zostało.

Rozległy się odgłosy trzech strzałów, a potem kolejnych dwóch, jednak na ulicy wciąż nie pojawiały się uzbrojone oddziały, a żadna z rzeczy nie sprawiała wrażenia, że została trafiona pociskiem.

Jerry próbował jechać dalej, ale jakiś autobus częściowo zatarasował drogę. Początkowo próbował spychać zderzakiem samochody. Zderzył się bokiem z jadącym obok jaguarem. Kierowca pogroził mu pięścią, zaczął krzyczeć i chciał wysiąść z auta, ale sczepiony z nim zderzakiem pojazd policyjny znajdował się tak blisko, że nie zdołał otworzyć drzwi.

Jerry mocniej nacisnął na pedał gazu, jednak nie ujechał nawet metra, gdy pomiędzy samochody zaczęły się przedostawać płaszcze, kurtki i suknie, z całych sił uderzając rękawami w okna i karoserie, rozbijały szyby i sięgały do kabin, wywlekając na zewnątrz bezradnych kierowców i pasażerów.

Jerry włączył wsteczny bieg i przy akompaniamencie zgrzytu rozdzieranej blachy oderwał się od jaguara. Następnie nacisnął pedał gazu i nie oglądając się do tyłu, zaczął wycofywać auto, wciąż jadąc pomiędzy samochodami poruszającymi się w przeciwnych kierunkach. Uderzył w kilka aut osobowych oraz furgonetkę z supermarketu internetowego Ocado, w końcu jednak dotarł do Amen Corner, a potem na policyjny parking, chociaż w ostatniej chwili uderzył bagażnikiem w ścianę budynku i przewrócił motocykl patrolowy.

Wszyscy troje byli wstrząśnięci.

– Znajdźmy Callowa, i to szybko. Pewnie to wszystko obserwuje, jednak musimy go przekonać, że powinien ogłosić Kod 13, najwyższy stopień zagrożenia.

Pobiegli po schodach. Policjanci na komisariacie biegali jak opętani po korytarzach, telefony nie przestawały dzwonić. Znaleźli inspektora Callowa w pokoju dowodzenia. Był bardzo wysokim mężczyzną o rzednących brązowych włosach, pociągłej twarzy i lśniących małych oczkach. Wpatrywał się w ekrany monitoringu, przyciskając dłoń do ust, i miał taką

minę, jakby nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Kiedy Saunders, Dżamila i Jerry weszli do pokoju, odwrócił się, pokręcił głową i powiedział:

– Przecież to są tyko ubrania. Nikogo w nich nie ma. Ja chyba oszalałem.

Funkcjonariusz w koszuli z krótkimi rękawami, który zdalnie operował systemem monitoringu, odezwał się przejętym głosem:

– Bez wątpienia zmierzają w naszym kierunku. Minęły już skrzyżowanie z Avarn Road. Niedługo będą przed komisariatem.

– Masz rację – odparł Callow. – Zamykamy komisariat na cztery spusty, ale kilku ludzi musi stać przy drzwiach i je otwierać, żeby wpuszczać wycofujących się policjantów.

– Jak wygląda sytuacja pod względem operacyjnym? – zapytał Jerry.

– W tej chwili panuje całkowity chaos. Z Sutton otrzymaliśmy oddział złożony z dwudziestu siedmiu uzbrojonych po zęby ludzi i dwa pojazdy opancerzone. Oddział próbował zepchnąć buntowników na stację metra, ale absolutnie niczego nie wskórał. Teraz nasi ludzie uciekają. Popatrz tylko na ekran. O, tam dokładnie widać jednego z nich. A tam drugiego. Porzucili nawet tarcze.

– Nazywa ich pan buntownikami? – zapytała Dżamila.

– A jak ich inaczej nazwać? Przecież to czysty surrealizm. Ale jednocześnie to dzieje się naprawdę. Dwaj uzbrojeni funkcjonariusze strzelali do nich, oddali co najmniej kilka strzałów. Bez żadnego efektu. No ale jak można zastrzelić ubranie? – Zamilkł, obserwując, jak fala przerażonych ludzi płynie całą szerokością Mitcham Road. – Gdy tylko się zorientowałem, że wydarzenia wymykają się spod kontroli, od razu skontaktowałem się z zastępcą szefa policji, Broadbentem. W pierwszej chwili nie chciał wierzyć w to, co mówiłem, i trudno mu się dziwić. Zapytał mnie nawet, czy coś piłem. Wtedy wysłałem mu link na komputer i sam mógł zobaczyć, co się dzieje. Mianował mnie dowódcą akcji ratunkowej i zdążyłem już wezwać wsparcie z całego hrabstwa. Broadbent gotów jest nawet skorzystać z sił SAS, jeżeli nie opanujemy sytuacji w ciągu najbliższych godzin. Jeden Bóg wie, ile będziemy dzisiaj mieć ofiar. Do diabła, co zrobić, żeby powstrzymać przed agresją *ubrania*?

– One są opętane, sir. Opętane przez jakieś duchy, najprawdopodobniej przez duchy zmarłych ludzi.

– Duchy? – Callow zrobił wielkie oczy.

– Wiem, że to brzmi dziwacznie, ale niech się pan zastanowi. Detektyw Pardoe i ja przesłuchaliśmy podejrzanych, którzy stwierdzili, że ich własne ubrania zamieniły ich w morderców, i oboje doszliśmy do przekonania, że opętanie ubrań jest najbardziej prawdopodobną przyczyną ostatnich wydarzeń. Nie można tego nazwać zakażeniem ani chorobą, chociaż to brzmiałoby trochę bardziej racjonalnie. W Pakistanie i w innych państwach azjatyckich istnieje wiele podań na temat takiego rodzaju opętania. W większości są to zwyczajne baśnie, jednak jest ich tak wiele i tak pokrywają się z tym, co teraz widzimy, że… że z pewnością tkwi w nich ziarno prawdy.

Inspektor Callow popatrzył na Saundersa.

– Simon? Ty nadzorujesz to śledztwo. Jakie jest twoje zdanie?

Saunders ruchem głowy wskazał na ekrany. Na wszystkich widać było różne ujęcia Tooting Broadway i Mitcham Road.

– Jak powiedziała przed chwilą detektyw sierżant Patel, sir, nie możemy udawać, że coś takiego się nie dzieje, tylko dlatego, że to jest dziwaczne. Niedawno znalazłem się w takiej samej sytuacji jak pan i w pierwszej chwili ja też nie chciałem w to uwierzyć.

– A więc zakładacie, że wasi podejrzani mówili prawdę i to ubrania skłoniły ich do popełnienia zbrodni?

Jerry i Dżamila wiedzieli, że Saunders nie powiedział Callowowi o tym, jak został zaatakowany przez martwych rodziców Mindy i jak Jerry go uratował, niszcząc ich ubrania.

– Jest duże prawdopodobieństwo, że tak właśnie było – powiedział Saunders. – Chociaż zawsze uważałem, że śmierć oznacza definitywny koniec człowieka. Każdy z nas kiedyś się rodzi i kiedyś umiera i nie można temu zaprzeczyć, prawda? Jednak nie potrafię znaleźć innego sensownego wyjaśnienia, dlaczego te ubrania biegają po ulicach i zabijają ludzi.

Na jednym z ekranów dwa płaszcze złapały za ręce młodą kobietę i kilkakrotnie uderzyły jej głową w oszkloną budkę telefoniczną. Krew i mózg rozmazały się na drzwiach.

– Boże – westchnął Callow. – Jak to jest możliwe?

– Nie mam pojęcia, sir, ale to się przecież dzieje naprawdę – odpowiedział mu Saunders. Jerry jeszcze nigdy nie słyszał u niego tak żałosnego głosu. – Dopóki ktoś nie udowodni, że sierżant Patel nie ma racji, gotów jestem jej wierzyć.

Jerry z ulgą przyjął te słowa i zorientował się, że podobnie odebrała je Dżamila. Oboje wiedzieli, że obawiając się ośmieszenia, Saunders skrywał nadprzyrodzone aspekty śledztwa, dopóki tylko mógł, ale teraz po prostu nie można było już zaprzeczać temu, co rozgrywało się na ich oczach.

– Z Wandsworth przybył oddział do tłumienia rozruchów, sir – powiedział operator monitoringu.

– W jaki sposób zamierza pan go użyć, sir? – zapytał Saunders.

– Niech staną w linii przed komisariatem i spróbują zepchnąć ubrania z powrotem w kierunku Mitcham Road – powiedział Callow. – W drodze są posiłki z Feltham i Shepherd's Bush, które powinny odciąć Tooting Broadway. Z Heathrow dostaniemy kilka samochodów opancerzonych. Tymi siłami powinniśmy okrążyć ubrania.

– A kiedy już to się uda?

Wyraz twarzy Callowa powiedział Jerry'emu, że nie ma pojęcia, co powinien wtedy zrobić. Do tej pory żadne metody nie zdołały powstrzymać atakujących ubrań, nawet broń palna. Cóż więcej można by zrobić?

1. Tooting Trap Stars, Tooting Boys – gangi faktycznie działające w Tooting (przyp. tłum.). [wróć]

43

Trzy policyjne furgonetki z Wandsworth stanęły jedna za drugą przed komisariatem. Inspektor Saunders wyszedł na powitanie oddziału do zwalczania rozruchów, a Jerry i Dżamila poszli za nim.

Na ulicy panował piekielny hałas. Od strony Mitcham Road docierały rozpaczliwe wrzaski i zawodzenie syren policyjnych, a także nieregularne huki wystrzałów i odgłosy rozbijanych samochodów oraz wystaw sklepowych.

Trzydziestu policjantów w pełnym rynsztunku do tłumienia rozruchów wyskoczyło z furgonetek i ustawiło się w szeregu na chodniku. Saunders podszedł do dowodzącego nimi sierżanta i powiedział:

– Zbliżają się, i to szybko. Musimy ich zatrzymać, zanim dotrą do komisariatu, a potem zepchnąć z powrotem w kierunku Tooting Broadway.

– Z kim mamy do czynienia? – zapytał sierżant. – O kim mówimy, co to za grupa?

– To są płaszcze, suknie, kurtki i różne inne ubrania – odparła Dżamila, wyręczając Saundersa. – Te ubrania nagle ożyły i są skrajnie niebezpieczne.

– I cholernie silne. Nie lekceważcie ich tylko dlatego, że są to jedynie części garderoby. Możecie je bić do utraty tchu, a to i tak ich nie zatrzyma. Możecie do nich strzelać, ale to również nie przyniesie efektu. Po prostu nadal będą parły przed siebie – dodał Jerry.

Sierżant popatrzył na niego dziwnym wzrokiem.

– Płaszcze i kurtki? Mówisz poważnie? Powiedziano mi, że mam powstrzymać zamieszki, nic więcej.

Jerry miał mu coś odpowiedzieć, ale zza rogu wyłoniły się pierwsze płaszcze. Nadal uderzały rękawami w samochody i rozbijały szyby, jednak teraz posuwały się wolniej i zajmowały całą szerokość ulicy. Wśród nich nie było już ludzi; bardzo wielu z nich zginęło, część zaś zdołała uciec w boczne ulice albo skryć się w kawiarniach i sklepach.

– Niech mnie… – jęknął sierżant. – To mi się chyba śni.

Do płaszczy dołączyły kurtki, wiatrówki i długie czarne suknie. Zatrzymały się na chwilę i sformowały karny szereg, niczym średniowieczni rycerze przed bitwą. Rękawy luźno powiewały, choć nie było żadnego wiatru. Wrażenie, że rozpoczyna się wojna, potęgowały odgłosy bębnienia w blachę, ponieważ ubrania, które nadciągały w drugim szeregu, bezustannie waliły w maski i dachy samochodów stłoczonych na Mitcham Road. Większość kierowców, których nie wyciągnęły z samochodów, tkwiła w pułapce, chociaż grupie śmiałków udało się wydostać z pojazdów i uciec pustą Southcroft Road.

Sierżant krzyknął do swoich ludzi:

– Rozstawić się w poprzek ulicy! Musimy tych dupków zepchnąć z powrotem, jasne? Ruszycie powoli do przodu z uniesionymi tarczami. Żaden z nich nie ma prawa znaleźć się za waszymi plecami!

– Jasne, sierżancie, ale właściwie co to, kurwa, jest?! – zawołał jeden z policjantów.

– To nie ma znaczenia! Po prostu odeprzyjcie atak!

Cały oddział ustawił się twarzami w kierunku nadciągających rzeczy. Policjanci unieśli pałki i wysunęli tarcze, tak że stykały się brzegami. Przyroda jakby wyczuła dramaturgię sytuacji, bo nagle rozpadał się deszcz – rzęsisty i zupełnie niespodziewany.

– Chyba powinniśmy się pomodlić – powiedziała Dżamila.

Pierwsze ubrania przesunęły się do przodu, wspierane przez setki kolejnych, kotłujących się za nimi. Bębnienie ustało. Zapadła cisza, którą zakłócał tylko szum ulewy, odległe wycie dwóch syren i krzyk jakiejś kobiety: „Pomocy! Pomocy!”. Niestety, trudno było określić, skąd dochodzi to wołanie.

Uzbrojeni policjanci ruszyli zwartym szykiem. Po chwili dwa rzędy dzieliła odległość zaledwie dziesięciu metrów i oba się zatrzymały.

Chociaż nie można było zobaczyć ich twarzy, po nerwowym przebieraniu nogami Jerry poznał, że policjanci są zdezorientowani. Przed nimi w gęstym deszczu stały płaszcze z pustymi kapturami, ociekające wodą swetry, które nie okrywały żadnego człowieka, i poskręcane długie suknie. Wszystkie ubrania unosiły się kilkadziesiąt centymetrów nad asfaltem i trudno było sobie wyobrazić, co je utrzymuje w tej pozycji.

– Naprzód! Odepchnijcie je! – krzyknął sierżant.

Wrzeszczał na całe gardło, co dowodziło, że jest tak samo przestraszony jak jego ludzie.

Oddział z wahaniem postąpił kilka kroków do przodu, jednak w tym momencie ubrania ruszyły z siłą potężnej fali. Natarły na nich i w jednej chwili przewróciły wszystkich policjantów na bruk. Część z nich wypuściła z rąk tarcze. Niektórzy próbowali się podnieść, jednak płaszcze i ciężkie, mokre swetry natychmiast przyciskały ich z powrotem do ziemi. Policjanci krzyczeli ze strachu i bólu, gdy ubrania zaczęły owijać rękawy wokół ich rąk oraz nóg i wyrywać im kończyny ze stawów.

Saunders patrzył na to z trwogą. Było jasne, że nie chce zachować się jak tchórz i opuścić policjantów w potrzebie, jednak nie było najmniejszej szansy, żeby ocalić któregokolwiek członka oddziału wyspecjalizowanego w tłumieniu rozruchów. Nawet jego dowódca odwrócił się i zaczął uciekać. Był niemal w połowie drogi do drzwi komisariatu, gdy szary płaszcz złapał sierżanta za kostki, zatrzymując go w miejscu. Po chwili rzucił się na niego brązowy puchowy anorak z kapturem obszytym futrem. Złapał go za ramiona i z wielką siłą powalił na ziemię, rozbijając mu głowę o krawężnik.

Saunders nie musiał wydawać rozkazu do ucieczki. Wraz z Jerrym i Dżamilą wbiegł po schodach. Jeden z policjantów wciąż bohatersko trzymał dla nich otwarte drzwi, chociaż Jerry miał straszliwe przeczucie, że jeśli ubrania za bardzo się zbliżą, zatrzaśnie im je przed nosem.

Znajdowali się już prawie na ostatnim stopniu, gdy Dżamila głośno pisnęła. Jerry odwrócił się i zobaczył, że złapała ją za rękę długa ciemnobrązowa suknia.

Jerry złapał rękaw i oderwał go od Dżamili. Był silny i prawie mu się wyrwał, jednak on trzymał go z całej siły. Po chwili Jerry złapał prawą ręką za drugi rękaw. Przez kilka sekund zmagali się w walce, która przywodziła na myśl taniec bez muzyki. Suknia próbowała ściągnąć go w dół po schodach i niemal stracił równowagę, ale zdołał utrzymać się na nogach, odchylić i unieść suknię.

– Jerry! – zawołała Dżamila. – Puść ją!

On tylko mruknął coś w odpowiedzi. Doskonale wiedział, co by się stało, gdyby puścił suknię. Nie zrezygnowałaby z walki, tylko zaatakowała go ze zdwojoną energią.

Wciąż zaciskając dłoń na prawym rękawie, wsunął pięść pomiędzy dwie górne żelazne poręcze barierki, która biegła pośrodku schodów. Następnie

wsunął lewy rękaw pod dolną poręcz barierki, dzięki czemu rękawy nie były w stanie się połączyć.

Suknia walczyła z nim tak zaciekle, że musiał się jej przeciwstawiać całą swoją siłą, ale zaciskając zęby, zdołał związać jeden rękaw z drugim. W ten sposób przymocował suknię do poręczy i chociaż wiła się jak piskorz, nie była w stanie się uwolnić.

– Jerry! – krzyknęła Dżamila i tym razem w jej głosie zabrzmiała nuta histerii.

Cofając się, zahaczył butem o betonowy stopień i zsunął się na plecy, uderzając boleśnie kręgosłupem o kolejny stopień. Gdy wstał, zorientował się, że ubrania są już u stóp schodów. Straszliwy tłum zakapturzonych płaszczy i kurtek zbliżał się do niego nieuchronnie.

Odwrócił się, trzema susami dopadł do drzwi komisariatu. Jeden z policjantów natychmiast je zatrzasnął i zabezpieczył żelaznymi sztabami. Dwie sekundy później rozległo się głośne dudnienie, a drzwi zadrżały w zawiasach.

Twarz Saundersa była popielata.

– Myślałem, że już tam zostaniesz, Jerry. Tak jak ci nieszczęśnicy z oddziału.

Jerry stał bez ruchu, starając się odzyskać oddech. Miał ochotę powiedzieć: Smiley, potrzeba czegoś więcej niż jakiejś tam mokrej szmaty, żeby ze mną wygrać. Powstrzymał się jednak i tylko pokiwał głową. Czuł ostry ból w lewym kciuku. Prawdopodobnie nadwerężył go, kiedy związywał rękawy wokół barierki.

Podeszła do niego Dżamila. Bez skrępowania rzuciła mu się na szyję i mocno go przytuliła.

– Uratowałeś mi życie, Jerry. – W jej pięknych ciemnobrązowych oczach lśniły łzy. – Gdyby nie ty, już byłabym martwa.

Cały personel komisariatu tłoczył się w ciasnym holu. Na wszystkich twarzach malowały się przerażenie i niepewność. Wciąż jeszcze nie mogli uwierzyć, że komisariat został otoczony przez krwiożercze ubrania. Jerry zrobił lekceważącą minę, żeby pokazać im, że wcale nie jest bohaterem. Nie chciał, żeby ludzie zdali sobie sprawę, że drży z wyczerpania po ogromnym wysiłku fizycznym i ze strachu, jakim napawał go ten koszmar nie z tego świata.

Otworzyły się drzwi windy i wyszedł z niej inspektor Callow. Dżamila wypuściła Jerry’ego z objęć, jednak ostatni raz szybko uścisnęła jego dłoń, nie oszczędzając skręconego kciuka. Jerry z trudem zapanował nad sobą i nie krzyknął z bólu.

Uniósłszy obie ręce, żeby zwrócić na siebie uwagę, Callow odezwał się głośno:

– Wiem, że trudno to przyjąć do wiadomości. Wydaje się, że znaleźliśmy się w sytuacji rodem z powieści science fiction. Większość z was wie już zapewne, że jakieś nieznane siły ożywiły ubrania. W obecnej chwili płaszcze, koszule, swetry i suknie biegają po ulicach bez właścicieli. Jeszcze straszniejsze jest to, że prawdopodobnie mają złe zamiary wobec wszystkich tych, którzy staną im na drodze.

Przerwał mu Saunders.

– Z tego, co osobiście widzieliśmy na ulicach i na ekranach monitoringu, ożywione ubrania zabiły i raniły już przynajmniej dwieście do trzystu osób, a być może nawet więcej. Zginęli niewinni cywile oraz policjanci z oddziału wyszkolonego do tłumienia zamieszek, który przysłano nam jako wsparcie z Wandsworth.

– Do tej chwili agresywne ubrania otoczyły komisariat ze wszystkich stron – kontynuował Callow. – Wybiły część szyb od strony zaplecza, ale w oknach są oczywiście kraty, dlatego napastnicy nie przedostali się do środka. Wezwałem kolejne posiłki; powinniśmy je otrzymać w ciągu dwudziestu pięciu minut. Będzie wśród nich oddział antyterrorystyczny i specjalistyczny batalion SAS. Tymczasem sami niewiele możemy zrobić. Pozostaje nam czekać i odpierać ataki agresorów, którzy będą zapewne próbowali przeniknąć do budynku.

Ledwie skończył, ponownie rozległo się walenie w drzwi. Ubrania naparły na nie z taką mocą, że z nadproża posypał się kurz.

– Nie traćmy zimnej krwi – powiedział Callow. – W pełni zdaję sobie sprawę, że stoimy w obliczu zagrożenia niepodobnego do żadnego innego. Nigdy dotąd nie mieliśmy do czynienia z podobną sytuacją. Te ubrania stanowią dla nas obecnie większe zagrożenie niż dżihadyści. Są nieskończenie bardziej agresywne. I nieskończenie trudniej będzie z nimi walczyć.

Sierżant Bristow podniósł rękę.

– Wiemy chociaż, dlaczego one nas atakują, sir? – zapytał. – Czy dlatego, że to w nas widzą przeciwników, którzy są w stanie ich powstrzymać?

– Nie potrafię panu odpowiedzieć, sierżancie. Ale prawdopodobnie właśnie taki mają powód. Chcą nas zneutralizować, żeby bez przeszkód kontynuować dzieło spustoszenia. To założenie sugeruje jednak, że mają mózgi, potrafią myśleć i komunikować się pomiędzy sobą. A przecież naszymi przeciwnikami są ubrania uszyte ze zwykłych tkanin. Czy wełna, bawełna albo nylon potrafią myśleć? – Popatrzył po kolei na Saundersa, Jerry'ego i Dżamilę. – Wracamy na stanowisko dowodzenia. Musimy widzieć, co wyrabiają te… te ubrania.

We czworo weszli po schodach. Zobaczyli na ekranach, że komisariat jest całkowicie otoczony i że przynajmniej tuzin płaszczy z kapturami wali rękawami w drzwi frontowe. Głuche dudnienie słychać było nawet w pokoju dowodzenia, mimo że było to pomieszczenie dźwiękoszczelne.

Saunders przez niemal minutę wpatrywał się w ekrany i w końcu powiedział:

– A jeśli ich nie zatrzymamy? Wiemy już, że na te ubrania nie działają paralizatory, że nie można ich zastrzelić, nie mają oczu ani płuc, a więc gaz łzawiący także nie podziała na nie. Co się stanie, jeżeli sforsują drzwi i wedrą się na komisariat? Co wtedy zrobimy, do diabła?

– Ja też już o tym myślałam – odezwała się Dżamila. – W historiach, które babcia opowiadała mi na dobranoc, złe duchy powstrzymywały jedynie zaklęcia religijne. Tym razem nie wiemy jednak, czy te duchy są związane z jakąś religią, a nawet jeśli tak, to z którą. Nie mamy nawet pewności, czy walczymy z duchami, czy z jakimś innym zjawiskiem i czy czerpie ono z doświadczeń ISIS albo talibów.

– Pamiętasz te ubrania w domu rodziców Mindy… one też niespodziewanie ożyły, prawda? – zapytał ją Jerry. – Ale nie pozostały długo przy życiu. Zeszły po schodach i na nic więcej nie było ich już stać. A nasi podejrzani, którzy przebywają w Springfield, twierdzą, że osoby, które wdarły się do ich ciał, umierają. Może z tymi stanie się to samo i wkrótce po prostu zabraknie im pary?

Znowu rozległo się łomotanie do drzwi, ale tym razem ubrania zaatakowały wyjście na parking. Potem zaczęły stamtąd dochodzić jakieś zgrzyty i trzaski, a obrazy na ekranach nie pozostawiały wątpliwości, że

tym razem zgraja ciuchów przewróciła na bok samochód patrolowy i zaczęła go systematycznie niszczyć.

– Zabraknie im pary? – powtórzył Saunders. – Na to się chyba nie zanosi. Przynajmniej w najbliższych godzinach.

– Oddział antyterrorystyczny mija właśnie Wandsworth Common – oznajmił operator radia. – Spodziewany czas przybycia: za dwanaście minut.

W tym momencie zgasły ekrany monitoringu, a po sekundzie wszystkie światła na komisariacie.

44

Zapanowała chwila absolutnej ciszy i ciemności, dopóki nie włączył się generator awaryjny i żarówki rozbłysły ponownie.

– To się robi cholernie poważne – powiedział Callow. – Mamy informacje od SAS?

– Będą tu za około trzydzieści pięć minut. Są ogromne zatory na drogach – odparł operator radia.

Mogli jedynie obserwować, jak ubrania zgromadzone wokół komisariatu bezustannie napierają na frontowe i tylne drzwi. Jerry w milczeniu patrzył, jak budrysówki niszczą kolejny samochód, i zaczynał poważnie wątpić, czy drzwi komisariatu wytrzymają skoncentrowany szturm.

– Oddział antyterrorystyczny zawrócił – powiedział radiowiec. – Garratt Lane jest zablokowana i spróbują dotrzeć jakimś objazdem. Liczą, że dotrą za jakieś dwadzieścia pięć minut.

Do pokoju dowodzenia wszedł sierżant Bristow. Podszedł od razu do Saundersa i powiedział:

– Liepa mówi, że koniecznie chce z panem rozmawiać. Rzekomo w bardzo pilnej sprawie – oznajmił.

– Liepa? Do cholery, czego on chce? Nie zdaje sobie sprawy, z czym walczymy?

– Właśnie już wie, sir. Musieliśmy go zapoznać z planem ewakuacji cel aresztantów. Twierdzi, że może nam pomóc.

– Niby w jaki sposób?

– Nie zdradził szczegółów, sir, ale twierdzi, że wie, dlaczego te ubrania ożyły.

– Żarty sobie stroi – orzekł Saunders. – Wróć do niego i uświadom mu, że nie jesteśmy zainteresowani jego wynurzeniami.

– Chwileczkę, szefie – wtrącił się Jerry. – Liepa od dawna zajmuje się używanymi ubraniami. Robi na nich przekręty. Może naprawdę coś wie? Może jednak warto posłuchać, co ma do powiedzenia?

– Odpowiada za śmierć jednego z naszych kolegów – zauważył Saunders. – Dlaczego miałoby go obchodzić, co się stanie z pozostałymi?

– Pewnie ma to w nosie, ale może mu na przykład chodzić o własną dupę. Jeżeli ubrania wtargną na komisariat, znajdzie się w takim samym niebezpieczeństwie jak my – rzekła Dżamila.

– Jest zamknięty na cztery spusty w celi.

– To mu nie zagwarantuje przeżycia, szefie – powiedział Jerry. – Trzeba przyjąć, że niektóre z tych płaszczy bez problemów poradzą sobie z naszymi celami.

– Chciałabym usłyszeć, co on ma do powiedzenia – dodała Dżamila stanowczo.

Sierżant Bristow popatrzył na Saundersa. Ten przez kilka sekund się zastanawiał i w końcu wzruszył ramionami.

– Dobrze. Wprowadź go do pokoju przesłuchań numer dwa. Ale kiedy tylko z nim skończymy, ma się natychmiast znaleźć tam, gdzie jest jego miejsce.

Gdy Bristow wyszedł z pokoju dowodzenia, Jerry powiedział:

– Ma pan rację, szefie. Liepa prawdopodobnie będzie chciał nam wcisnąć jakiś kit, ale on rzeczywiście od wielu lat handluje używanymi ubraniami i rozmowa z nim może podsunąć nam jakiś trop.

– Uwierzę, kiedy usłyszę – mruknął Saunders.

Jakobus Liepa siedział już przy stole w pokoju przesłuchań, kiedy Saunders, Jerry i Dżamila weszli do środka. Dwaj umundurowani posterunkowi usiedli na krzesłach pod ścianami. Zwykle wyglądali na znudzonych, ale dzisiaj, wsłuchując się w groźne odgłosy z zewnątrz, wydawali się spięci. Jeden z nich co chwilę pokasływał i oblizywał wargi.

Liepa był nieogolony, jednak wciąż przypominał czarny charakter z filmów. Kiedy policjanci usiedli naprzeciwko niego, posłał im ponury uśmiech, jakby jedynym uczuciem, jakie do nich żywił, była pogarda.

– Rozumiemy, że chcesz nam coś powiedzieć w związku z aktualną sytuacją – zaczął Saunders.

– Aktualną sytuacją? – Liepa powtórzył jak echo. – To chyba za mało powiedziane. Wasz komisariat jest otoczony przez ubrania, które żyją własnym życiem i które zamierzają was wszystkich pozabijać. To chyba coś więcej niż „sytuacja”?

– Co pan wie w tej sprawie, panie Liepa? – zapytała Dżamila.

– Wiem wszystko. Wiem, dlaczego i w jaki sposób ubrania uzyskały życie. Wiem też, dlaczego tłuką w wasze drzwi.

– To może podzielisz się z nami tą wiedzą? – zaproponował Jerry.

– Nie ma nic za darmo, to chyba oczywiste.

– A jeżeli zdecydujesz się nas oświecić, czego chcesz w zamian? – zapytał Saunders.

– A jak myślicie? Żądam gwarancji, i to natychmiastowych, że zwolnicie mnie bez oskarżenia o morderstwo. Żelaznych gwarancji.

– Zapomnij o tym – powiedział inspektor. – Uczestniczyłeś w zamordowaniu funkcjonariusza policji, jesteś zamieszany w działalność zorganizowanej grupy przestępczej. Nie mogę ci tego odpuścić.

– Czy muszę przypominać, że to nie ja siedziałem za kierownicą? – zawołał Liepa. – Macie wybór. Albo zapomnicie o tym, że współuczestniczyłem w zabójstwie policjanta, albo zginą wszyscy policjanci z tego komisariatu.

– A ty zginiesz razem z nami – powiedział Saunders.

– I tu się mylisz. Właśnie w tej kwestii mógłbym pomóc, jeżeli zagwarantowalibyście mi, że mnie puścicie. W przeciwnym razie… cóż, będę musiał zostawić was na łasce losu, który nie będzie przyjemny, zapewniam. Zastanawialiście się kiedyś, jak to jest być rozdzieranym na kawałki? Mieć wypruwane flaki?

Dżamila popatrzyła na Saundersa i niemal niepostrzeżenie skinęła głową. Z dołu nadal docierały odgłosy łomotania do drzwi i okrzyki policjantów.

Inspektor przez chwilę się zastanawiał i wreszcie powiedział:

– Dobrze. Zdaje się, że nie mamy wielkiego wyboru.

– Obecni tutaj detektywi są świadkami twojej obietnicy – odezwał się Liepa. Odwrócił się i dorzucił: – I ci posterunkowi także.

– No to słucham – zażądał Saunders. – Co masz nam do powiedzenia?

– Jak wiecie, zbieram używane ubrania i wysyłam je na Litwę, gdzie są przerabiane – powiedział Liepa.

– *Kradniesz* używane ubrania i wysyłasz je na Litwę – poprawił go Saunders.

– To kwestia względna. W momencie, kiedy ktoś uzna, że nie chce już nosić jakichś ubrań, to do kogo one należą? Do nikogo. Czy te ubrania są

wyrzucane do śmietników, czy wystawiane w workach pod drzwiami, jaka to różnica? Złodziejstwo to zabieranie komuś tego, czego ten ktoś nie chce się pozbyć.

– Dajmy z tym spokój – wtrąciła się Dżamila. – Powiedz nam coś więcej o używanych ubraniach, które wysyłasz na Litwę.

– Wszystkie trafiają do naszego centrum renowacji odzieży, którym kieruje mój wujek Dowydas. Ubrania względnie nowe i w dobrym stanie nasze pracownice doprowadzają do ładu i odsprzedajemy je. Ale jeśli wyglądają kiepsko, tniemy je i odzyskujemy z nich przędzę, z której powstaje zupełnie nowa odzież.

– O tym wiemy już od dawna – przerwał mu nerwowo Saunders. – Co to ma wspólnego z ubraniami, które próbują się wedrzeć na komisariat?

– Otóż nie wiecie, że wiele spośród ubrań, które przetwarzamy, jest zakażonych, ponieważ ludzie, którzy nosili je wcześniej, chorowali. W ich włóknach znajdują się grzyby, wirusy i bakterie powodujące najróżniejsze choroby: od grzybicy skóry po AIDS. Czasami są one opanowane przez coś, co my nazywamy *waiduoklis wirusas*. Po angielsku można by to określić „wirusem ducha”.

– I czym jest ten „wirus ducha”?

– Kiedy jakaś osoba nosi, powiedzmy, płaszcz, pozostawia na nim nie tylko swój pot i zapach perfum czy też fragmenty naskórka niewidoczne gołym okiem. Gdy ta osoba jest zdenerwowana, nieszczęśliwa albo boi się śmierci, zaraża płaszcz samą sobą. Jak byście to określili?

– Chcesz powiedzieć, że swoją osobowością? – podpowiedziała Dżamila.

– Właśnie. Ciała zmarłych są zakopywane w ziemi lub kremowane, jednak ich osobowość pozostaje. Sami powinniście o tym wiedzieć. Ile razy przymierzaliście cudze ubrania i czuliście się w nich jak zupełnie inna osoba?

– A więc to ten twój „wirus ducha” tak fatalnie wpływa na ludzi noszących zakażone ubrania, które wcześniej należały do zmarłych?

– Dokładnie do tych, którzy umierając, nie byli pogodzeni ze śmiercią. A przynajmniej tak obaj uważamy, mój wujek i ja. Ludzie, którzy w chwili śmierci są szczęśliwi, prawdopodobnie nie zakażają swoich ubrań. Być może ich ubrania dają radość i szczęście nowym właścicielom, ale na coś takiego jeszcze nigdy nie natrafiłem. Spotkałem się tylko ze złością, że

śmierć nadeszła zbyt wcześnie. I z desperackim pragnieniem odzyskania życia.

– No dobrze. Przyjmijmy, że zmarła osoba zakaziła żywą. I co się dzieje dalej? – zapytał Jerry, uważając, żeby nie wypowiedzieć słowa „kanibalizm”.

Liepa ani na moment nie zawahał się z odpowiedzią.

– Ten zmarły chce pozyskać dla siebie żywego człowieka. Potrzebuje nowego ciała, bo jeśli go nie zdobędzie, nie będzie w stanie żyć przez dłuższy czas. Takie są nasze doświadczenia w tej kwestii. Aby uzyskać nowe ciało, zmarli muszą zabijać i jeść swoje ofiary. O ile wiemy, tylko dzięki temu mogą w pełni wrócić do życia. W przeciwnym wypadku głodują i umierają z głodu po raz drugi.

Jerry i Dżamila spojrzeli po sobie. Liepa z pewnością mówił prawdę. Jego wywody brzmiały dokładnie tak jak opowieści Sophie Marshall, Laury Miller i Jamiego Mullinsa, a raczej opowieści osobników, którzy się kryli w ich wnętrzach.

– Ten wirus jest bardzo chwytliwy. Jak wy mówicie… aha, zaraźliwy. Czasami składujemy w fabryce dużą stertę ubrań i okazuje się, że wszystkie zostały zakażone przez tego samego zmarłego. Silna i mściwa osobowość może opanować garderobę w mgnieniu oka. I nie tylko garderobę, ale cały sklep z ubraniami, szczególnie używanymi. Te sklepy są jak tłumy martwych ludzi, wiszących na wieszakach i czekających na powrót do życia.

– A nowe ubrania? – zapytał Jerry. – Na przykład te, których nikt jeszcze nie nosił i które nie były oddane do sklepów z używaną odzieżą. Wszystkie ubrania, które nas oblegają, są puste, a sam widziałem wśród nich zupełnie nowe płaszcze.

– Z nowymi ubraniami sytuacja jest podobna, jednak trochę inna.

– To znaczy?

– Niemal wszystkie nowe ubrania w sklepach zawierają włókna pochodzące z recyklingu, ze starej odzieży… nawet te w najlepszych sklepach. Jeżeli tkanina jest zakażona wirusem, nowe ubrania będą z taką samą desperacją chciały odzyskać życie jak stare, które jedynie nieznacznie przerobiono.

– Ale czy nie jest tak, że ktoś musi je chociaż trochę ponosić, aby mogły ożyć? A poza tym, kiedy nowe ubrania odzyskują życie, wcale nie jedzą

ludzi, lecz rozrywają ich na strzępy.

Liepa pokiwał głową.

– To prawda, rzeczywiście, one nie jedzą ludzi. To robią tylko te, które ktoś już nosił. Zanim to nastąpi, nie mogą jeść ludzkiego mięsa, ponieważ nie mają ust ani rąk, żeby przygotować sobie z niego posiłek. Mogą tylko rozrywać ludzi na strzępy, by wydrzeć z nich to, co było dla nich najważniejsze, kiedy umierali.

– Mówisz o duszach – stwierdziła Dżamila. – Właśnie dusz szukają, rozszarpując ludzi, prawda?

– Jesteś bardzo inteligentna – powiedział Liepa. – Tak, te nowe ubrania szukają dusz, tego, co decyduje o istocie człowieczeństwa. Ubraniom z drugiej ręki jest łatwiej, ponieważ mogą się karmić duszami osób, które je nosiły. Jednak zupełnie nowe ubrania muszą na nie polować i dla nich niczyje życie nie jest tak ważne jak ich własne.

Saunders wyraźnie zaczynał się niecierpliwić.

– Ta cała gadka o duszach jest bardzo piękna, Liepa, jednak wydawało mi się, że masz powiedzieć coś, co nam pomoże. Taki był układ, pamiętasz? Jeżeli nie możesz nam pomóc, ani myślę odstąpić od zarzutu zabójstwa.

Liepa zamknął oczy i przez moment Saunders gotów był uwierzyć, że Litwin zasnął. Ale on po prostu dawał mu w ten sposób do zrozumienia, że wszystkiego dowie się w odpowiednim momencie. Gdy znowu otworzył oczy, odezwał się:

– W naszej fabryce zauważyliśmy obecność wirusa dopiero w ubiegłym roku. Być może zakażona nim była tylko jedna partia ubrań, ale zanim się spostrzegliśmy, zaraza rozprzestrzeniła się na całą fabrykę. Część naszych szwaczek przymierzała ubrania, kiedy robiły przeróbki, a potem nie mogły ich zdjąć. Tak było z sukienkami, spódnicami i kostiumami. Wreszcie jedna z dziewcząt wróciła do domu i zamordowała swojego męża oraz kilkumiesięczne dziecko. Później dowiedzieliśmy się, że z ich mięsa zrobiła gulasz. Część płaszczy zaczęła samodzielnie przemieszczać się po fabryce, początkowo tylko w nocy. Ale któregoś dnia mój wujek przyszedł rano do fabryki i znalazł zwłoki nocnego stróża. Był porozrywany i wypatroszony. Jego stopy znajdowały się w odległości pięćdziesięciu metrów od głowy, a wnętrzności zwisały z sufitu…

– Zakładam, że wezwał policję – powiedział Saunders. – Jak zareagowała?

– Policja? Nie… a po co tam ona? Mielibyśmy tylko dodatkowe kłopoty, a co mogła policja poradzić na wirusa? Poza tym już wtedy dokładnie wiedziałem, czym jest wirus ducha. Mniej więcej sześć albo siedem lat wcześniej podobne problemy miała fabryka w Kownie. Prowadził ją mój kolega, który mi o tym opowiedział. Wirus podobno przywędrował na Litwę z Rosji. Był to rzekomo jeden ze sposobów, który miał Rosjanom ułatwić podbicie naszego kraju.

Łomotanie do drzwi stało się jeszcze bardziej natarczywe. W krzykach policjantów pobrzmiewała nuta paniki.

– Dalej, Liepa, do rzeczy – ponaglił go Saunders. – Nie mamy na pogaduszki całej cholernej nocy.

– Dobrze, dobrze, już mówię. Razem z wujem przekonaliśmy się, że aby zapanować nad ubraniami, musimy zamknąć fabrykę na cztery spusty, powyłączać linie produkcyjne, światła, w ogóle wszystko. Za pierwszym razem postąpiliśmy tak, ponieważ nie widzieliśmy innego wyjścia, mimo że każdy dzień przestoju był dla nas bardzo kosztowny. Ale kiedy wróciliśmy do fabryki po trzech dniach, by się przekonać, co się stanie, jeśli ponownie wszystko uruchomimy, nie natrafiliśmy na żadne problemy. Nowe ubrania były tam, gdzie je zostawiliśmy, gotowe do załadunku. Mój wujek zaryzykował i włożył jedną z używanych kurtek. Poczuł się dziwnie, odniósł wrażenie, że ktoś szepcze mu coś do ucha, ale bez trudu ją zdjął i nic mu się nie stało. Wtedy zrozumieliśmy, że duchy w tych ubraniach mają mnie i wujka za bogów. Były od nas uzależnione, to my decydowaliśmy, czy wrócą z powrotem do życia. Gdybyśmy nie przerabiali używanych ubrań, nigdy nie trafiłyby z powrotem na rynek i nie czekałyby na nowych nabywców. Gdybyśmy nie wykorzystywali starych materiałów do produkcji przędzy, nie zrobiono by z nich nowych ubrań. Dla nich wszystkich, nowych i używanych, jesteśmy nadzieją na uzyskanie kolejnego życia po śmierci. Ich jedyną nadzieją na zmartwychwstanie.

– Ale za jaką cenę? – obruszył się Saunders. – Twoje ubrania zabiły już setki ludzi, pozbawiając ich tym samym szansy na długie i szczęśliwe życie. Wiesz, o czym teraz mówisz? O masowych morderstwach. Morderstwach popełnianych celowo, z premedytacją. Wyobraź sobie, że to ty jesteś za nie odpowiedzialny. Naprawdę spodziewasz się, że zrezygnuję z oskarżenia?

Liepa wycelował w niego palec.

– A wiesz, dlaczego te ubrania chcą się tutaj dostać? Wiesz, czego chcą? Dlaczego oblegają akurat komisariat policji, a nie jakiekolwiek inne miejsce? Już ci powiedziałem, że jestem jednym z ich bogów. Dałem im życie. Atakują komisariat, bo chcą mnie uwolnić. Pomyśl tylko. Gdyby Jezus urodził się na nowo i zostałby niesprawiedliwie uwięziony, czy tłumy chrześcijan nie chciałyby go uwolnić?

– Jasne – powiedział Jerry. – A skąd one wiedzą, że tutaj jesteś? Przecież nie mają oczu, nie widziały cię w telewizji, nie mają też uszu i nie mogły o tobie słyszeć z wiadomości BBC.

Liepa przycisnął palce obu rąk do skroni.

– *Wezwałem* je, detektywie. Nie zapominaj, że to są duchy… cokolwiek to słowo znaczy. Potrafią odbierać myśli równie łatwo, jak my rozmawiamy przez telefon, w szczególności wtedy, gdy ktoś chce im przesłać wiadomość.

– Chcesz nas więc przekonać, że jeśli cię wypuścimy, ubrania zakończą oblężenie?

– Oczywiście. Nie mają żadnego interesu w tym, żeby komukolwiek z was zrobić krzywdę. Pragną jedynie mojego uwolnienia, abym znowu mógł przywracać im życie.

– Co zrobią, kiedy już cię wypuścimy? Zakładając, że to rzeczywiście nastąpi…

– Wrócą tam, skąd przyszły, do swoich sklepów. Znowu położą się na półkach i zawisną na wieszakach jak wszystkie ubrania czekające na nabywców, a wam trudno będzie wierzyć, że to, czego teraz jesteście świadkami, kiedykolwiek się wydarzyło. Gdy tylko się dowiedzą, że jestem wolny, nikogo już nie zaatakują.

Saunders wpatrywał się w niego z oczywistym wahaniem. Liepa beznamiętnym głosem poinformował go właśnie, że sprzedając ubrania z wirusem ducha, czerpał korzyści z masowych morderstw i kanibalizmu, a jeżeli zostanie wypuszczony na wolność, będzie ten proceder kontynuował. A mówił o tym spokojnie dlatego, że skazanie go za to w sądzie było praktycznie niemożliwe. Nawet gdyby zgromadzono w jednym miejscu dowody od doktora Fullera i z laboratorium na Lambeth Road, nie można było ponad wszelką wątpliwość powiązać Liepy z zabójstwami, do których doszło w ciągu ostatnich dni.

Jerry wątpił nawet, czy będzie w stanie powiązać Liepę z używanymi ubraniami sprzedawanymi w Tooting albo z przędzą wykorzystywaną do produkcji zabójczych budrysówek i innych ubrań. A jeśli przed sądem zostanie zapytany o wirusa ducha, zawsze będzie mógł odpowiedzieć, że na policji wszystko zmyślił i po prostu zadrwił z przesłuchujących go detektywów. Bo przecież nikt nigdy nie będzie w stanie udowodnić, że taki wirus rzeczywiście istnieje.

Saunders musiał dokonać wyboru pomiędzy rozwiązaniem złym i jeszcze gorszym. Mógł wypuścić Liepę albo zaryzykować życie funkcjonariuszy i cywilnych pracowników policji oblężonych na komisariacie, w tym także własne.

Decyzję pomogły mu podjąć trzaski, które rozległy się w holu, i rozpaczliwy krzyk policjanta:

– One są w środku! Są w środku! Wyłamały te pieprzone drzwi!

Saunders wstał, a równocześnie z nim wstali Jerry i Dżamila oraz dwaj posterunkowi. Dżamila popatrzyła na Jerry’ego, jakby chciała powiedzieć mu coś ważnego, ale Saunders uprzedził ją i odezwał się do Liepy:

– Dobra, chodź już. Pokaż nam, jakim jesteś bogiem.

Liepa również podniósł się z krzesła i jeszcze raz beznamiętnie się uśmiechnął.

– W innym życiu, panie inspektorze, moglibyśmy zostać dobrymi kumplami.

– Nic się nie martw, jeżeli jakieś inne życie istnieje, spotkamy się w nim i wtedy będę cię ścigał aż do skutku.

45

Zbiegli po schodach, rezygnując z windy, która mogłaby stanąć między piętrami, gdyby znów zabrakło prądu. W połowie drogi usłyszeli wrzaski i strzały z broni automatycznej.

Z wysokości pierwszego piętra zobaczyli scenę niczym ze średniowiecznej bitwy. Podwójne drzwi prowadzące na ulicę leżały wyrwane z zawiasów, a zgraja żywych ubrań przebiegała po nich, wdzierając się do holu. Rej wodziły płaszcze, jednak inne części garderoby nie ustępowały im w zaciekłości.

Za biurkiem służby dyżurnej ustawiło się dwudziestu policjantów. Kilku z nich klęczało i celowało w napastników z pistoletów maszynowych. Pozostali mieli w pogotowiu pałki i gaz pieprzowy. Część funkcjonariuszy i pracowników cywilnych uciekła na wyższe piętra.

Nie licząc trzasków i huku sporadycznych wystrzałów, w całym komisariacie było zadziwiająco cicho. Policjanci nie krzyczeli już, a ubrania nie forsowały tylnych drzwi, których jeszcze nie zdołały wyłamać. Jerry słyszał tylko głośne oddechy, gdy ubrania, kołysząc się, powoli przemierzały hol.

Saunders popatrzył na Jakobusa Liepę i powiedział:

– Do dzieła. Rób, co masz zrobić.

Liepa nie odpowiedział, ale stanął u szczytu schodów i podniósł obie ręce.

– Jakoś nie wierzę, że to zadziała – stwierdził Jerry.

– Ja też – odparła Dżamila. – Liepa kłamał albo nie powiedział wszystkiego. Nie wiem, na czym polegało jego kłamstwo, ale pod koniec jego oczy zrobiły się czarne.

– Co? Chyba żartujesz. Powiedz o tym Smileyowi.

– A po co? Nie uwierzy mi, a poza tym i tak nie mamy już czasu.

Liepa zszedł kilka stopni i stanął przed zgrają płaszczy, wciąż wznosząc ręce. Przez moment Jerry miał wrażenie, że ubrania go zlekceważą

i ściągną na dół rękawami powiewającymi na wszystkie strony. Lecz on nagle zawołał:

– Stop! Poznajecie mnie, czyż nie?

Chociaż płaszcze wciąż się kołysały, nagle przystanęły i zawisły nieruchomo. Jeden po drugim zaczęły luźno opuszczać rękawy wzdłuż boków. Liepa także opuścił ręce i ruszył w ich stronę. Gdy dotarł do pierwszego rzędu, ubrania zaczęły się rozstępować. Pozwoliły mu przejść aż do wyłamanych drzwi, a kiedy stanął na jednym z ich skrzydeł, odwrócił się na chwilę i znowu uniósł ręce.

– Widzicie? – zawołał. – Jestem bogiem!

Z tymi słowami na ustach wyszedł z komisariatu na schody skąpane w deszczu.

– Liepa! – wrzasnął Saunders. – Liepa! A co z tymi cholernymi ubraniami?

Ale gdy tylko Litwin zniknął, ubrania znów zaczęły bezlitosny marsz do przodu. Kilka czarnych budrysówek zaatakowało policjantów ustawionych w linii i zaczęło obijać ich rękawami. Policjanci oddali kilkadziesiąt strzałów i mnóstwo fragmentów czarnych ubrań pofrunęło w górę, jednak płaszcze wciąż napierały, mimo że ich kaptury w większości były poszarpane. Postępowały za nimi hordy kurtek i sukienek. Rzuciły się tłumnie na policjantów, którzy po chwili zniknęli pod ich grubą warstwą. Jerry słyszał ich zduszone krzyki, rozległo się jeszcze kilka strzałów, a potem zapadła cisza, którą zakłócały jedynie dziwne świsty, jakby ubrania miały płuca i mogły oddychać.

– Uciekamy na górę! – zawołał Saunders. – Na górę! Tam się zabarykadujemy! Oddział SAS w każdej chwili powinien przybyć z pomocą!

Jerry złapał za rękę Dżamilę, która chciała pobiec za Saundersem.

– Nie – powiedział. – Na górze znajdziemy się w pułapce.

Popatrzyła na ubrania, które w holu znęcały się nad policjantami. Część koszul była już czerwona od krwi.

– A dokąd mielibyśmy uciekać? – zapytała.

Oczy miała rozszerzone ze strachu i szarpnęła ręką, chcąc wyrwać ją z jego dłoni.

– Musimy uciec drzwiami. Popatrz na nich, są teraz zajęci wyrywaniem dusz z nieszczęśników, których właśnie zabili.

– Dalej, za mną! – zawołał Saunders. – Bo zaraz zostaniecie odcięci!

Jerry z całej siły trzymał rękę Dżamili.

– Chodź ze mną. To nasza jedyna szansa – powiedział niemal błagalnie.

Dżamila zauważyła, że pomiędzy schodami a wyważonymi drzwiami utworzyła się pusta przestrzeń i jeśli chcieliby uciekać z budynku, powinni to zrobić natychmiast. Ale gdyby ubrania zdały sobie sprawę z ich zamiarów, zapewne oderwałyby się od stosu zakrwawionych zwłok i ich zaatakowały. Czy wtedy wciąż mieliby szansę na ucieczkę?

Bez zbędnego słowa Dżamila zaczęła zbiegać ze schodów, pociągając za sobą Jerry'ego. Gdy dotarli na ostatni stopień, zaczepiła o coś nogą i niemal się przewróciła, jednak Jerry zdołał ją chwycić i razem wybiegli na ulicę.

Jerry nawet nie odwrócił głowy, żeby spojrzeć, czy jakieś ubrania ich ścigają. Wciąż trzymając Dżamilę za rękę, zbiegł z nią po zewnętrznych schodach. Biegnąc w rzęsistym deszczu, sprawiali wrażenie, jakby byli tancerzami w jakimś musicalu.

Zatrzymali się na chodniku przed komisariatem i rozejrzeli dookoła. Nie paliły się latarnie, ciemne były wystawy sklepowe i okna budynków. Mimo deszczu i zapadającego mroku dostrzegli mrowie płaszczy i kurtek, schylonych nad zwłokami funkcjonariuszy oddziału przeznaczonego do zwalczania rozruchów. Zdawały się systematycznie rozdzierać wszystkie zwłoki. Dostrzegli też Jakobusa Liepę stojącego na ulicy przed Amen Corner; obserwował tę makabrę z rękami w kieszeniach. Znajdował się zbyt daleko, aby mogli zobaczyć wyraz jego twarzy, jednak Jerry był pewien, że gości teraz na niej mściwa satysfakcja.

Widzicie? Jestem bogiem!

– Chyba nas nie zauważył – powiedział Jerry. – Na wszelki wypadek uciekajmy bocznymi ulicami, bo w każdej chwili może posłać za nami te swoje ubrania.

Zaczęli biec na południe, w kierunku dworca kolejowego w Tooting. Po drodze minęli kilkadziesiąt opuszczonych samochodów. Większość miała porozbijane, zakrwawione karoserie i powybijane szyby. Ulice były całkiem wymarłe, sklepy i restauracje pogrążone w ciemności, chociaż drzwi części z nich były otwarte.

Przed wejściem na dworzec Jerry zauważył zwłoki leżące na chodniku – ciała mężczyzn, kobiet i kilkorga małych dzieci. Niektóre były okrutnie okaleczone – zmiażdżone głowy, nierozpoznawalne twarze, ręce i nogi

powyrywane. Jeden chłopiec był rozerwany na pół, a jego górna część łączyła się z biodrami i nogami jedynie pasmami jelit. Oczy miał otwarte i sprawiał wrażenie, jakby przez potłuczone soczewki okularów wpatrywał się w chodnik.

– Boże wszechmogący – jęknął Jerry. – Musiały tędy przejść setki ubrań. Ba, tysiące! Mam wrażenie, że przebywamy w krwawiącym mieście duchów.

Wyjął z kieszeni telefon komórkowy, zamierzając się skontaktować z centralnym punktem dowodzenia policji przy Lambeth Road. Wiedział, że telefon jest w pełni naładowany, jednak jego ekran był ciemny. Telefon Dżamili również nie funkcjonował.

– Powinny działać linie naziemne – powiedział Jerry. – Zapukajmy do kogoś. Na pewno ludzie pozwolą nam zadzwonić.

Rozejrzeli się, żeby sprawdzić, czy nikt ich nie śledzi, i przeszli na Finborough Road. W pewnej chwili usłyszeli nad głowami warkot helikoptera policyjnego. Leciał bardzo nisko, przeczesując ziemię silnym reflektorem punktowym.

Finborough Road była wąska, po obu jej stronach stały wiktoriańskie domy. Jerry stanął na progu pierwszego z nich i zadzwonił do drzwi. Nikt nie zareagował, więc zadzwonił jeszcze raz. Wtedy za szybką w drzwiach pokazała się blada twarz mężczyzny w okularach.

– Kim jesteście? – krzyknął. Jego głos był ledwie słyszalny przez zamknięte okno. – Czego chcecie?

Jerry wyciągnął legitymację i przyłożył ją do szyby.

– Policja. Chcemy skorzystać z telefonu.

– Telefon nie działa. Nic nie działa.

– Nie chodzi mi o telefon komórkowy. Chcę skorzystać z linii naziemnej.

– Nie działa. Nic nie działa od czasu, kiedy przebiegły tędy te płaszcze i próbowały wedrzeć się do środka.

Zapukali do kolejnego domu, trochę dalej. Bardzo uprzejma Hinduska nie otworzyła im drzwi, jednak porozmawiała z nimi przez szparę na listy. Ona też powiedziała, że w domu nie ma prądu i nie działa telefon.

– Przepraszam. Bardzo chciałabym wam pomóc, ale strasznie się boję. Tą ulicą przeszły duchy, dobijały się do wszystkich drzwi. Słyszałam krzyki, kiedy robiły ludziom krzywdę.

– A jak te duchy wyglądały?

– To byli niewidzialni ludzie. Ale mieli na sobie ubrania. Nie obchodzi mnie, że mi nie uwierzycie. One właśnie tak wyglądały.

Zadzwonili do trzeciego domu, ale tam na ich obecność nikt nie zareagował, chociaż Jerry był pewien, że dostrzegł jakąś kobietę w oknie na piętrze.

– Cóż, pani sierżant, wygląda na to, że zostaliśmy zupełnie sami – stwierdził.

– Oddziały SAS muszą być już blisko – odparła Dżamila. – Skoro z nikim nie możemy się skontaktować, spróbujmy wyjść im naprzeciw.

– To już jest jakiś plan. Myślę, że w tej chwili powinny być co najmniej na Tooting Broadway.

– Chyba nie będziemy wracać tą samą drogą, którą przyszliśmy?

– Nie… znam pewien mało znany skrót dla pieszych pomiędzy tą ulicą a Robinson Road. Dotrzemy nim prosto na High Street. Stamtąd pozostanie nam jakieś osiemset metrów do Tooting Broadway.

W milczeniu pobiegli w ciemnościach mokrymi ulicami przedmieść. Od czasu do czasu Jerry wyciągał z kieszeni telefon, żeby sprawdzić, czy nie powrócił sygnał, ekran jednak wciąż był czarny.

Znowu zagrzmiał nad nimi helikopter policyjny, przez ułamek sekundy oświetlał ich z powietrza reflektor, jednak maszyna szybko przesuwała się w kierunku północno-wschodnim, ku Streatham. Albo załoga nie zobaczyła ich, albo miała coś znacznie poważniejszego na głowach niż los dwojga ludzi.

Niemal dotarli do High Street, gdy Dżamila się odezwała:

– Patrz… na rogu… czy to są…

– Cholera. Będziemy musieli nadłożyć drogi.

– A ta ulica, którą właśnie minęliśmy? Nie możemy w nią skręcić?

– To ślepa ulica. Większość tych uliczek nie ma przejazdu, ze względu na rzekę Graveny.

Jerry wciąż się zastanawiał nad wyborem najlepszej trasy do Tooting Broadway, która nie wymagałaby znacznego nadkładania drogi, kiedy zauważył, że mroczne postaci na rogu ulicy się poruszają. Przeszły przez High Street i szybko ruszyły w ich kierunku.

Dotknął ramienia Dżamili i powiedział:

– Chyba nas zauważyli.

– Rzeczywiście. – Pokiwała głową. – Szybko, uciekajmy, tylko którędy?

– Tutaj. Biegnij za mną – polecił Jerry, wskazując następną ulicę w lewo, Park Road.

Ruszyli biegiem, ale gdy znaleźli się na rogu Park Road, zobaczyli, że płaszcze pędzą za nimi, unosząc się nad ziemią, jakby pchał je huragan.

– Allahu, podaruj mi skrzydła! – jęknęła Dżamila.

Biegnąc środkiem ulicy, Jerry na moment odwrócił głowę i zobaczył, że pięć mrocznych postaci znajduje się niespełna sto metrów za nimi.

Po obu stronach ulicy ciągnęły się piętrowe szeregowce. Wszystkie okna w domach były ciemne. Nawet gdyby teraz do kogoś zapukali i gospodarz chciałby ich wpuścić, postacie zdążyłyby ich złapać, zanim weszliby do domu, a jego właściciel i wszyscy mieszkańcy prawdopodobnie przypłaciliby życiem chęć udzielenia pomocy.

Jednak kilkadziesiąt metrów przed sobą zobaczyli przerwę między domami. Od ulicy oddzielał ją płot, a za płotem stał częściowo zburzony magazyn z cegieł. Parkowały przy nim trzy furgonetki, obok znajdowała się jeszcze prowizoryczna szopa dla robotników i dwie przenośne toalety.

– Tutaj! – wysapał Jerry. – Może nie dadzą rady pobiec za nami… Szybko, skaczemy przez płot.

Pośrodku płotu znajdowała się dwuskrzydłowa brama. Jerry wskoczył na nią, chwyciwszy jej skrzydło obiema rękami od góry i wsunąwszy lewą nogę w drucianą siatkę. Prawą nogę przerzucił na drugą stronę. Siedząc na niej okrakiem, pochylił się, chcąc złapać Dżamilę za rękę i pomóc jej się wspiąć.

– Nie dam rady! – krzyknęła, ale Jerry wychylił się ku niej i mocno chwycił ją za rękę.

Była zbyt ciężka, aby mógł ją długo utrzymać w tej pozycji, dlatego pociągnął z całej siły i gdy tylko znalazła się na górze, zeskoczył na ziemię, uderzając boleśnie lewym barkiem w bramę. Dżamila upadła na niego.

Zaledwie kilka sekund później mroczne postacie od ulicy naparły z ogromnym impetem na żelazną bramę, która zadźwięczała niczym dzwon. Jerry zerwał się na nogi i wtedy zobaczył napastników: pięć ciemnych płaszczy z kapturami, wymachujących rękawami. Brama drżała, gdy nią potrząsały. Pod kapturami napastników nie było twarzy, a jedynie ciemność.

Bolał go stłuczony bark, brakowało mu oddechu, ale pomógł Dżamili wstać i razem obiegli ostatnią stojącą ścianę magazynu, znikając z pola

widzenia płaszczy.

– Myślisz, że one też dadzą radę przeskoczyć tę bramę? – zapytała Dżamila.

– Nie mam pojęcia – odparł Jerry. Szukał jakiegoś przejścia na tyłach posesji, była jednak z trzech stron otoczona murami odgradzającymi ją od sąsiednich ogrodów, nie mógł więc nawet zobaczyć, co znajduje się w najbliższej okolicy. – Musi stąd prowadzić jakieś wyjście, ale nie wiem, gdzie go szukać – dodał.

Chociaż nie widzieli już płaszczy, słyszeli, że szarpią gwałtownie bramą, i mieli świadomość, że wkrótce ją wyrwą z zawiasów.

Dżamila chwyciła Jerry'ego za rękaw. Białka jej oczu błyszczały w półmroku, a krople deszczu lśniły na włosach.

– Czy one rozerwą nas na strzępy, jak tych wszystkich ludzi? – zapytała.

Jerry popatrzył na szopę dla robotników.

– Nie, jeśli szybko wymyślimy na nie jakiś sposób – odparł. – Może znajdziemy tutaj coś, dzięki czemu uda nam się je pokonać.

– Jerry, ich nawet nie można zastrzelić, a zresztą… ty przecież nie masz broni.

Jerry spróbował zajrzeć do szopy przez okno, ale szyba była zbyt brudna, a w środku było zbyt ciemno, żeby mógł dostrzec, co znajduje się wewnątrz. Na drzwiach wisiała ciężka kłódka. Sięgnął więc po leżącą na ziemi cegłę i kilkakrotnie z całej siły uderzył nią w kłódkę. Gdy spadła na ziemię, otworzył drzwi i wszedł do środka.

Poczuł silny odór starego dymu tytoniowego, potu i oleju. Na ścianie po lewej stronie wisiało kilka fotografii, a na półce pod sufitem leżały w rzędzie żółte i białe kaski. Po prawej stronie na wieszakach zawieszono przynajmniej siedem ciepłych kurtek roboczych, a tylną ścianę zastawiały regały zapełnione różnymi narzędziami; były tam też młoty na długich trzonkach i łomy. Stały na nich również dwie piły łańcuchowe, ale jedna z nich nie miała łańcucha. Nad środkowym regałem wisiała fotografia tegorocznej miss pośladków, wycięta z „Daily Star".

Dżamila z niepokojem spoglądała w kierunku płotu. Odgłosy szarpania nie ustawały. Była pewna, że za chwilę usłyszy metaliczny trzask, jedno ze skrzydeł bramy się podda i płaszcze wtargną na posesję.

– Jerry! Co teraz zrobimy? Może powinieneś je zaatakować którymś z tych narzędzi?

– Poczekaj! Pamiętasz, jak rozcinaliśmy sweter i suknię, kiedy ożyli rodzice Mindy? To zadziałało, prawda? Podobnie jak wtedy, gdy twój ojciec pociął tego jak-mu-tam…

– Dżinna, owszem. Ale teraz sytuacja jest inna. Sweter i suknię nosili ludzie. A te płaszcze mają własne życie.

– A dżinn miał swoje życie?

– Jerry, wiem, że z rodzicami Mindy nam się udało, ale sytuacja z dżinnem to tylko bajka! I… posłuchaj… słyszałeś? Chyba przewrócili bramę! Już nadchodzą!

Jerry minął kurtki robocze i stanął przed półkami. Po namyśle wziął piłę łańcuchową i wyniósł ją na zewnątrz. Dżamila patrzyła, jak kładzie ją na ziemi i przytrzymuje nogą, żeby stała prosto. Wciąż jednak zerkała nerwowo w stronę muru w oczekiwaniu, że w każdej chwili może się zza niego wyłonić płaszcz.

Jerry wyciągnął dźwignię ssania, nacisnął przycisk dekompresji i zaczął szarpać za linkę gaźnika. Pociągnął kilka razy, jednak piła się nie włączyła i ogarnął go zimny strach, że po prostu nie ma w niej paliwa.

Wciąż szarpał nerwowo linkę, gdy zza muru zrujnowanego magazynu wyłoniło się pięć płaszczy. Zmierzały teraz ku swoim ofiarom powoli, szeroko rozstawione, niczym banda rewolwerowców na Dzikim Zachodzie. Bez wątpienia zdawały sobie sprawę, że posesja jest ogrodzona i dwójka policjantów nie ma drogi ucieczki.

– Allahu, proszę, ocal nas…

Położywszy dłoń na ramieniu Jerry’ego, Dżamila zaczęła się modlić.

Jerry lekko wsunął dźwignię ssania do prowadnicy i jeszcze raz szarpnął linkę. Piła zawarczała.

Podniósł ją i stanął w lekkim rozkroku.

– No, chodźcie teraz do mnie! – wrzasnął, przekrzykując warkot. – Jeśli chcecie nas dopaść, chodźcie do nas, kurwa, postarajcie się trochę!

Płaszcze nie wahały się i sunęły ku niemu jednostajnym tempem. Jerry’emu przyszło do głowy, że prawdopodobnie jedynie wyczuwają ich obecność, bo chyba nie mogły niczego widzieć ani słyszeć, skoro nie miały ani oczu, ani uszu. Ale były duchami. Desperacko pragnęły odzyskać życie i ta desperacja sprawiała, że ich czujność wzmagała się w pobliżu każdej żywej duszy.

Dwa płaszcze niespodziewanie ruszyły szybciej, wymachując rękawami. Jerry uniósł wyżej piłę i jeden z nich od razu spróbował wytrącić mu ją z rąk. Zamachnął się i gdy rękaw zetknął się z łańcuchem, natychmiast został rozerwany na strzępy. Wtedy Jerry zaczął przesuwać piłą z boku na bok i wkrótce porozcinał cały płaszcz na małe kawałki.

Zaatakował drugi, kiedy strzępy pierwszego unosiły się jeszcze w powietrzu niczym czarne ćmy. Teraz było już jasne, że płaszcze albo niczego nie widzą, albo są samobójcami, ponieważ kolejny bez wahania wykonał identyczny ruch w kierunku piły jak ten poprzedni. Jerry natychmiast odciął mu kaptur, a następnie zygzakiem przesunął po nim łańcuchem piły, od góry do dołu, zamieniając go w postrzępione wstążki.

Teraz mam na was sposób, łajdaki, pomyślał i poczuł nagły przypływ adrenaliny. Ruszył w kierunku pozostałych trzech, a kiedy podfrunęły do niego, przeciągnął piłą w poprzek, przecinając od razu trzech napastników. Jeszcze przez niemal minutę ciął kawałki płaszczy na drobne strzępy. Dżamila widziała tylko wirujące w powietrzu kawałki tkaniny.

W końcu wyłączył piłę i zaległa cisza. Strzępki materiału powoli opadały na ziemię.

Jerry odłożył piłę i podszedł do Dżamili. Przytulili się do siebie tak mocno, że czuli bicie swoich serc.

Po chwili Jerry się odezwał:

– No proszę. Co działało na dżinny i zadziałało na mamę i tatę Mindy, musiało także zadziałać na tych gnojów. Musimy poszukać tych z SAS i antyterrorystów, żeby powiedzieć im, w jaki sposób trzeba walczyć z tymi ubraniami.

– Powinniśmy zrobić coś jeszcze. Mój dziadek nie tylko pociął dżinna na kawałki, ale także je spalił. Uważam, że powinniśmy postąpić tak samo. Liepa mówił, że wirus utrzymuje duchy ludzi przy życiu w nitkach ubrań, które kiedyś nosili. Jeżeli duchy potrafią przetrwać rozrywanie na strzępy, przerabianie na przędzę i szycie innych ubrań, zapewne przetrwały również twój atak piłą łańcuchową.

– Chyba masz rację. Nie będę dyskutował z ekspertem.

Wrócił do szopy i po chwili wyniósł z niej grabie i plastikowy kanister pełen benzyny. Tylko kilka minut zabrało mu zgrabienie kawałków wełny na wielki stos, który ułożył na betonowej podłodze zburzonego magazynu i polał benzyną.

– Masz przypadkiem zapałki? – zapytał Dżamilę.

Podała mu reklamowe pudełko zapałek z restauracji.

– Masz szczęście. Zabrałam je wyjątkowo, bo chciałam mieć numer telefonu, na wypadek gdybym znowu zgłodniała.

Jerry rzucił zapaloną zapałkę na stertę szmat, która z cichym sykiem eksplodowała płomieniami. Stanął obok Dżamili i oboje obserwowali ogień, przytuleni do siebie. Znów rozpadał się deszcz i krople wody syczały, spadając w płomienie, które rzucały ruchome cienie na resztki białych ścian.

Jerry patrzył na te cienie i wydawało mu się, że widzi duchy – tańczące i wymachujące rękami – ale w stanie umysłu, w jakim się teraz znajdował, prawdopodobnie uwierzyłby niemal we wszystko.

Dżamila popatrzyła na zegarek.

– Musimy znaleźć żołnierzy.

Jerry podniósł piłę.

– Przy High Street jest sklep z takimi narzędziami. Mam nadzieję, że mają tam również spory zapas pił łańcuchowych.

Pozostawili za sobą dogasający ogień i wyszli na ulicę przez wyłamaną bramę. Niedawne doświadczenie wstrząsnęło nimi, mieli wrażenie, że świat, który ich otacza, jest całkowicie nierealny, szli jednak bardzo szybko, mimo że Jerry niósł ciężką piłę. Oboje wiedzieli, że cenna jest każda minuta, każde opóźnienie mogło oznaczać wyrok śmierci dla niewinnych ludzi.

Zmierzając ku Park Road, nie widzieli ognistej postaci, która wydostała się przez bramę i podążyła za nimi. Składała się wyłącznie z płomieni, jednak miała kształt człowieka poruszającego się na dwóch nogach. Uszła jednak zaledwie pięćdziesiąt metrów, gdy płomienie, z których się składała, nagle zaczęły przygasać, a kilka ostatnich płomyczków szybko zagasił deszcz. Postać zamieniła się w smugę szarego dymu niesionego wiatrem.

46

Odnalezienie oddziału SAS zajęło im mniej czasu, niż przypuszczali. Kiedy szli High Street w kierunku dworca Tooting Broadway, zobaczyli przynajmniej osiem land roverów w kolorze khaki, parkujących jeden za drugim, a także trzy transportery opancerzone w barwach ochronnych. Wokół wejścia na dworzec zgromadziło się około czterdziestu młodych żołnierzy w czarnych hełmach, czarnych mundurach bojowych i kamizelkach kuloodpornych.

Dżamila wyciągnęła legitymację i podsunęła ją żołnierzom przed oczy, żeby mogli przeczytać.

– Policja – powiedziała. – Kto tutaj dowodzi?

Jeden z podoficerów uważnie obejrzał legitymację, po czym zapytał Jerry’ego:

– A do czego jest panu potrzebna piła łańcuchowa?

– Zaraz to wyjaśnimy – odpowiedziała Dżamila. – Ale chcemy najpierw rozmawiać z dowódcą.

Podszedł do nich oficer w czarnym berecie. Jerry pomyślał, że mężczyzna jest stanowczo za młody na oficera SAS. Miał niebieskie oczy i niewinną twarz; wyglądał raczej na kapitana drużyny rugby z prywatnej szkoły niż na żołnierza.

– Co się dzieje? – zapytał oficer. – Kim jesteście?

– Detektyw sierżant Patel i detektyw posterunkowy Pardoe, oboje z policji w Tooting. Właśnie uciekliśmy z komisariatu, do którego wtargnęli napastnicy. Widzieliście już ubrania przemieszczające się po ulicach? Te wszystkie płaszcze, kurtki i swetry?

Oficer pokiwał głową.

– Straciłem już trzech ludzi. I właśnie z tego powodu tutaj jesteśmy, przegrupowujemy się. Prawdę mówiąc, jesteśmy zszokowani. Powiedziano nam, że będziemy pacyfikować zamieszki uliczne. Nie mieliśmy pojęcia, że ich prowodyrami okażą się… Hmm, ktokolwiek to jest, do cholery. –

Wyciągnął rękę i się przedstawił: – Major John Wallace, dowódca oddziału antyterrorystycznego.

– Co się stało? – zapytał Jerry.

Major Wallace odwrócił się i popatrzył na Mitcham Road. Ulica nadal była zapchana przez porzucone samochody i autobusy, a na chodnikach zalegały trupy. Deszcz lał bez przerwy.

– Próbowaliśmy połączyć się z policyjnym stanowiskiem dowodzenia, żeby zameldować o naszym przybyciu – odparł. – Niestety, nikt tam nie odpowiadał. A potem wyłączyły się nasze radiostacje. Od tamtej pory już w ogóle z nikim nie możemy się skontaktować, nawet przez telefony komórkowe.

– Mamy ten sam problem – powiedział Jerry, unosząc rękę z iPhone'em. – Nie działa od dawna. Telefony stacjonarne również nie funkcjonują.

– Zakładam, że nasi przeciwnicy dysponują urządzeniem wysyłającym specjalne impulsy elektromagnetyczne. – Major Wallace westchnął. – Projektuje się je w taki sposób, żeby uniemożliwiały działanie wszelkich urządzeń elektrycznych: telefonów, odbiorników i nadajników radiowych, a nawet komputerów. Wiemy, że dysponują nimi Rosjanie i Korea Północna, ale nie walczymy tu przecież ani z Rosjanami, ani z Koreańczykami. Na miłość boską, nie walczymy nawet z ludźmi.

– W jaki sposób stracił pan swoich ludzi, majorze? – zapytała Dżamila.

Zadała to pytanie z ogromnym współczuciem w głosie i Jerry się przestraszył, że major Wallace zamiast odpowiedzieć, wybuchnie płaczem.

– Nie mogliśmy dotrzeć szakalami w pobliże komisariatu ze względu na te wszystkie porzucone pojazdy, ruszyliśmy więc na piechotę. I wkrótce natknęliśmy się na prowodyrów tych zamieszek, kimkolwiek oni są. Zobaczyliśmy, że zgromadzili się przed komisariatem i rozdzierają na strzępy ciała martwych policjantów. Oddaliśmy strzały ostrzegawcze, a wtedy oni ruszyli prosto na nas. – Major Wallace przerwał i głęboko wciągnął powietrze. Po chwili kontynuował: – Jeszcze raz wykrzyczeliśmy standardowe ostrzeżenia i otworzyliśmy ogień. Grupa liczyła około dwudziestu sztuk, ale dopiero kiedy się do nas zbliżyli, zdaliśmy sobie sprawę, z czym mamy do czynienia. Nie powiem wam, ile razy moi ludzie strzelili do każdego z nich, ale zużyliśmy pokaźną liczbę pocisków, które jednak nie zrobiły na nich najmniejszego wrażenia. Szli na nas równym, jednostajnym hmm… krokiem i po chwili wyciągnęli z szeregu trzech

moich najlepszych ludzi, uzbrojonych i ciągle strzelających. Dosłownie wdeptali ich w ziemię. Kiedy to zobaczyłem, dałem sygnał do natychmiastowego odwrotu. – Na chwilę zamilkł. – No i teraz nie mam już zielonego pojęcia, co dalej robić.

– Powiem panu coś – odezwał się Jerry. – Ponieważ sprawcami zamieszek są ubrania, a nie ludzie, kule z broni palnej ich nie powstrzymają. Nie działają na nie również paralizatory ani gaz łzawiący. One nie mają oczu ani płuc.

– Jakim więc cudem pętają się po mieście i atakują ludzi?

– My już to wiemy – odparła Dżamila. – Ale to długa i skomplikowana historia, która zresztą niekoniecznie musi odpowiadać prawdzie, przynajmniej nie w stu procentach. Te ubrania zostały zakażone przez swoisty wirus, a ten wirus z kolei przekazał im osobowość ludzi, którzy je wcześniej nosili, chociaż teraz już nie żyją.

Major Wallace popatrzył na nią i zmarszczył czoło. Jerry doskonale rozumiał, że gdyby żołnierz nie widział wcześniej na własne oczy walczących ubrań, doszedłby do wniosku, że Dżamila z niego drwi.

– Detektyw sierżant Patel i ja zdołaliśmy uciec z oblężonego posterunku – powiedział. – Chcieliśmy dotrzeć do pańskiego oddziału, ale zaczęło nas gonić pięć płaszczy. Zepchnęły nas w odludne miejsce i tam właśnie znalazłem przypadkowo piłę łańcuchową. Kiedy płaszcze nas zaatakowały, pociąłem je na strzępy. Detektyw Patel podpowiedziała mi, że jej dziadek w taki sam sposób traktował dżinny, kiedy próbowały wedrzeć się do jego domu.

– Ale to była tylko baśń rodem z Pakistanu – uzupełniła Dżamila.

– Owszem, jednak piła łańcuchowa zabiła płaszcze, porozdzierała je na kawałki. Dla pewności te wszystkie strzępy natychmiast spaliliśmy.

– Rozumiem – powiedział major Wallace. – Uważacie zapewne, że będziemy w stanie rozprawić się w identyczny sposób z pozostałymi. Mamy piłę łańcuchową w kabinie jednego z szakali, ale chyba będziemy ich potrzebowali znacznie więcej, prawda? Przecież te żywe ubrania całymi setkami wałęsają się po ulicach.

– Niedaleko są przynajmniej dwa sklepy z ciężkimi narzędziami – poinformował go Jerry. – Tam powinny być piły łańcuchowe, a jeśli nie, to trzeba będzie ściągnąć je z innych sklepów.

– Rozumie pan coś z tego, sierżancie? – zapytał major.

Sierżant stał tuż za nim, Jerry uznał więc, że byłoby dziwne, gdyby nie rozumiał.

– Tak jest! – krzyknął. – Piły łańcuchowe, panie majorze!

– Właśnie, sierżancie. Potrzebujemy maksymalnie dużo pił i musimy je zdobyć w maksymalnie krótkim czasie. Prawdopodobnie będziemy musieli włamywać się do sklepów, ale tym będziemy się martwić później.

– Tak jest, panie majorze.

Sierżant zebrał grupę sześciu żołnierzy. Wsiedli do jednego z wozów opancerzonych i ruszyli z przenikliwym rykiem. Pojazd wykonał zwrot o sto osiemdziesiąt stopni, doszczętnie niszcząc przy tym trzy porzucone samochody osobowe.

– Teraz możemy już tylko czekać na ich powrót – powiedział major Wallace. – Usiądźmy gdzieś i spokojnie przekażcie mi wszystko, co wiecie o tym wirusie.

Tuż przy dworcu znajdowała się kawiarnia Starbucksa. Frontowe okna były wybite, a drzwi wisiały na jednym zawiasie. Weszli we troje do środka, depcząc po rozbitym szkle, i usiedli przy stoliku.

– Szkoda, że nie ma prądu – powiedział Jerry. – Wypiłbym podwójne espresso.

Nad dworcem przeleciał helikopter tak nisko, że cała kawiarnia się zatrzęsła.

– To chyba jeden z naszych – powiedział major. – Moje dowództwo wie już, jaka jest sytuacja, i w każdej chwili spodziewamy się posiłków. Ale brak łączności cholernie mnie denerwuje. Tylko zgaduję, że te ubrania dysponują specjalistycznymi urządzeniami zagłuszającymi. Dotąd myśleliśmy, że cała elektronika ma prawo wysiąść praktycznie tylko po wybuchu jądrowym.

– Owszem – przytaknęła Dżamila. – Ale tutaj mamy też do czynienia z nadzwyczaj silną energią zakłócającą działanie fal. Jeżeli wirus potrafi dać ubraniom siłę, dzięki której odzyskują życie, kto wie, do czego jeszcze jest zdolny? Moja babcia opowiadała mi o duchu, który mógł podpalić każdy dom, nawet z bardzo dużej odległości. Potrafił też zdalnie zabijać ludzi, którzy mu się przeciwstawiali, chociażby we śnie.

– Już nic więcej nie mów – poprosił Jerry. – Opowieści twojej babci zbyt często się sprawdzają.

Dopiero półtorej godziny później usłyszeli zawodzenie silnika powracającego szakala i głośny trzask, gdy pojazd zmiażdżył leżący na jezdni motocykl.

Jerry i Dżamila wyszli za majorem z kawiarni. Sierżant wyskoczył z wozu, wymachując pomarańczową piłą łańcuchową marki Husqvarna. Jego podkomendni także mieli piły, a resztę wyładowali z szakala.

– Dobra robota, sierżancie – pochwalił major, oglądając sprzęt, który żołnierze ułożyli na chodniku. – Ile ich zdobyliście?

– W sumie dwadzieścia trzy – odpowiedział sierżant. – Uznałem, że tyle wystarczy. Wszystkie mają w bakach paliwo, uzupełniliśmy je do pełna. W sklepach były też bezprzewodowe piły elektryczne, ale żadna z nich nie była naładowana. Oczywiście z braku prądu nie można ich naładować.

– Jasne – zgodził się major. – A teraz plan działania. Podzielimy się na trzy grupy i zaatakujemy komisariat równocześnie od strony północnej, przez główne wejście i od południa. Frontowe drzwi są już wyłamane, od tej strony nie będziemy więc mieć problemów z dostaniem się do środka. Drzwi od strony południowej i północnej trzeba chyba będzie wysadzić. Wszystkie ubrania napotkane po drodze należy rozszarpywać na strzępy. Trzeba działać zdecydowanie, bez wahania. Macie poszatkować wszystkie płaszcze i kurtki! Chcę tutaj widzieć masakrę piłą mechaniczną w Tooting. Zrozumiano?

– Tak jest, sir – odparli zgodnym chórem żołnierze.

– Przedyskutowałem z obecną tutaj detektyw sierżant Patel, jaki powinien być kolejny krok po pokonaniu ubrań, ponieważ jest ona w pewnym sensie ekspertem w dziedzinie takich dziwnych wydarzeń jak te, z którymi mamy tu do czynienia… w każdym razie wie o nich znacznie więcej niż ktokolwiek z nas. Sierżant Patel twierdzi, że resztki ubrań musimy koniecznie spalić, żeby włókna, z których są wykonane, już nigdy nie mogły powrócić do życia… Wiem, to wszystko wydaje się bez sensu. Ale przez te ubrania zginęło już trzech naszych kolegów i dlatego musimy z nimi skończyć raz na zawsze. I to właśnie zrobimy. Gdy swoją robotę będą wykonywać grupy z piłami, pozostali mają zarekwirować w okolicy wszelkie ciężarówki, które nie utknęły w korkach. Przyprowadzicie je przed komisariat i załadujecie na nie zniszczone ubrania. Puścimy je z dymem. Detektyw Pardoe zasugerował, że najlepszym miejscem będzie trawiasta polana o nazwie Figges Marsh. Twierdzi, że to teren rekreacyjny położony

niedaleko, na południe od komisariatu. Można tam bez problemów dojechać bocznymi ulicami, co jest istotne, ponieważ główne trasy wciąż są zablokowane. – Major Wallace popatrzył po swoich ludziach i zapytał: – Są jakieś pytania? Nie ma? W takim razie grupy pilarzy, odpalać piły!

Dżamila podeszła do Jerry’ego i zapytała:

– A ty co zamierzasz zrobić?

Jerry trzymał nogę na pile, gotowy do uruchomienia jej.

– A jak sądzisz? Pójdę z nimi. Będzie nas więcej, a poza tym znam ten budynek jak własną kieszeń, a żołnierze go w ogóle nie znają, prawda? Tam jest mnóstwo miejsc, w których te płaszcze mogą się ukryć. Przecież jeśli nam źle pójdzie, powskakują chociażby na wieszaki na drzwiach i będą udawać, że są zwyczajnymi ubraniami należącymi do pracowników.

– Jeśli ty pójdziesz z oddziałem, ja pójdę z tobą.

– Pani sierżant… nie masz piły.

– Co z tego? I tak nie potrafiłabym jej używać. Ale pracuję przy tym śledztwie od samego początku i chcę w nim uczestniczyć do samego końca.

– Dżamila, nie.

– Jerry, tak. I to jest rozkaz. Będę się trzymała blisko ciebie.

– Jeżeli dasz się zabić, już nigdy więcej się do ciebie nie odezwę.

– Jeżeli dam się zabić, i tak już cię nigdy nie usłyszę.

Jerry powiedział jeszcze kilka słów, ale wokół zawarczały dwadzieścia trzy piły łańcuchowe, więc Dżamila i tak go nie usłyszała. Pochylił się i pociągnął za linkę rozrusznika; piła od razu zaczęła działać.

Dwudziestu trzech żołnierzy SAS z oddziału uzbrojonego w piły łańcuchowe podzieliło się na trzy kolumny – dwie z nich ruszyły chodnikiem, a trzecia poszła środkiem ulicy pomiędzy zniszczonymi samochodami. Ich piły groźnie warczały na jałowym biegu, niczym dwadzieścia trzy gotowe do ataku pitbulle. Jerry i Dżamila również szli środkiem ulicy, trzymając się tyłu kolumny. Dżamila nie chciała iść chodnikiem, ponieważ leżało na nim zbyt wiele zwłok, niektóre były straszliwie zmasakrowane i porozrywane. Mimo deszczu wszędzie były kałuże krwi spływającej ze strugami deszczówki do rynsztoków.

Gdy dotarli do Byton Road, ośmiu żołnierzy, których zadaniem było dostanie się do komisariatu od strony południowej, skręciło na prawo. Mieli okrążyć budynek, a potem zawrócić. Pozostała piętnastka szła dalej. Znalazłszy się w pobliżu Amen Corner, żołnierze zobaczyli kilka ciemnych

płaszczy i kurtek pochylonych nad martwymi antyterrorystami z Wandsworth. Patroszyli ich zwłoki i rozwlekali wnętrzności po całej ulicy. Trzej żołnierze SAS, których wcześniej dopadły ubrania, również gdzieś tam leżeli. Jeden z członków maszerującego oddziału nie wytrzymał i zwiększył na kilka sekund obroty swojej piły łańcuchowej, jakby nie mógł się doczekać chwili, kiedy pomści martwych kolegów.

– Spokojnie, Branning! – zawołał sierżant, nawet się nie odwracając, żeby sprawdzić, kto nie potrafi trzymać nerwów na wodzy.

Żaden z żołnierzy nie nosił na mundurze naszywki z nazwiskiem, pewność sierżanta wywarła więc na Jerrym spore wrażenie.

Kolumna zatrzymała się, oczekując na sygnał gotowości grupy, która miała atakować od południa. Dżamila poklepała Jerry'ego po ramieniu i powiedziała:

– Jeśli coś się stanie…

– Co? Nie słyszę cię!

Przytrzymała rękę na jego ramieniu i zawołała głośno:

– Jeżeli stanie się coś złego, chcę, żebyś wiedział, co do ciebie czuję!

Odwrócił się. Ona nie powiedziała już ani słowa więcej. Nie musiała. Jerry uśmiechnął się i krzyknął równie głośno jak ona:

– Ja też!

W tym momencie zobaczyli na ulicy błysk reflektora. Południowy oddział zajął pozycję i był gotowy do akcji.

– Uwaga! – krzyknął sierżant. – Do ataku! Rozwalmy tych drani na strzępy!

Wszyscy żołnierze SAS w jednej chwili ruszyli biegiem w kierunku komisariatu. Ich piły groźnie warczały, a buty głośno bębniły podeszwami o asfalt. Płaszcze i kurtki, zajęte bezczeszczeniem zwłok antyterrorystów, wyprostowały się, jednak nie zrobiły nic, żeby podjąć próbę ucieczki. Jeżeli posiadały zdolność myślenia, bez wątpienia były przekonane, że nikt nie jest w stanie im zagrozić. Wdarli się pomiędzy nie dwaj żołnierze wymachujący piłami i w jednej chwili w powietrzu zaczęły fruwać fragmenty rękawów, kołnierze, klapy i mankiety.

Ośmiu żołnierzy pobiegło na parking policyjny, a druga ósemka skierowała się na frontowe schody komisariatu. Jerry i Dżamila ruszyli za nimi. Długa brązowa suknia, którą Jerry przywiązał za rękawy do barierki,

wciąż na niej powiewała. Zobaczył, jak jeden z żołnierzy w ciągu sekundy zamienia ją w bezładną stertę poszarpanej tkaniny.

W budynku było ciemno, ale żołnierze rzucili w holu race świetlne i w ułamku sekundy potworna scena została oświetlona. Pod jedną ze ścian kotłowała się wielka sterta zakrwawionych ubrań przywodzących na myśl monstrualne robaki. Podłogę zaścielały ludzkie szczątki. Z policjantów, którzy podjęli walkę jako pierwsi, pozostały tylko żałosne strzępy. Wśród tych makabrycznych resztek widoczne były buty i części umundurowania.

Ubrania, które skończyły swoje dzieło zniszczenia w holu, zaczęły się wspinać śladami poprzedników po schodach. Przez warkot pił oraz pokrzykiwania żołnierzy przebijały się paniczne wrzaski z wyższych pięter.

Oddział bez wahania ruszył przez zakrwawiony hol i zaczął rozdzierać ubrania na strzępy. Ostrza pił unicestwiały jedną rzecz po drugiej.

Jerry usłyszał głuchy łomot i po chwili po budynku rozbiegł się oddział, który rozpoczął atak od strony północnej.

– Na górę, za nimi! – wrzeszczał sierżant i oddział natychmiast zaatakował pełznące po schodach koszule i kurtki.

W powietrzu fruwały fragmenty tkanin – wełny, nylonu, bawełny i jedwabiu – a na posadzkę spadały zamki błyskawiczne i guziki. Jerry usłyszał, że oddział południowy wdarł się do pomieszczeń aresztu, i rozdzierające odgłosy, jakie wydawały łańcuchy pił w zetknięciu z metalowymi kratami, podpowiedziały mu, że płaszcze dotarły również tam.

W pewnej chwili zobaczył trencz lecący w powietrzu w stronę jednego żołnierza – bez wątpienia zamierzał spaść mu na plecy. Podbiegł i przeciął płaszcz na pół łańcuchem piły, a potem pociął go na małe kawałki.

Gdy oddział południowy zajął schody, okrywając je strzępami tekstyliów, Jerry i Dżamila ruszyli za nim. W tej chwili z pełną mocą pracowały już tylko trzy albo cztery piły łańcuchowe, a pozostałe jedynie groźnie pomrukiwały, gdy żołnierze biegali po budynku, poszukując ubrań, które przeoczyli lub które mogły się gdzieś ukryć.

Jerry i Dżamila poszli za kilkoma żołnierzami w kierunku pokoju dowodzenia. Drzwi do pomieszczenia były wyłamane z zawiasów i leżały na podłodze. W świetle rac zobaczyli Callowa, Saundersa, Bristowa i trzech innych policjantów, a raczej to, co z nich zostało. Jeden z funkcjonariuszy wciąż siedział na krześle przed monitorami. Biała niegdyś koszula była

teraz czerwona. Jego głowa leżała na podłodze, z otwartymi oczami; wpatrywał się niewidzącym wzrokiem we własne buty, jakby zadawał sobie pytanie, dlaczego oczy znalazły się nagle tak daleko od szyi.

– Cholera jasna – jęknął Jerry. – Smiley. Co za okrutna śmierć.

Wreszcie, jedna po drugiej, piły zamilkły. Razem z sierżantem oraz czterema wyznaczonymi przez niego ludźmi Jerry i Dżamila przeszukali komisariat od najwyższego piętra po hol, jednak nie znaleźli już ani jednego żywego ubrania.

Major Wallace czekał na nich na schodach przed budynkiem.

– Zaliczyliśmy doskonały początek, pani sierżant – powiedział do Dżamili. – Docierają do mnie raporty, że w dzielnicy nadal grasują agresywne grupy atakujące każdego, kto znajdzie się na ich drodze. Ponieważ spacyfikowaliśmy już oblężenie komisariatu, roześlę teraz pięć grup patrolowych z piłami, żeby je likwidowali w mieście. – Zerknął do wnętrza budynku. – Mam nadzieję, że tutaj nikomu już nic nie grozi, ale będziemy czujni i dobijemy każdego marudera, proszę się nie martwić. Bardzo pani dziękuję za współpracę. I panu także, detektywie Pardoe. Wykonaliście cholernie dobrą robotę.

Gdy wypowiadał ostatnie słowa, zapaliły się światła na ulicy i w komisariacie, rozbłysło oświetlenie sklepów przy Mitcham Road. Dopiero teraz można było w pełni ocenić grozę sytuacji i rozmiary krwawej masakry. Straszliwie okaleczonych ciał zalegających na chodnikach i jezdniach nie sposób było jednak policzyć.

Zaterkotał iPhone w kieszeni Jerry’ego, zwiastując nadejście wiadomości tekstowych, jednak był zbyt przybity, żeby na nie odpowiadać. Odstawił piłę na schody.

Dżamila ujęła go pod ramię.

– Co teraz?

– Teraz zorganizujemy wielkie sprzątanie – powiedział major Wallace. – A potem moi ludzie rozpalą równie wielkie ognisko. Mam nadzieję, że do nas dołączycie.

47

Jerry znalazł na tyłach komisariatu samochód patrolowy, który miał jedynie wgniecioną maskę i rozbite światło na dachu. Dżamila poczekała, aż Jerry znajdzie również kluczyki na dawnym stanowisku dyżurnego, i razem odjechali. Dziesięciu żołnierzy SAS dość szybko wymiotło z komisariatu zakrwawione strzępy ubrań, używając będących na jego wyposażeniu szufli do odgarniania śniegu. Na zewnątrz czekały już trzy ciężarówki, które miały je wywieźć.

Jerry najpierw pojechał do swojego mieszkania. Oboje z Dżamilą milczeli, ale po tym, co przeszli i czego byli świadkami, nie mieli ochoty na rozmowę. Jerry cieszył się, że Dżamila była z nim do samego końca, ponieważ nie musiał jej uzmysławiać, jak okrutna i gwałtowna była ostatnia rozprawa z ubraniami.

Gdy brała prysznic, on przygotował kawę. Kiedy potem on wyszedł spod prysznica, zobaczył, że dziewczyna siedzi w salonie, owinięta w ręcznik, i ogląda wiadomości telewizyjne. Spiker mówił, że w niektórych dzielnicach południowego Londynu wybuchły zamieszki, które spowodowały liczne ofiary śmiertelne i czasowe braki w dostawie energii elektrycznej, nie poinformował jednak ani o ubraniach, które ożyły i zaatakowały ludzi, głównie klientów sklepów, ani o udziale jednostki SAS w likwidacji oblężenia komisariatu policji w Tooting.

– Cholernie ostra cenzura – skomentowała Dżamila.

Jerry usiadł obok niej.

– Prędzej czy później i tak wszystko się wyda. Zbyt wielu ludzi widziało płaszcze ganiające po ulicach, żeby tajemnica mogła się utrzymać.

– Czy odezwał się ktoś ze Scotland Yardu?

– Jeszcze nie. Wątpię, czy nasi szefowie wiedzą, kto w Tooting przeżył, a kto wyzionął ducha. Zapewne w Yardzie zamartwiają się przede wszystkim biednym starym Callowem. Ale w tej chwili i tak się nie dowiedzą, że nie żyje, bo panuje totalny chaos.

Wypili kawę i ubrali się. Oboje nie mieli nic w ustach przez cały dzień, jednak nawet nie mogli myśleć o jedzeniu. Później zmęczenie pokonało Dżamilę – zasnęła na kanapie i spała niemal przez godzinę, a Jerry oglądał telewizję. Bezustannie przekazywano wiadomości o „zamieszkach", na ekranie wyświetlały się numery telefonów, z których mógł skorzystać każdy, kto martwił się o rodzinę lub przyjaciół, żadna ze stacji wciąż jednak nie informowała, ile osób zginęło, ile zostało rannych i w jaki sposób.

Jerry właśnie wychodził z toalety, kiedy zadzwonił jego iPhone. Usłyszał głos majora Wallace'a. Oficer poinformował go, że resztki ubrań zostały już zwiezione na Figges Marsh.

– Ucieszę się, jeżeli przyjedzie pan tutaj razem z detektyw sierżant Patel. Jej wiedza o duchach i tym podobnych sprawach może się okazać bezcenna.

– Jasne. Będziemy za dziesięć minut.

Obudził Dżamilę.

– Gdzie ja jestem? – spytała nieprzytomnie.

– W mieszkaniu detektywa Pardoe, madame. Przepraszam, że przeszkadzam, ale major jest już gotowy, żeby rozpalić wielkie ognisko. Mówi, że chciałby, abyś była tego świadkiem.

– Dobrze, że mnie obudziłeś. Miałam straszny sen. Śniły mi się czarne włochate gąsienice, które wpełzały do moich ubrań. Masz może płyn do płukania ust? Mam taki niesmak, jakbym lizała metalowe pręty zbrojeniowe.

Pojechali na Figges Marsh, trójkątny trawiasty teren przeznaczony do celów rekreacyjnych, którego granice wyznaczały rozłożyste dęby. Teren sąsiadował z London Road Cemetery. Zaparkowali samochód przy Manship Road i pieszo ruszyli w kierunku wielkiej sterty szmat przywiezionych przez żołnierzy SAS z komisariatu i innych miejsc. Major Wallace wraz z dwudziestoma ludźmi był już na miejscu. Część spośród nich zdjęła hełmy i miała odkryte głowy, a część nosiła berety.

Gdy się zbliżyli, Jerry poczuł zapach benzyny. Dwaj żołnierze chodzili dookoła góry skrawków, wytrząsając z dwóch dwudziestolitrowych kanistrów ostatnie krople paliwa. Stos był wyższy od żołnierzy przynajmniej o metr.

– Najwyższy czas rozpalić ognisko – powiedział major Wallace. – Otrzymałem meldunki od dwóch grup moich ludzi z piłami. Okrążyli

i roznieśli na strzępy jeszcze pięć gangów płaszczy i skafandrów. Spalimy je później. Pomyślałem, że to, co zebraliśmy na policji, należy skremować wcześniej. – Popatrzył na jednego ze swoich ludzi, którzy stali przy stercie, i rozkazał: – Do dzieła, kapralu! Zaczynajcie!

Kapral zapalił zapałkę i rzucił ją na stos. Z łagodnym pomrukiem góra ubrań niemal natychmiast zapłonęła. Zrobiło się tak gorąco, że musieli się cofnąć kilka kroków. Stali w milczeniu, a tymczasem ogień dokonywał dzieła zniszczenia. Fala gorąca unosiła zwęglone strzępy wysoko w powietrze.

Nagle wśród huku płomieni Jerry usłyszał czyjś krzyk. Obejrzał się, jednak w pierwszej chwili zobaczył jedynie drzewa rosnące wokół polany. Ale po kilku sekundach krzyk się powtórzył i wtedy dostrzegł, że w kierunku ognia biegnie jakiś mężczyzna.

– Cholera jasna – powiedział. – To Liepa!

Litwin zatrzymał się obok nich, z trudem łapiąc oddech. Jego długie czarne włosy były rozwiane i patrzył na nich dzikim wzrokiem.

– Co wy robicie? – zawołał. – Co wy robicie? Przecież to są dusze! To są ludzie! Palicie ich żywcem!

Jerry złapał Liepę za ramię.

– Niech to sobie będą dusze, stary, ale te dusze dokonały masowych zbrodni i właśnie otrzymują to, na co zasługują. Ty też się nie wymigasz od tego, co jest ci pisane. Aresztuję cię, Liepa, za wszystko, co tylko możesz sobie wyobrazić, i za to, co sobie dopiero wyobrazisz.

– Ale przecież nie wolno wam tego robić! – protestował Liepa. – To są ludzkie dusze! Moi wyznawcy! Nie rozumiecie, jakie teraz cierpią katusze? Zgaście ten ogień! Zgaście, zanim te wszystkie biedne dusze zginą!

– Nie ma mowy – odparł Jerry. – Zresztą jak mielibyśmy zgasić taki wielki ogień? Naszczać na niego?

– Nie wolno wam! – Liepa był wściekły. – Jesteście… jesteście zbrodniarzami! Nie wolno wam!

Wciąż wrzeszczał, gdy od stosu oddzieliła się dziwna złożona z płomieni sylwetka i wijąc się, zaczęła szybko zmierzać w jego kierunku. Jej kształt ulegał zmianom, trudno więc było określić, co to właściwie jest, ale zdecydowanie przypominała płonącego człowieka. Błyskawicznie dopadła Liepę i objęła go płonącymi ramionami.

– Jerry! – krzyknęła Dżamila, złapała go za kołnierz i odciągnęła na bok.

Płonąca postać przylgnęła do Litwina i mężczyzna natychmiast zajął się ogniem. Liepa odrzucił głowę i zaskowyczał żałośnie. Jego twarz przybrała szkarłatny kolor, a długie czarne włosy zapłonęły żywym ogniem.

Jeden z żołnierzy SAS zdjął kurtkę mundurową, gotów zdusić płomienie. Jednak od Liepy buchał taki gorąc, że żołnierz musiał się cofnąć.

Liepa wił się w dzikim tańcu i nikt nie mógł mu już pomóc. Wkrótce kolejna ognista postać oddzieliła się od płonącego stosu, a potem zaczęły się z niej wyłaniać następne. Wszystkie podchodziły do Liepy i przywierały do niego, zwiększając żar trawiących go płomieni.

Litwin wyglądał już jak płonący filar. Patrząc na niego, jeden z żołnierzy przeżegnał się. Jerry wiedział, że Liepa nie czuje już bólu, ale gdy pomyślał, jak wielu ludzi przez niego cierpiało, wcale go nie żałował, wręcz przeciwnie – pragnął, aby konał w straszliwej agonii aż do ostatniego tchnienia.

W końcu Liepa przewrócił się na trawę. Płomienie najpierw się skurczyły, a potem zgasły. Wkrótce znad jego szczątków unosiła się jedynie wstęga dymu. Ciało mężczyzny zwęgliło się i popękało.

Ognisko również zaczęło powoli przygasać. Deszcz przestał padać, a powietrze ożywiał lekki wiaterek rozwiewający popioły w kierunku drzew.

– Do diabła, co to było? – zapytał Wallace. – Kim był ten człowiek? I jak to się mogło stać, do cholery?

– Ten mężczyzna nazywał się Jakobus Liepa – odpowiedziała Dżamila. – To właśnie on przyznał się policji, że ożywił te wszystkie ubrania. Twierdził, że dlatego uważały go za boga.

– W głowie mi się kręci. To wszystko staje się z każdą minutą coraz trudniejsze do zrozumienia.

– Przecież to proste. Duchy zasiedlające ubrania zrozumiały, że umierają po raz drugi. Dlatego kiedy pojawił się Liepa, pomyślały, że je uratuje. Nie chciały go zabić. Raczej błagały go o ratunek. A przynajmniej tak mi się wydaje.

– Równie dobre wyjaśnienie jak każde inne – zauważył major. – A pan co o tym sądzi, detektywie Pardoe?

– Lepiej niech mnie pan nie pyta, majorze. Jedyny duch, o którym cokolwiek wiem, to duch Jacka Daniel’sa.

Major Wallace przez chwilę intensywnie o czymś myślał. Wreszcie popatrzył na zwęglone ciało i powiedział:

– To się nie zdarzyło, okej? Będzie najlepiej dla nas wszystkich, jeśli zamilkniemy na zawsze. Kapralu, dorzućcie to do ognia. – Wskazał na szczątki Liepy.

Dżamila spędziła resztę nocy w mieszkaniu Jerry'ego, śpiąc na kanapie. Wczesnym rankiem Jerry przygotował na śniadanie tosty i kawę. Wciąż nie skontaktował się z nimi nikt ze Scotland Yardu ani z komendy policji w Lambeth, a oni oboje nie mieli jakoś ochoty jako pierwsi dzwonić do przełożonych i składać raportu na temat swoich przeżyć.

Mimo że oboje przeważnie milczeli, w swoim milczeniu byli zgodni, że po tym, co przeszli, należy się im przynajmniej jeden wolny dzień. Tymczasem w wiadomościach telewizyjnych wciąż opisywano chaos, w którym zginęło mnóstwo niewinnych ludzi, jako zamieszki uliczne w Tooting. Gdyby Jerry i Dżamila zgłosili się do Scotland Yardu, posłano by ich do wszystkich diabłów, a w najlepszym przypadku usłyszeliby, że są po prostu przepracowani. Albo oskarżono by ich o próbę kamuflowania, w imię poprawności politycznej, agresywnych poczynań morderców z czarnych albo azjatyckich gangów.

Rozsmarowując masło na toście, Dżamila wyraziła słowami to, co oboje myśleli o swojej sytuacji.

– Wiesz, co się stanie, jeżeli o wszystkim opowiemy policyjnym ważniakom? Wyleją nas z pracy. A jeśli pójdziemy do mediów, policja londyńska nas zrujnuje. Wkrótce się dowiemy, że ty jesteś pedofilem, a ja terrorystką. Bo przecież nie istnieje coś takiego jak ubrania, które żyją własnym życiem i zabijają ludzi.

Jakiś czas później zadzwonił telefon Dżamili. To była doktor Stewart ze szpitala Springfield.

– Detektyw sierżant Patel? Próbowałam się z panią skontaktować przez komisariat, ale bez skutku. Z telewizji dowiedziałam się, że mieliście tam jakieś kłopoty.

– W czym mogę pani pomóc?

– Telefonuję, żeby pani powiedzieć, że w ciągu ostatniej nocy stan waszych podejrzanych uległ istotnej poprawie. Wszyscy powrócili do swojej prawdziwej tożsamości. Nikt już nie twierdzi, że tkwi w nim jakaś

inna osoba, która umrze, jeżeli nie zje ludzkiego mięsa. Muszę powiedzieć, że przyjęliśmy tę odmianę z wielką ulgą. Z psychiatrycznego punktu widzenia cała grupa nie wymaga już naszej opieki i jesteśmy gotowi z powrotem przekazać ją policji.

– Hmm… Obawiam się, że z tym może być mały problem. Jak pani słusznie powiedziała, mieliśmy pewne kłopoty i w tej chwili raczej trudno będzie nam znaleźć dla tych podopiecznych właściwe zakwaterowanie.

– Rozumiem – powiedziała doktor Stewart. – Jednak pani musi z kolei zrozumieć, że Springfield to szpital, a nie więzienie i nie możemy u nas ograniczać swobody ludziom, którzy są całkowicie zdrowi.

– Jasne. Przyjadę zatem do szpitala i porozmawiam z nimi, jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu. Gdy się przekonam, że pacjenci nie mydlą pani oczu i ich stan jest taki, jak pani twierdzi, zrobię wszystko, żeby ich od państwa zabrać.

– Pani detektyw – odezwała się doktor Stewart lodowatym tonem. – Jestem psychiatrą od ponad dwudziestu siedmiu lat. Pacjenci nie są w stanie mydlić mi oczu, jak to pani łaskawie ujęła.

– Przepraszam. To dlatego, że wielu przestępców ma talent do oszukiwania wszystkich, łącznie z najlepszymi oficerami policji.

– Spodziewam się pani jeszcze dzisiaj po południu. Im szybciej, tym lepiej – zakończyła doktor Stewart.

Dżamila wyłączyła telefon i powiedziała do Jerry’ego:

– To była doktor Stewart. Twierdzi, że Sophie, Laura, Jamie i Mindy przez noc cudownie ozdrowieli.

– Żartujesz? A może to ma coś wspólnego z tymi spalonymi ubraniami? W końcu, kiedy je rozbiliśmy w puch, powróciła nawet elektryczność, prawda? A może to śmierć Liepy nagle zmieniła sytuację?

– Powiedziałam jej, że przyjedziemy jeszcze dzisiaj po południu. Nie chciałabym zabierać ich z powrotem do więzienia, zanim się nie upewnię, że nie stanowią już zagrożenia. Chyba wiesz, jacy są psychopaci, którzy mordują ludzi? Potrafią z uporem godnym lepszej sprawy przekonywać, że niebo wcale nie jest niebieskie.

– Dobrze, pani sierżant, ty decydujesz. Pojedziemy do Springfield. Chociaż muszę przyznać, że mam już po dziurki w nosie rozmów o morderczych ubraniach.

Droga do szpitala Springfield zabrała im po południu ponad trzy kwadranse, ponieważ centrum Tooting wciąż było wyłączone z ruchu, a większość samochodów wjeżdżających do centrum kierowana była na Tooting Bec Road i Trinity Road.

Doktor Stewart natychmiast do nich wyszła.

– Policja chyba już wcześniej się dowiedziała, że ich stan się poprawia – powiedziała, prowadząc Jerry'ego i Dżamilę korytarzem. – Nie przysłaliście bowiem dzisiaj rano żadnego strażnika.

Dżamila była zaskoczona, ale nie dała tego po sobie poznać.

– Rzeczywiście, nikogo nie przysłaliśmy. To z powodu problemów na komisariacie, o których pani doktor już wie.

– Słyszałam tylko o jakichś zamieszkach. Ale kto je wywołał i o co chodziło? O tym się w ogóle nie mówi.

– Bo sytuacja nie jest jeszcze jasna. Punktem zapalnym stał się prawdopodobnie protest przeciwko jakiemuś aresztowaniu.

– Wszystkiemu winne są media społecznościowe – stwierdziła lekarka. – Korzystając z Twittera, Facebooka i innych temu podobnych narzędzi, ludzie się nakręcają. Wpadają w histerię, komentując sprawy, które ich nie dotyczą i z którymi nigdy nie powinni mieć nic wspólnego.

– Chyba nie idziemy do skrzydła dla niebezpiecznych pacjentów? – zauważył Jerry.

– Oczywiście, że nie. Przenieśliśmy waszych ludzi, ponieważ są zupełnie zdrowi. Przebywają teraz w pokoju dziennym z Cherry Mwandi. Zachęca ich, żeby dzielili się nawzajem swoimi doświadczeniami. Mamy nadzieję, że taka terapia pomoże im zrozumieć, dlaczego ich umysły przez pewien czas nie funkcjonowały prawidłowo.

Dżamila popatrzyła na Jerry'ego, jakby chciała powiedzieć: My przecież wiemy dlaczego, prawda? To wszystko zdarzyło się z powodu ubrań, które nosili, i za sprawą wirusa ducha, który ich zaatakował.

Doktor Stewart zaprowadziła ich pod drzwi opatrzone tabliczką POKÓJ POBYTU DZIENNEGO. Zapukała i weszła do środka.

– Zapraszam – powiedziała.

Nagle znieruchomiała. Wszystkie krzesła w pomieszczeniu zostały zepchnięte pod ściany, tak że na środku powstała obszerna pusta przestrzeń. Siedzieli tam po turecku Sophie, Laura, Jamie i Mindy. Kiedy weszła

doktor Stewart, unieśli głowy. Policzki i brody mieli czerwone od krwi. Czerwone były również ich dłonie.

Pomiędzy nimi na podłodze leżała Cherry Mwandi. Wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w sufit, a usta miała szeroko otwarte, jakby z wielkim trudem łapała oddech. Była naga. Brzuch został rozcięty od mostka aż po włosy łonowe, a narządy wewnętrzne leżały obok niej na podłodze. W pomieszczeniu cuchnęło krwią i ekskrementami.

Jerry i Dżamila stanęli na progu, tak wstrząśnięci, że odebrało im mowę. Doktor Stewart wyminęła ich, wyszła na korytarz i zwymiotowała.

Pierwsza odezwała się Mindy.

– Wszystko jest w porządku – powiedziała beztrosko, wierzchem dłoni ścierając krew z policzka. – Wreszcie znaleźliśmy coś do jedzenia.

Spis treści

Dedykacja

***

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

27

28

29

30

31

32

33

35

37

38

39

42

43

Tytuł oryginału: *Ghost Virus*

Copyright © Graham Masterton 2017
All rights reserved

Copyright © for the Polish translation and e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2018

Informacja o zabezpieczeniach
W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Elżbieta Jeżewska

Projekt i opracowanie graficzne okładki: Izabella Marcinowska

Fotografia na okładce: © Joe Prachatree / Shutterstock

Wydanie I e-book (opracowane na podstawie wydania książkowego: *Wirus*, wyd. I, Poznań 2018)

ISBN 978-83-8062-935-6

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel.: 61 867 81 40, 61 867 47 08
fax: 61 867 37 74
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**